

Philipp Vandenberg

Zielony Skarabeusz

(der Grüne Skarabäus)

Przełożyła Barbara Tarnas

1

Wyobrażał to sobie całkiem inaczej; nie była to przecież jego pierwsza zagraniczna budowa. Budował już zaporę w górnym biegu Gangesu w Indiach, budował również w Persji urządzenie do odsalania wody morskiej, uchodzące za cud techniki. Kaminski spędzał na ogół mało czasu w domu; nazywał to wolnością. Gdyby przez cały czas poświęcał się tej samej systematycznej pracy, codziennie na tym samym miejscu, przypuszczalnie albo by zwariował, albo by się szybko zestarzał. A tak mimo czterdziestu pięciu lat wyglądał całkiem młodo, był opalony na brąz dzięki pracy na wolnym powietrzu, umięśniony jak zapaśnik, a więc w oczach kobiet stanowił ideał mężczyzny, co też stało się przyczyną jego zguby.

Abu Simbel wyobrażał sobie całkiem inaczej. Jako nędzną oazę położoną gdzieś w środku pustyni, otoczoną setkami kilometrów piasku, pośród tego leniwie wijący się Nil, a na jego brzegu drewniane baraki i nie utwardzone drogi, które trzeba było wyrównywać po każdym szturmie koparek. A gdzieś tam w oddali kantyna pokryta blachą falistą, ze zbitymi z surowych desek stołami i ławami, w której przy gazowym oświetleniu pracownicy przepijali połowę swych zarobków. Tak było w Indiach, tak było w Persji; typowa budowa zagraniczna.

– Zaskoczony, co? – zaśmiał się Lundholm, kiedy zauważył zdziwione spojrzenie Kaminskiego. Kasyno było pełne ludzi, panowała noc.

Kaminski przytaknął. – Do licha, i to w środku pustyni! Do licha! – powtórzył.

Szwed nazwiskiem Lundholm miał za zadanie zapoznać nowo przybyłego ze wszystkimi urządzeniami „Joint Venture Abu Simbel”. Był on inżynierem budowlanym, tak jak Kaminski, i obaj mieli tu pracować przez najbliższe dwa i pół roku. Trudno było rozpoznać w nim Szweda, zupełnie inaczej aniżeli w przypadku Kaminskiego, który nie mógłby zaprzeczyć, że jest Niemcem nawet po przejściu burzy piaskowej. Był bowiem niski, raczej korpulentny, a niezwykle bujna kędzierzawa czupryna wyraźnie zdradzała jego włoskich przodków ze strony matki.

– W Indiach było okropnie – zaczął niepewnie Kaminski. – W Persji mieliśmy wprawdzie murowane pomieszczenia, ale za to każdej nocy walczyliśmy ze szczurami.

– Tutaj podobno są skorpiony – odparł Lundholm i dodał: – Ale dotychczas jeszcze nie widzieliśmy żadnego.

– A węże?

Lundholm wzruszył ramionami. Abu Simbel było jego pierwszą budową. Pracował w firmie „Skanska”, która należała do „Joint Venture Abu Simbel”, i dotychczas budował mosty w Szwecji.

– Węże nie są wcale takie straszne – podjął temat Kaminski – nie dopuszczają robactwa, to stare doświadczenie. – A kiedy zauważył niezrozumiałe spojrzenie Szweda, powiedział: – Tak, przed węzami można się uchronić, ale wobec szczurów, myszy i mungo [Ssak, tępicieł jadowitych węży, zwany niekiedy ichneumonem, symbol boga Atuma.] człowiek nie ma żadnych szans, albowiem one nieustannie się mnożą. – Sięgnął po piwo, wypił pół szklanki i rozejrzał się dookoła. – Czy tu zawsze jest tak wytwornie? – zapytał, wskazując głową sąsiednie stoliki.

Lokal był pełny. Przy kwadratowych stolikach ze stalowych rurek panował gwar. Rozmawiano po niemiecku, angielsku, francusku, włosku, szwedzku i po arabsku. Większość obecnych stanowili mężczyźni, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się, Kaminski dostrzegł również kobiety, przeważnie ubrane jak mężczyźni, w koszule i spodnie koloru khaki.

– Poczekaj – odpowiedział Lundholm o dziewiątej występuje Nagła, wtedy zaczyna się piekło.

– Kto to jest Nagła?

– Ta kobieta właściwie dzierżawi to kasyno; pochodzi z Asuanu. Kiedy mężczyźni dowiedzieli się, że w młodości znakomicie wykonywała taniec brzucha, tak długo nalegali, aż wreszcie kiedyś zatańczyła.

– No i co?

– Nagła nie jest już taka młoda, ale jeśli chodzi o pępek, to może się równać z każdą dwudziestolatką. Poza tym ma o takie... – Lundholm przy tych słowach rozpostarł dłonie na piersiach. – Teraz Nagła występuje raz w tygodniu, zobaczysz ją.

Parterowe kasyno, nazywane również mesą lub klubem, wznosiło się jak podkowa na niewielkim wzgórzu nad doliną Nilu i skierowane było na południe. W ciągu dnia rozpościerał się stąd zapierający dech w piersiach widok na Nubię, która teraz, wieczorem, wyglądała jak wielka czarna czeluść; sprawiało to niesamowite wrażenie.

Dla zwykłych robotników, których było tu około tysiąca, kasyno stanowiło w pewnym sensie tabu. Pijący tu piwo lub whisky należeli do europejskiego

kierownictwa budowy, mieszkali w pobliskiej Contractor's Colony przy Honeymoon Road albo Souna Road i zarabiali miesięcznie dziesięć tysięcy marek.

Dziesięć tysięcy to mnóstwo pieniędzy i one były głównym powodem, dla którego zgłaszało się tylu ochotników do pracy na takich budowach jak Abu Simbel – i to pieniądze, a bywało też, że i inne historie sprawiały, iż ludzie znikali z pola widzenia we własnym kraju na dwa albo trzy lata. Dla Kaminskiego było to również wyzwanie natury technicznej.

– Hej, Rogalla! – Lundholm skinął na szczupłego, wysokiego mężczyznę, który wszedł do kasyna w towarzystwie młodej kobiety. Miał on na sobie luźną lnianą marynarkę, która nadawała mu elegancki wygląd; dziewczyna natomiast najwidoczniej nie przywiązywała wagi do stroju, ubrana była bowiem w obszerny, sprany kombinezon, ciemne włosy miała związane na karku, a okulary w rogowej oprawie nadawały jej twarzy nieprzystępny wyraz.

– Chciałbym was zapoznać – powiedział Lundholm, kiedy oboje doszli do stolika: – Artur Kaminski z firmy „Hochtief” z Essen. A to Istvan Rogalla, archeolog, i Margret Bakker, jego asystentka.

Kaminski wymienił z obojgiem uścisk dłoni, a Lundholm zauważył złośliwie: – Jedno ci powiem, wszyscy archeolodzy, którzy się tu kręcą, są z natury naszymi wrogami, sprawiają bowiem mnóstwo kłopotów. Uważają, że powinniśmy tu pracować tak, aby nie pozostawić żadnych śladów, ale to jest po prostu niemożliwe.

Rogalla uśmiechnął się strapiiony, a Margret Bakker ani drgnęła.

– Jakoś się pogodzimy – powiedział zachęcająco Kaminski.

Rogalla przytaknął i zamówił piwo u kelnera ubranego w długą, białą szatę. – Pani też? – zwrócił się do Margret; zabrzmiało to nieco sztucznie, jak gdyby zazwyczaj zwracał się do swej asystentki po imieniu. Margret skinęła głową potakująco.

Wiele rzeczy już robiłem w życiu – zaczął Kaminski, aby przerwać niezręczne milczenie – ale to jest najbardziej zwariowane zadanie: rozebranie świątyni na kawałki i zbudowanie jej na nowo o kilkaset metrów dalej.

– Gdyby tu tylko chodziło o rozebranie – wtrącił Rogalla.

– Co pan ma na myśli?

– Wasze zadanie jest dlatego takie skomplikowane, gdyż świątynia w Abu Simbel składa się praktycznie z jednego bloku. Jak wiecie, wbudowana jest ona w górę, albo też wyciosana w górze. To właśnie stanowi jej niezwykłość i z tego też powodu nie może ona zatonać w zalewie.

– Narazamy się na diabelnie duże ryzyko – zauważył Lundholm.

– Wiem – odparł Kaminski. – Jaki jest termin zalewu, to znaczy, kiedy spiętrzony Nil przeleje się przez tamę wokół świątyni?

Lundholm machnął tylko ręką. – Egipcjanie i Rosjanie spierają się o ten termin; Egipcjanie sądzą, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, Rosjanie natomiast mówią o konkretnym terminie pierwszego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć. Bardziej wierzę Rosjanom niż Egipcjanom, ostatecznie to oni budują tamę.

– Pierwszy września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego to akurat jeszcze dwa lata.

– Mniej niż dwa lata, a dotychczas nie usunięto ani jednego kamienia.

Rogalla przytaknął.

– A dlaczego jeszcze nie zaczęto? – zapytał Kaminski.

– Dlaczego, dlaczego – odparł niemal gniewnie Lundholm. – Ten przeklęty grunt, piasek, a niewykluczone, że natrafimy na pokład piaskowca. Ściany czopowe nie mają wystarczającego oparcia. Od miesięcy staramy się raczej rozszerzać zapórę wokół świątyni, niż ją podwyższać. Napór Nilu zwiększa się coraz bardziej. Teraz szerokość tamy oscyluje między sześćdziesięcioma a stu metrami SSL. [Survey System Level (zasada stosowana w pomiarach gruntu).]

– A wysokość?

– Górna krawędź zapory wynosi sto trzydzieści pięć metrów w skali SSL. Górna krawędź lustra wody sto trzydzieści trzy metry.

– To znaczy...

– To znaczy że równe dwa metry dzielą nas od sukcesu lub klęski, tylko dwa nędzne metry.

– I dwa lata.

Lundholm kiwnął głową. W tym momencie nie tryskał bynajmniej optymizmem.

Po dłuższej przerwie Kaminski powiedział: – A jeżeli Rosjanie się przeliczyli, jeśli zalew będzie wzbierał szybciej?

Na te słowa podniósł wzrok Jacques Balouet siedzący przy sąsiednim stoliku. Był to kierownik biura informacyjnego Abu Simbel. Lundholm, Rogalla i Margret Bakker spojrzeli na siebie, jakby w obawie, że mężczyzna przy sąsiednim stoliku mógł usłyszeć uwagę Kaminskiego, który powiedział coś, czego nie należało mówić. W obozie bowiem mówiono o wszystkim, tylko nie o tym, nie o terminie, który niczym znak ostrzegawczy wisiał nad „Joint Venture Abu Simbel”. Nikt nie

znał obliczeń, termin ten po prostu istniał i musieli weń wierzyć.

– Niech diabli porwą tych Rosjan – wymyślał Lundholm – wystrzelili w kosmos raketę z trzema kosmonautami, okrążyli już siedmiokrotnie Ziemię, to chyba nie przeliczą się co do wód Nilu!

Rogalla podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć coś ważnego. – Jeżeli coś zawiedzie, to Rosjanie nie będą winni. Tamę w Asuanie buduje się już od czterech lat i wszyscy od początku wiedzą, że w najbliższej przyszłości Abu Simbel zostanie zalane.

– Wówczas – Lundholm przytaknął archeologowi – poziom wody będzie wynosił sto dwadzieścia metrów. Moglibyśmy sobie oszczędzić wznoszenia tamy ochronnej, gdyby Egipcjanie wcześniej podjęli decyzję. A kiedy teraz na wiosnę rozpoczęliśmy pracę, woda sięgała nam już po szyję. Odtąd nie robię nic innego, tylko wciąż wybijam kafarami coraz głębsze otwory w tym przeklętym piaskowcu. Zacząłem od dwunastu metrów, a teraz dochodzę do dwudziestu czterech, i to przy długości trzystu siedemdziesięciu, I na co to wszystko? Na nic!

Jeszcze zanim Szwed skończył, z głośnika rozległa się dzika muzyka arabska, głównie w wykonaniu fletu i dudniącej głucho perkusji. Zza baru zajmującego środek półkolistego pomieszczenia wyszła kobieta, prawdziwa orgia barw. Lundholm trącił łokciem Kaminskiego i wskazując głową powiedział: – Nagła.

Nagła miała ognistoczerwone włosy. Kaminski, który znał wiele kobiet, nie widział jeszcze tak ognistoczerwonych lśniących włosów. Stanowiły one ostry kontrast z zielonym kostiumem, długą spódnicą z połyskującego jedwabiu, opinającą biodra, z przodu zaś rozpiętą. Górna część stroju, obwieszona jak choinka koralikami i kamieniami, z trudem utrzymywała w karchach jej potężny biust.

Nagła wykonywała konwulsyjne ruchy w rytm muzyki, ale Kaminski nie poznał się na tym. Dla niego ta muzyka była okropna, ruchy tancerki jednak godne podziwu. Nagła potrafiła wprawić swe ciało w falujące ruchy, niczym ruchy węża, odrzucając za każdym razem głowę w tył. Kiedy opadła na kolana, a korpus wygięła do tyłu tak mocno, że jej czerwone włosy dotknęły podłogi, i wysoko uniesionymi w górę rękami trzepotała w powietrzu, mężczyźni zaczęli krzyczeć i klaskać, powtarzając: – Nagła, Nagła – jak gdyby jeszcze im było mało.

Zachęcona okrzykami Nagła podniosła się z podłogi bez pomocy rąk. Wprawiała teraz swe biodra w coraz szybszy, drgający ruch i zaczęła stąpać krótkimi, gwałtownymi krokami, z rękami splecionymi na karku, między rzędami stolików, przy akompaniamencie rytmicznych braw gości.

Kaminski zauważył, że niektórzy mężczyźni wkładali tancerce pieniądze w fałdy ubrania, a czasami Nagła pochylała się nad ofiarodawcą tak prowokująco, że mógł on wcisnąć jej pieniądze za biust. Wśród banknotów znajdowały się niewielkie, zwinięte karteczki; kiedy Lundholm spostrzegł pytające spojrzenie Kaminskiego, szepnął mu: – Podczas każdego występu Nagła otrzymuje pół tuzina ofert.

– No i co? – dopytywał się Kaminski.

Lundholm kiwnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć: – Wszystko da się zrobić.

Lundholm, Rogalla i Kaminski, podnieceni głośną muzyką i wyzywającymi ruchami tancerki, również zaczęli bić brawo. Tylko Margret siedziała sztywno, nie patrząc nawet na tancerkę. Kaminski obserwował ją z boku i zadawał sobie pytanie, co też musiałyby się wydarzyć, aby tę młodą kobietę zmusić do uśmiechu.

Tymczasem taniec Nagli stawał się dzikszymi i gwałtowniejszymi. Jej ciało zaczęło drgać silniej i coraz bardziej wyzywająco. Tancerka zbliżyła się do Kaminskiego, który zauważył pot na jej piersiach i usłyszał dzwoniące złote bransoletki oraz jej ciężki oddech. Mimo ciągłego ruchu i nieustannych obrotów Nagła nie spuszczała z niego wzroku. – Hej, hej! – wołali mężczyźni, którzy obserwowali tę scenę.

Jak na gust Kaminskiego, Nagła była zbyt pulchna, a jej ciało zbyt prowokujące. Poza tym, jeśli chodzi o kobiety, miał on ich na razie po dziurki w nosie. Nie łudził się wprawdzie, że w Abu Simbel nie spotka żadnej kobiety, ale inaczej sobie to wszystko wyobrażał.

Nagła zauważyła prawdopodobnie brak zainteresowania ze strony Kaminskiego, gdyż gwałtownie odwróciła głowę i rozpoczęła swą uwodzicielską sztuczkę przy następnym stoliku, wywołując tym żal Lundholma, który śledził pożądanym wzrokiem jej odwrót.

W podniecającą muzykę i głośne klaskanie wdarł się okrzyk od wejścia i rozprzestrzenił się jak ogień między stolikami: – Wdarła się woda!

Lundholm, którego zamglony wzrok spoczywał na Nagli, podniósł się, wsadził ręce do kieszeni i przez chwilę zamarł jak sparaliżowany; patrzył w milczeniu przed siebie. Następnie wymamrotał coś niezrozumiałego, spojrzał Kaminskiemu w twarz i syknął: – Wiedziałem, zawsze wiedziałem, że tak będzie. I dopiero teraz zdawał się zdolny do działania, wyciągnął z kieszeni banknot, rzucił go gniewnie na stół, i zbierając się do wyjścia, szepnął Kaminskiemu: – Chodź ze mną, zobaczysz, jak wszystko tonie!

W tym momencie rozległ się sygnał, jakby dźwięk rogu ostrzegawczego. Dzika muzyka urwała się, a Nagla zniknęła za barem. Mężczyźni tłoczyli się u wyjścia, Lundholm, nie zważając na Kaminskiego, pobiegł do swego landrovera, który był zaparkowany przy wjeździe na kort tenisowy, a nowo przybyły z trudem przeciskał się za nim.

Lundholm pędził swoim wozem terenowym, jakby chodziło o jego własne życie; rycząc przejechał przez Souna Road, następnie skręcił na wschód szeroką wyasfaltowaną ulicą, która prowadziła dwa kilometry prosto do przystani Abu Simbel. Po lewej stronie wynurzył się w świetle reflektorów wolno stojący podłużny budynek kierownictwa budowy. Mimo dużej szybkości, do jakiej Lundholm zmuszał swój krnąbrny, mocno resorowany wóz, grzebał on ręką pod siedzeniem i nie odezwał się, kiedy Kaminski chciał mu pomóc. W końcu wyjął butelkę, uniósł ją pod światło, sprawdzając zawartość, i wyciągnął zębami korek.

– Masz – powiedział Szwed i podał butelkę swemu towarzyszowi, ale zanim Kaminski zdążył odmówić, nacisnął gwałtownie hamulec, gdyż z lewej strony, od radiostacji, skrzyżowanie przeciął jakiś samochód. Butelka uderzyła przy tym o grubą przekładnię i upadła po stronie siedzenia Kaminskiego; zawartość jej rozlała się po zakurzonej gumowej wykładzinie podłogowej, a w samochodzie rozszedł się diabelny odór wódki.

– Bardzo mi przykro – mruknął Lundholm, przyspieszając jazdę. – Szkoda dobrego napitku.

Kaminski wykonał uspokajający gest ręką i Szwed zmniejszył prędkość. Za następnym skrzyżowaniem ulica ostro skręcała w lewo i wznosiła się lekko w górę, aby po kilkuset metrach, skręcając szerokim łukiem ku wschodowi, znowu się obniżyć. Po lewej stronie znajdował się niewielki plac składowy oświetlony reflektorami i stąd, zataczając duże półkole, prowadziła droga do Nilu i obu świątyń. W ciemności Kaminski dostrzegł światła co najmniej dziesięciu innych samochodów.

Z prawej strony wynurzył się nagle jasno oświetlony plac budowy. Ogromne reflektory kierowały swe światło z wierzchołka góry na nieckę między wzniesioną tamą a terenem świątynnym. Dwudziestometrowe kolosy Ramzesa spoglądały w dół, jak gdyby ich to nic nie obchodziło, na koparki, ciężarówki, dźwigi i maszyny. Ludzie, mali jak mrówki, biegali podnieceni po placu. Lundholm poderwał swój wóz na prawo i zatrzymał się na wyrównanym piaszczystym terenie przed małą świątynią.

– Chodź ze mną! – zawołał Lundholm, zatraskując drzwi samochodu, i

Kaminski podążył za nim. Czuć było zapach słonawo-słodkiej wody i naoliwionej stali. Ciężkie pogłębiarki, wżerające się na pozór chaotycznie swymi olbrzymimi łopatami w piaszczysty teren i wykonujące następnie obroty, jakby tańczyły walca, wyrzucały w powietrze cuchnące obłoki, powodując równocześnie drgania podobne do trzęsienia ziemi.

W najgłębszym miejscu piaszczystej niecki Kaminski dojrzał czarne lustro wody jeziora. Pośrodku sterczały, jak szkielet olbrzymiego wieloryba, dwa rzędy stalowych słupów. Rury przewodowe o grubości człowieka rozchodziły się jak olbrzymie tętnice w różne strony na koronie zapory. Tam wielka kolistą ładowarka wysypywała żwir na wał ziemny, a kamienie wpadały do wody jak w czasie gwałtownego przypływu.

Na koronie zapory spotkali brygadzystę. Machał dziko rękami i pokazywał miejsce, w którym, jak przypuszczał, nastąpiło podziemne wdarcie się wody. Opanowanie, jakie wykazywał w tej sytuacji Lundholm, wzbudziło uznanie Kaminskiego.

Szwed oglądał obie strony zapory, deptał nogami piaszczysty teren, jak gdyby chciał zbadać twardość podłoża, a następnie zawołał, przekrzykując hałas koparek, pomp i agregatów: – Wyłączyć pompy! Założyć trzecią rurę wypompowującą, zamulić miejsce przełomu, żwir tu nic nie pomoże! Potem dalej zalewać!

Brygadzysta zrozumiał i radiotelefonem przekazał dalej komendę. Nagle ze wszystkich stron wynurzyli się robotnicy, zebrali się w gromadę, wysłuchali rozkazów i znów się rozproszyli. Wszystko to odbywało się bez wielkiego podniecenia, jakby się właściwie nic nie wydarzyło.

Dlatego też Kaminski zdziwił się, kiedy Lundholm, zobaczywszy go koło siebie, zawołał: – Cholernie niebezpieczna sytuacja! – a kiedy napotkał jego zdziwione spojrzenie, dodał: – Jeśli będziemy mieli pecha, to nie zdążysz nawet wkroczyć do akcji, bo wszystko się skończy.

Kaminski podszedł do niego i zapytał: – Co to ma znaczyć?

Szwed zaśmiał się, ale w tym śmiechu kryła się gorycz. W końcu odpowiedział: – Ciśnienie wody z zewnątrz jest zbyt silne, woda znalazła ujście w ścianie ochronnej. To wszystko piaskowiec, rozumiesz, wymywa się jak mydło.

– No i co?

Lundholm wzruszył ramionami. – Spróbuję zamulić nieckę. Wiem, że to wydaje się wariactwem, ale to jedyna możliwość, aby przerwać napór wody z podziemia. Potem uszczelnimy to miejsce od zewnątrz, a wodę wypompujemy z powrotem do Nilu. Jeśli się oczywiście uda – dodał jeszcze, po czym wskoczył na

stopień przejeżdżającej ciężarówki, która ładowała rury, i polecił kierowcy, aby pojechał na miejsce akcji.

Kaminski spoglądał bezradnie w ciemności przez wodę sztucznego jeziora na posągi Ramzesa. [W oryg. niem. mowa o kolosach Ramzesa. W piśmiennictwie polskim są to posągi (4). Kolosami nazywane są dwa posągi Amenhotepa III w Luksorze, tzw. kolosy Memnona. Owe cztery posągi przedstawiające siedzącego na tronie Ramzesa II zdobią fasadę świątyni w Abu Simbel.] Jego zadaniem będzie wydobyć ich ze skały, ale nie w całości, lecz podzielonych na bloki ważące od dziesięciu do trzydziestu ton każdy. Ale to nie wszystko, należało bowiem wyciąć ze skały również całą świątynię sięgającą 55 metrów w głąb i przenieść ją w miejsce bezpieczne przed wodami Nilu.

Kaminski miał wszystkie plany w głowie, znał każdą niszę i wszystkie wymiary świątyni, a przy tym dotąd jeszcze jej nie widział. Abu Simbel fascynowało go. Ale zanim będzie można rozpocząć pracę, lustro jeziora musi osiągnąć poziom niższy aniżeli wejście do świątyni. Z tego też powodu Lundholm wraz ze swymi ludźmi musiał budować ten przeklęty nasyp wokół świątyni. A teraz wszystko stanęło pod znakiem zapytania.

W tej atmosferze zżerającego nerwy napięcia Kaminski w świetle reflektorów rozkładał swym inżynierskim okiem posągi na poszczególne elementy, mierzył zasięg olbrzymiego dźwigu, dla którego przygotowywano teraz fundamenty, i poszukiwał odpowiedniego miejsca, na którym można by było załadowywać siedmioosiowe ciężarówki.

Dla Kaminskiego świątynia stanowiła przede wszystkim problem czysto techniczny; biegli rachmistrze obliczyli już wszystko przy biurkach – zakładając, że nasyp wokół budowy wytrzyma.

Lustro wody w niecce powoli się podnosiło i Kaminski śledził z oddali, jak ludzie Lundholma za pomocą dźwigu umieszczonego na ciężarówce układali rury w miejscu, gdzie wdarła się woda, i za pomocą ruchomego agregatu pompowego przymocowywali je na koronie zapory. Inni robotnicy starali się tymczasem wywiercić za pomocą wielu przecinarek otwór na rurę w ścianie uszczelniającej. Iskry wystrzelające w górę wyglądały jak sylwestrowe fajerwerki. U stóp posągów dwie olbrzymie ładowarki nabierały piasek i kierowały ładunek za pomocą czepaków na koronę zapory, aby stamtąd wrzucić go do wody.

Agregat pompowy zaczął pracować na zaporze i brązowa woda Nilu z bulgotem wydobywała się jakby z podziemnego źródła na powierzchnię nowo powstałego jeziora. Z niecki unosił się zgniły zapach i mieszał z gazami spalinowymi pojazdów i maszyn.

Nilem nadpływała powoli w górę rzeki barka z prymitywną nadbudówką na rufie. Miała otwarte luki bagażowe, załadowane po brzegi piaskiem. Od strony zachodniej, ponad ukośną rampą, w kierunku korony zapory pełzały gąsienice koparki. Barka przybiła do brzegu i szufle koparki zanurzyły się w lukach ładowni, wydobywając stamtąd piasek, a następnie spychając go do wody w miejscu, gdzie wtargnęła.

Wewnątrz usypanego wału widać było, jak podnosi się lustro wody. Kaminskiemu nie podobało się, że Lundholm zalewał nieckę tuż u stóp posągów świątynnych, gdyż niszczyło to z trudem przygotowaną drogę i rampę służącą do ładowania, a zbudowanie ich na nowo zajmie co najmniej dwa tygodnie, a więc cenny czas, zważywszy na rosnący poziom wody w miejscu spiętrzenia.

Podczas gdy Kaminski oddawał się tym rozmyśleniom, w pobliżu pompy doszło do głośnej wymiany zdań między Lundholmem, Rogallą i wysokim chudym Egipcjaninem, którego Kaminski jeszcze nie znał. Jak Kaminski mógł wnioskować z ich gwałtownych ruchów, chodziło im o to, aby nakłonić Szweda do przerwania zalewania zbiornika. Ale Lundholm obstawał przy swoim i zostawiwszy ich obu, zanim doszło do rękoczynów, wskoczył do szoferki, odepchnął na bok operatora i wprawnym ruchem zrzucił im pod nogi ładunek piasku, wskutek czego obaj mężczyźni przeklinając wycofali się.

– Wariat! – zawołał Rogalla, kiedy w świetle reflektorów zauważył Kaminskiego. – Ten facet zwariował, niech się pan ma przed nim na baczności.

– Jest zdenerwowany – Kaminski usiłował uspokoić zacierzewionych mężczyzn. – Musicie, panowie, to zrozumieć, ciąży na nim wielka odpowiedzialność.

– Odpowiedzialność – wściekał się Egipcjanin. – Ten typ zapomniał, o co tu właściwie chodzi.

Dopiero teraz Rogalla mógł przedstawić Kaminskiemu Egipcjanina. Kaminski dowiedział się zatem, że ów wysoki mężczyzna nazywa się dr Hassan Muchtar i jest kierownikiem grupy egipskich archeologów. Kaminski od razu pomyślał: „Z tym facetem będziesz miał jeszcze nie raz do czynienia.”

Muchtar nie okazał większego zainteresowania nowo przybyłym, tak że Kaminski zmuszony był zapytać o powód ich podniecenia. Egipcjanin wskazał na posągi Ramzesa u wejścia do świątyni. – Ich stóp woda nie tknęła przez trzy tysiące lat – oświadczył – i nie wiemy, jak zareaguje piaskowiec, kiedy woda dotrze do podstawy. Być może, że wyschnie jak sól na słońcu, ale być może też, iż przesycony wodą kamień przybierze inną barwę albo że się rozpadnie i pokruszy

jak piasek. – Egipcjanin strząsnął przy tym kurz ze swej jasnej bawełnianej marynarki.

Rogalla energicznie przytaknął i dodał: – Mam nadzieję, że rozumie pan teraz nasze zdenerwowanie.

– Rozumiem – odpowiedział Kaminski, ale wolałby replikować: – Nie, nic nie rozumiem, bo jeżeli niecka nie zostanie zalana, to i tak napełni się wodą, tylko że w niekontrolowany sposób. A tak pozostaje w każdym razie nadzieja, że miejsce przerwania tamy zostanie uszczelnione, zanim lustro wody osiągnie poziom świątyni. Jednak ugryzł się w język i zamilkł. Niechciał się już pierwszego dnia narazić temu człowiekowi.

– No to dobranoc! – Muchtar wyciągnął rękę do Kaminskiego – i owocnej współpracy.

– Owocnej współpracy – odpowiedział Kaminski i dodał uprzejmie: – Sir – słyszał bowiem, że nawet wykształconemu Egipcjaninowi sprawia dużą radość, jeśli się do niego zwracać „sir”.

Również Muchtar okazał zadowolenie. – Proszę mnie odwiedzić w moim biurze – powiedział – w Government's Colony.

Wpatrując się w wielki, głęboki otwór, napełniający się bulgocącą brązową wodą, Kaminski nie mógł się pozbyć wrażenia, że Abu Simbel, ta olbrzymia budowa w samym sercu pustyni, rządzi się własnymi prawami, całkiem innymi niż prawa na budowach, na których dotychczas pracował. Wydawało się, jakby nad tą budową unosiło się jakieś niewytłumaczalne napięcie, które objawiało się dziwną drażliwością wszystkich uczestników owego przedsięwzięcia.

Już na statku, który przywiózł go z Asuanu do Abu Simbel, Kaminski wyczuwał pewną małomówność wśród pasażerów, ilekroć poruszał temat związany z pracą. Oczywiście był on przyzwyczajony do monotonnego życia na zagranicznych budowach i nic dla niego nie znaczyła rezygnacja z przyjemności, jakie daje cywilizacja, ale dotychczasowe doświadczenie nauczyło go, że właśnie w takich okolicznościach rodziły się niecodzienne przyjaźnie.

Wątpił jednak, aby mógł tu znaleźć prawdziwą przyjaźń.

W końcu porzucił ponure myśli, a że nie mógł dojrzeć Lundholma wśród gromady robotników wrócił na ubity plac, gdzie Lundholm pozostawił swój samochód. Nie miał tu nic do roboty. Nie chciało mu się czekać na Lundholma, zatrzymał więc jadącą ciężarówkę, aby powrócić do domu.

Kierowca, młody Egipcjanin, nie znający ani słowa po angielsku, potrzebował pół kilometra, aby Kaminski mógł zrozumieć, że nazywa się on Makar, ale wołają

na niego al-Karim, z czego wydawał się bardzo dumny, gdyż ciągle powtarzał to imię, kiwając przy tym przyjaźnie Niemcowi.

Na skrzyżowaniu, gdzie w lewo droga prowadziła do obozu robotników, al-Karim wysadził swego pasażera i odjechał. Na wschodnim horyzoncie szarzał poranek. Po prawej stronie widać było jasno oświetlony szpital i stację transformatorów.

Kaminskiemu przydzielono dom w Contractor's Colony, który dzielił z Lundholmem. Był to murowany dom parterowy z białą tynkowanym kopulastym dachem chroniącym przed upałem, a przed wejściem znajdował się mały, zielony trawnik.

Nie dochodził tu gwar z placu budowy, a nawet milczały cykady, których ostry głos rozchodził się w nocy. Po przejściu stu metrów Kaminski zszedł z utwardzonej drogi i stapał teraz długimi krokami po piasku, jak człowiek przyzwyczajony do niezmordowanego brodzenia w piasku i żwirze.

Domy wyglądały tu jednakowo, szczególnie w nocy. Licząc od ulicy, Kaminski mieszkał w trzecim. Lundholm zaznajomił go już z przepisami porządkowymi panującymi w obozie: zakazane było zamykanie drzwi, Kaminski znał to już z Persji.

Kiedy otworzył drzwi, stanął przed nim Balbusz; odziany w białą galabiję wyglądał jak duch. Był to służący, kucharz i totumfacki w jednej osobie, a obaj Europejczycy korzystali wspólnie z jego usług. – Panie – wyjąkał zdenerwowany Balbusz – pan Lundholm nie być w domu, pan Lundholm zniknąć.

– Dobrze, dobrze – Kaminski podniósł rękę – wszystko w porządku.

2

Żółta, odkryta ciężarówka pędziła z wyciem przez Valley Road w kierunku szpitala obozowego, a za nią ciągnęła się długa chmura kurzu. Na podłodze klęczał Arab w niebieskim kombinezonie i przytrzymywał obiema rękami bezwładne ciało jednego z robotników. Przy stacji transformatorowej, w miejscu gdzie ulica skręcała na północ i dalej prowadziła prosto do szpitala, kierowca zaczął wściekle trąbić, aby zwrócić na siebie uwagę.

Kiedy kierowca i jego towarzysz zahamowali ostro przed kliniką, wyszli im naprzeciw dwaj sanitariusze z noszami. Byli ubrani na biało. – Porażenie prądem! – zawołał zdenerwowany Arab, który był w ciężarówce, a kierowca dodał wyjaśniająco: – Ali dotknął przewodu pod napięciem dziesięciu tysięcy woltów. Niech Allah ma go w swojej opiece!

W czwórkę przenieśli bezwładne ciało na nosze i pobiegli do pokoju opatrunkowego, który znajdował się na końcu lewego korytarza. Dzwonek elektryczny na środku korytarza, który sygnalizował nagły wypadek, dzwonił wściekle na alarm. Natychmiast zjawił się kierownik szpitala, doktor Heckmann, oraz jego asystentka, doktor Hella Hornstein.

Jeden z pielęgniarzy zawołał z daleka do lekarzy:

– Prąd, pacjent nieprzytomny!

– Zrobić miejsce! – rozkazał doktor Heckmann, a zwracając się do swojej asystentki, powiedział: – Włączyć EKG! – sam zaś osłuchiwał stetoskopem ofiarę wypadku; kręcił przy tym głową, w końcu uniósł powieki mężczyzny. – O Boże – powiedział cicho – zmętnienie soczewek, błyskawiczne bielmo.

Teraz, kiedy pacjent leżał całkiem rozebrany, widać było wyraźnie nieregularne ciemne pręgi na jego skórze, ciągnące się od prawego ramienia do prawej nogi.

Tymczasem lekarka włączyła elektrokardiograf, a na wykresie pokazały się nieregularne zygzaki bez większych odchyień; kobieta spojrzała na Heckmanna i rzekła: – Migotanie komór.

Lekarz spojrzał na pasek papieru: – Tlen i sztuczne oddychanie.

Jeden z pielęgniarzy podał maskę tlenową, a lekarka położyła ją pacjentowi na usta i nos, Heckmann zaś naciskał przerywanymi ruchami klatkę piersiową robotnika.

Nagle przerwał i spojrzał na szeroki pasek papieru wysuwający się z aparatu. Na wykresie prawie nie było widać odchyłeń. Heckmann wzmocnił ucisk, opierając się na piersiach mężczyzny. Na wykresie zaznaczyło się jeszcze jedno odchylenie, po czym aparat rejestrował już tylko poziomą linię.

– Zgon – rzekł doktor Heckmann, nie poruszywszy się. Lekarka przytaknęła milcząco i zrezygnowana odłączyła elektrody od martwego ciała. Widać było, że przejęła się śmiercią egipskiego robotnika.

Heckmann zauważył jej przygnębienie i kiedy wracali długim korytarzem do swoich pokoi, powiedział: – Niech mi pani wierzy, koleżanko, lepiej, że tak się stało. Takie ciężkie porażenia prądem uszkadzają zazwyczaj szpik kostny, powodując spastyczny paraliż i atrofię, a w skrajnych przypadkach dochodzi do tego porażenie nerwów obwodowych i zaburzenia świadomości. Ten człowiek pozostałby do końca życia kaleką lub idiotą, a być może nawet jednym i drugim. Czy zrobi mi pani tę przyjemność i zje ze mną wieczorem kolację?

Hella Hornstein drgnęła. Lekkość, z jaką doktor Heckmann przeszedł nad tym wydarzeniem do porządku dziennego, miała w sobie, jej zdaniem, coś przyjemnego.

Heckmann nie był złym lekarzem, ale traktował swój zawód jako działalność zarobkową, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Niejednokrotnie doktor Hornstein miała uczucie, że kryje się za tym brak pewności siebie. Nie przeszkadzało to jednak doktorowi przy każdej okazji czynić jej awanse, albowiem przy tym wszystkim był dumny ze swego atrakcyjnego wyglądu i uważał się za mężczyznę, któremu trudno się oprzeć.

– Kawy? – zapytała lekarka w nadziei, że się go pozbędzie, ale on natychmiast wykorzystał okazję: – Bardzo proszę, chętnie się napiję, ale nie odpowiedziała pani jeszcze na moje pytanie.

Sama jesteś sobie winna, pomyślała Hella Hornstein, teraz się go nie pozbędziesz.

Podczas gdy włączała staromodną maszynkę do parzenia kawy, którą przywiozła z Niemiec – o egipskiej kawie i sposobach jej przyrządzania można by wiele mówić – czuła, że Heckmann, który usiadł teraz w zielonym, wyściełanym skórą fotelu, pożera ją wzrokiem. Zachowywała się tak, jakby niczego nie zauważyła, ale była tego całkiem pewna.

Młoda lekarka nie miała nic przeciwko mężczyznom, którzy tak na nią patrzyli. Była młodą kobietą, sztywnie ubraną – o ile to było możliwe na pustyni – i zależało jej na tym, aby się podobać. Krótkie czarne włosy, śniada cera, bardzo

duże ciemne oczy i wystające kości policzkowe nadawały jej rasowy wygląd, który umiała jeszcze podkreślić, malując usta bladą pomadką.

Hella była niska, delikatna i szczupła i nosiła nieprzyzwoicie krótkie spódniczki, które ledwie przykrywały jej kolana. Prawdopodobnie chciała tym sposobem odwrócić uwagę od nieznacznej fizycznej ułomności, którą miała od urodzenia, kiedy to akuszerka zwichnęła jej staw skokowy. Od tego czasu pociągała lekko lewą nogą, skierowaną nieco do środka. I gdyby nie respekt, jaki budziła jej pozycja lekarza, Hella musiałaby niewątpliwie pogodzić się z faktem, że tysiące miejscowych robotników gwizdałoby za nią.

Jeśli chodzi o personel zagraniczny, to doktor Hornstein zachowywała się wobec niego szczególnie odpychająco i należała do kobiet, które mogły sobie na to pozwolić, nie tracąc nic ze swej atrakcyjności. Wprost przeciwnie, chłodna rezerwa, jaka z niej emanowała, działała raczej pociągająco, i nie było dnia, ażeby nie zaprosił jej na kolację któryś z inżynierów albo archeologów.

Ale przeważnie odmawiała. Bardzo rzadko widywano ją w kasynie i trudno było sobie wyobrazić ją pijącą alkohol albo wręcz podchmieloną, co mężczyznom często się zdarzało.

Spojrzenie, które czuła na sobie, gdy przygotowywała kawę, stawało się nieznośne i dlatego, nie odwracając się, powiedziała: – Dlaczego pan mi się tak przygląda, doktorze?

Wyrwało to Heckmanna z jego nieprzystojnych myśli i poczuł się przyłapanym na gorącym uczynku jak sztabak. Nie dał jednak tego po sobie poznać i odpowiedział pyszałkowato: – Proszę mi wybaczyć, koleżanko, ale jest pani anatomicznym cudem, albowiem widzi pani z tyłu.

– Nie widzę, ale czuję – odpowiedziała doktor Hornstein, nie odwracając się do rozmówcy.

Nie znajdując innego wyjścia, jak tylko się wycofać, doktor odrzekł: – A więc zgoda, przyglądałem się pani, jak to pani określiła, ale czy muszę się z tego powodu tłumaczyć? Jest pani wyjątkowo atrakcyjną kobietą, a mężczyzna, który by nie wodził za panią okiem, nie byłby mężczyzną.

Hella przyjęła tę odpowiedź jako komplement, dość niezręczny, ale odpowiadający w zupełności poziomowi mówiącego. Tacy mężczyźni jak Heckmann, tak zwani świetni faceci, wzbudzali w Helli raczej współczucie, a czegoś takiego panowie nie byli w stanie znieść.

Ceniła mężczyzn, którzy nie udawali silnych, ale była to dość rzadka rasa. I mówiąc szczerze, uważała, że mężczyźni myślą tylko o sobie i wyzywają się w

swoim egoizmie w sposób mniej lub bardziej odpychający. I to właśnie był powód, dlaczego mając już dwadzieścia siedem lat, z nikim się jeszcze nie związała.

Od czternastego roku życia miała swój ideał mężczyzny, mężczyzny, który w ogóle nie istniał, chyba wyłącznie w jej wyobraźni. Heckmann był w każdym razie daleki od tego ideału, ale nie miał o tym pojęcia. A nawet gdyby o tym wiedział i tak by nie uwierzył.

Oczywiście Heckmann miał również własną historię. Każdy w Abu Simbel miał jakąś własną historię, gdyż żaden normalny człowiek nie podpisywałby z ochotą i bez żadnego określonego powodu kontraktu na sześć lat pracy na pustyni. Heckmanna nie sprowadziły tu awantury z kobietami (do jakich przyznawało się dwie trzecie mężczyzn zatrudnionych na budowie) ani względy finansowe (jakie podawała jedna trzecia), albo też oba te motywy jednocześnie, lecz pewne nieprzyjemne zdarzenie w jednej z zachodniemieckich klinik.

Gazety donosiły wówczas o błędzie w sztuce lekarskiej, ale chodziło tu raczej o zaniedbanie. Heckmann nie czuł się wcale odpowiedzialny moralnie za ten fakt, a firma ubezpieczeniowa wypłaciła poszkodowanej znaczną kwotę, wobec czego kobieta wycofała skargę. Jednakże sprawa ta – Heckmann pozostawił przez zapomnienie tampon gazy w brzuchu pacjentki – wzbudziła taką sensację, że uznał on za wskazane zrezygnować z posady, aby ludzie prędzej zapomnieli o całym zajściu.

W Abu Simbel nikt o tym nie wiedział i nikt nigdy się nie dowiedział. Zapytany o powód swej decyzji objęcia stanowiska kierownika szpitala obozowego, Heckmann podawał chęć przeżycia przygody, i brzmiało to całkiem przekonująco.

Mimo że Hella pracowała oddalona od niego zaledwie o kilka metrów, wytworzyła się między nimi niewidzialna przepaść. On nie miał odwagi wyznać jej swego uczucia, a ona uważała za wskazane uświadomić mu wyraźnie, że nie są dla siebie stworzeni.

Kiedy Hella się wreszcie odwróciła i postawiła na stoliku obok Heckmanna dwie niedbale wypłukane filiżanki, doktor niemal się przestraszył jej lodowatego spojrzenia.

– Możemy tu ze sobą żyć w najlepszej zgodzie, jeśli tylko zaakceptuje mnie pan jako osobę zaangażowaną tutaj w charakterze lekarza – powiedziała Hella z wymuszonym uśmiechem. – O sypianiu z przełożonym mój kontrakt nie wspomina ani słowem i jestem pewna, że pański kontrakt również nie zawiera takiej klauzuli.

Uwaga była celna. Jej spokojny sposób postępowania, opanowanie i umiejętność odrzucania wszelkich jego starań zbliżenia się do niej, w taki sposób,

aby go nie ośmieszać, zbijają go zawsze z tropu. Jego, który uważał się za bardzo doświadczonego w obcowaniu z kobietami. I po raz pierwszy zaświtała mu myśl, że być może nie mógłby dorównać tej kobiecie jako kochanek.

Heckmann bezradnie mieszał kawę w filiżance. Nie śmiał spojrzeć Helli w twarz, kiedy usiadła obok niego i niemal wybawieniem okazało się dla niego pukanie do drzwi: był to pielęgniarz, który przyszedł zapytać, czy kowal Kemal może wejść.

Zanim jeszcze Heckmann zdążył odpowiedzieć, wszedł do pokoju Kemal. Był to Arab o ciemnej cerze, łysy, przysadzistej budowy. W ręku trzymał wyplataną ze słomy koszyk, którego nie odstawił, i zaczął opowiadać mieszaniną arabsko-angielską, że słyszał o wypadku robotnika i jest jedynym człowiekiem między Wadi Halfa a pierwszą kataraktą, który może temu nieszczęśliwcowi pomóc.

Heckmann podniósł się i odszedł dwa kroki w stronę Kemala, położył mu rękę na ramieniu i oświadczył, że ów robotnik właśnie zmarł z powodu ustania pracy serca i że na wszelką pomoc jest już za późno.

Ale kowal Kemal nie chciał tego przyjąć do wiadomości, potrząsał gwałtownie głową i zaczął wykonywać taneczne ruchy z koszykiem w ręku, wołając, że ów człowiek nie umarł, a elektryczny ogień tylko go poraził, a on sam jest jedynym człowiekiem od Wadi Halfa do pierwszej katarakty...

– Czy nie słyszał pan, co powiedział doktor Heckmann? – przerwała Hella to niezwykle przedstawienie. – Ten człowiek jest martwy i nawet pan go już nie wskrzesi.

Kemal nie dał się jednak tak łatwo odprawić. – Nie martwy, nie martwy! – wołał grubym głosem. – Elektryczny ogień tylko sparaliżował syna Allaha!

Doktor Heckmann usiłował opanować sytuację, ale nie bardzo mu się to udawało; w każdym razie ściągnął na siebie niechęć doktor Hornstein, kiedy zapytał Kemala: – Niech mi pan więc powie, w jaki sposób chce pan wyrwać tego mężczyznę z odrętwienia?

Kemal uniósł wysoko krzaczaste brwi, aż wygięły się w półkole. Zdawał sobie doskonale sprawę z doniosłości tej chwili i odsunął pokrywę koszyka.

W otworze ukazała się szeroka głowa węża, który wykonywał gwałtowne, przerywane ruchy, wystawiając język na wszystkie strony.

– Naja-naja – powiedział Kemal, a w jego głosie zabrzmiała swoista duma; trzymając w lewej ręce koszyk, prawą wysunął w kierunku węża, szeroko rozcapierzając palce; wąż wahadłowym ruchem zwinął się w kłębek i zniknął w koszu. – Naja boi się Kemala – stwierdził. – Naja zrobi wszystko, co jej rozkaże

Kemal.

– A po co przyniósł pan tego gada?

Kemal zrobił wielkie oczy. – Naja przywróci zmarłego do życia.

– A jak to się stanie? – Heckmann skrzyżował ręce na piersi; sprawa zaczęła go interesować.

Hella zauważyła to i ofuknęła Heckmanna. – Chyba nie da się pan omamić temu szarlatanowi?

– Pst! – Heckmann położył palec na ustach i wskazał spojrzeniem na koszyk z wężem.

Ale Kemal pokręcił głową ubawiony. – Naja głucha, wszystkie węże głuche, tylko mieć dobre oczy.

– I chce pan przywrócić zmarłemu życie? – powtórzył Heckmann pytanie.

Kemal sięgnął do koszyka. Wcale się nie bał. Niczym cyrkowy zaklinacz węży wyciągnął gada. Trzymał go tuż przy głowie, co wężowi nie bardzo się podobało; miał szeroko otwarty pysk, tak że widać było głęboką czerwono-białą gardziel.

– Jedno ukąszenie Nai – powiedział Kemal i ścisnął z całej siły węża za szyję – przywraca zmarłemu życie. Wiedzieli już o tym starożytni Egipcjanie.

Kiedy Hella ujrzała, jak pod wpływem bezlitosnego ucisku dłoni Kemala wąż rozwarł tak szeroko szczęki, że utworzyły one prawie prostą linię, zaczęła histerycznie krzyczeć, a w krzyku tym było więcej złości niż strachu.

– Przecież pan słyszał, że ten człowiek nie żyje. Jest martwy, rozumie pan, i nie pomoże tu żaden jad węża.

Lecz kiedy Kemal ani myślał odejść i trzymał węża nadal przed lekarką, aby mogła zobaczyć zęby gada i przekonać się o słuszności jego słów, Hella krzyknęła z całej siły, aż lekarz się wzdrygnął. – Panie Heckmann, niech pan wyrzuci stąd tego człowieka!

Mały gruby człowieczek z wężem spojrział na Heckmanna. Wydawało się, że w spojrzeniu tym kieruje do niego pytanie, czy musi usłuchać rozkazu lekarki.

– Słyszał pan, co powiedziała doktor Hornstein – zwrócił się Heckmann do Kemala. – A zatem niech pan stąd idzie, niech mi pan uwierzy, że ów człowiek jest martwy. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

Kemal rzucił Helli, która drżała ze zdenerwowania, złe spojrzenie; jego ciemne oczy ciskały ogień. Zagniewany wsadził węża z powrotem do koszyka i nie mówiąc ani słowa odwrócił się i wybiegł, pozostawiając za sobą otwarte drzwi.

Heckmann zamknął drzwi.

– Myślę – powiedział – że od dziś ma pani w Abu Simbel śmiertelnego wroga.

Hella spojrzała na niego. – Chyba nie wierzy pan w tę całą mistyfikację.

Heckmann wzruszył ramionami i wysunął dolną wargę. – Ludzie opowiadają cuda o Kemalu...

3

Przybór wody w zbiorniku zapory w Abu Simbel doprowadził do gwałtownego sporu między inżynierami i archeologami, którzy obawiali się nieuchronnych szkód, jakie woda wyrządzi kolosom Ramzesa. Na zwołanej w trybie pilnym konferencji w sprawie katastrofy kontrahenci tak się pokłócili, że naczelny szef budowy, Carl Theodor Jacobi, nazywany przez wszystkich profesorem, wyrzucił za drzwi Szweda Lundholma i Francuza Bedeau, gdyż obawiał się, że obaj za chwilę czynnie znieważą egipskiego archeologa, doktora Muchtara.

Lundholm i Bedeau, przeklinając i sapiąc z gniewu, usłuchali rozkazu – gdyż w tym wypadku był to rozkaz – a Francuz, najzacieklejszy krytyk Egipcjanina, a można nawet powiedzieć, że jego śmiertelny wróg, zatrzasnął za sobą drzwi tak, że aż zadrżały cienkie ściany budynku.

W wyniku parogodzinnej; dyskusji ustalono, że następnego dnia rozpocznie się wypompowywanie wody ze zbiornika. Profesor, który w tej sprawie stał całkowicie po stronie Lundholma, nie chciał jednak wziąć na siebie odpowiedzialności, gdyż, jak argumentował, miejsce wyłomu wymaga jeszcze dalszych stu ciężarówek gruzu i dopiero wówczas mógłby powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, czy uszczelnienie się udało. Ale realizacja tego postulatu nie jest możliwa nawet przy pracy na trzy zmiany. Natomiast Muchtar reprezentował znaną tezę archeologów, że wody gruntowe podniosą się przez to spiętrzenie w krótkim czasie i znajdą sobie drogę do podnóża kolosów, następnie spowodują reakcje chemiczne w piaskowcu, co doprowadzi do utworzenia się kryształów; rosnący nacisk kryształów zacznie następnie systematycznie niszczyć skałę, i to nieodwracalnie, jak podkreślił Muchtar, podnosząc przy tym w górę palec.

Nieco zmieszany z powodu sporów między technikami i archeologami, Artur Kaminski jeszcze tego samego dnia podjął swą pracę, która polegała na ponumerowaniu wymontowanych i przepiłowanych posągów i części świątyni oraz załadunku ich na ciężarówkę i przewiezieniu w bezpieczne miejsce, z dala od wzbierających wód Nilu, aż do czasu ich ponownej odbudowy.

Piłowanie świątyni na części nie należało do zakresu czynności Kaminskiego; do tych zadań wyznaczeni byli specjaliści kamieniarze, którzy specjalizowali się w piłowaniu, tak zwani marmurarze, niesforna grupa Włochów, porozumiewających

się ze sobą zawsze głośnymi okrzykami, nawet wtedy, gdy nie było to konieczne.

Najtrudniejszym problemem, przed jakim stanął Kaminski, było umocowanie dźwigarów, które miały podnosić poszczególne kamienne bryły. Poprzedni pomysł, aby elementy świątyni unosić w górę za pomocą stalowych lin, sprawił, że archeologom ze strachu występował na czoło zimny pot; pierwsze próby bowiem wykazały, że liny wżerały się w miękki piaskowiec, który częściowo ulegał pęknięciu. Obecne zadanie Kaminskiego polegało na tym, aby w każdym bloku jeszcze przed jego przepiłowaniem wywiercić otwory i za pomocą sztucznej żywicy umieścić w nich stalowe haki, na których można byłoby potem unieść kamienne kłocę.

Jednakże zanim jeszcze to nastąpiło, Kaminski miał sporządzić dokładny plan cięć, który uwzględniałby najrozmaitsze aspekty. Archeolodzy opowiadali się za możliwie dużymi blokami, marmurarze natomiast domagali się w miarę możliwości mniejszych bloków, gdyż to ułatwiłoby im pracę. Kaminski jednak żądał, aby wysokość bloku wynosiła co najmniej półtora metra, bo tylko wtedy można było dostatecznie mocno zakotwić stalowe dźwigary w półtorametrowych odstępach, co jednak oznaczało znacznie większy, a nawet zbyt duży ciężar bloku.

Pełne dwa dni zajęło Kaminskiemu, archeologom, Muchtarowi i Rogalli, oraz Sergio Alinardowi, szefowi marmurarzy, samo ustalanie miejsc cięć czterech posągów Ramzesa. Kiedy rankiem trzeciego dnia zebrali się ponownie, aby kontynuować pracę, doszło do sporu między Kaminskim a Alinardem. Włoch nagle sprzeciwił się temu planowi, gdyż wyznaczone cięcia byłyby za duże i do ich wykonania trzeba by sprowadzić z Włoch nowe piły.

– No to ich zażądaj! – zawołał Kaminski, bardzo zdenerwowany.

Alinardo podniósł rękę do oczu, trochę dlatego, aby się zasłonić od słońca, trochę zaś dlatego, aby nadać swej postawie groźny wygląd. – Człowieku, czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Zanim te rzeczy tu dojadą, upłyną dobre trzy miesiące.

– Ha, trzy miesiące – parsknął Kaminski – koń by się uśmieł. My w trzy miesiące transportujemy kompletną elektrownię aż do Chin!

– A kto to są ci „my”? – odkrzyknął Alinardo.

– My, to znaczy Niemcy! – odparł gniewnie Kaminski. –

A więc musicie zakasać rękawy; żadnych sjest, tylko *laborare, la borare, laborare*, rozumiano?

W gorącej wodzie kąpany Sergio Alinardo nie mógł znieść tej obelgi. – Uważasz, że Włosi są leniwi, ale główniane roboty w Niemczech to możemy

wykonywać?

I zanim Kaminski się obejrzał, zanim Muchtar i Rogalla zdołali interweniować, Alinardo zadał mu tak silny cios w pierś, że Kaminski przewrócił się na ziemię.

Upadł przy tym tak nieszczęśliwie, że uderzył głową o cokół kolosa i przez pewien czas leżał bez ruchu, jakby stracił przytomność. Ale kiedy Rogalla chciał mu przyjść z pomocą, otworzył oczy i wymamrotał: – Wszystko w porządku, odejdźcie już.

Alinardo odwrócił się, splunął na ziemię i odszedł.

Kaminski posłał za nim przekleństwo, którego ani Muchtar, ani Rogalla nie zrozumieli. Kiedy dotknął tyłu głowy, zobaczył, że cała ręka jest zakrwawiona.

Rogalla obejrzał ranę i stwierdził zatroskany:

– Musi pan pójść do lekarza, z otwartą raną na pustyni niema żartów.

Kaminski przyłożył chusteczkę do krwawiącej rany, a doktor Muchtar przywołał ciężarówkę i pomógł umieścić rannego w szoferce. Szwedzki kierowca ruszył z dużą prędkością w kierunku płaskowyżu, wzniesając obłok kurzu; minął po drodze budynek kierownictwa budowy, dotarł do bazy transportowej, gdzie skręcił do szpitala.

Szpital, największy obiekt w całym obozie, był rozległym, dwupiętrowym budynkiem; cieszył się on w okolicy świetną renomą; zdarzało się, że przed wejściem zatrzymywała się karawana z Sudanu, dostarczając do szpitala ciężko rannego fellacha, za którego leczenie proponowano zapłatę wielbłądem. Jednak Heckmann nie chciał przyjmować honorariów w naturze.

Biało odziany pielęgniarz zaprowadził Kaminskiego do pokoju opatrunkowego i wkrótce potem pojawiła się w drzwiach młoda lekarka. Ze względu na jej ciemne włosy i ciemną cerę Kaminski przypuszczał, że pochodzi z południa, ale młoda kobieta w białych spodniach zaskoczyła go pytaniem zadany po niemiecku: – No, co panu dolega?

Kaminski, siedząc na obrotowym fotelu, spojrzał na nią.

– Czy pani jest Niemką? – zapytał i z trudem się uśmiechnął.

– Nazywam się Hella Hornstein, jestem tu lekarzem, po chodzę z Bochum i mam etat w tamtejszej klinice.

Kaminski spojrzał w ciemne oczy lekarki i chciał powiedzieć: „No tak, ale chyba pani tam długo nie popracowała.” Doktor Hornstein była bowiem bardzo młoda, ale przede wszystkim była bardzo ładna. Kaminski prawie zapomniał, dlaczego przybył do Abu Simbel, i że poprzysiągł sobie, iż nie spojrzy na żadną kobietę, w każdym razie przez najbliższe dwa, trzy lata.

– Nazywam się Artur Kaminski – powiedział nieco zmieszany – mój dom znajduje się w Essen... – nagle przerwał.

Słowo „dom”, które tak łatwo wymówił, właściwie dla niego nie istniało. Z wewnętrznego przymusu zerwał ze wszystkimi i od chwili odejścia czuł się jak wygnaniec, jak człowiek wyjęty spod prawa. Jedyne, co mu pozostało, to jego zawód i zadanie, które sobie postawił. Tutaj mógł tylko wygrać, nie przegrać.

– Miałem drobny wypadek – starał się zażartować z sytuacji, ale rana dokuczliwie go bolała.

Lekarka usunęła ostrożnie chusteczkę i oglądała ranę, przy trzymując mu głowę ręką. – Czy bardzo pana boli? – zapytała.

– Nie ma o czym mówić – skłamał Kaminski, ale skrzywił się. Zauważył, że znów udaje mocnego człowieka, a więc przyjął pozę, jaką zawsze zwykł był przybierać wobec kobiet, które mu się podobały. W tej chwili rozkoszował się bliskością lekarki i miło mu było czuć na skórze dotyk jej palców.

– Ranę trzeba zszyć – powiedziała chłodno doktor Hornstein, a Kaminski miał wrażenie, że obudził się z przyjemnej drzemki.

– Ach, co tam – zaprotestował gwałtownie – trochę jodyny i wszystko będzie dobrze.

Na to lekarka wzięła do ręki lusterko, drugie zaś podała jemu i powiedziała, trzymając swoje lusterko za jego głowę: – Widzi pan, o, tu trzeba ranę zszyć.

– A jeśli się nie zgodzę? – zapytał Kaminski z wysiłkiem.

– To pańska głowa – zaśmiała się lekarka, a oczy jej lśniły przy tym jak słońce, które późnym przedpołudniem odbijało się w Nilu – nie mogę pana zmusić, ale...

– Ale co?

– Oczywiście, że rana i tak się zablizni, ale musi pan przyjąć do wiadomości, że w tym miejscu nie wyrosną już włosy.

Kaminski przejechał dłonią po głowie. Perspektywa tej skazy bardzo go poruszyła, bo mimo iż wyrzekł się kobiet, pozostał jednak trochę próżny.

– A więc – nalegała doktor Hornstein i wyjęła mu z ręki lusterko. W jej głosie przebijał pewien despotyzm, a sympatia, jaką właśnie Kaminski wobec niej zaczął odczuwać, nagle prysła.

– Czy wobec tego musi mnie pani tu zatrzymać? – zapytał trwożliwie.

Lekarka zareagowała raczej wesoło. – Ależ nie, co pan sobie wyobraża, gdybyśmy z powodu każdego małego szycia zatrzymywali pacjentów, nie mielibyśmy ani jednego wolnego łóżka. – Przejrzała już swego nowego pacjenta i nie czekając na jego odpowiedź, zawołała pielęgniarza i oświadczyła mu, że musi

zrobić trzy szwy i żeby wszystko przygotował łącznie z zastrzykiem xylokainy.

Kaminski z uporem wzbraniał się zająć miejsce na leżance. Nie wiedział właściwie dlaczego, ale znów usiłował okazać swą siłę. Wydawało się, że doktor Hornstein skłonna była to zaakceptować; dokonała miejscowego znieczulenia w okolicy prawego ucha, a pielęgniarz wygolił mu włosy wokół rany, sam delikwent zaś siedział patrząc tępo przed siebie.

Starął się myśleć o innych sprawach. Uwagę jego zaprzętały wciąż kolosy świątyni. Przesuwały mu się przed oczami jak olbrzymy, z którymi ma stoczyć walkę, nieobliczalne potwory, i mimo że nie chciał się do tego przyznać, odczuwał obawę przed swym zadaniem.

Kręciło mu się w głowie, gdyż zaczął działać zastrzyk, spocił się. Zaciśnął pięści, napiął mięśnie łydek i podniósł w górę palce nóg, aby nie zasnąć. Ale na próżno, kamienna posadzka przed nim zaczęła się kołysać jak statek na wzburzonym morzu. Aby tylko nie zasłabnąć, myślał; obawiał się kompromitacji. O Boże, obym tylko wytrzymał! Ale podczas gdy tak sam do siebie mówił, pochylił się do przodu, wcale tego nie zauważając, i byłby upadł na podłogę, gdyby doktor Hornstein i pielęgniarz nie przytrzymali go w ostatniej chwili, chwiejącego się, i nie doprowadzili do leżanki.

Tę krótką drogę z obrotowego fotela na leżankę Kaminski odczuł jako przyjemny sen. Był świadomy ciepłego ciała lekarki, ruchów jej ramion i ud, ogarnęło go miłe uczucie. Jakby z oddali dochodziły do niego ironiczne uwagi i z ośpieniem zareagował na szycie. Kiedy po paru minutach odzyskał przytomność, miał już na głowie bandaż.

Tego samego dnia Carl Theodor Jacobi, dyrektor budowy w Abu Simbel, udał się samolotem Boelkow 207 do Asuanu, oddalonego od Abu Simbel o 280 kilometrów w górę Nilu, na spotkanie z egipskim ministrem budownictwa, Kamalem Maherem i Michaiłem Antonowem, rosyjskim dyrektorem budowy tamy. Spotkanie to miało się odbyć w starym hotelu „Cataract”, położonym na prawym, skalistym brzegu Nilu, skąd rozpościerała się zapierająca dech w piersiach panorama położonej pośrodku Nilu wyspy Elefantyny, sprawiającej, że Nil płynął w tym miejscu wąskim korytem.

Posiedzenie było zaplanowane już wcześniej, ale stało się szczególnie aktualne wobec wdarcia się wody w Abu Simbel. Jacobi widział zagrożenie terminu oddania tamy – I września 1966. Jednakże zanim mógł wyrazić swe zastrzeżenia, Antonow zaskoczył wszystkich stwierdzeniem, że prace przy Sad al-Ali, jak Egipcjanie nazywali tamę, postępują prawidłowo i ich zakończenie będzie można przyspieszyć najmniej o trzy miesiące dzięki lepszej organizacji pracy.

Co to ma znaczyć? – zawołał podniecony Jacobi i poprawił okulary na nosie, co było widomym znakiem jego zdenerwowania.

Maher, tęgi mężczyzna ubrany po europejsku, usiłujący ukryć łysinę pod czerwonym fezem, starał się uspokoić Jacobiego, ale jego kanciasty i trudno zrozumiały angielski przyniósł całkiem odmienny rezultat. – Oznacza to – jękał się Egipcjanin – że Sad al-Ali włączy się do sieci trzy miesiące wcześniej.

– Ale to jest absolutnie niemożliwe! – Dość spokojny zazwyczaj Niemiec podniósł głos. – Po co podpisujecie międzynarodowe umowy, skoro później nie dotrzymujecie ich warunków? Poinformuję o tym UNESCO. Moim terminem jest i pozostanie I września 1966. Ponadto od kilku tygodni obserwujemy, że poziom wody wzrasta szybciej, niż przewidywały wasze obliczenia.

Teraz do dyskusji przyłączył się Rosjanin: – Panie profesorze – powiedział, zwracając się do Jacobiego – te Obliczenia są już nieaktualne, opierały się one bowiem na planowaniu kanału zalewowego, przez który podczas budowy mieliśmy odprowadzać pewną ustaloną ilość wody dziennie, rozumie pan?

– Nic już nie rozumiem – odpowiedział niespokojny Jacobi.

Zamiast Rosjanina z odpowiedzią pospieszył Maher.

– Pan Antonow uważa, że gdybyśmy zbudowali kanał, wówczas nie mielibyśmy problemu z kontrolowaniem poziomu wody.

Okrągła twarz Jacobiego przybrała ciemnoczerwony kolor. – Czy chce pan przez to powiedzieć...

Maher skinął głową. – Zdecydowaliśmy się zrezygnować z kanału. Insha Allah!

– Insha Allah. – Niemiec uderzył płaską dłonią w stół, następnie podniósł się ceremonialnie i z rękami założonymi do tyłu zaczął iść w kierunku okna, następnie wyrzwał na zewnątrz przez opuszczone ukośnie żaluzje.

W południowym upale migotały kamienie, a nad ziemią rozlegało się głośnie dźwięczenie cykad. Oszołamiający zapach egzotycznych roślin przenikał nawet przez zamknięte okna. Cóż za różnica w porównaniu z pustynnym krajobrazem Abu Simbel, gdzie wszędzie czuło się tylko piasek i kurz.

– Muszę przyznać – podjął swój wywód Antonow – że myśmy się również pomylili, jeśli chodzi o naturalny zanik wody; jest on o wiele mniejszy, niż przypuszczaliśmy. Wszyscy eksperci uważali, że pustynia będzie bardziej pochłaniała wodę. Również wyparowywanie wody nie zgadza się z pierwotnymi obliczeniami. Dlatego też spiętrzenie wody osiągnie swój limit co najmniej o trzy miesiące wcześniej, niż przewidywano.

Jacobi odwrócił się. – No to możecie zapomnieć o Abu Simbel! Nie da się tego zrobić.

Minister wzruszył ramionami. Nie wydawało się, że groźba ta wywarła na nim wrażenie. – Każdy dzień wcześniejszego włączenia turbin przyniesie nam dwadzieścia pięć milionów kilowatów. Czy pan wie, profesorze, co znaczy 25 milionów kilowatów dla takiego biednego kraju jak Egipt?

W tym momencie Jacobi stracił panowanie nad sobą. Krzyknął do Egipcjanina: – A czy pan wie, jaka to będzie strata dla ludzkości, jeśli Abu Simbel zostanie zalane? Odnoszę wrażenie, że chce pan zasłynąć jak ów Herostratos, który dwa tysiące trzysta lat temu podpalił świątynię w Efezie, jeden z siedmiu cudów świata, jedynie dlatego, żeby zostać sławnym. Nie chciałbym być w pańskiej skórze.

Kamal Maher grzebał drżącymi rękami w stosie papierów leżących przed nim na stole. Widać było, jak powoli ogarnia go wściekłość, ale zarazem widać było jego bezradność i niemożność odparcia zarzutów Niemca.

Jacobi zauważył to i dodał: – Być może, że będą pana chwalili z powodu tych paru milionów kilowatów, ale nie minie nawet pięćdziesiąt lat, jak nazwisko pańskie będzie się kojarzyło wyłącznie ze zniszczeniem Abu Simbel.

Antonow spojrzał pytająco na Mahera, jakby nie zrozumiał Jacobiego, i

powiedział niemal tonem usprawiedliwienia: – Wykonuję tu tylko swój obowiązek.

Maher zaczerpnął powietrza: – Mówi pan tak, jakby mi zależało na zniszczeniu Abu Simbel – oświadczył. – To nonsens. Prezydent Naser zdecydował jednak o budowie zapory po to, aby poprawić sytuację gospodarczą w Egipcie. Arabski socjalizm nie może się ugiąć wobec świątyni w Abu Simbel.

– Przecież nikt tego nie żąda – odpowiedział Jacobi – ale mam prawo wymagać, aby dotrzymano zobowiązań wynikających z kontraktu i aby dane, jakie mi się podaje, były prawdziwe. Mam jedynie nadzieję, że pańskie obliczenia dotyczące konstrukcji zapory są dokładniejsze...

– Jest pan niepoważny – odparł Antonow – proszę mi pozwolić na drobną uwagę. Sprzeczamy się tu o głupie trzy miesiące. A moim zdaniem na pewno możliwe jest nadrobienie tych trzech miesięcy w przeciągu dwu lat.

Jacobi poprawił okulary na nosie i odpowiedział: – W normalnych warunkach miałby pan rację, panie Antonow, ale nie wówczas, kiedy dochodzi do komplikacji.

– Nie może do tego dojść, pańska w tym głowa, pan ponosi za to odpowiedzialność – powiedział Maher, wskazując palcem na Jacobiego.

Jacobi nie czuł się zbyt pewnie, przyznając: – Wdarła się woda, a to cofnie nas w czasie co najmniej o dwa tygodnie.

– Wdarła się woda? Jak to się mogło stać? – Maher wydawał się oburzony.

– Jak to się mogło stać? – powtórzył profesor Jacobi, pod nosząc rękę i przewracając oczami jak bazarz na bazarze. – Jak to się mogło stać, że wasze obliczenia dotyczące odparowywania spiętrzenia są fałszywe?

Maher milczał, również Antonow nie odezwał się ani słowem.

Później, w samolocie, w drodze powrotnej do Abu Simbel, Jacobi robił sobie wyrzuty. A kiedy po dobrej godzinie pilot skierował niebieski dziób Boelkova 207 na zachód, rozbłyły pod nimi zielone wody zbiornika, jakby zachodzące słońce odbijało się w bezkresnym polu rozbitych skorup. Jacobi zacisnął powieki, mimo że miał ciemne osłonki na okularach.

Dwa tylne siedzenia w małym samolocie były wolne, ale leżały na nich drewniane skrzynki i worki z pocztą, tak że w Asuanie maszyna musiała wziąć duży rozbieg, zanim uniosła się w powietrze. Salah Kurusz, tutejszy pilot, nazywany przez wszystkich „the Eagle”, gdyż ciągnął za sobą w powietrzu najpiękniejszy welon, prowadził maszynę, jakby był w transie, niekiedy nawet dwa razy w ciągu dnia, i kierował samolot zawsze nad jezioro, którego szerokość zwiększyła się obecnie o dziesięć do dwudziestu kilometrów, ale zawsze miał w zasięgu wzroku zarówno wschodni, jak i zachodni brzeg. Lecił nisko, poniżej pięciuset stóp nad powierzchnią wody i kiedy napotykał frachtowiec, kołysał skrzydłami maszyny.

Gdy Jacobi zajął w Asuanie miejsce w samolocie, postanowił sobie solennie, że porzuci tę pracę. Miał przecież katedrę na uniwersytecie w Hamburgu i nie był zdany wyłącznie na tę przygodę. Ale teraz, kiedy samolot zdawał się lecieć wprost ku błyszczącemu słońcu, a wokół była tylko woda, niebo i pustynia, jego gniew i zniechęcenie zniknęły bez śladu, a wyobrażenie, że cały semestr miałby spędzać między audytorium a biurkiem, całkowicie zmieniło jego nastrój.

– Hej, Eagle! – zawołał Jacobi, przekrzykując głośny huk maszyny. – Czy możesz sobie wyobrazić, że cała robota poszła na marne?

– Co pan ma na myśli, profesorze? – odkrzyknął Salah.

– Mam na myśli to, czy możesz sobie wyobrazić, że woda jest szybsza od nas.

Kurusz był zakłopotany, zastanawiał się przez chwilę, o co profesorowi chodzi, następnie odrzekł, kręcąc głową: – Nigdy w życiu. Myślę, że każdy, kto pracuje tam, na dole, da z siebie wszystko, aby uratować świątynię. Jeżeli okaże się to konieczne, wszyscy będą pracowali nawet na trzy zmiany, jestem tego pewien, panie profesorze.

Trzy zmiany! Jacobi spojrzął na pilota. Gdyby mógł uzasadnić swoim ludziom

pracę na trzy zmiany zamiast na dwie, a więc dwadzieścia cztery godziny zamiast szesnastu, wówczas mogliby dopiąć swego. Oznaczałoby to oczywiście większy wysiłek każdego z nich, no i oczywiście większe koszty. Ale o tym Jacobi nie chciał na razie myśleć.

Samolot nadal wytracał wysokość. Zbliżał się do wody i dopiero teraz można było ocenić prędkość lotu; nagle wyłonił się cypel Abu Simbel.

Zawsze robiło na pasażerach wrażenie, kiedy po półtoragodzinnym locie nad morzem piasku nagle wyłaniała się z niego osada „poszukiwaczy złota” – potężne dźwigi, koparki, maszyny, ulice, domy, baraki, namioty, wszystko to na pozór beładnie rozrzucone. Salah leciał, jak zwykle, od strony rzeki, tuż obok świątyń, tak iż zdawało się, że posągi Ramzesa znajdują się w zasięgu ręki; następnie, zataczając lekki łuk, skierował maszynę w prawo nad plac obozowy.

Pod nimi śmigały anteny radiostacji, zbiorniki wody pitnej i elektrownia, z której unosiła się dzień i noc chmura dymu. Pilot wyłączył silnik, skręcił w lewo i wylądował na pasie startowym, ciągnąc za sobą obłok kurzu; następnie zatrzymał się przed podłużnym barakiem z kilku antenami nadawczymi na dachu.

Jacobi jeszcze przez chwilę siedział w samolocie i zastanawiał się, w końcu, zwracając się do pilota, rzekł: – Masz rację, Salah, nie zrezygnujemy, będziemy pracowali dalej i dopniemy swego.

6

W skutek nalegań lekarki Kaminski spędził noc w szpitalu. Nie potrzebował wielkiego wysiłku, aby go do tego nakłonić. Jednak następnego dnia rano poczuł się zawiedziony w swej nadziei, gdyż na porannym obchodzie zjawiał się doktor Georg Heckmann, kierownik szpitala w Abu Simbel, energiczny mężczyzna, który swój brak pewności siebie pokrywał arogancją.

Heckmann stwierdził od razu, że Kaminski wcale nie musiał zostawać na noc w szpitalu, i kazał mu się teraz ubrać i iść do domu; ma się zgłosić za tydzień na zdjęcie szwów.

Kiedy Kaminski zabierał się do wykonania polecenia, otworzyły się drzwi i stanął przed nim Sergio Alinardo, wymachując butelką whisky. Alinardo wygłosił ceremonialne słowa przeprosin i bardzo się tłumaczył ze swego zachowania; powiedział, że nie miał zamiaru zranić Kaminskiego i zapytał, czy nie mogliby zostać przyjaciółmi; trzymał przy tym przed Niemcem butelkę.

Kaminski sam nie wiedział, jak to się stało, ale chwycił butelkę – cóż zresztą innego mu pozostało – i rzekł: – Okay, nie gniewam się. – Te słowa wprawiły niesfornego Włocha w radosne upojenie, podskoczył wesoło i klepnął Artura po plecach, aż zabolą go rana. – My, Włosi, łatwo się denerwujemy, ale to oczywiście nie jest żadne usprawiedliwienie! – zawołał.

Aby ostatecznie zakończyć spór, Sergio zaprosił Kaminskiego na wieczór do kasyna, na co ten się zgodził. Popędliwy Włoch wydał mu się całkiem niezłym facetem i kiedy Alinardo zaofiarował się, że podwiezie Niemca swym wozem do domu, ten chętnie przyjął ofertę.

Kaminski zauważył, że również Włoch powiedział „do domu”. Ludzie pracujący na międzynarodowych budowach czuli się w każdym dowolnym schronisku jak we własnym domu, jeśli tylko było tam wygodne łóżko. Alinardo mieszkał w tak zwanym kołchozie. Był to okazały budynek z dziesięcioma pokojami na lewo od wejścia i dziesięcioma na prawo, z dwiema toaletami i dwoma natryskami pośrodku. Mieszkali w tym domu przeważnie ludzie młodzi, którzy nie mieli czasu ani ochoty, aby się rozejrzeć za czymś wygodniejszym.

Kaminskiego bolała głowa, gdyż Włoch jechał dość szybko po wyboistej drodze; trzymał się za głowę i przymknął oczy.

– Boli? – zapytał Alinardo.

Niemiec kiwnął potakująco.

– Znam stuprocentowo pewny sposób.

– Naprawdę? – Kaminski spojrział zbolałym wzrokiem na Alinarda, który siedząc za kierownicą swego samochodu wykonywał taneczne ruchy, aby ominąć wyboje na drodze.

– Kowal Kemal.

Kaminski odwrócił głowę na bok. Uznał, że Alinardo naśmiewa się z niego; ból głowy przy wzrastającym upale stawał się nie do zniesienia.

– Nie myśl, że cię nabieram – Alinardo wymachiwał ręką. – Wszyscy ludzie w Abu Simbel chodzą do Kemala, kiedy ich boli głowa. Egipcjanie nawet twierdzą, że potrafi on czarować, ale ja w to nie wierzę. Kemal jest prawdopodobnie dobrym znachorem, jakich wielu żyje w Afryce. W każdym razie potrafi on swymi czarodziejskimi sztuczkami w ciągu sekundy przenieść największy ból głowy z jednego człowieka na drugiego.

– Nie wierzę w taki hokus-pokus – stwierdził Kaminski.

– Ja również nie – odpowiedział Sergio – ale widziałem to na własne oczy.

– Co widziałeś? – nalegał Kaminski. – Jak odczarowywał ból?

Sergio Alinardo podniósł w górę trzy palce: – Przysięgam, że mówię prawdę! To był Szwed Lundholm. Ale nie u każdego jest to możliwe.

Kaminski pomyślał o różnych obrzydliwych kuracjach za pomocą moczu wielbłąda lub sproszkowanych jąder małp; poznał te metody w czasie swego pobytu w Jeddah, ale nie wypróbowałby ich nawet w najgorszym położeniu. Odpowiedział więc: – Nie, dziękuję.

– Ale mógłbyś spróbować – powiedział Włoch. – Przyznaję, że nie każdy ma tyle odwagi, ale jeśli ktoś pozwoli przeprowadzić na sobie ten eksperyment, pozbywa się bólu głowy i jest pełen podziwu dla Kemala.

Słowa Alinarda zaciekały jednak Kaminskiego i zgodził się pójść do kowala, który czyni cuda; chciał się dowiedzieć, dlaczego Włoch był taki tajemniczy.

Kowal mieszkał w małym kwadratowym domku z wąskimi oknami przy Workshop Road. Pod dachem pokrytym powyginaną blachą czekali jego klienci oraz stały przedmioty przeznaczone do reperacji, niektóre z nich już dość długo, gdyż pokryte były białym pyłem pustynnym.

W chwili, kiedy Sergio zatrzymał swój samochód przed wejściem, ze środka rozległ się głośny okrzyk bólu i zaraz potem z pomieszczenia wybiegł młody Egipcjanin; ale po kilku metrach zatrzymał się, jakby nasłuchiwał wołania,

następnie zaś oddalił się, podskakując jak rozbrykane dziecko.

Włoch popchnął Kaminskiego do wejścia, z którego buchnęło na nich gorące powietrze. Kemal, widząc dwóch wchodzących Europejczyków, spojrzał na nich przelotnie i bez słowa zajmował się dalej ogniem w kominie.

Kemal był stary, bardzo stary, jego starcze ramiona wystające spod skórzanego fartucha były chude i żyłaste, skórę miał szarą jak popiół, jak gdyby od dawna nie oglądała słońca. Krótkie spojrzenie, jakim zmierzył wchodzących, wystarczyło, aby poznać, że kowal miał tylko jedno oko, ponad wszelką wątpliwość jedno, na które widział, gdyż drugie, kiedy uniósł brwi, stanowiło jedynie białą plamę.

– Ten pan cierpi na ostry ból głowy – powiedział Alinardo, zwracając się do Kemala.

Ów skinął, to znaczy, można było przypuszczać, że ruch ten oznaczał skinienie, podobnie jak jego ruch ręki, którym zaprosił Kaminskiego do zajęcia miejsca na stołku przy wejściu.

Niepewny, co teraz nastąpi, i ze względu na swoisty autorytet, jakim cieszył się kowal, Kaminski usiadł posłusznie. Był przygotowany na to, że kowal weźmie jakąś miksturę i wyleje mu na głowę. Nie zdziwiłoby go, gdyby znachor zaczął go okadzać; ale tymczasem nastąpiło coś całkiem innego.

Kaminski jak sparaliżowany spojrzał na Kemala, który nagle stanął przed nim z obcęgami w prawej ręce, przytrzymując nimi cienki rozżarzony gwóźdź. Jeden szybki ruch – Kaminski nie zdążył nawet pojąć, co się stało – i kowal przycisnął mu ów rozżarzony gwóźdź do głowy. Kaminski poczuł, jak cienkie żelazo przejechało mu po skórze, a do jego nozdrzy dotarł swąd przypalonego ciała i włosów. Mając wrażenie, że gwóźdź przebija mu czaszkę, krzyknął rozpaczliwie.

Wydawało się, że Kemal właśnie tego oczekiwał, gdyż tak nagle, jak rozpoczął zabieg, tak też nagle go przerwał i zostawił delikwenta. Kaminski wyskoczył z pomieszczenia i zaledwie ujrzał światło dnia, próbował się wsłuchać w siebie, aby poczuć ból, jaki zadał mu ten szaleniec. Otarł rękawem czoło, ale nic nie czuł, ani śladu bólu; walenie pod czaszką zniknęło, jak ręką odjął.

– Chyba zwariowałeś – powiedział Kaminski cicho do Alinarda, który prowadził go do samochodu, a kiedy usiadł, rzekł, wskazując na swoją głowę: – No i jak wyglądam?

– Tylko mała ranka – odpowiedział Włoch – prawie nie widoczna.

Obaj się roześmieli.

Alinardo zaczął się tłumaczyć: – Gdybym ci zdradził, jak Kemal traktuje swoich pacjentów, nigdy byś do niego nie poszedł, prawda?

– Racja – powiedział Kaminski. Podskakiwanie samochodu na sztywnych resorach wcale mu już nie przeszkadzało, a pulsowanie przypominające uderzenia siekierą, które groziło pęknięciem czaszki, gdzieś znikło. – Powiedz mi, dlaczego tak się ni stąd, ni zowąd o mnie troszczysz? – zapytał nagle Niemiec.

Alinardo przez pewien czas zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie rzekł jakby od niechcienia: – Być może dotarło do mnie, że się niewłaściwie zachowałem tam, przy świątyni. Wiem, że czasami niepotrzebnie wybucham, a potem jest mi przykro, sorry. My tu wszyscy wykonujemy tę samą robotę, no nie? I jeśli nie będziemy ze sobą współpracować, to nic nie zwojujemy. Chcę powiedzieć, że na nic się zdadzą najlepsi na świecie fachowcy od piłowania skał, jeśli nie będzie funkcjonował sprawnie transport bloków, i nic nie pomoże cała nasza dobra robota, jeśli wał ochronny nie będzie działać jak należy, no nie?

Niemiec energicznie przytaknął. Dojechali do jego kwatery. Alinardo wysadził Kaminskiego przed małym domkiem, sam zaś odjechał do swojego kołchozu.

W kasynie, gdzie się umówili, aby alkoholem przypieczętować zakończenie sprzeczki, Niemiec i Włoch spotkali Lundholma, który miał dobre kontakty z dyrektorem budowy.

Prawdę powiedziawszy, kontakty te dotyczyły nie dyrektora, lecz jego córki Ewy. Profesor mieszkał bowiem w Abu Simbel wraz z żoną i córką, co było nie tylko dozwolone, ale także chętnie widziane przez firmę ze względu na napięcie, jakie panowało na budowie podczas czterech pierwszych miesięcy. Wówczas w obozie nie było ani jednej kobiety, a mężczyźni musieli sypiać w namiotach lub łodziach transportowych. Ale odkąd zbudowano kamienne budynki, jeden po drugim zaczęli sprowadzać tu swoje żony i dzieci. Z tego również wynikały problemy, gdyż nie było dla nich żadnego urozmaicenia, nie licząc basenu kąpielowego za kasynem, a najbliższa miejscowość, Asuan, oddalona była o trzysta kilometrów od Abu Simbel, podróż zaś statkiem w górę rzeki trwała dobre trzydzieści godzin.

Lundholm zaskoczył ich wiadomością, że rosyjskie obliczenia dotyczące podnoszenia się poziomu wody są błędne, że poziom wody w jeziorze za zaporą podniesie się znacznie szybciej, niż zakładano, i że całe to przedsięwzięcie w Abu Simbel stanie pod znakiem zapytania, jeśli do przyszłego tygodnia nie przejdzie się na trzymianowy system pracy zamiast dotychczasowego dwuzmianowego. Jacobi obstaje przy tym i chce podać swą decyzję jutro oficjalnie do wiadomości.

Alinardo przewrócił oczami i zawołał patetycznym głosem: – *Madonna Mia!* – następnie, jakby pod wpływem tego aktu strzelistego, odezwał się, teraz już cicho: – I to przy takim nędznym wyżywieniu!

– No to muszą panowie rzeczywiście coś wymyślić – przyznał Włochowi słusność Lundholm. – Robotnicy w obozie podobno się zbuntowali.

Kaminski okazał zdziwienie. – Czy istotnie jest aż tak źle? To, co dotychczas podawano, było całkiem jadalne.

– Nie tak głośno – przerwał mu Alinardo – gdyż może nas ktoś usłyszeć i donieść tę pochwałę dyrekcji; wówczas będzie się mówiło, że jesteśmy rozkapryszeni, że nie przyjechaliśmy tu na urlop, tylko po to, aby zarabiać pieniądze.

– No bo to prawda – stwierdził trzeźwo Kaminski.

– Dobrze, dobrze – wtrącił Lundholm – dotychczas jednak lepiej przebiegają roboty budowlane aniżeli zaopatrzenie w żywność. Ale właśnie zaopatrzenie w żywność jest w Egipcie katastrofalne. – I zasłaniając ręką usta, dodał cicho: – Założę się, że Naser z tym swoim arabskim socjalizmem daleko nie zajędzie. On bardziej troszczy się o politykę zagraniczną aniżeli o problemy własnego kraju. Jego marzenia o zjednoczonej republice arabskiej to mrzonki. Syryjczycy znowu mu się wymknęli...

– ... a Rosjanie, których całymi tysiącami ściąga do kraju, jeszcze pogarszają sytuację. Dla nich to wszystko oznacza dobry biznes – złościł się Alinardo. – Sowietci urobili Nasera, finansując z góry koszty budowy tamy w Asuanie w wysokości trzystu milionów dolarów przy stopie procentowej dwa i pół. Ale już teraz Egipt nie jest w stanie płacić odsetek, nie mówiąc o samym długu. Dlatego też Rosjanie żądają od Nasera twardych walorów. Mówi się, że zastawił cały zbiór bawełny, a wszystko, co kraj produkuje, eksportuje za twardą walutę. Dla nas, znajdujących się tysiąc kilometrów na południe od Kairu, niewiele już zostaje i czasem ogarnia mnie strach, że kiedyś w ogóle o nas zapomną.

– Cha, cha! – zaśmiał się głośno Lundholm – już my cię nakarmimy, mój Włochu.

Alinardo odpowiedział zagniewany: – Ty, Szwedzie, żyjesz powietrzem i miłością, ale tacy ludzie jak my? – Była to wyraźna aluzja do stosunku łączącego Lundholma z Ewą, córką dyrektora budowy.

Lundholm wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Kto może, to może”, ale milczał.

Alinardo trącił Szweda łokciem i wskazując głową na Kaminskiego powiedział: – Nasz nowy znalazł już sobie kochankę.

Lundholm uśmiechnął się i patrząc na obandażowaną głowę Kaminskiego rzekł: – Pozwól, że zgadnę, jak się nazywa. – I po krótkiej przerwie dodał: – Stawiam na Hellę Hornstein, czy się zgadza?

Kaminski patrzył speszony.

– On się wstydzi! – powiedział Alinardo z nutką złośliwości w głosie.

Lundholm potrząsnął głową. – Rzeczywiście to niestosowne żarty. Doktor Hornstein jest bardzo interesującą kobietą, ale...

– Ale co?

– Ale obawiam się – Lundholm pochylił się przez stół ku Niemcowi i mówił niemal szeptem: – Obawiam się, że ona wcale nie jest kobietą.

Uwaga ta szalenie ubawiła Włocha; trząśnięty się ze śmiechu i wydawało się, że śmiech ten działa wyzwalająco. Kiedy wreszcie się uspokoił, Lundholm ciągnął dalej: – Ta kobieta jest zimna jak ryba i nawet Alinardowi nieudało się stopić tego lodu mimo jego włoskiego uroku. Jestem pewien, że nikomu się to nie uda.

– A w dodatku pociąga lewą nogą – zauważył obrażony Włoch.

– To głupstwo! – zawołał Lundholm i zwracając się do Kamńskiego zauważył trzeźwo: – Ale Sergio jest Włochem i nie może przeboleć, że dostał kosza.

Te słowa spowodowały, że Włoch jeszcze bardziej się rozgniewał, uderzył ręką w stół i zawołał: – Przysięgam wam, że lekarka pociąga lewą nogą.

Niestosowną uwagę Alinarda usłyszano przy sąsiednich stolikach i na chwilę wszyscy skierowali spojrzenia na Włocha.

Alinardo uratował sytuację biorąc do ręki szklanekę whisky i wznosząc toast za zdrowie gapiów.

– Mogę się założyć, że doktor Hornstein jeszcze nigdy nie pokazała się w kasynie – rzekł Kaminski.

– O nie – odpowiedział Alinardo – można ją tu czasem spotkać, przeważnie w towarzystwie jej szefa, doktora Heckmanna, ale jeśli sądzisz, że...

– To się mylisz – przerwał Szwed. – Uważam, że rozmawiają oni wyłącznie o chorobach tropikalnych, jak bilharczoza i zapalenie skóry wywołane przez cerkarie.

Kaminski spojrział z niedowierzaniem na Lundholma, jakby nie mógł pojąć, skąd Szwed zna takie wstrętne słowa.

– To najczęstsze choroby tu w obozie – dodał Lundholm wyjaśniająco – zdarzają się przede wszystkim wśród robotników. Wiem, co mówię, gdyż również mnie się to przytrafiło. Początkowo kąpaliśmy się w Nilu i tam złapaliśmy wszystkie choroby, jakie tylko istnieją na świecie. Potem zbudowaliśmy basen i teraz nic się już nie może zdarzyć.

Kaminski zaczął nagle mówić bez związku: – Wiercie mi, że mam już kobiet po dziurki w nosie. – Zapatrzył się w szklanekę, jakby w niej odbijała się cała jego przeszłość. Lundholm i Alinardo oczekiwali, że po tym wstępie Niemiec opowie im szczerze o swoim życiu, tak jak każdy z nich raz to uczynił. Ale nic takiego nie nastąpiło; Kaminski nadal siedział zapatrzony w swoją szklanekę.

– Już dobrze – Alinardo usiłował uspokoić Niemca. – Tutaj każdy dźwiga ze sobą swój bagaż. Ale kto nie upadł na pysk, ten nie nauczy się podnosić.

Lundholm klepnął Kamńskiego poufale po ramieniu i chciał się właśnie pożegnać, kiedy do kasyna weszli archeolodzy Istvan Rogalla i Hassan Muchtar i udali się prosto do ich stolika. Byli radośnie podnieceni i uściskali Lundholmowi

rękę, gratulując mu skutecznego uszczelnienia tamy.

Szwed uśmiechnął się od ucha do ucha; komplementy najwyraźniej go ucieszyły. – Chłopcy, to przecież mój zawód! – zawołał. Teraz również inni zwrócili na niego uwagę. – Odparowywanie wody zaczęliśmy po południu i jeżeli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, to jutro wieczorem będzie już sucho.

Zebrani w kantine ludzie wykrzykiwali słowa uznania i wiwatowali na cześć Lundholma i narodu szwedzkiego. Ogólny zachwyty udzielił się także Kaminskiemu. Spontanicznej owacji nie było końca.

8

Niedaleko stacji kolejowej w Asuanie, przy ulicy prowadzącej do ad-Deir, osłonięty gęstymi, srebrzystymi drzewami eukaliptusowymi stał dom, nazywany przez Egipcjan „daczą”, gdyż zamieszkiwali go Rosjanie. Kto tam mieszkał i co się za tym okratowanym ogrodzeniem działo, nikt właściwie dokładnie nie wiedział, a przynajmniej nikt z mieszkańców Asuanu. Rozpięte nad płaskim dachem druty oraz stojący między drzewami maszt nasuwały przypuszczenie, że ten dom i jego mieszkańcy mogą mieć jakieś powiązania z wywiadem, co też wcale nie było dalekie od prawdy.

W owych latach w całym Egipcie roiło się od agentów KGB; był nim nawet arcybiskup radzieckiego ortodoksyjnego Kościoła w Afryce, gorący wielbiciel Beethovena i Puszkina, ale nie poety, tylko wódki o tej nazwie. Ale byli również egipscy agenci pracujący dla KGB, a także Grecy i Francuzi.

Jacques Balouet pochodził z Tulonu. Wyglądał jak Claude Chabrol, gdyż w kąciku jego ust zawsze tkwił papieros. Ciemne, rogowe okulary nadawały mu chytry wyraz, a chytry był w istocie. W Abu Simbel pracował jako fotoreporter i dziennikarz, przekazywał gazetom i agencjom materiały na temat postępu prac. Balouet udawał się regularnie raz w tygodniu do Asuanu, aby tam nadać depeşe. Wysyłał na cały świat teksty i zdjęcia. W obozie uchodził za odludka, i to nie tylko z powodu dziwnego zachowania się, ale również z powodu nieznamości angielskiego, nie mówiąc już o arabskim. Jego biuro prasowe mieściło się w baraku przy Governments Road, a jego wyjazdy nie rzucały się nikomu w Abu Simbel w oczy.

W Asuanie Jacques Balouet zachodził zawsze do domu za eukaliptusowymi drzewami, gdzie za każdym razem w tajemniczy sposób otwierała się ciężka, okratowana brama. W drzwiach wejściowych przyjmował go rosyjski żołnierz w szarym mundurze i czapce z daszkiem z czerwonym otokiem. Pobieźnie zaglądał do jego teczki, następnie prowadził go do pułkownika Smoliczewa, jedyne go Rosjanina, który przedstawiał się podając nazwisko, ale czy swoje własne, można było powątpiewać. Smoliczew, mężczyzna sześćdziesięcioletni o czarnych brwiach i siwych włosach, rezydował za staroświeckim biurkiem, pamiętającym jeszcze

tureckie panowanie; kurzył krótkie, grube papierosy i na próżno starał się przybierać życzliwy wyraz twarzy. Trzej, a nawet czasami czterej adiutanci oraz tłumacz, stojący po obu stronach biurka, starali się naśladować szefa.

Ale tego przedpołudnia, kiedy kurz i duchota wyciskały potna czoła, pułkownik wcale nie starał się udawać przyjaznego, tylko burknął: – Jakie wiadomości przynosi?

Francuz otworzył teczkę, wyciągnął dużą fotografię i w milczeniu położył na biurku Rosjanina, którego ponure oblicze natychmiast się rozpogodziło. – Dobrze, dobrze – powiedział krótko i pokazał zdjęcie stojącym wokół niego ludziom. Przedstawiało ono olbrzymie rozlewisko wody u stóp posągów Ramzesa w Abu Simbel.

Ale podczas gdy Smoliczew rozkoszował się radością z cudzego nieszczęścia, Balouet wyciągnął z teczki drugie zdjęcie i położył je przed pułkownikiem. Zdjęcie to przedstawiało wypompowane niemal w całości rozlewisko. Smoliczew wziął zdjęcie, przekazał je obecnym wokół i promieniejąc rzekł: – Tak było przedtem, rozumiecie?

Balouet zamachał ręką w powietrzu i z trudem usiłował wyjaśnić pułkownikowi, że to drugie zdjęcie zostało zrobione dopiero przed czterdziestoma ośmioma godzinami.

Kiedy tłumacz przekazał Smoliczewowi prawdziwy stan rzeczy, ten zaczął szaleć, ryczał i przeklinał wszystkich podległych mu agentów. W końcu, z trudem łapiąc powietrze i ociekając potem, zapytał: – Jak to się mogło stać?

Francuz milczał, nie znajdując odpowiedzi. Jego zadanie polegało jedynie na dokumentowaniu robót w Abu Simbel, a nie na opisywaniu ich wykonania. I dopiero teraz dowiedział się, że przekupiono pewnego egipskiego brygadzystę, aby wznosił złe umocnienia, że krótko mówiąc, Rosjanie byli zainteresowani fiaskiem robót prowadzonych przez „Joint Venture Abu Simbel”.

– Czarnoszopy! – wrzeszczał pułkownik, co odpowiadało amerykańskiemu określeniu „negrzy”, obejmującemu wszystkich ciemnoskórych. – Czarnoszopy! Co się nie udało?

Jeden z obecnych mężczyzn zaczął mówić, usiłując wytłumaczyć pułkownikowi szczegółowo, że tama w istocie uległa przerwaniu i że woda zalała w dużej części plac przed świątynią, ale Niemcy i Szwedzi mają dobrych inżynierów, którzy dadzą sobie radę z każdym problemem.

– Co pan myśli, że wielki naród radziecki nie ma dobrych inżynierów? – wybuchnął Smoliczew. – A czy towarzysz Gagarin nie był pierwszym człowiekiem

w kosmosie? A czy pierwszy statek kosmiczny „Wostok” nie był dziełem radzieckich inżynierów? – Pułkownik naprawdę się rozżłościł. – Abu Simbel jest obiektem prestiżowym. O co przy tym chodzi, jest sprawą drugorzędną, towarzysze. Czy parę kamieni zatonię przy tym w zbiorniku, czy też nie, jest dla nas obojętne. Naszą sprawą jest, aby Egipt uczynić głównym punktem oparcia dla subwersji przeciwko światu arabskiemu. Tymczasem mamy wszędzie naszych ludzi, w wojsku, w redakcjach gazet, na uniwersytetach, nawet w partiach i organizacjach. Oficerowie radzieccy dowodzą egipskimi jednostkami, radzieccy inżynierowie dowodzą egipskimi robotnikami. Stało się rzeczą prawie niemożliwą, żeby w tym kraju działo się cokolwiek wbrew naszej woli. A mimo to – w Abu Simbel przysnęliśmy.

Jeden z agentów z jego prawej strony podniósł rękę, jak gdyby chciał coś powiedzieć; ale Smoliczew nie dopuścił go do głosu; uważał, że tylko on ponosi winę za to trudne położenie: – To ludzie radzieccy wznoszą wielką tamę w Asuanie, budowlę większą niż piramidy! Ale cały świat mówi o Abu Simbel, gdzie zamierza się przepiłować świątynię na części i wznieść ją na nowo w innym miejscu. A co gorsza: cały świat mówi o brawurowym wyczynie zachodnoniemieckich, włoskich i szwedzkich inżynierów!

Kiedy przeglądam zagraniczne gazety, wszędzie piszą tylko o tych kapitalistycznych gówniarzach z Abu Simbel. Pytam was więc, towarzysze, gdzie są hymny pochwalne na cześć socjalistycznych osiągnięć w Abu Simbel, no gdzie?

Mężczyzna z prawej strony, który już wcześniej zwrócił na siebie uwagę, jako pierwszy się opanował: – To jest nie tyle nasza wina, towarzyszu pułkowniku, ile tego pana! – Wskazał przy tym na Baloueta. – On wypuszcza w świat za dużo informacji.

– Bzdura! – zagrzemiał Smoliczew, zanim jeszcze Balouet mógł się zacząć bronić. – Co stoi na przeszkodzie, aby biuro prasowe w Asuanie rozpowszechniało równie dużo informacji?

– A poza tym – poparł go Francuz – zainteresowanie nowościami na temat Abu Simbel jest tak wielkie, że dziennikarze depczą nam po piętach. Jest to – dodał – być może szczególnie atrakcyjny kąsek dla żurnalistów, rozumie pan, co mam na myśli. Zbudowano już wiele zapór, ale czegoś takiego jak w Abu Simbel jeszcze nigdy nie było...

Pułkownik radziecki patrzył przed siebie na biurko. Jego krzaczaste czarne brwi były zmarszczone, postawa nie wróżyła niczego dobrego. Niemal szeptem wycisnął z siebie słowa: – Gdzie jest towarzysz Antonow?

– Czeka na dworze – odpowiedział jeden z adiutantów.

– Niech wejdzie!

Przez boczne drzwi do pokoju konferencyjnego wszedł rosyjski dyrektor budowy tamy w Asuanie. Reszta się cofnęła. Michaił Antonow skinął Smoliczewowi przyjaźnie głową. Ten siedział, jakby gotowy do skoku, i przypuszczalnie nikogo z obecnych by nie zdziwiło, gdyby pułkownik rzucił się teraz na dyrektora; ale Smoliczew powiedział dobitnie cicho, nie patrząc wezwanemu w twarz: – Co za tępaki pracują w biurze prasowym na waszej budowie, towarzyszu Michaił? Podajcie mi nazwiska!

Antonow zawahał się, ale pułkownik zagrział: – Podajcie mi wszystkie nazwiska! Wreszcie Antonow odpowiedział: – Moisiejew, Łysenko i towarzyszka Kurianowa. Wszyscy wybitni ludzie.

Pułkownik Smoliczew kiwnięciem palca przywołał do siebie jednego z adiutantów i zaczął mu dyktować: – Towarzysze Moisiejew, Łysenko, jak również towarzyszka Kurianowa, zawiedli w służbie socjalizmu. Muszą jak najszybciej opuścić Egipt; ich stanowiska mają być według umowy na nowo obsadzone. A teraz wracając do was, towarzyszu Michaił Antonow.

Dyrektor budowy, typ raczej niepozornego funkcjonariusza, nie musiał się obawiać pułkownika KGB. Zawdzięczał bowiem swą błyskotliwą karierę przede wszystkim przyjaźni z synem wszechwładnego Nikity Chruszczowa; okoliczność, na którą się zawsze powoływał, kiedy zawodziły argumenty racjonalne albo kiedy popadał w konflikt z jakimś towarzyszem z partyjnej hierarchii.

– Towarzyszu pułkowniku – zaczął Antonow swoją odpowiedź – biuro prasowe, za które jestem odpowiedzialny, nie poczuwa się do żadnych uchybień. Moisiejew i Łysenko byli korespondentami TASS w Kairze i Chartumie, są to zasłużeni dziennikarze. A co się tyczy towarzyszki Kurianowej...

– To całkiem możliwe – przerwał pułkownik Smoliczew dyrektorowi – to się wam chwali, że bronicie swoich ludzi, tylko – to nie są wasi ludzie, towarzyszu.

– Jak to nie moi ludzie? Co to ma znaczyć? .

– Ach, niech pan nie udaje głupszego, niż pan jest w istocie!

– Nie rozumiem.

Pułkownik wiercił się na swoim krześle na wszystkie strony, w końcu roześmiał się na cały głos: – Czy nigdy pan się nie zastanawiał nad tym, kto przydzielił tych towarzyszy do pańskiego biura? – uderzył się pięścią w pierś. – Przecież pan wie, że wszyscy korespondenci TASS są agentami KGB. Inaczej nie byłiby korespondentami TASS! – Pułkownik trząśnięty ze śmiechu, a jego brwi przybrały

kształt półksiężyca.

Kiedy towarzysz pułkownik już się naśmiał do woli, Antonow rzekł pewny siebie: – Na ten temat nie powiedziano jeszcze ostatniego słowa. Przyjmuję pański rozkaz z protestem, ale poskarżę się gdzie indziej.

– Oczywiście, ma pan do tego prawo! – wykrzyknął Smoliczew kwaśnym tonem – jeśli o mnie chodzi, to nawet u towarzysza pierwszego sekretarza. – Była to aluzja do kontaktów Antenowa.

– Właściwie przyszedłem tu – zakończył Antonow przykrą scenę – bo miałem rozmowę z egipskim ministrem budownictwa Maherem i z Jacobim z Abu Simbel...

– To niech pan mówi, towarzyszu. Czy wypełnił pan polecenie?

Antonow skinął głową. – Ku chwale socjalizmu; czego to człowiek radziecki nie zrobi dla zwycięstwa socjalizmu nad kapitalistycznym Zachodem.

– I towarzysz Jacobi uwierzył?

– Uwierzył. Cóż mu innego pozostało. Niemcy w Abu Simbel żyją teraz w ogromnym stresie, ponieważ sądzą, że powierzchnia wody zalewu podnosi się znacznie szybciej, niż początkowo obliczano. A i tak kuleją z terminem. Według mojej oceny muszą zrezygnować albo...

– Albo co?

– Albo kapitaliści grają znaczonymi kartami. W każdym razie jeszcze nigdy sytuacja nie była tak sprzyjająca dla dzielnych inżynierów wielkiego Związku Radzieckiego, aby przejąć Abu Simbel.

– Dobrze, dobrze – pułkownik Smoliczew stukał w biurko opuszkami palców. Zastanawiał się. – Czy wiecie, towarzyszu, że nasz atak na zapórę nie powiódł się?

– Pierwsze słyszę! – Antonow był zdumiony.

– O tu, spójrzcie! – Pułkownik podsunął dyrektorowi zdjęcie wykonane przez Baloueta. – Tutaj! Woda sięgała już do świątyni; ale te kapitalistyczne gnojki uszczelniły wyłom i wypompały wodę. Sądzę, że musimy wymyślić coś nowego.

Telefon na biurku wydał żaloszny dźwięk. Smoliczew podniósł słuchawkę, przyłożył ją do ucha, słuchał przez chwilę, po czym powiedział tylko „da”, po chwili zaś odłożył ją z powrotem, wstał, uderzył pięścią w biurko i zaczął przemawiać.

– Towarzysze, z Moskwy nadeszła wiadomość, że towarzysz Nikita Sergiejewicz Chruszczow z Komitetu Centralnego KPZR został usunięty ze stanowisk państwowych i partyjnych. Jego miejsce jako premier zajął towarzysz

Aleksiej Nikołajewicz Kosygin, pierwszym sekretarzem KPZR został Leonid Iljicz Breżniew.

Mężczyźni w dusznym pomieszczeniu KGB stali jak wryci. Tylko Francuz Balouet zdawał się nie pojmować doniosłości tej informacji. Patrzył pytająco na pozostałych agentów, których nawet nie znał z nazwiska; ale ci spoglądali tylko nieruchomo przed siebie. Antonow był biały jak kreda. Jego meldunek ów zdawał się dotknąć najsilniej.

– Jak to się mogło stać? – wyjąkał cicho, zwracając się do Smoliczewa. – Czy wiedzieliście o tym, towarzyszu pułkowniku?

Ponura mina pułkownika zaczynała stopniowo ustępować miejsca ledwie widocznemu, cynicznemu uśmieszkowi. Potem, jak gdyby w pośpiechu rozważył on wszelkie za i przeciw, jego ironiczny uśmieszek zamienił się w nic nie mówiący szeroki uśmiech, wreszcie Smoliczew wybuchnął: – Nie chciałbym zajmować stanowiska w tej sprawie, przynajmniej na razie; ale szef rządu, który wobec opinii publicznej świata wali nogami w mównicę, aby swoim słabym słowem nadać większą wagę, przegrał własną szansę. Od tamtej pory towarzysz Nikita był już tylko żalospną figurą, która utraciła wiarygodność, przede wszystkim w oczach Zachodu. Trąbił on dookoła, że wszechpotężny Związek Radziecki nie ma zamiaru zajmować się szpiegostwem. A przy tym każde dziecko wie, że we wszystkich zachodnich rządach, w partiach zagranicznych, w placówkach badawczych i instytucjach mamy swoich ludzi. Amerykanie zdemaskowali Nelsona C. Drummonda z marynarki USA i skazali go na dożywotnie więzienie, Szwedzi postąpili podobnie z Erikiem Weunerstromem, Anglicy aresztowali Władimira Solomatina, a tu towarzysz Nikita trąbi, że niema żadnych radzieckich szpicli. Was, was i was – wskazywał kolejno na każdego – w ogóle nigdy nie było. Nie ma was i dziś, towarzysze!

Żart ów rozładował ciężką atmosferę. Michaił Antonow zaczął jako pierwszy: – Czy towarzysz Nikita Sergiejewicz powiedział prawdę, czy też nie, jest teraz obojętne, towarzyszu pułkowniku. Ważne jest tylko, czy jego wypowiedzi służyły interesom Związku Radzieckiego.

– I właśnie temu nie służyły! – wybuchnął Smoliczew. Uderzył pięścią w stół i zawołał, a jego twarz zabarwiła się przy tym na czerwono: – Wprost przeciwnie, towarzysz Nikita zaszkodził wizerunkowi Związku Radzieckiego, ośmieszył nas, KGB, przed całym światem, a takim ludziom jak Kennedy Chruszczow nawet do pięt nie dorasta.

Antonow patrzył w milczeniu w sufit, gdzie wielki wentylator z brązowymi

śmigłami miał zmniejszać upał panujący w pokoju, i zastanawiał się. Musiał się mocno trzymać, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Jeszcze wczoraj słowa Smoliczewa wystarczyłyby, aby towarzysza pułkownika dożywotnio zesłać do obozu karnego na Syberię – w najlepszym razie; być może nawet zostałby on rozstrzelany w majestacie prawa albo zginąłby w zaplanowanym wypadku drogowym. On, Antonow, jeszcze przed kilkoma chwilami pozwoliłby sobie na to, aby sprzeciwić się groźnemu towarzyszowi Smoliczewowi. Ale teraz było to już niemożliwe.

Smoliczew wyjął z biurka butelkę wódki. Pracownik, który go obsługiwał, przyniósł na tacy małe kieliszki; pułkownik napełnił je po brzegi i podał zebrany. – Wypijmy za wszechpotężny Związek Radziecki – powiedział Smoliczew i stanął na baczność – i za towarzyszy Kosygina i Breżniewa!

– Na zdrowie!

Pułkownik KGB dał ręką znak do odejścia. – Antonow – zawołał, zwracając się do dyrektora – pozostajemy przy tym: towarzysze z waszego biura informacyjnego wrócą do kraju. Swoją skargę możecie oczywiście wnieść później, nawet bezpośrednio w Moskwie. – Uśmiechnął się przy tym szyderczo.

Na przystani powyżej nowego wału stała łódź zaopatrzeniowa „Nefertari”, gotowa do odpłynięcia do Abu Simbel. Dobre trzydzieści godzin będzie trwała podróż w górę Nilu. Dziób i sterówka były załadowane skrzyniami; zawierały one części maszyn, konserwy i napoje. W drucianej klatce gdały podenerwowane kury. Na rufie łodzi znajdowały się drewniane ławki, przewidziane dla niewielu pasażerów, którzy musieli podjąć uciążliwą podróż statkiem, ponieważ w dwóch samolotach „Joint Venture Abu Simbel” były tylko cztery miejsca do dyspozycji.

Egipski marynarz rozciągnął płótno żaglowe na żelaznym rusztowaniu w celu ochrony przed słońcem, a sternik i kapitan „Nefertari”, mizerny Nubijczyk o grubych wargach i ziemistoszarej skórze starał się wśród głośnego krzyku uruchomić radiostację pokładową, uderzając przy tym mikrofonem o boczną ścianę swojej sterówki i wołając z determinacją „halo” czy coś podobnego.

Wreszcie zrezygnował i rozpoczął ożywioną rozmowę z marynarzem, jedynym członkiem załogi; jak można się było zorientować na podstawie teatralnych gestów, chodziło o odjazd statku, który, według planu, już od dawna był spóźniony. Ale co w tym gorącym dalekim kraju odbywało się zgodnie z planem!

Nagle w żółtej chmurze kurzu nadjechał pędem jeep z napisem „Joint Venture”. Wyskoczył z niego Francuz Jacques Balouet. Pojazd zawrócił. Balouet trzymał w ręku oliwkowozielony worek z płótna żaglowego. Rzucił go na jedną z drewnianych ławek i usiadł obok. „Nefertari” odbiła od brzegu.

Na pokładzie oprócz niego znajdowało się sześciu czy też siedmiu Egipcjan w długich galabijach. Wpatrywali się w wodę i obojętnie przesuwali w palcach paciorki koloru bursztynu. Na ostatniej ławce, tuż nad śrubą statku, zajęła miejsce zawoalowana kobieta. Samo w sobie nie było to niczym szczególnym – w Abu Simbel żyło wiele kobiet. Ale Egipcjanka, która podróżuje samotnie, to było coś w najwyższym stopniu niezwykłego. Balouet uniósł w górę brwi, ale na tym poprzestał.

Po rozmowie z pułkownikiem nie miał chwilowo ochoty na żadną dyskusję. Ponieważ siedział sam na ławce, oparł worek o burtę, stwarzając sobie w ten sposób znakomite oparcie pod plecy, następnie wyciągnął wygodnie nogi i rozmyślał.

W tej okolicy spiętrzony Nil lśni turkusowo. Woda błyszczy tysiącami refleksów, a jasność piaszczystej pustyni po obu brzegach wyciska z oczu łzy. Francuz nasunął chusteczkę na oczy i siedział zamyślony. Od czasu do czasu wyciągał z kieszeni plastikową butelkę z wodą, wypijał łyk i dalej marzył. Po chwili zasnął.

Kiedy Balouet się obudził, zapadał już zmierzch nad bezkresnym zalewem. Brzegi były daleko, wreszcie zatoneły w bezkresnej wodzie. Przyjemne ciepło odpędzało powoli bezlitosny upał dnia. Pod plandeką nad jego głową kołysała się lampa oliwna i roztaczała żółtawe światło. Egipcjanie, oparci o siebie, spali na ławkach. Zawołowana kobieta czuwała z otwartymi oczami.

Balouet przechylił się przez poręcz ławki i zwrócił się w języku francuskim do nieznajomej kobiety: – Pani nie jest chyba Egipcjanką, mimo że jest pani tak ubrana!

Kobieta zsunęła welon z twarzy i odpowiedziała również po francusku, jednakże bez prowincjonalnego akcentu Baloueta: – A pan nie jest paryżaninem, monsieur! – A kiedy zdumiony Francuz nie odpowiadał, zadała pytanie: – Dlaczego pan tak twierdzi?

– Egipcjanka – odparł Francuz – nigdy by nie wyruszyła sama w podróż, one nie są jeszcze tak wyemancypowane.

– Za kogo mnie pan zatem bierze, monsieur? – zaśmiała się kobieta.

– Jeśli się nie mylę, jest pani Francuzką!

– Zgadł pan.

– A skąd?

– Z Paryża!

Teraz zapadło milczenie, podczas którego każde z nich zastanawiało się, jakie pytanie można by teraz zadać sobie nawzajem. Nieznajoma ubrana jak Egipcjanka była szybsza: – Co pana przywiodło do Abu Simbel?

Balouet sam chętnie by o to zapytał, ale teraz był winien odpowiedź, rzekł więc: – Pracuję w Abu Simbel. Kieruję tamtejszym biurem prasowym.

Na to Francuzka wypowiedziała zdanie, którego on nie zrozumiał; niewątpliwie było ono po rosyjsku i Balouet uczeplił się tego: – Co pani powiedziała, madame?

Kobieta zmieszana zasłaniała twarz dłonią. Balouet spojrzał na nią. Nie była ładna, ale jej ostre rysy promieniały – można to było zauważyć przy bladym świetle – niezwykłym czarem. – Proszę mi wybaczyć, okłamałam pana – oświadczyła następnie ostrożnie – nie jestem Francuzką, jestem Rosjanką.

– Rosjanką? Ale pani mówi najznakomitszą francuszczyzną, jaką kiedykolwiek

słyszałem u cudzoziemca.

– Mieszkałam ponad dziesięć lat w Paryżu.

Balouet patrzył na nią z niedowierzaniem. Sytuacja wydała mu się niezwykła.

– Byłam sekretarką attache prasowego ambasady radzieckiej.

– Ach tak...

– Tak. A w Asuanie pracowałam dla biura informacyjnego przy budowie tamy.

Nazywam się Raja Kurianowa.

Balouet nie mógł wymówić słowa. Patrzył tylko na kobietę i usiłował coś z tego zrozumieć. Czyżby KGB chciała go wystawić na próbę? Czyżby Raja była agentką, która miała za zadanie go zwerbować? Czy może śpiący wokół niego mężczyźni to była banda płatnych morderców? Balouet poczuł na plecach zimny pot, ale starał się zachować spokój.

– Tego pan się z całą pewnością nie spodziewał – powie działa Rosjanka.

– Nie – odpowiedział Balouet – rzeczywiście tego się nie spodziewałem.

– A pan? Mam na myśli, co pan robił w Asuanie?

Francuz zmusił się do uśmiechu; następnie odpowiedział wolno: – Tak, wie pani, właściwie to ja robię to samo, co pani... Poza tym nazywam się Jacques Balouet i pochodzę z Tulonu.

Baloueta nurtowało teraz pytanie: co Rosjanka o nim wiedziała? Raja Kurianowa natomiast zastanawiała się, czy może ufać temu Francuzowi. Ten, kto kiedykolwiek sprawował jakiś urząd w radzieckiej ambasadzie, był nieufny wobec każdego.

Aby tylko coś powiedzieć, Balouet zapytał: – A co panią sprowadziło do Abu Simbel? – Raja Kurianowa zmierzyła po kolei wzrokiem śpiących mężczyzn, potem zaś Baloueta; wreszcie powiedziała szeptem: – Monsieur, musi mi pan pomóc. Błagam pana, niech mi pan pomoże!

Balouet nie wiedział, jak to się stało, ale skinął jej głową. Sprawa zaczęła dla niego przybierać powoli niesamowity obrót. Czego ta Rosjanka od niego chciała?

– Właściwie – zaczęła Raja jękając się, ze wzrokiem utkwionym w surowe drewno burty – właściwie powinnam teraz siedzieć w samolocie Il 28, lecącym do Moskwy. Ja... – spojrzała Francuzowi w oczy – pracowałam dla KGB, wszyscy Rosjanie, którzy tu są na kierowniczych stanowiskach, pracują dla KGB; ale nie spełniałam ich oczekiwań. W ich języku nazywa się to „sabotaż”. A co czeka w Związku Radzieckim takiego, który dopuścił się sabotażu, nie potrzebuję panu mówić. – Ostatnie słowa Raja wyszeptała tak cicho, że Balouet z trudem zdołał ją zrozumieć. Białą chustę zsunęła pod brodę i Balouet widział, jak drżą jej kąciki ust.

– Proszę, niech mi pan pomoże! – błagała Rosjanka.

Balouet wciąż jeszcze nie miał pewności, czy to wszystko nie było pułapką. W końcu on sam też musiał się obawiać długiego ramienia KGB. Wahał się, czy powinien się przyznać do własnej skomplikowanej sytuacji? To ułatwiłoby im rozmowę, ale zdecydował się na powściągliwość.

– Podziwiam pani odwagę – powiedział. – Wiadomo, co Rosjanie robią ze zdrajcami. Wysyłają ich na białe niedźwiedzie.

Raja zaśmiała się gorzko: – Wiem o tym. Ale ja wolę choćby najbardziej nikłą szansę niż żadną. Zanim zniknęłam, pozostawiłam fałszywy ślad. To zapewni mi chwilowy spokój.

Balouet spojrzał pytająco na Rosjanę.

– Nie chcę o tym mówić – odpowiedziała. – Nie teraz. Tymczasem szukam schronienia na kilka dni, na kilka tygodni. Potem zobaczę, co dalej. Mówię biegle kilkoma językami. Może mogłabym się przydać w Abu Simbel. Co pan o tym sądzi?

Francuz – wzruszył ramionami. Z pewnością znalazłoby się dla Rai Rurianowej jakieś zajęcie. Ale Balouet pomyślał o tym, co będzie, jeśli Rosjanie zlecą mu poszukiwanie zbiegłej agentki, i ta myśl wprost go sparaliżowała. Sam nigdy jeszcze sobie nie wyobrażał, jak by to było, gdyby pewnego dnia złożył ludziom z KGB oświadczenie, że chce zrezygnować z pracy. Mon Dieu, w jakże trudnej sytuacji się znalazł!

– Wiem, co pan sobie teraz myśli – przerwała Raja milczenie Baloueta. – Zadaje pan sobie pytanie, jak taka kobieta jak ja może współpracować z KGB. – Westchnęła głęboko.

– Tak, właśnie to sobie pomyślałem – skłamał Francuz – kobieta taka jak pani ma przecież inne możliwości...

Raja Kurianowa zareagowała gwałtownie: – Tylko bez frazesów, proszę, moja sytuacja jest wystarczająco skomplikowana. Ale odpowiadając na pańskie pytanie: KGB ma wstrętą metodę werbowania agentów. Ma ona szczególne zamiłowanie do tych ludzi, których skrzywdziła natura albo los...

Balouet poczuł się tym wyznaniem głęboko poruszony. Ocena Rai dokładnie do niego pasowała. Wprawdzie niezbyt cierpiał z powodu swojego wyglądu przypominającego gнома, swojego losu jednak, losu outsidera, któremu się nie powiodło, nigdy nie przewyciężył, i to chyba było powodem, że wciągnięto go w sidła KGB. Poczucie, że należy do potężnej i niebezpiecznej organizacji, że sprawuje władzę nad innymi – wszystko to dawało mu więcej zadowolenia niż

kilka dolarów, które przynosiła ta praca.

Natura nie była dla niej szczególnie łaskawa, myślał Balouet, przyglądając się Rosjance. Ona zdawała się odgadywać jego myśli: – Nie, nie – pośpieszyła z wyjaśnieniem. – To los niezbyt dobrze się ze mną obszedł.

– Przykro mi – stwierdził Francuz chłodno.

Wcale nie zachęcana, Raja Kurianowa zaczęła opowiadać: – Byłam zamężna z pewnym chemikiem. Jak bardzo go kochałam, stwierdziłam dopiero później, kiedy wszystko minęło.

– Czy on panią zostawił?

– Można to tak nazwać. – Raja zaśmiała się gorzko. – Kiedy rano wychodził, powiedział: „A więc do wieczora.” Ale nigdy więcej nie wrócił. Zmarł na stanowisku pracy. Tak po prostu.

– Tak po prostu?

– Dwaj funkcjonariusze MSW przynieśli wieczorem wiadomość, że mój mąż zmarł na atak serca. Tak po prostu. Najpierw w to uwierzyłam – cóż mi innego pozostało, zresztą w pewnym sensie odpowiadało to faktom. Ale co spowodowało ten atak serca, tego nikt mi nie powiedział. Dowiedziałam się dopiero znacznie później, od jednego z jego kolegów. Od tamtej pory zniknął bez śladu. Monsieur, co to za świat! – Raja walczyła ze łzami.

Po chwili mówiła dalej: – Mój mąż nigdy mi nie powiedział, dla kogo właściwie pracuje i co robi. Mówił zawsze, że jego zadaniem jest mieszanie dwóch substancji chemicznych w taki sposób, żeby powstała z tego trzecia. W rzeczywistości należał do specjalnego biura KGB.

– Do specjalnego biura?

– Biuro specjalne zostało utworzone po wojnie do specjalnych zadań w czasach pokoju. Chodziło o akcje sabotażowe, zaplanowane morderstwa znanych osobistości. Biuro specjalne dysponowało własnym laboratorium, w którym doskonalono najbardziej wyrafinowane i podstępne metody morderstw...

– ... Iw tym laboratorium pracował pani mąż?

– Tak to było. Prowadził badania nad środkami trującymi, które powodowały śmierć na skutek choroby serca, nie pozostawiając żadnych śladów, a więc dawały złudzenie śmierci naturalnej. Później dowiedziałam się, że eksperymentował na substancjach, na które nie było odtrutki, które były tak niebezpieczne, że najmniejsze zetknięcie człowieka z nimi powodowało natychmiastowy paraliż. Najbardziej niebezpieczna substancja nosiła nazwę KUR3. Ale po co właściwie ja panu to wszystko opowiadam?

Balouet spojrział na Raję. Był poruszony zaufaniem Rosjanki; przede wszystkim wydawał się sam sobie podły, ponieważ nie zdobył się na odwagę, aby powiedzieć prawdę o sobie i swoich powiązaniach. Bóg jeden wie, jak bardzo nienawidził tej podłości, tego niezrozumiałego tchórzostwa, które go w końcu wciągnęło w sidła KGB. Nienawidził siebie samego. A ta nienawiść była bar dziej zajadła niż wszelka nienawiść wobec kogokolwiek innego, ponieważ przyczyna i cel były jednym i tym samym – diabelskim kręgiem. Balouet przeszedł nad śmiercią chemika z obojętnym wzruszeniem ramion twardego agenta.

Bezkresny zalew wyglądał jak lustro, jego powierzchnia była czarna, gładka i spokojna, a „Nefertari” sunęła powoli usypiającym, miarowym rytmem na południe. Od czasu do czasu któryś ze śpiących na ławkach Egipcjan odwracał się na drugi bok, wydając przy tym pomruki.

Rozmawiając ze sobą i trochę śniąc na jawie nie przebyli jeszcze nawet połowy drogi do Abu Simbel, kiedy sternik nieoczekiwanie włączył syrenę. Śpiący Egipcjanie przerazili się i zaczęli wydawać dzikie okrzyki, wreszcie sternik podniesioną w górę ręką pokazał, że naprzeciw płynie masywna barka. O ile można było dostrzec z oddali, miała tylko niewielki ładunek na pokładzie. Ten zabierze dopiero w Asuanie. Przewoźnicy chętnie pływali nocą, ponieważ wówczas oni sami i ich silniki nie były wystawione na bezlitosne słońce. Barka odpowiedziała głuchym sygnałem, który szybko się rozpląnął; następnie statek oddalił się bezdźwięcznie w ciemności.

Balouet stał na rufie „Nefertari” i patrzył, jak światła pozycyjne drugiego statku stają się coraz mniejsze, wreszcie zniknęły w oddali. Obca kobieta opowiedziała mu już połowę swojego życia, on natomiast rzucił jej zaledwie parę nieistotnych frazesów na swój temat. Teraz bał się, że Raja Kurianowa wykorzysta długie milczenie i zacznie mu zadawać pytania. „A jak jest z panem, mam na myśli, jakie to niezwykle okoliczności przywiodły pana aż tutaj?” Ale Raja milczała. Milczała tak długo, że Balouet wreszcie się ku niej odwrócił.

Rękawami szaty ocierała sobie łzy z twarzy. – Nie wiem, co mam robić – powiedziała cicho.

W swojej bezradności, a także dlatego, żeby rozładować nieprzyjemną sytuację, Balouet powiedział: – Nie ma pani ze sobą żadnego bagażu?

Raja potrząsnęła głową. – Nie chciałam wzbudzać podejrzeń. Poza tym wszystko poszło tak prędko. Nie miałam wyboru.

– Hm! – mruknął Francuz, nadgryzając cygaro – to, moim zdaniem, pogarsza sytuację. Kobieta, która ni stąd, ni z owad pojawia się w Abu Simbel, i do tego bez

bagażu – co pani sama by na to powiedziała?

Rosjanka wzruszyła ramionami.

– No właśnie! – powiedział Balouet, odwrócił na bok głowę i wpatrywał się w ciemność. Co miał począć z tą kobietą? Wyjawienie prawdy w Abu Simbel wydawało mu się zbyt niebezpieczne. Musiało istnieć jakieś inne wyjście; przede wszystkim trzeba przekonać Raję Kurianową, że droga, którą wybrała, nie była słuszna. Jego myśli zaczęły teraz wirować niczym kostka do gry; próbował znaleźć sposób, aby uwolnić się od tej niewygodnej towarzyszki podróży. Dookoła rozciągał się zalew, a statek utrzymywał swój samotny kurs...

Z minuty na minutę Baloueta coraz bardziej pochłaniała rzeczywistość. Raja podeszła do relingu; uchwyciła się barierki i nabrała głęboko powietrza, jakby zamierzała skoczyć do wody. Balouet rzucił się do niej, chwycił ją za ramię i powiedział – sam się dziwiąc własnym słowom: – Niech pani tego nie robi! Zawsze istnieje jakieś wyjście.

Rosjanka była zdumiona. – Czy pan naprawdę myślał, że chciałam skoczyć do wody? O nie! – Próbowała się roześmiać.

– Kozacy mają takie przysłowie: Ten, kto nie potrafi się utrzymać w siodle, nie powinien jeździć konno. – Jej głos brzmiał spokojnie i Balouet cofnął rękę. Było mu niemal wstyd, że chciał grać rolę ratownika.

Oboje usiedli na ostatniej ławce i patrzyli na wydeptany pokład, wreszcie Raja znów się odezwała: – Wy, ludzie Zachodu, jesteście zniewieściali; zbyt szybko się poddajecie. Walki człowiek uczy się tylko w socjalizmie.

Choć Balouet nie wiedział dlaczego, ale nie miał odwagi zaprzeczyć. Zachowanie Rai przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Ale cóż było rozsądnego w socjalizmie, oprócz jego podstawowej idei? Czy jego zachowanie, zachowanie „człowieka Zachodu”, jak się wyraziła Raja, było w jakimś sensie rozsądne? Uśmiezek zaigrał na jego twarzy, i choć Raja nie mogła go zobaczyć, natychmiast odpowiedziała.

– Pan mi nie wierzy, monsieur! Trudno. Proszę mnie źle nie zrozumieć: ja nie chciałam w ten sposób opowiadać się za socjalizmem. Ale podczas mego pobytu w krajach zachodnich nabrałam takiego przekonania, i boję się, że Zachód przegra wyścig o panowanie nad światem.

To dziwne, myślał Francuz, ta kobieta ryzykuje głową, aby nie wpaść w sidła sowieckich służb tajnych, a następnie wychwala socjalizm! Po raz drugi ogarnęły go wątpliwości, czy to wszystko nie jest perfekcyjnie wyreżyserowaną akcją Sowietów, czy KGB nie miała go na oku.

I tak ciągnęła się ich rozmowa, przerywana od czasu do czasu dłuższymi pauzami, podczas których oboje zapadali na krótką chwilę w drzemkę. W okolicy Kurusku, którą teraz pochłoniął zalew, wstawał nad wschodnim horyzontem początkowo niebieskawo-żółty, potem żółto-czerwony dzień. Tam, na południowym skraju wielkiego zakola Nilu, rozległa dal jeziora formowała się stopniowo w przesmyk z licznymi fiordami, a wraz ze światłem poranka wyłaniały się z wody osobliwe duchy wodne z falującymi mackami, które, kiedy się podpłynęło bliżej, okazywały się koronami najwyższych palm sterczących z wody.

Wraz z blaskiem w śpiących Egipcjan wstępowało życie. Najstarszy z nich spuścił na sznurku do wody powyginane wiadro, w którym następnie wszyscy po kolei odbywali poranną toaletę. Następnie wspólnie zwrócili się ku wschodzącemu słońcu i rozpoczęli modły. Balouet miał kilka małych bananów, które kupił na targu w Asuanie. Były bardzo słodkie. Poczęstował nimi Raję. Raja zniknęła na krótko pod pokładem. Kiedy wróciła, miała na sobie europejskie ubranie, bluzkę koloru khaki i wytartą spódnicę. – Miałam to na dole – powiedziała, aby uprzedzić pytanie Baloueta – myślę, że lepiej nie pokazywać się w Abu Simbel w takim stroju – pokazała ręką na zwinięty węzełek pod pachą.

Sternik roznosił herbatę w małych szklankach, i choć Balouet wzdragał się na myśl, że tę breję zrobiono z wody Nilu, wyciągnął po nią rękę. Raja podziękowała.

– Wygląda na herbatę – powiedziała Raja oschle. – Czy tak też smakuje?

– Nie najgorsza – odparł Balouet – tylko nie wolno myśleć o tym, z czego jest zrobiona.

Poranna rozmowa Egipcjan stała się tak głośna, że dwoje Europejczyków z trudem mogło się porozumieć. A to, co miał do powiedzenia Balouet, było niezmiernie ważne.

– Przemyślałem jeszcze raz całą sprawę. Uważam, że powinniśmy zachować w tajemnicy pani pochodzenie. Prawda mogłaby wywołać w Abu Simbel wielkie poruszenie. Bo jakby pani zareagowała, gdyby jakaś kobieta przyznała się pani, że ucieka przed Rosjanami?

Raja popatrzyła bezradnie: – Ma pan rację, monsieur, ale co mam robić?

– Niech pani zda się na mnie! – odparł Jacques Balouet pewnym głosem. Miał już ułożony plan.

Kamiński szybko zaaklimatyzował się w Abu Simbel. Miał dobre kontakty z ludźmi, już choćby dlatego, że był taki jak wszyscy. Mimo nacisku czasu panowała tam swobodna atmosfera, tak że tutaj mógł zrobić to, czego pragnął: zapomnieć. Przede wszystkim życzliwość Sergia Alinarda była mu bardzo pomocna. Prawie stale przebywali razem, w każdym razie częściej niż z innymi. To rzucało się w oczy.

Poza tym Sergio radził gorąco swemu przyjacielowi Arturowi, aby trzymał się z daleka od doktor Hornstein. Mimo pięknych oczu, tłumaczył mu, jest ona jak ryba i jeszcze żadnemu mężczyźnie na południe od Zwrotnika Raka nie udało się zbliżyć do niej, nawet doktorowi Heckmannowi, dziarskiemu kierownikowi szpitala. Ten śledził podejrzliwie każdy jej krok, nie zbliżył się jednak ani trochę do celu.

Jeśli chodziło o Kaminskiego, miał on nadzieję, że zapomni w Abu Simbel o kobietach. Nie spodziewał się, że spotka tu jakąkolwiek kobietę; zaskoczyła go obecność w obozie Helli Hornstein.

Kaminski nie umiał sobie wytłumaczyć, co go pociągało w Helli, gdyż przynajmniej zewnętrznie lekarka nie odpowiadała jego wyobrażeniom o godnej pożądania kobiecie. Wprost przeciwnie, była płaska jak deska, drobna, i wbrew panującej wówczas modzie na tapirowane włosy, nosiła krótkie czarne loki, co się Kaminskiemu wcale nie podobało. Czyżby podniecała go jej dwupłciowość, którą wzmacniał jeszcze jej niski głos palacza, albo to może jej nieprzystępność pociągała Kaminskiego w jakiś tajemniczy sposób? W każdym razie kiedy zgłosił się na zdjęcie szwów i kiedy po raz drugi spotkał Helle Hornstein, zapragnął, aby wyniknęła jakaś mała komplikacja, która by sprawiła, że konieczne okażą się dalsze spotkania. Ale nic z tego. Skończyło się na nic nie znaczącej rozmowie na temat jej miasta rodzinnego Bochum i obietnicy kontynuowania przy okazji tej rozmowy.

Okazja taka kazała na siebie czekać już kilka dni. W kasynie, gdzie Kaminski wraz z Alinardem i Lundholmem spędzał większość wieczorów, już po dwóch tygodniach tematy rozmów zaczęły się powtarzać i zapanowała owa nuda, znana Kaminskiemu z budów w Jeddah i Persji.

Pewnego wieczora – Alinardo tego dnia pracował na innej zmianie – Kaminski

zobaczył przez okno swojej kwatery, że do kasyna zdążają odświętnie ubrani ludzie, co, jak słyszał, było w zwyczaju tylko na Wielkanoc albo na Boże Narodzenie. Nie znając przyczyny owej gali, sam również wbił się w szary garnitur, włożył białą koszulę i krawat.

Początkowo myślał, że przyszedł za późno, bo kiedy przestąpił próg kasyna, było ciemno. Poczł się jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy na prowizorycznie rozpostartym ekranie zobaczył migający film. Tytułu nie mógł sobie potem przypomnieć (chodziło w nim o historię kobiety, która miała jednocześnie dwóch mężczyzn), ponieważ to, co działo się poza ekranem, było znacznie ciekawsze niż sam film. Kiedy bowiem Kaminski w półmroku usiadł na jednym z wolnych miejsc, rozpoznał obok siebie Hellę Hornstein.

Kopia filmu miała już za sobą liczne projekcje, tak że przez cały czas na ekranie padał deszcz jak podczas monsunu. Ale Kaminski mało się tym przejmował, ponieważ był zajęty głównie obserwowaniem kątem oka kobiety na krześle obok; nie odwracał przy tym głowy od ekranu. I kiedy na ekranie jakiś nauczyciel przyrody albo przedstawiciel podobnego, związanego z naturą zawodu głosił banały na temat stosunków międzyludzkich, lekarka pokazała naraz palcem na ekran i szepnęła: – Tam na przodzie gra muzyka, panie Kaminski!

Kaminski poczuł się przyłapany. Przypuszczalnie zrobił się nawet czerwony, ale na szczęście nikt tego nie mógł zobaczyć w półmroku. A więc ta kobieta zauważyła, że ją obserwował.

Kiedy film się skończył, Kaminski zaprosił Hellę Hornstein na drinka, ale lekarka odmówiła. Nie spodziewał się niczego innego. W końcu zaproponował, że odprowadzi ją do domu, i spodziewał się kolejnej odprawy, jednak ku swemu zdumieniu lekarka się zgodziła. Z powodu dzikich psów, jak powiedziała, które nocą wałęsają się po obozie.

Noc sprzyjała budzeniu się romantycznych uczuć nawet u takiego trzeźwo myślącego inżyniera budowlanego jak Artur Kaminski. Nigdy jeszcze nie widział tak wielkiego, jasnego i rozległego nieba jak w Abu Simbel. Wydawało się, że lśni na nim dwa razy tyle gwiazd niż gdzie indziej i że świecą one podwójnie jasno. Jak olbrzymi porowaty namiot, przez który wdziera się ostre słońce. Nad nimi rozpościerało się rozgwieżdżone niebo. Panowała cisza. Tylko niekiedy słychać było huk koparek i buldożerów, dochodzący z placu budowy po drugiej stronie wzniesienia. Wóz terenowy przejechał drogą i skręcił do obozu robotników. Potem słychać już było tylko skowyt dzikich psów, które przemykały od domu do domu w poszukiwaniu resztek jedzenia. Wciąż jeszcze było trzydzieści stopni ciepła; w

porównaniu z temperaturą dnia, która wynosiła czterdzieści pięć do pięćdziesięciu stopni, tę temperaturę odczuwało się niemal jak chłód.

Przez chwilę Kaminski i Hella Hornstein szli w milczeniu obok siebie aż do oświetlonej stacji transformatorów. W porównaniu z migocącym namiotem gwiazd latarnie uliczne rzucały na skraj drogi tylko słabe światło. Hella przez cały czas miała ręce założone do tyłu, przez co stwarzała wrażenie niedostępnej; Kaminskiemu przysła nagle na myśl jego dawna nauczycielka, która w takiej właśnie postawie dyktowała uczniom ćwiczenia. I oto Hella Hornstein z twarzą zwróconą ku niemu jak lunatyczka, zaczęła mówić: – Bądźże pozdrowione, oko Horusa, które swoją pięknnością raduje bogów, kiedy wznosisz się na wschodnim niebie.

Kaminski przystanął i słuchał jej słów. Nie wierzył własnym uszom, kiedy jego towarzyszka mówiła dalej: – „Izis, twoja siostra, przychodzi do ciebie, Horusie światła, uszczęśliwiona twoją miłością. Ty sadzasz ją na swoim fallusie, a twoje nasienie wnika w nią...” – Potem Hella odwróciła się i spojrzała na Kaminskiego: – Mam nadzieję, że pana nie przestraszyłam?

– Oczywiście że nie! – wyjąkał Kaminski zakłopotany. – Słuchałem pani uważnie. To brzmiało bardzo poetycko, naprawdę. – Wydało mu się, jak gdyby nieosiągalna dotąd lekarka zmieniła się w całkiem inną kobietę. Nagle straciła swój chłód, a powaga w jej postawie ustąpiła miejsca czemuś w rodzaju dumy, która wyrażała poczucie własnej wartości.

– Zdania te pochodzą z egipskiej Księgi Umarłych – ode zwała się niezwykła kobieta, a Kaminski po raz pierwszy ujrzał ją uśmiechniętą: – Ma ona ponad trzy tysiące lat.

– Naprawdę fascynujące! – zapewnił Kaminski, tylko po to, aby podtrzymać rozmowę: – Gzy interesuje się pani historią Egiptu?

Choć doktor Hornstein musiała usłyszeć pytanie, nie odpowiedziała. Odchyliła głowę w tył, spojrzała niemal prostopadle w niebo i powiedziała: – Według wyobrażeń dawnych Egipcjan na nocnym niebie dusze zmarłych spotykały nieśmiertelnych bogów. Wspólnie wirowały z nimi po Drodze Mlecznej i w nieskończonym Kosmosie...

Kaminski również zwrócił głowę w górę i poddał się uroczystemu migotaniu gwiazd. – Pięknie powiedziane – stwierdził, i tym razem rzekł to szczerze: – Czy pani wie coś więcej na temat świata myśli dawnych Egipcjan? Ja wiem bardzo niewiele.

– Szkoda – odpowiedziała Hella Hornstein, ale jej głos nie zdradzał nawet śladu

zdziwienia. Zdawało się, że potraktowała jego wyznanie raczej jako prośbę o to, aby mu coś więcej opowiedzieć. – Dawniej ludzie tego kraju wierzyli, że człowiek rodzi się na wschodzie, a jego dusza w ciągu życia wędruje po niebie na zachód, zawsze zgodnie z biegiem Słońca, aż wreszcie zanurza się w mrokach nocy i przyjmuje postać innej istoty. Z tego powodu wszystkie groby i świątynie grobowe są umieszczone na zachodnim brzegu Nilu.

Kaminski zastanawiał się. – Także Abu Simbel jest położone za zachodnim brzegu Nilu, choć Ramzes wcale nie jest tu pochowany.

– Zgadza się – odparła lekarka – ale to ma inną przyczynę. Chodźmy już, jest późno, chcę wrócić do domu.

Mężczyzna nie rozumiał, dlaczego głos Helli Hornstein zmienił się tak bardzo z minuty na minutę. Naprawdę nie rozumiał tej kobiety, ale udawał, że wcale nie zauważył tej zmiany. Ona zaś dreptała w milczeniu obok niego jak posłuszny pies.

Dla Kaminskiego nie ulegało wątpliwości, że wbrew wszelkim postanowieniom pragnie mieć tę kobietę, musi ją mieć – niech się dzieje, co chce. On sam posiadał niewątpliwie dość zalet, aby być atrakcyjny w oczach takiej kobiety jak Hella. Tak sobie myślał, ale w tej samej chwili ogarnęło go niepokojące uczucie, że nawet tu, na pustyni, może go dopaść jego przeszłość.

W milczeniu, jak na początku drogi, zbliżali się do domu Helli, niskiego kamiennego budynku o dachu w kształcie trzech murowanych półkul – genialny wynalazek, który bezlitosnemu słońcu uniemożliwiał przeniknięcie do wnętrza, a tym samym zapobiegał nagrzanemu się pomieszczeń. Doktor Hornstein mieszkała tu z dwiema siostrami i pielęgniarzem ze szpitala, w odległości rzutu kamienia od swego miejsca pracy. Dookoła domu wznosił się mur sięgający do kolan, zbudowany z piaskowca łączonego bez zaprawy. Mur ten służył jako ochrona przed piaskiem, który już przy najmniejszym podmuchu wiatru nawiewał niczym śnieg w górach.

– Panie Kaminski!

Kaminski nie znosił, kiedy się zwracano do niego tak oficjalnie, ale nie okazał, jak bardzo drażni go niechęć tej kobiety. W jakimś sensie ów urzędowy ton odpowiadał sposobowi bycia, który doktor Hella zazwyczaj manifestowała na co dzień; jednak Kaminski czuł, że za tą oschłością kryje się całkiem inna kobieta.

– Niech pan popatrzy, o tam! – Chwyciła Kaminskiego za ramię, a twarz zwróciła w stronę oświetlonego wejścia do domu.

Wił się tam w piasku wąż grubości ręki, rzucał się, jak gdyby cierpiał straszliwe bóle. A kiedy kłębek się rozwinął, Kaminski ujrzał, że wąż szeroko otworzył pysk,

tak szeroko, że obie szczęki uwolniły się z więzów; gardziel sprawiała wrażenie, że się rozedrze. Z pyska węża wystawał zad kota w rudo-białe łaty. Tylne łapy i ogon zwierzęcia były wyraźnie widoczne, a przy każdym ruchu połykania zdobycz zniknęła o kilka centymetrów w gardzieli gada.

– Szuszu! – Hella krzyknęła i Kaminski pojął, że zdobyczą węża był kot lekarki. Nie wiedział, jak to się stało, ale nagle Hella rzuciła mu się w ramiona i ukryła głowę na jego piersi. – Szuszu! – powtarzała bez przerwy.

Kaminski wolałby, aby gest taki nastąpił w innych okolicznościach, bo w tej sytuacji zbliżenie nie sprawiło mu żadnej przyjemności i starał się uwolnić z uścisku. Należało coś przedsięwziąć.

– Broń! – zawołał Kaminski. – Czy ktoś ma broń?

Hella wzruszyła ramionami, patrzyła bezradnie.

– Czy pani ma siekiere?

Z sąsiedniego domu nadszedł, zaalarmowany nocnym krzykiem, służący egipski. Rzucił zaleźnione spojrzenie na węża, następnie popatrzył na Kaminskiego i powiedział: – Nóż, mister! – I rozpostarł przy tym obie ręce na długość jednego metra.

– Dobrze! – zawołał Kaminski. – Dawaj! Ale prędko!

Służący wrócił biegiem do domu. Po niedługim czasie wrócił z potężną zakrzywioną szablą, taką, jaką można kupić na arabskich bazarach. Kaminski ujął broń w obie ręce. Nie wahając się, podszedł ostrożnie do węża. Ten wciąż jeszcze wykonywał energiczne ruchy. Z jego pyska wystawał już tylko ogon kota – obrzydliwy widok.

Kaminski podniósł szablę obiema rękami nad głowę. Potężnym uderzeniem przepołowił monstrum. Krew opryskała i zabarwiła na czarno zakurzony piaszczysty grunt przed domem. Ale z węża pozostały teraz dwie części, z których każda żyła własnym życiem. Zwijały się i pełzały po piasku i nie zdradzały ani śladu zmęczenia. Kiedy Kaminski zobaczył to, zamierzył się raz, drugi, trzeci i czwarty na poszczególne części węża, aż roztrzaskał je niemal na miazgę. Wreszcie rzeź skończyła się.

Hella obserwowała to ponure przedstawienie z bezpiecznej odległości. Przycisnęła ręce do ust.

– Co za straszliwy znak! – powiedziała.

W obozie działo się niewiele, o czym warto było mówić, w gruncie rzeczy zawsze te same tematy; dlatego wieść o bohaterskim wyczynie Kaminskiego rozeszła się szybko. Wychwalano go tak, jakby chodziło nie o węża, lecz o smoka, i jakby ofiarą zwierzęcia padł nie kot lekarki, lecz ona sama. Tylko ze strony Helli Hornstein nie było żadnej reakcji. Czyżby zrobił coś niewłaściwego?

Nawet jeśli ta kobieta cierpiała z powodu utraty ukochanego kota, to przynajmniej należało mu się choć słowo uznania za jego postawę. Ale milczenie Helli było tylko jedną z wielu tajemnic, które otaczały tę kobietę. Przez krótką chwilę Kaminski zastanawiał się, czy by jej nie zapytać wprost, co zrobił niewłaściwego, z czego powinien się wytłumaczyć; ale potem poniechał tej myśli, a w każdym razie chwilowo ją odsunął.

Prace w Abu Simbel, oznaczone kryptonimem „Świątynia”, weszły tymczasem w decydującą fazę. Lundholm ze swymi ludźmi wypompował wodę, która się wdarła. Zapora wytrzymała. Teraz mogła się rozpocząć właściwa praca.

Archeolodzy i inżynierowie zgadzali się w opinii, że przez fasadę większej świątyni należy przeprowadzić dziesięć pionowych cięć, a cztery kolosy – zależnie od wielkości – przepiłować na dwanaście do czternastu bloków o wadze od dziesięciu do trzydziestu ton. To oznaczało powiększenie planowanych uprzednio rastrów, miało też jednak swoje zalety. Po pierwsze wpływało na przyspieszenie prac, po drugie archeolodzy cieszyli się, że poszczególne części będą w miarę duże.

Największe problemy stały się teraz przed Sergiem Alinardem i Kaminskim. Alinardo potrzebował dłuższych i twardszych taśm piłujących. Miał też zastrzeżenia do sztucznej żywicy, którą chciano umacniać stalowe kotwice w poszczególnych blokach; kotwice te miały służyć do przenoszenia pociętych elementów świątyni. Czy wytrzymają ciężar trzydziestu ton? Kaminski wzmocnił fundamenty, na których miał stanąć dźwig. Ciężarówki zostały przystosowane do transportu trzydziestotonowego ładunku; Kaminski kazał wysmołować drogę pustynną do położonego wyżej składowiska, aby uniknąć wstrząsów podczas transportu.

Jego poprzednik nazwiskiem Mösslang ustawił przy drodze w pobliżu miejsca budowy barak wielkości trzy na cztery metry, wydany bezlitośnie na działanie

słońca. Ściany i podłogi baraku były wykonane z surowego drewna, podobnie jak dach. W baraku tym Kaminski spędzał część swego dziesięciogodzinnego dnia pracy w temperaturze około pięćdziesięciu stopni; albowiem każda czynność musiała być udokumentowana – wymagało to dużej koncentracji, a Jacobi nalegał na pośpiech.

Dziesiąty października 1965. Tego ranka na placu budowy panowało dziwne napięcie. Widać było więcej ludzi niż zazwyczaj. Nawet robotnicy, którzy mieli nocną zmianę, ociągali się z powrotem do obozu. Alinardo wraz ze swymi sześcioma najlepszymi ludźmi dokonał poprzedniej nocy trzech pierwszych cięć, następnego ranka wwiercił w bloki stalowe kotwice, uszczelniając otwory sztuczną żywicą, która twardniała dwadzieścia cztery godziny. Doba minęła. Nad pierwszym kolosem unosiła się na dwóch hakach dźwigu stalowa szyna. Do niej miały być teraz przymocowane stalowe kotwice.

Silniki dźwigu dudniły na jałowym biegu. Kaminski dyrygował operatorem dźwigu za pomocą radiotelefonu. Na głowie pierwszego kolosa stali dwaj egipscy robotnicy i wykonywali zapierające dech w piersi akrobacje, kiedy przyśrubowywali grube kotwice do szyny. Odległość do Kaminskiego, który znajdował się u stóp kolosa, wynosiła trzydzieści metrów w linii prostej.

Kaminskiego otaczali ludzie. Obok niego stali Jacobi, kierownik budowy, inżynier Hein Lundholm oraz archeolodzy: Hassan Muchtar, Istvan Rogalla i Margret Bakker. Z Kairu przybyli minister budownictwa Kamal Maher i Ahmed Abd al-Kadir, dyrektor Muzeum Egipskiego. Jacques Balouet jako kierownik biura prasowego starał się trzymać w szachu tuzin dziennikarzy, fotoreporterów i sprawozdawców.

Większość robotników opuściła swoje stanowiska pracy, aby z bliska obserwować widowisko. Na drodze przed świątynią czekała specjalna ciężarówka o niskim podwoziu, z rusztowaniem z drewnianych belek, na którą, jeśli wszystko dobrze pójdzie, zostanie spuszczone odpiłowany z góry blok.

Kaminski wydawał komendę z opanowaniem człowieka przyzwyczajonego do transportowania wielotonowych ciężarów. – Niżej, niżej, skrócić w lewo, stop! – Ciężka szyna opadała powoli nad stalowe kotwice, przyśrubowane do wielkiego bloku. Robotnicy używali do tego kluczy grubości ręki.

– Zdaję się na pana! – szepnął profesor Jacobi do Artura Kaminskiego.

– Dobrze, dobrze! – zaśmiał się inżynier. – A ja pokładam całą moją ufność w Alinardzie.

– Dlaczego we mnie? – zawołał Włoch z tyłu.

Kaminski odwrócił się. Chciał powiedzieć: „Bo ty i twoja praca to jedyne niepewne elementy w tym przedsięwzięciu. Wszystko inne to wyliczenia. Ale jeśli twoje kotwice nie wytrzymają, wówczas blok spadnie i rozprysnie się na tysiące kawałków.” Ale nie powiedział tego, bo wśród zebranych spostrzegł Hellę Hornstein. Samo jej zjawienie się mniej go chyba zdumiało niż ręce, które ku niemu wyciągnęła, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jestem z panem – życzę wszystkiego dobrego.”

W radiotelefonie Kaminskiego rozległ się meldunek pochodzący z góry, od głowy kolosa: – Gotowe!

– Okay – odpowiedział Kaminski – uciekajcie!

Nad grubą drewnianą deską, pomiędzy głową jednego kolosa a fryzurą drugiego, balansowali obaj robotnicy niczym tancerze na linie. Machali na dół rękami niczym dwaj bohaterowie po wygranej bitwie. Ale prawdziwa przygoda dopiero ich czekała.

Kaminski trzymał swój radiotelefon tuż przy ustach: – W górę, w górę, w górę – komenderował po cichu. Lina nośna napięła się, zaczęła drgać. Wyciągnięte ramię podnośnika zdawało się również drgać. Silniki ryczały jak dręczone wielbłądy i Kaminski, który teraz nie panował już nad swoimi nerwami, zawołał głośno do radiotelefonu: – W górę, w górę, do cholery, w górę!

I oto głowa faraona zaczęła się oddzielać od tułowia i unosić w powietrzu; podnosiła się w górę najpierw niezdecydowanie, potem coraz prędzej, aż wreszcie podskoczyła w powietrze jak ryba schwytana na wędkę. Kaminski doznał niepowtarzalnego uczucia.

Robotnicy u stóp świątyni wydawali jeden przez drugiego dzikie okrzyki, ponieważ wiedzieli, że teraz czekał ich najbardziej niebezpieczny etap całego przedsięwzięcia. Kaminski wydał rozkaz i długi podnośnik derricka odwrócił się powoli w lewo, a dwudziestotonowy blok zaczął się przy tym poruszać, co wskutek działania siły odśrodkowej zwiększało jego ciężar. Ponieważ dźwig stał dosyć blisko świątyni, podnośnik musiał odwrócić się o 270 stopni w lewo, aby ładunek opuścić na ciężarówkę.

Poruszanie się głowy faraona na linie dźwigu i spowodowana tym zmiana oświetlenia powodowały, że uśmiech na twarzy posągu był bardziej żywy niż w jego statycznej postawie. Na widzów działało to raczej przytłaczająco. Bali się odezwać. Na placu budowy słychać było tylko komendę Kaminskiego. Następnie głowa faraona zawisła nad ciężarówką.

– Opuścić! – zawołał Kaminski do słuchawki. Kilkakrotnie skierował

wyciągnięty daleko podnośnik na lewo i na prawo, następnie umieścił wielotonowy ciężar na rusztowaniu samochodu transportowego.

Przez chwilę panowała cisza. Wyglądało tak, jakby ludzie, obserwujący widowisko, musieli dopiero oswoić się z myślą, że to nie był sen, lecz jawa. Ale potem wybuchła ogromna wrzawa.

Mężczyźni padali sobie w ramiona, inni tarzali się w piasku i wyrzucali w powietrze chmury kurzu. Teraz było już pewne: akcja w Abu Simbel powiodła się.

Z boku, w cieniu kolosa bez głowy, stała Hella Hornstein. Przyglądała się radosnemu zgietkowi wokół Kamńskiego; jednak jej zdawało się to wcale nie poruszać. Kiedy inżynier ją dostrzegł, uwolnił się od rozentuzjasmowanego tłumu gratulujących i podszedł do lekarki.

– Długo pani nie widziałem – powiedział zakłopotany.

Hella wyciągnęła do niego rękę i powiedziała w niepowtarzalny sposób: – Gratuluję, wspaniale pan to wykonał. Precyzyjna robota!

Kamński ujął jej dłoń, ale doznał przy tym nieprzyjemnego uczucia chłodu. Od owego nocnego spotkania z wężem, po którym lekarka nie wyraziła mu nawet słowa podziękowania, starał się wielokrotnie wybić sobie ją z głowy. Przede wszystkim dlatego, że niezwykła fascynacja tą kobietą pozbawiła go wielu godzin snu.

Kamński szybko więc puścił jej dłoń; wymamrotał jakieś obojętne słowa podziękowania i poradził doktor Hornstein, aby opuściła plac i obserwowała przebieg akcji z baraku położonego nieco dalej.

Tymczasem ciężarówka ruszyła, najpierw centymetr po centymetrze, następnie z szybkością około pięciu kilometrów na godzinę. Trwało ponad godzinę, zanim ciężki pojazd dotarł na miejsce składowania, położone na płaskim wzniesieniu.

Przez plac poprowadzony był system szyn. Żuraw portalowy mógł się zatrzymać w każdym miejscu i rozpostrzeć swe macki niczym ośmiornica nad przybywającym ładunkiem, a następnie unieść blok z ciężarówki. Na głowie faraona wypisano farbą kod: GA1A01.

Każdy blok kamienny, który w ciągu następnych dwóch lat miał być transportowany obok baraku Kamńskiego, posiadał taki numer. GA1A17. Kamień numer siedemnaście miał odmienić jego życie w nieoczekiwany sposób.

Po dziesięciu dniach i nocach pracy uwieńczonej sukcesem dalej wszystko przebiegało rutynowo. Stalowe kotwice wytrzymywały ciężar. Alinardo wykonywał przy pomocy swoich ludzi precyzyjną robotę. Podniesienie bloku, załadowanie i odtransportowanie na składowisko trwało trzy do czterech godzin.

Blok GA1A17, część stopy kolosa, początkowo nie sprawiał żadnych trudności. Kaminski przekazał dowództwo swemu brygadziście, Karlowi Thiery. Wszystko przebiegało ściśle według planu, jednak napięcie, które od początku panowało na placu budowy, nie ustąpiło, i całe przedsięwzięcie tym właśnie różniło się od wszystkich innych, przy których Kaminski dotychczas pracował.

Tego ranka Kaminski siedział w swoim baraku pochylony nad planami cięć, które mu przedłożył Alinardo. Miejsca owych cięć były wówczas przedmiotem tarć i sprzeczek między robotnikami, archeologami i inżynierami. Robotnicy, którzy przecinali bloki, chcieli, aby części były jak najkrótsze, archeologom zależało, aby tych części było jak najmniej (co oznaczało oczywiście większe bloki), dla inżynierów zaś ze względu na transport najwygodniejsze były bloki bardzo małe. Dyskusje na temat jednego cięcia trwały niekiedy całe godziny i kończyły się przeważnie kompromisem.

Podczas gdy Kaminski zastanawiał się nad planami cięć, pierwsza tego dnia ciężarówka zbliżała się z wielotonowym ładunkiem. Znał zgrzyt silników na drodze prowadzącej pod górę, który się regularnie powtarzał, i dlatego nie zaprzętał sobie tym głowy. Jednak teraz warkot nagle umilkł. Rozległ się ogłuszający pisk, zgrzyt hamulców hydraulicznych, trzask rozpadających się na kawałki belek, następnie huk grzmotów, podobny do trzęsienia ziemi.

Barak zadrżał, jakby uderzył w niego cyklon, i w tej samej chwili niewielkie pomieszczenie wypełniło się kurzem jak podczas wybuchu gazu. Kaminski przycisnął dłoń do ust; kasłał i wypluwał żółty kurz, następnie dopadł drzwi i wybiegł na zewnątrz.

Zobaczył ciężarówkę, która stała w odległości rzutu kamieniem. Obok leżał blok GA1A17, jak wieloryb na mieliźnie. Rusztowanie z belek zsunęło się z pojazdu i roztrzaskało. Kaminski oniemiały mrużył oczy w słońcu; nie pojmował, dlaczego wypadek spowodował w jego baraku taką chmurę podobną do eksplozji,

podczas gdy blok leżał o trzydzieści metrów dalej, a w powietrzu nie było śladu pyłu.

Z szoferki ciężarówki wyszedł Ali, młody Egipcjanin, który uchodził za niezawodnego pracownika. Trzymał się za głowę, a kiedy ujrzał Kaminskiego, zawołał do niego z daleka: – Ali nie zawinić, mister, to kot zawinić! – i próbował wyjaśnić Kaminskiemu, że drogę przebiegł mu wałęsający się bezpański kot, on zahamował i stało się. – Ali nie zawinić, mister!

Oprócz odpadnięcia paru nieistotnych nadkruszonych kawałków, które na czas transportu były zabezpieczone taśmą klejącą, blok GA1A17 wyszedł z wypadku cało. Podnoszenie wykruszonych części z piaszczystego podłoża trwało jednak do późnych godzin nocnych. Na miejscu wypadku pozostał w ziemi głęboki krater. Potem Kaminski siedział znów w baraku nad swoimi planami. Był zmęczony i chciał już pójść do domu, ale wciąż nie mógł przestać myśleć o eksplozji kurzu, niezwykłym zjawisku, dla którego nie było racjonalnego wytłumaczenia.

Kiedy się odwrócił, w drzwiach stał Lundholm: – Długi dzień dzisiaj – stwierdził przyjaznym tonem i dodał: – Jeszcze raz wszystko dobrze poszło, prawda?

Kaminski skinął głową, zwinął swoje plany i wstał. – Ale mogło się nie udać – powiedział, podchodząc do Lundholma. Dopiero teraz poczuł ulgę i napięcie ustąpiło. Następnie zapytał Szweda obojętnie: – Ile czasu stoi tu ten barak?

Lundholm postukał dłonią w drewniane ściany, jak gdyby chciał sprawdzić stan budynku, i odpowiedział: – Około roku. Czy nie odpowiada twoim wymaganiom? To zrozumiałe. Budynek z kamienia lepiej chroniłby przed upałem. Niech Jacobi wyda zezwolenie.

– A kto postawił barak akurat w tym miejscu?

– Mösslang, twój poprzednik. Ale dlaczego zdecydował się akurat na to miejsce, nie potrafię ci powiedzieć. Musiałbyś go sam zapytać. Ale to jest już niemożliwe.

– Dlaczego?

– Mösslang nie żyje. Prawdopodobnie się utopił. Ale dla czego pytasz?

Pytania Kaminskiego były dla Szweda najwidoczniej nieprzyjemne. Wszyscy w obozie niechętnie rozmawiali o Mösslangu. – Jeśli się interesujesz tym człowiekiem – dodał Lundholm niechętnym tonem i odwrócił się ku wyjściu – to zapytaj o niego doktor Hornstein.

Obok przejechała z hukiem ciężarówka, rzucając oślepiające światła reflektorów, i Kaminski mógł jeszcze zobaczyć, jak Szwed wskoczył na stopień

pojazdu i wdrapał się do szoferki. Kaminski ujrzał znikające w ciemności tylne światła samochodu. Wszedł do baraku.

Wciąż jeszcze czuć tam było woń kurzu. Lampka gazowa syczała monotonie. Kaminski usiadł na drewnianym krześle. Duszący upał panujący w pomieszczeniu wyciskał z niego pot wszystkimi porami; był zmęczony jak pies. Wypadek przed południem i słowa Lundholma sprawiły, że jego ciekawość rosła. Miał wrażenie, że trafił na ślad jakiejś tajemniczej historii.

Zatopiony w myślach mierzył wzrokiem drewniane ściany baraku, ale nic szczególnego nie rzucało mu się w oczy. Nagle spojrzął na podłogę i zauważył, że była ułożona z luźnych desek. Wszystkie pozostałe budynki porozrzucone na terenie obozu i placu budowy miały podłogi wylewane betonem.

Kaminski wstał. Zamknął drzwi, żeby uchronić się przed nieproszonymi gośćmi; następnie wziął dłuto, jedyne dostępne w tej chwili narzędzie w biurze, i wsadził je w szparę pomiędzy dwiema deskami. W ten sposób mógł podnieść jedną deskę, potem drugą i trzecią, wreszcie fundament baraku był odsłonięty na szerokość jednego metra.

Podłoże było podobne do żwiru na nasypie kolejowymi w żadnym razie nie nadawało się jako fundament. Gołymi rękami Kaminski odsunął na bok kilka kamieni. Natknął się przy tym na surowe deski, jakich pełno było wszędzie na budowie. Ktoś przykrył nimi niedbale szyb albo dziurę w ziemi, gdyż pomiędzy poszczególnymi deskami pozostały szpary grubości palca.

Kaminski zsunął jeden kamień i nasłuchiwał odgłosu, który ten wywołał. Echo pozwalało się domyślać, że na końcu szybu głębokości kilku metrów podest albo schody prowadziły do poziomego przejścia. Kaminski przerwał pracę: przez krótką chwilę wyobraził sobie, że dokonał ważnego odkrycia, podobnie jak Schliemann albo Howard Carter, że wydobył na światło dzienne coś, co przez tysiąclecia było niedostępne oczom ludzkim. Nie była to myśl wzniosła, raczej nieprzyjemna, i wprawiła go w niepokój jak jakaś ponura groźba.

Ale w tej samej chwili zrozumiał, że już ktoś inny przed nim musiał trafić na trop tej tajemnicy, ktoś, kto całkiem świadomie zakrył ten szyb i zbudował nad nim barak. Zdaniem Kaminskiego, w grę mógł tu wchodzić jedynie Mösslang, ów tajemniczy mężczyzna, który „przypuszczalnie” – jak się wyraził Lundholm – utopił się, w każdym razie zginął.

Kaminski najchętniej odsunąłby na bok całą warstwę kamieni i natychmiast wszedł do szybu, ale po chwili postanowił przemyśleć całą sprawę. Musiał się liczyć z tym, że wchodzi w drogę komuś innemu, jakiemuś nieznanemu

poszukiwaczowi przygód albo koledze z obozu. Nie można też było wykluczyć, że chodziło tu o coś całkiem innego, o jakąś starą cysternę albo grób beduina – a może o skład broni? Lepiej się nie spieszyć. A więc nasunął żwir z powrotem na belki i zakrył drewnianą podłogę baraku, pozostawiając jednak ukryty znak, który miał mu ewentualnie wskazać, czy ktoś inny manipulował przy deskach.

W ciągu następnych dni Kaminski starał się zdobyć trochę więcej informacji o swoim poprzedniku, Mösslangu, ale spotykał się przeważnie z potrząsaniem głową albo wzruszaniem ramionami, albo też jemu zadawano pytanie, dlaczego tak bardzo interesuje się tym człowiekiem. Ponieważ zaś ani w baraku, ani w pobliżu małej świątyni Kaminski nie trafił na żaden znak, który by mu wskazywał, że ktoś jeszcze prócz niego stara się rozwikłać tajemnicę, postanowił sam zejść do szybu i w tym celu przygotował odpowiednie narzędzia i opracował szczegółowy plan.

Zdarzyło się, że jeszcze tego samego dnia Kaminski spotkał na budowie archeologa doktora Muchtara i zagadnął go w sprawie, która go najbardziej interesowała w związku z odkryciem.

– Już dawno chciałem pana o to zapytać, panie doktorze – zaczął Kaminski z pozorną obojętnością – czy uważa pan mianowicie za możliwe, abyśmy podczas robót budowlanych dokonali jakiegoś nieoczekiwanego odkrycia? Pytam pana, bo jeśli tak, to musimy postępować ostrożniej!

Wysoki Muchtar roześmiał się i odpowiedział: – Rozumiem, że chciałby pan stać się sławny jak Howard Carter w związku z odkryciem Tutanchamona. Nie, mister Kaminski, muszę pana rozczarować, Abu Simbel to nie Dolina Królów, ale nawet i tam dokonuje się odkrycia raz na sto lat. Pozwolę sobie jednak na małą uwagę – Muchtar podszedł całkiem blisko do Kaminskiego – naprawdę sławny może pan się stać wówczas, jeśli wzorowo wykona pan tu swoje zadanie. Być może jeszcze za sto lat będzie się o panu mówiło...

Nieżyczliwa uwaga dotknęła Kaminskiego i postanowił odwdzińczyć się Egipcjaninowi w stosownej chwili. – Pan mnie błędnie zrozumiał – odparł Kaminski – wcale nie zamierzam stać się tu sławny. Przede wszystkim chcę zarobić pieniądze, nic więcej. Sławę chętnie pozostawię archeologom. Przyszło mi tylko na myśl, czy przypadkiem...

– Nic na tym świecie nie dzieje się przypadkiem, powiada arabski poeta, a samo słowo „przypadek” jest bluźnierstwem wobec Boga – powiedział Muchtar.

– No dobrze! – Niemiec próbował uspokoić Egipcjanina. – Wobec tego odkrycie grobu faraona przez Cartera to nie był przypadek.

Muchtar stwierdził z zadowoleniem: – Nie, to nie był przypadek.

Od strony świątyni zbliżała się ciężarówka z nowym blokiem i Kaminski odciągnął archeologa za ramię na bok: – Zabrania się przebywania w pobliżu pojazdów. Niech pan to sobie zapamięta, doktorze!

Muchtar zrobił niechętny ruch ręką, i kiedy przejeżdżała ciężarówka z kamiennym blokiem, bąknął, że gdyby kamień spadł teraz z przyczepy i go zmiążdżył, to także nie byłby przypadek. Wszystko bowiem jest wolą Allaha.

Kaminski nie rozumiał, dlaczego to niewinne pytanie tak rozdrażniło Egipcjanina i przyszła mu do głowy myśl, że być może Muchtar wie o tajemnicy, jaką kryje barak. Po krótkim zastanowieniu zebrał się na odwagę i zapytał: – Czy pan znał Mösslanga?

Mösslanga? – odpowiedział Egipcjanin pytaniem i zrobił długą przerwę. Następnie powiedział, potrząsając głową: – Czy go znałem? Tak samo jak pana, to znaczy bardzo mało. Mösslang był samotnikiem, typowym Europejczykiem. Sam sobie wystarczał, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Kaminski skinął głową potakująco, choć ani rusz nie mógł sobie wyobrazić, co Muchtar chciał przez to powiedzieć.

Ten zaś próbował możliwie szybko zmienić temat i znów przybrał przyjacielski ton: – Widzi pan, człowiek chętnie skłania się do stwierdzenia, że w życiu wiele rzeczy jest przypadkiem. A co się tyczy angielskiego archeologa Cartera, to wielu twierdziło, że przypadkowo natknął się na kamienne stopnie, które prowadziły do grobu faraona. W rzeczywistości zaś Carter pół życia poszukiwał tego wejścia, znajdował wskazówki, które go utwierdzały w jego przekonaniu, i dlatego nie rezygnował. Jeśli to nazywa pan przypadkiem, mister Kaminski...

Hassan Muchtar chyba miał rację, ale czy musiał tak nerwowo zareagować?

– Także odkrycie Abu Simbel mógłby pan uważać za przypadek – zaczął Muchtar na nowo – a jednak u podstaw tego odkrycia leży śmiały plan pewnego człowieka. Był to Niemiec albo Szwajcar, w każdym razie Europejczyk, który na początku ubiegłego stulecia czytał o pełnych złota świątyniach w Nubii, przysypanych masami piasku. Starożytni Rzymianie byli podobno ostatnimi Europejczykami, którzy widzieli te świątynie. Człowiek ów wyruszył z przewodnikiem i dwoma wielbłędami, a kiedy zagroził mu brak pożywienia, postanowił wędrować jeszcze jeden dzień. W tym dniu znalazł Abu Simbel. Świątynie nie wyglądały oczywiście tak jak dziś, były zasypane aż po dach piaskiem. Ale Burckhardt – bo tak nazywał się ów szaleniec – odnalazł Abu Simbel. Że odkrył on cały zespół świątynny wielkiego Ramzesa, tego Europejczyk oczywiście nie wiedział. Nie miał też pojęcia, że w świątyni nie ma ani grama

złota.

– A grób króla?

Muchtar zaniósł się śmiechem, który wyrażał przewagę wiedzącego nad niewiedzącym.

– Mister Kaminski – odpowiedział – Ramzes został tak jak wszyscy faraonowie Nowego Państwa pochowany w Dolinie Królów. I jest ironią losu, że najważniejszy król Egiptu i jeden z największych twórców historii spoczywa w grobie, który jest niegodny nawet jego ministra.

– A może zmarł on tak nagle, że nie było czasu na zbudowanie mu grobu?

– Myśli pan o Tutanchamonie; to jego coś takiego spotkało. Jednak jego grób został bardziej bogato wyposażony niż grób wielkiego Ramzesa.

– Czy może mi pan to wytłumaczyć?

– Oczywiście, mister Kaminski – Muchtar pochylał się i narysował palcem na piasku dwa znaki arabskie. Niemiec patrzył na archeologa pytająco. Ten stał znaki dłonią i na tym napisał liczbę 89. – Ramzes miał 89 lat. Biblijny wiek w owych czasach, kiedy to mężczyzna żył przeciętnie 25 lat. Przeżył on swoje liczne żony i dzieci, tak że dopiero jego trzynasty syn według kolejności dziedziczenia, księżę Merenptah, mógł po nim wstąpić na tron.

Nic dziwnego, że współcześni mu ludzie, a nawet sam Ramzes, wierzyli, iż jest on nieśmiertelny. Ramzes był rzeczywiście o tym przekonany i kazał zaprzestać prac przy budowie swojego grobowca.

– To nie do wiary, co za człowiek! Czy on był obłąkany?

– Tego bym nie powiedział – odparł archeolog – faraon Ramzes nie był obłąkany – w każdym razie inni królowie egipscy bardziej zasługivaliby na takie określenie. Ramzes był tylko tym, który w najbardziej widoczny sposób doświadczył reinkarnacji boskiej.

Kaminski skinął głową. Historia dawnego Egiptu zawsze go interesowała. Ale jego zadaniem jako inżyniera było rozbierać budowle i przenosić je na inne miejsce. Czy chodziło o most, stary zamek czy świątynię, nie robiło mu żadnej różnicy. Tak sądził dotychczas. Ale od kilku dni widział wszystko inaczej. Jego myśli krążyły wciąż wokół tajemniczego odkrycia. – A gdzie jest pochowana ukochana żona Ramzesa? – zapytał jakby od niechcenia.

– W Biban al-Harim, czyli w Dolinie Królowych, przez dawnych Egipcjan zwanej „miejszem piękności”. Zmarła trzydzieści lat przed Ramzesem.

Kaminski spojrzał badawczo na Muchtara: – A więc nie ma już żadnych tajemnic wokół Ramzesa?

– Można tak powiedzieć. Jakąż bowiem tajemnicę mógł zabrać do grobu mężczyzna, który żył tak jak ten faraon? Według dzisiejszego stanu wiedzy Ramzes był faraonem skandali. Jego upodobanie do kobiet przewyższało wszystkie inne zachcianki. Liczba jego uznanych oficjalnie dzieci była tak duża, że swoje potomstwo potrafił rozróżnić tylko za pomocą katalogów. Francuz Pierre Montet doliczył się 162 imion. Niech pan sobie wyobrazi! A przy tym chodzi tu tylko o te dzieci, które faraon gotów był oficjalnie uznać. Jak nazwałby pan takiego mężczyznę w swoim języku?

– Powiedziałbym lubieżnik.

– Rozplodowiec! W czasach Ramzesa taka cecha uchodziła za boską i nikt nie ważyłby się z tego powodu potępiać króla. Inne czasy, inne obyczaje.

Kaminski skinął głową. Ramzes był niewątpliwie niezwykłym człowiekiem. Im dłużej teraz nad tym myślał, tym więcej mówiło mu odkrycie pod podłogą baraku.

Jednakże Kaminski postanowił milczeć. Z jednej strony obawiał się kompromitacji, gdyby okazało się, że chodzi tu tylko o studnię albo coś podobnego; z drugiej zaś strony dotknęła go arogancja, z jaką traktował Muchtar jego, z jaką traktował archeologów w ogóle.

Od kiedy udało się uszczelnić wał, na miejscu budowy mimo napięcia panował nastrój wzajemnej ufności i nawet wypadek z ładunkiem nie wpłynął zasadniczo na zakłócenie owego nastroju. Wprawdzie woda w nieznacznej ilości sączyła się wciąż jeszcze do środka, ale dla Lundholma i jego ludzi nie stanowiło to poważniejszego problemu. Szwed zamontował pięć pomp i z dumą oznajmił, że są wystarczająco wydajne, aby w ciągu jednej nocy dać sobie radę z taką ilością wody, jaka wdarła się przed sześciu tygodniami.

W miejscu, gdzie jeszcze niedawno dwudziestometrowe kamienne kolosy spoglądały majestatycznie na Nil, sterczały teraz gładkie ścięte bloki, niektóre wielkości szaty na ubranie. Po wypadku Kaminski wymyślił nowy sposób transportu. Odtąd poszczególne bloki były przewożone na rusztowaniu z belek w pozycji leżącej, nie stojącej. Ten sposób transportu był bardzo ryzykowny: piaskowiec bowiem stojący przez wiele milionów lat pionowo podczas przemieszczania przesuwają swój punkt ciężkości lekko ku brzegowi. Ale kierowcy ciężarówek dopracowali się tymczasem takiej precyzji, że półtorakilometrowy odcinek od miejsca rozbicia kolosów do miejsca składowania odbywali jednym ciągiem i z jednakową szybkością. I od tamtej pory nie byliby już skłonni hamować z powodu kota, a przypuszczalnie nawet z powodu robotnika.

Najnowsze pomiary wykazywały wyraźne spowolnienie wzrostu poziomu wody. Jacobi nadal jednak kazał pracować na trzy zmiany, aby, jak mówił, być czujnym na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń. Pozostawało jednak jeszcze dość czasu, aby wraz z robotnikami zbudować kolejne domy mieszkalne, przede wszystkim jednak urządzić tereny zielone. Oko, które przez długie miesiące widzi tylko piasek pustyni, jest wdzięczne za każdy skrawek zieleni. Wzdłuż Governments Road na długości paru kilometrów posadzono drzewka, które przywieziono statkiem z Asuanu, kamienne domy w Contractor's Colony otrzymały zielone ogródki i ogrodzenia, które miały chronić przed nawiewającym piaskiem.

Przez cały tydzień Kaminski nie miał odwagi, aby zbadać tajemnicze podziemie baraku. Jednak pewnego dnia podczas nocnej popijawy w kasynie Jacobi zaproponował swemu naczelnemu inżynierowi, aby zastąpić drewniany barak

murowanym domem. Kaminski odmówił. Powiedział, że w związku z tym mógłby ulec zahamowaniu transport; w rzeczywistości jednak obawiał się odkrycia swojej tajemnicy. Jeszcze tej samej nocy powziął decyzję, że przy najbliższej okazji zejdzie do szybu pod barakiem.

Okazja nadarzyła się dwa dni później, w piątek, który to dzień jest dla Egipcjan dniem świętym. Na budowie zamarła praca, maszyny stały, tak że Kaminski mógł się w spokoju poświęcić swemu planowi zbadania podziemia. Przygotował narzędzia: łopaty, słupolazy, wielokrążek i liny konopne – rzeczy, które miały zastosowanie na budowie.

Kiedy nastał wieczór, Kaminski zamknął barak od środka i zasłonił okna starymi workami, żeby żaden błysk światła nie mógł wzbudzić podejrzeń. Cisza, jaka panowała w kotlinie, zazwyczaj pełnej warkotu maszyn, dźwigów i pojazdów, działała dziwnie obco, a Kaminski starał się podczas pracy nie analizować pochodzenia tych odgłosów.

Niejedno już przeżył podczas pracy na różnych zagranicznych budowach, ale musiał przyznać, że ściszało go w żołądku, kiedy odsuwał na bok deski podłogi, następnie żwir i wreszcie trzy grube bale. Lampką górniczą na baterie poświecił w dół.

Sam nie wiedział, co go tam na dole czeka, ale był zdumiony, kiedy zajrzał do murowanego szybu wielkości czterech metrów kwadratowych. Na głębokości mniej więcej pięciu metrów od poziomu podłogi baraku zobaczył występ pełen kurzu i żwiru, przypominający krajobraz księżycowy. Błądzący płomień lampki pozwalał dostrzec z boku otwór. Nie odnosiło się jednak wrażenia, że to jacyś badacze narobili tu bałaganu; nie było niedopałków papierosów ani żadnych innych tego rodzaju śladów, tylko piasek i kamienie.

Kaminski położył jedną z mocnych desek ukośnie nad szybem i umocował do niej linę. Drugim końcem liny przewiązał się w pasie. Nie myśląc o tym, co za niespodzianka czeka tam na niego, opuścił się w dół.

Kiedy opadł na dno, uniosła się najpierw wokół niego gryząca chmura kurzu i rozszedł się nie zidentyfikowany mdły, słodkawy zapach. Było tu zdecydowanie chłodniej niż na górze i Kaminski zrozumiał, że nie był odpowiednio ubrany na taką przygodę: miał bowiem na sobie krótkie spodenki i koszulę z krótkimi rękawami, na bosych nogach zaś miękkie zamszowe buty na cienkich podszewkach, zwykły ubiór, w jakim spędza się wolny czas w obozie.

Kaminski zgarnął krótkie włosy na czoło – zawsze tak robił w niebezpiecznych sytuacjach; następnie oświetlił ostrożnie dno szybu. Nic nie było widać, nawet

skorpiona. Powyżej dna na wysokości kolan prowadził niski tunel – tylko dziecko mogło nim przejść wyprostowane. Trudno było rozpoznać, jak daleko się ciągnął, ponieważ po krótkim odcinku zakręcał.

W normalnych warunkach noga Kaminskiego nie powstałaby w tym tunelu, ale nie były to oczywiście normalne warunki. Przykucnięty posuwał się do przodu. Mimo napięcia na jego twarzy pojawił się uśmiezek na myśl, że ktoś mógłby go obserwować podczas tego czołgania.

Suche powietrze i kurz, który unosił się przy każdym kroku, paliły mu płuca. Kaminski oddychał z trudem, głębsze zaczerpnięcie powietrza sprawiało mu wręcz ból. Z kieszeni spodni wyciągnął dużą przepoconą chusteczkę do nosa. Przewiązał nią sobie usta. Śmierdziała potem, ale rzeczywiście działała jak filtr – przynajmniej na parę chwil.

Nagle ze sklepienia odpadła cienka płyta kamienna, zwietrzały odłamek, i rozprysła się na mnóstwo kawałków. Kaminski zdziwił się, ale nie przywiązywał wagi do tego faktu, tylko pełził dalej przed siebie, badając za pomocą lampki każdy kąt, aby nie nadepnąć na skorpiona.

Po jakimś czasie tunel zakręcał i wpadał do następnego szybu, wielkości dwóch metrów kwadratowych, ale tak głębokiego, że światło latarki nie sięgało dna. Kaminski potrząsnął głową.

Jedno trzeba przyznać dawnym Egipcjanom: potrafili dobrze zabezpieczać swoje skarby.

Kaminski chciał już skończyć penetrację podziemia, przynajmniej na dziś, i przygotować się lepiej do następnej eskapady, lepiej się ubrać, zaopatrzyć w niezbędny hełm ochronny, kotwice i liny i oczywiście drabinę, za pomocą której taki szyb jak ten mógłby z łatwością pokonać. Ale podczas gdy w myślach sporządzał listę tego, co powinien zabrać ze sobą następnym razem, poświecił latarką w górę szybu i ujrzał dwie żelazne sztangi grubości ręki, które były ułożone w odległości pół metra nad szybem. Co to, u diabła, ma znaczyć?

Odłamkiem kamiennej płyty ze zwietrzałej ściany Kaminski postukał w obie sztangi. Wydały głuchy odgłos, niczym odgłos starego pękniętego dzwonu kościelnego. Kaminski nasłuchiwał. Cisza. Kaminski słyszał o różnych urządzeniach dawnych Egipcjan, za pomocą których strzegli oni bezpieczeństwa swoich przodków. Żelazne sztangi, umocowane z obu końców w ścianach szybu, sprawiały wrażenie, że chodzi tu o coś w rodzaju sideł na człowieka. Mocniej niż poprzednio Kaminski uderzył w sztangę po raz drugi. Teraz wydała ona żalony, płaczliwy dźwięk, który rozszedł się w górę i do prowadzącego dalej przejścia po

przeciwległej stronie.

Podczas gdy Kaminski centymetr po centymetrze oświetlał żelazne sztangi, a przede wszystkim zakotwienie, przyszło mu namyśl, że mógłby na nich z powodzeniem zawisnąć nad szybem – pod warunkiem, że wytrzymają jego ciężar. Ze względu na nie znaną głębokość szybu wydało mu się to nader ryzykownym przedsięwzięciem; z drugiej zaś strony był pewien, że wystarczą dwa albo trzy chwyt, aby przeskoczyć na przeciwległy występ.

Kaminski nie zastanawiał się długo, przymocował lampę do paska od spodni, uchwycił się prawą ręką wystającego kamienia, lewą sprawdził stabilność sztangi, a kiedy ta ani drgnęła, zawisł na niej całym swym ciężarem. Prawą dłonią uchwycił się drugiej sztangi i zanim zdążył się zastanowić nad bezsensownością takiego działania, znalazł się w tunelu po przeciwnej stronie szybu.

Jakaś tajemnicza siła pchała go do przodu, przez korytarz, którego sklepienie stawało się coraz wyższe, którego dno było usłane pokruszonymi kamieniami, sięgającymi miejscami do kolan; i nagle sklepienie wzniosło się na sześć, może osiem metrów. Kiedy Kaminski skierował światło lampki w górę, zobaczył ślad pęknięcia sklepienia, które było niewątpliwie świeżej daty. Odruchowo cofnął się o krok, jak gdyby za chwilę mógł spaść następny odłamek; po minucie przyszła mu do głowy myśl: ciężarówka!

Kaminski zgubił wprawdzie pod ziemią kierunek, ale kiedy przebiegł w myślach drogę powrotną, doszedł do wniosku, że podziemne pęknięcie zgadzało się z miejscem, gdzie nastąpił wypadek z ciężarówką. Było to zatem wyjaśnienie owej chmury kurzu, którą w jego baraku spowodował spadający blok, a także owego ogromnego krateru, który powstał obok drogi.

Wysokie pomieszczenie było niezbyt duże i kończyło się masywnym portalem z dwoma wykutymi w kamieniu oknami u góry. A więc stary grób, pomyślał Kaminski. Zanim przebrnął przez stos kamieni, spojrzął jeszcze raz ukradkiem na sklepienie. Oczywiście pomyślał o tym, że kruchy piaskowiec może spaść, zabić go albo odciąć drogę powrotną. Ale magiczna siła, która go popychała do pójścia w głąb labiryntu, była przemożna.

Kaminski stąpił ostrożnie przez zakurzone zwały kamieni aż do portalu. Tam przystanął i oświetlił pomieszczenie.

– O Boże! – szepnął. Twarz mu płonęła. Czuł pot na powiekach, skronie mu pulsowały jak tłoki pompy wodnej. – O Boże! – powtórzył.

Pośrodku pomieszczenia wielkości pięć na pięć metrów stał połyskujący czerwienią sarkofag. Po drodze Kaminski nie zauważył ani śladu malowideł na

ścianach, ale tu ściany lśniły matowym złotem. Światło lampy odślaniało postaci w bieli, czerwieni i czerni.

Mityczne zwierzęta naturalnej wielkości, być może postaci bóstw, których Kaminski nie znał, kroczyły w postawie po trosze uroczystej, po trosze swawolnej od jednej ściany do drugiej. Krokodyl o ludzkich rysach kopulował ze stojącym sztywno hipopotamem. Mężczyzna o głowie sokoła i szerokim torsie wyciągał ręce ku niebu i kroczył w towarzystwie szakala i dwóch kobiet w długich, przylegających do ciała szatach.

Z przeciwległej strony nadpływała długa barka z wysoko uniesioną rufą i dziobem. Ośmiu jednakowo ubranych wiosłarzy w krótkich opaskach na biodrach i gęstych perukach zanurzało cienkie wiosła w wodzie. Pośrodku statku przed stożkowatą budowlą siedziała postać otulona w chusty, sądząc z postawy raczej kobieta. Ciemnoskóry kapłan z ogoloną głową, ze skórą lamparta na ramionach, wykonywał w kierunku zawołanej postaci w łodzi zaklinające gesty, jak gdyby chciał powiedzieć: zatrzymaj się, ani kroku dalej!

Kaminski wszedł do pomieszczenia i z obu stron wejścia rozpoznał postacie bogów barwy czerwonej i zielonej: kroczącego barana z tarczą księżycy pomiędzy rogami, otoczonego wężem skręconym w niezliczone zwoje. Na cokole ozdobionym roślinami i pnączami tkwił szczerzący zęby pawian. Wyglądało, jakby śmiał się z siedzącej postaci człowieka o spiczastej głowie, ibisa i ze stojącej pionowo mumii z głową sokoła.

Gliniane sklepienie pomieszczenia było pomalowane na lśniący granat, na nim migotały złotem gwiazdy.

Kaminski sam nie wiedział, jak długo przyglądał się temu wszystkiemu pełen podziwu. Wydawało mu się, że śni, i trwało dobrą chwilę, zanim powrócił do rzeczywistości. Brak mu było powietrza. Suchość pełna kurzu utrudniała oddychanie. Jeśli chciał stąd wyjść cały i zdrowy, musiał czym prędzej ruszyć w drogę powrotną.

Ale był tu sarkofag – porfirowa trumna oparta na czterech potężnych łapach lwa, tak wysoka, że Kaminski nie mógł zajrzeć do środka. Zawahał się. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem powinien był stąd jak najprędzej wyjść, to było dla niego jasne. Ale czy nie działał wbrew zdrowemu rozsądkowi, kiedy schodził do tego grobowca? I teraz ma zawracać? Nigdy. Kaminski więcej o tym nie myślał, szukał raczej jakiejś podpory, która by mu umożliwiła zajrzenie do wnętrza sarkofagu.

W normalnych warunkach Kaminski miałby dość siły, aby wspiąć się po zewnętrznej ścianie wysokiego sarkofagu, ale czuł się wypompowany i bez sił,

bolało go też w piersiach. W końcu postawił lampę na podłodze, tak że jej światło padało jeszcze tylko przez kamienny portal do wysokiego przedsionka grobowca, i zaczął znosić kamienie i układać je jeden na drugim. Powietrza było coraz mniej i Kaminski miał uczucie, że na jego płucach odkłada się gruba warstwa szlamu, która utrudnia oddychanie.

Kaszał i splotał, ale to tylko w niewielkim stopniu poprawiało jego samopoczucie. Jak w transie znosił kamienie, zbudował najpierw dość mocny fundament, po czym układał dalej kamienie jeden na drugim.

Czuł serce w gardle, po pierwsze dlatego, że był już u kresu sił, poza tym także z powodu podniecenia. W którymś momencie, pośród wytężonej pracy, zaczął się zastanawiać, jaki właściwie cel mu przyświeca; ale już w następnej chwili jego nieznana dotychczas żądza odkrycia zwyciężyła i pracował dalej; ułożył z odłamków kamieni postument sięgający bioder.

Teraz nie wolno ci przerwać, myślał, jesteś tak blisko celu! Musisz się dowiedzieć, kto jest pochowany w tym sarkofagu. Jeśli teraz przewiesz, już jutro będziesz tej decyzji żałował. Będziesz znów próbował, a niebezpieczeństwo wcale nie będzie przy tym mniejsze – nie mówiąc już o ryzyku, że mogą go wykryć. Ta myśl zmobilizowała ostatki jego sił.

Tymczasem Kaminski stracił poczucie czasu. Nie pomyślał o tym, jak długo jest już pod ziemią, i było mu obojętne, ile czasu jeszcze potrzebuje. Kamień na kamień... nic innego go nie obchodziło.

Kiedy kamienie sięgały mu wreszcie do bioder, wdrapał się na ten słaby mur. To, co z dołu było tylko przypuszczeniem, teraz się potwierdziło: na sarkofagu leżało wieko. Było nieco odsunięte na bok. Kaminski wziął lampę i poświecił do środka.

Wydawało się, jak gdyby blask lampki stracił swoją siłę, wystarczyło, jej jednak, aby rozpoznać mumię owiniętą w brązową lnianą tkaninę.

Głowa mumii była odsłonięta i Kaminski spojrzał w zasuszoną twarz kobiety o żółtych, sztywnych włosach. Choć brakowało oczu, Kaminski czuł na sobie świdrujące spojrzenie kobiety, które go przejmowało lękiem. Jego dłoń trzymająca lampkę drżała, a przerywane światło wyczarowywało życie na twarzy mumii. Wyglądało tak, jak gdyby szczyrzyła ona zęby w odrażającym uśmiechu, jak gdyby chciała przemówić. Od nosa do ust i pośrodku czoła biegingy głębokie zmarszczki, jak gdyby kobieta zakończyła życie w konwulsjach. Podobne wrażenie sprawiały skrzyżowane na piersi ręce; dłonie były zaciśnięte w pięści i wystawały tylko kilka centymetrów z brązowej lnianej tkaniny, którą owinięta była mumia.

Kaminski nie miał czasu na zastanawianie się; opanowała go nachalna, dopingująca ciekawość, która odbierała mu zdolność myślenia; nasunął płótno z powrotem na dłonie mumii. Sam nie wiedział, dlaczego to uczynił, czego się po tym spodziewał, ale w tej chwili poczuł w swoich ramionach, a nawet w całym ciele taki sam skurcz, jaki wyczuwało się w mumii. Każdy ruch kosztował wiele wysiłku, ale teraz nic już nie było w stanie odwieść go od powziętego zamiaru.

Wąskie, kościste, zaciśnięte w pięści dłonie mumii działały na Kaminskiego w szczególny sposób pociągająco. Już przedtem często stwierdzał, że wierzch dłoni u kobiety zawsze bardziej go fascynował niż piersi albo nogi. Musiał się jednak przełamać, żeby dotknąć wąskich dłoni mumii. Zadrzał przy dotknięciu, ponieważ poczuł się tak, jakby głaskał śliski papier.

Zauważył, że kobieta w prawej pięści ścisła coś zielonego. Wyjęcie owego przedmiotu z zaciśniętej dłoni nie sprawiło mu trudności. Był to zielony, połyskujący kamień w kształcie skarabeusza, ciężki, artystycznie wykonany przedmiot, nie większy niż pół kurzego jajka, i kiedy Kaminski zamknął go w dłoni, poczuł dziwny prąd, który przeszył jego ciało. Schował skarabeusza do kieszeni.

Chyba mam halucynacje, pomyślał Kaminski, już najwyższy czas, aby wracać. Jeszcze kiedy tak myślał, leżąca przed nim kobieta, owinięta w brązowe płótno, zaczęła się odwracać w jego stronę; Kaminski poczuł, jak kręci mu się w głowie. Przez kilka chwil nie wiedział, co się z nim dzieje; zrobiło mu się czarno przed oczami i wystraszony zawołał: – Gdzie ja jestem?!

Głos jego odbił się głuchym echem od ścian. Wymalowane na nich postaci bogów i baśniowych istot zaczęły się ruszać i podążyły wszystkie w uroczystej procesji w jednym kierunku. Kaminski usłyszał szum i obce dźwięki muzyki, która przerodziła się w uroczysty chorał brzęczący mu w uszach.

Mumia z długimi, odsłoniętymi żółtymi zębami uśmiechała się do niego szyderczo. Kaminskiemu brakowało powietrza; zakręciło mu się w głowie, tracąc równowagę uchwycił się kamienia leżącego na stosie i runął na ziemię, pociągając za sobą ów kamień.

Tam zbudził się jakby z koszmarne snu. Nasłuchiwał, ale dookoła panowała cisza. Lampka świeciła czerwono. Bateria się wyczerpuje, już nie na długo jej wystarczy. Wyjść stąd, wyjść jak najprędzej! – postanowił.

Kaminski zerwał się; zataczając się szedł przez portal, przez stosy kamieni w wysokim korytarzu, następnie przez zamykający pieczarę tunel, sapiąc, chwytając powietrze jak ryba na piasku, czołgając się, sunąc w kucki, miejscami zaś na

czworakach. Kiedy dotarł do pionowego szybu, nie zastanawiał się długo, schował lampkę do kieszeni spodni i zawisł nad przepaścią. Nie myślał teraz o niebezpieczeństwie. W głowie kołatało mu tylko jedno słowo: wyjść, wyjść, wyjść...

Kiedy dotarł do przeciwległego występu, lampa zaczęła migotać, wobec tego ją zgasił. Przejście było tak niskie i wąskie, że mógł je badać rozpostartymi rękami. W ciemnościach odległość wydaje się większa; droga, którą musiał pokonywać w pozycji pochylonej, wydawała się nieskończona. Raz zatrzymał się na krótko. Pot po nim spływał. Miał bolesny oddech. Ale nie wolno mu było się zatrzymać. Aby tylko nie osłabnąć!

Krok za krokiem torował sobie drogę, i nagle wydało mu się, że czuje świeży podmuch powietrza. Wyciągnął lampkę zza paska spodni i zapalił ją. Baterie trochę odpoczęły, tak że mógł w słabym świetle rozpoznać przed sobą linę, która prowadziła na górę do baraku. Udało się!

Uchwycił się liny, ale dopiero teraz, tuż u celu, spostrzegł, jak bardzo osłabł. Próba wspięcia się na linie nie powiodła się. Wisiał na niej niczym worek. Po dwóch chwytach zrezygnował. Próbował więc w inny sposób, trzymał się liny z rozpostartymi ramionami i starał się wspiąć po ścianie szybu. Krótko przed metą omal nie spadł, ale udało mu się uchwycić grubej deski leżącej nad wejściem. Przycisnął się obiema rękami do deski, podciągnął się resztką sił w górę i wydostał na powierzchnię; następnie padł jak nieżywy na podłogę.

Przez kilka minut Kaminski nie otwierał oczu. Jego członki były ciężkie jak ołów i przypuszczalnie zasnąłby tak na podłodze z wyczerpania, gdyby wśród syku lampki gazowej nie usłyszał szmeru, który kazał mu przypuszczać, że nie jest sam w tym pomieszczeniu. Ale nawet jego powieki były tak ciężkie, że z trudem je otworzył.

– Czy dobrze się pan czuje, panie Kaminski? Czy mogę panu pomóc?

Z oddali dochodził do Kaminskiego niski głos. W pierwszej chwili nie wiedział, czy śni. Otworzył oczy i ujrzał Hellę Hornstein. Stała tuż nad nim.

Kaminski nie mógł wydobyć słowa. Potrząsnął tylko głową i próbował zebrać myśli: musiała już minąć północ, a może nawet wczesny ranek. Zanim zszedł do grobowca mumii, zamknął barak od wewnątrz. W jaki sposób Hella Hornstein mogła się tu dostać? I jak ma jej wytłumaczyć, skąd się wzięła dziura w podłodze baraku, i fakt, że wypełził z tego szybu?

Na doktor Hornstein sytuacja najwidoczniej nie zrobiła szczególnego wrażenia; w każdym razie nie zadawała dalszych pytań, kiedy pomagała się podnieść

leżącemu na ziemi Kaminskiemu. Ten usiadł bezsilny na obrotowym krześle i otarł sobie twarz dłonią.

– O Boże, jak pan wygląda – powiedziała doktor Hornstein i zmoczyła ręcznik wodą ze szklanego balona stojącego przy wejściu. Wytarła brud, kurz i pot z twarzy Kaminskiego.

– Czy coś pana boli? – zapytała wyrozumiale.

– Wszystko mnie boli – jęknął Kaminski. – Ale na szczęście nie jestem ranny!

Kaminski skwapliwie pozwolił się obmyć, doznając przy tym miłego uczucia, i czekał na chwilę, kiedy usłyszy pytanie: Co pan tu właściwie robił? Ale lekarka zachowywała się tak, jak gdyby jego postępowanie było najnormalniejsze pod słońcem, wobec czego nie wiedział, co ma dalej robić. W końcu to nie było normalne, że mężczyzna wypełza z dziury w podłodze i półżywy pada na nią. Jeszcze bardziej niezwykłe było to, że lekarka, która przypadkiem obserwowwała tę scenę, nie zadawała żadnych pytań. Do diabła, o co tu chodziło?

Wreszcie Kaminski przerwał nieprzyjemne milczenie: – Skąd się pani tu wzięła?

Doktor Hornstein zrobiła ruch głową w kierunku okna, jak gdyby chciała powiedzieć: Czy jeszcze pan niczego nie zauważył?

– Ach tak – odparł Kaminski, który zobaczył, że worek po cemencie był zerwany, a szyba wybita. Okno zaś było otwarte.

W końcu powiedział: – Czy nie jest pani ciekawa, co ja tu robiłem?

– Oczywiście, że jestem ciekawa – odpowiedziała lekarka.

– Więc dlaczego pani nie pyta?

Hella Hornstein uśmiechnęła się mile: – Bo jestem pewna, że pan mi to i tak wyjaśni. W końcu... no tak, chciałam powiedzieć, że sytuacja jest dość niezwykła.

Kaminski skinął głową: – W istocie, cholernie niezwykła, i mówiąc szczerze, wcale nie jest mi na rękę, że pani się tu zjawiała. Po co pani tu przysłała w środku nocy?

– Szukałam pana – odpowiedziała doktor Hornstein – wszędzie o pana pytałam, ale nikt nie wiedział, gdzie pan jest. Wówczas wsiadłam do auta i przyjechałam tutaj. Drzwi były zamknięte, ale przez szparę w oknie ujrzałam, że pali się światło. Przestraszyłam się, że coś się panu stało. Przepraszam, jeśli panu przeszkodziłam.

– Już dobrze – mruknął Kaminski niechętnie. Nie pozostawało mu nic innego, jak wszystko jej wyznać. Ale nie wiedział, od czego zacząć. Lekarka nie spuszczała z niego oczu, a on zakłopotany szukał odpowiednich słów: – Nie jest łatwo to wszystko wytłumaczyć, pani doktor. Zaczęło się przed paroma tygodniami, kiedy

blok siedemnasty spadł z ciężarówki. Znajdowałem się wówczas akurat tu, w baraku. Z podłogi uniosła się w górę chmura kurzu. Zdumiałem się i zacząłem badać podłogę. Odkryłem ten szyb. Pod nim prowadzi przejście do grobowca, a w grobowcu leży mumia.

Kaminski zrobił przerwę. Spojrzał na lekarkę i czekał na jakąś uwagę, która by wyrażała zdumienie albo niedowierzanie; ale doktor Hornstein tylko patrzyła na niego. Zdawało się, że nawet nie jest zbyt zdumiona, wobec tego Kaminski, zawiedziony, zapytał: – Co pani powie na tę historię?

Doktor Hornstein podeszła kilka kroków do biurka Kaminskiego, usiadła na blacie i zaczęła machać nogami. Następnie odpowiedziała pytaniem: – Czy pan widział mumię na własne oczy? Bo człowiek, kiedy jest wzburzony – a jest to niezwykła historia – widzi czasem wprost nieprawdopodobne rzeczy, których w istocie nie ma.

Kaminski wykrzywił twarz. Dotknęło go, że lekarka mu nie uwierzyła, i przez chwilę zastanawiał się, czy by nie udać obrażonego. Ale po chwili sięgnął do kieszeni i wyjął z niej skarabeusza. Położył go na biurku przed Hellą Hornstein i powiedział: – A ten skarabeusz, czy i o nim pani powie, że go nie ma?

Kobieta oniemiała. Patrzyła na zielonego skarabeusza, jak na jakieś obrzydliwe zwierzę. Po chwili wzięła go do ręki; to znaczy położyła zielonego chrząszcza na dłoni jednej ręki, drugą zaś zaczęła go głaskać, jakby ten kamień był żywy.

Kaminski milczał i patrzył na ręce Helli. Nigdy dotąd nie poświęcił jej dłoniom najmniejszej uwagi, ale teraz, kiedy głaskała skarabeusza, musiał pomyśleć o wąskich, żółtych dłoniach mumii, o cienkich kosteczkach widocznych przez napiętą skórę i długich, delikatnych palcach. Jedyne różnice między nimi polegała na tym, że w dłoniach lekarzki było życie. Kaminski widział pulsującą krew w żyłach na dłoniach Helli, które od czasu do czasu drżały, jak gdyby przepuszczano przez nie w krótkich odstępach czasu niewielkie dawki prądu. Z przyjemnością w obserwował jej sprężyste ruchy, i nagle ogarnęła go niepoohamowana tęsknota za tą nieobecną duchem kobietą.

Sytuacja, w jakiej się znajdowali, wymagała wyjaśnienia. Na podłodze leżały jeszcze deski, a pomiędzy nimi ziała głęboka dziura. Na dworze już dniało i do rannej zmiany pozostawało niewiele czasu. Trzeba było zatrzeć wszelkie ślady przygody.

Hella Hornstein zdawała się tym wcale nie przejmować; cała jej uwaga była skupiona na skarabeuszu, którego głaskała ostrożnie i z wielką czułością. Ani Kaminski, ani pomieszczenie, w którym się znajdowali, jakby wcale dla lekarzki nie

istniały, a Artur nie miał odwagi przerwać milczenia.

Mijały nie kończące się minuty. Doktor Hornstein, jakby wiedzona intuicją, odwróciła nagle skarabeusza na dłoni grzbietem na dół i szeroko otwartymi oczami przyglądała się gładko szlifowanej powierzchni.

Kaminski dotychczas nie zwracał uwagi na spód chrząszcza, ale teraz ujrzał tam siedem pionowych linii hieroglifów, których nie rozumiał, tak jak pisma Arabów i Hindusów, i uważał oczywiście, że także doktor Hornstein nic z tego nie pojmuje.

Kiedy jednak Hella zaczęła mrużyć i wyrzucać z siebie strzępki słów, które brzmiały mniej więcej jak „age-nefer-ajati-njen”, wówczas Kaminski spojrzał na kobietę ze zdumieniem. Po chwili przejrzał jej żartobliwy zamiar – w każdym razie nie umiał sobie tego inaczej wytłumaczyć – i zaczął się śmiać głośno i swobodnie. Kaminski poprzez śmiech odprężył się, a jego zachowanie przywołało lekarzkę do rzeczywistości.

– Czy może mi pani przetłumaczyć to, co pani właśnie przeczytała? – zapytał Kaminski ubawiony.

Doktor Hornstein spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– O tekście hieroglificznym, który pani właśnie przeczytała. O tu! – Pokazał palcem na spód skarabeusza.

– Skąd panu to przyszło do głowy?

Wtedy Kaminski się rozzłościł: – Nie wiem, do czego pani zmierza, pani doktor, i właściwie jest mi to obojętne. Ale przed chwilą z pani zachowania wynikało, że potrafi pani przeczytać inskrypcję na skarabeuszu: „age-nefer... „, czy jak to pani powiedziała. To rzeczywiście bardzo zabawne.

– Ja nic nie powiedziałam – upierała się Hella. – Nawet gdybym umiała przetłumaczyć znaki, czego się nigdy nie uczyłam, nie potrafiłabym ich przeczytać. Czy pan nie wie, że fonetyczne brzmienie tego pisma zanikło?

– Nie rozumiem tego. Przecież wiele hieroglifów zostało rozszyfrowanych, a więc można je odczytać!

– Słusznie, zostały rozszyfrowane. Ale to nie znaczy, że można te teksty czytać. To znaczy, można je czytać na głos, ale z pewnością nie będą one brzmiały tak, jak je czytali starożytni Egipcjanie.

– To ciekawe – zauważył Kaminski. – Mimo to pani przeczytała ten tekst. Czy może pani spróbować jeszcze raz?

– Nie mogę! – zawołała Hella wściekła i rzuciła skarabeusza obok siebie na biurko. – I proszę, niech pan nie robi ze mnie głupiej! – Zsunęła się przy tym z

biurka, a Kaminski zauważył z przyjemnością, że ma opalone na brąz uda.

– Co pan teraz zamierza zrobić? – zapytała Hella raczej nieśmiało i zajrzała do szybu znajdującego się pośrodku pomieszczenia.

Kaminski nie miał okazji, aby o tym pomyśleć; albowiem te raz, kiedy Hella niespodziewanie pojawiła się na scenie, powstała całkiem nowa sytuacja. Doktor Hornstein niewątpliwie roztrąbi dookoła, co on odkrył pod swoim barakiem. Ale błędnie ocenił lekarkę.

Hella podeszła do niego i powiedziała cicho, nie oczekując od niego odpowiedzi: – Mam nadzieję, panie Kaminski, że zanim pan objawi swoją tajemnicę opinii publicznej, da mi pan okazję, abym na własne oczy ujrzała to odkrycie. Czy też może żądam zbyt wiele?

– Nie, nie! – rzekł Kaminski zdumiony. Nie spodziewał się takiej reakcji. – Ale to oznacza, że i pani nie wolno o tym nikomu powiedzieć, rozumie pani!

Doktor Hornstein była zdziwiona: – Za kogo mnie pan uważa, panie Kaminski. To jest wyłącznie pańskie odkrycie, i jestem szczęśliwa, że jako druga osoba mogę uczestniczyć w tej tajemnicy. Bo chyba nikt więcej o tym nie wie?

– Co też pani przychodzi do głowy, pani doktor. Jeszcze przed paroma godzinami ja sam nie wiedziałem, co mnie czeka tam na dole. Ale jeśli wolno mi pozwolić sobie na uwagę: wejście jest niebezpieczne! Powinna pani być tego świadoma.

– Wiem – odparła doktor Hornstein. – Ale gdybym była osobą strachliwą, nie wysłano by mnie do Abu Simbel. – Kiedy to mówiła, jej twarz miała zdecydowany wyraz, i Kaminski uznał, że jest ona w stanie pokonać to zejście. Przede wszystkim podobała mu się myśl, że ta niedostępna kobieta teraz była zależna od jego życzliwości.

– Załatwione! – powiedział Kaminski i wyciągnął rękę do lekarki. – Kiedy pani odpowiada?

Hella Hornstein ujęła jego dłoń; jej uścisk był chłodny, ale mocny. Następnie powiedziała, nie puszczając jego ręki: – Dostosuję się całkowicie do pana! – A po chwili dodała: – Uważam, że skoro mamy razem pracować, powinniśmy mówić sobie po imieniu. Jestem Hella.

– Artur! – powiedział Kaminski. Po raz pierwszy był naprawdę zakłopotany; i tak też zabrzmiało to, co dodał: – Bardzo ładne imię!

Patrzył niepewnie i trochę z powątpiewaniem, czy ona powiedziała to serio. Poczł potrzebę uwolnienia swojej dłoni z jej dłoni, ale nie dlatego, że to dotknięcie było dla niego nieprzyjemne, tylko dlatego, że zapragnął dotykać jej

całej.

Ona jednak zdawała się domyślać, co on czuje, i mocno trzymała jego dłoń. – Nie powinieneś wyciągać z tego fałszywych wniosków – powiedziała poważnie. – Podobasz mi się od samego początku, ale pozostajemy przy tym. Myślę, że się rozumiemy. – Puściła jego rękę.

Kaminski stał zmieszany. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie potraktowała go tak z góry, jeszcze nigdy nie czuł się tak zdany na kobietę. Nie wiedział, na czym to polega. Być może na ukrytym powabie, który emanował z Helli, na jej tajemniczej istocie i faktie, że była chłodniejsza i bardziej niedostępna niż wszystkie inne kobiety, które Kaminski znał dotychczas.

– W porządku! – odpowiedział, aby jakoś zareagować. Potem zaczął zakrywać belkami szyb baraku. Na belkach rozsypał żwir, tak jak było poprzednio, następnie ułożył deski podłogi.

Hella próbowała zatrzeć ślady, rozmieszczając brud i kurz równomiernie na podłodze za pomocą zgniecionego kawałka worka, aby nie budzić podejrzeń. Następnie otrzepała dłońmi kurz z ubrania Kaminskiego.

– Nie wszyscy muszą zaraz wiedzieć, skąd przyszedłeś! – powiedziała śmiejąc się.

Kaminski po raz pierwszy ujrzał szczery uśmiech na jej twarzy.

Podczas drogi do obozu, którą odbywali volkswagenem Helli, Kaminski zapytał jakby od niechcienia: – Czy znałaś Mösslanga?

– Twojego poprzednika? – Hella zdawała się koncentrować na drodze bardziej, niż to było konieczne. – Co znaczy, czy znałam? Nie więcej niż inni. Dlaczego pytasz?

– Bo nikt go właściwie nie znał. Obojętne, kogo bym o to zapytał.

– On był samotnikiem. To jedyny powód.

– Jedyny?

– Nie znam innego – odparła Hella, a jej niski głos obniżył się o pół tonu.

– Ale Mösslang musiał wiedzieć o grobie mumii – zaczął Kaminski. – To on zbudował barak dokładnie w miejscu, gdzie stoi dziś – i to nie przypadkowo, tylko z zamiarem osłonięcia wejścia do grobowca przed innymi. To nie było głupie i, jak widać, Mösslang osiągnąłby swój cel, gdyby nie zdarzył się wypadek z kamiennym blokiem.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić – filozofowała Hella, skręcając z głównej szosy na drogę prowadzącą do szpitala. – Bo jeśli Mösslang wiedział, co się tam na dole znajduje, dlaczego przemilczał swoje odkrycie?

– A dlaczego my chcemy zachować to odkrycie w tajemnicy?

Hella Hornstein jak gdyby nie zrozumiała pytania, a w głowie Kaminskiego po raz pierwszy zrodziła się wątpliwość, czy Hella aby gra w otwarte karty; czy ona już wcześniej nie wiedziała o grobowcu i od początku go nie obserwowała. W końcu był jedynym człowiekiem, który miał stały dostęp do baraku, jedynym, który nie wzbudzał podejrzeń, nawet kiedy spędzał tu noc. Ale zanim skutki owego odkrycia dotarły do jego świadomości, odpędził od siebie tę myśl.

Kobieta przy kierownicy zdawała się wyczuwać jego wątpliwości. – Chyba mogę się zdać na ciebie, Arturze? Niech ta sprawa pozostanie naszą tajemnicą.

– Umowa stoi! – odpowiedział Kaminski.

Dojechali do jej domu, Hella zatrzymała samochód.

– A co z tym? – zapytała, wyciągnąwszy z kieszeni na piersi skarabeusza.

– Możesz go zatrzymać, jeśli tak wiele dla ciebie znaczy! – stwierdził Kaminski wspaniałomyślnie, i już w następnej chwili niewątpliwie pożałowałyby swojej wspaniałomyślności, gdyby nie stało się coś nieoczekiwanego, co kazało mu o wszystkim zapomnieć.

Hella, ta chłodna, niedostępna lekarka obozowa, pochyliła się ku niemu, położyła mu rękę na szyi i wilgotnymi ustami wycisnęła pocałunek na policzku. Nie powiedziała ani słowa, Kaminski także zaniemówił z powodu takiego niespodziewanego szczęścia.

Zniknięcie Rai Kurianowej w dniu poprzedzającym odstawienie jej do Moskwy spowodowało na dacy KGB wielkie poruszenie. Wprawdzie Raja porzuciła na przystani nad Nilem, w pobliżu kwatery głównej, ubranie, bieliznę i obuwie, aby upozorować utonięcie, ale pułkownik Smoliczew nie dał się nabrać na taki tani chwyt i polecił zastopować akcję „Powrót” (w KGB każda akcja przebiegała pod kryptonimem). Dla Moisiejewa i Łysenki, reporterów, którzy mieli być wydaleny razem z Rają, oznaczało to krótkie odroczenie. Powinni teraz odkryć miejsce pobytu Rai Kurianowej. Za ujęcie Rai Smoliczew wyznaczył bliżej nie określoną nagrodę, tak że obaj agenci mogli mieć nadzieję, że Syberia zostanie im oszczędzona.

Następnego dnia Smoliczew wezwał do siebie szefa policji w Asuanie, opisał mu zdarzenie i zażądał, aby z największą surowością traktował formalności meldunkowe cudzoziemców i aby zarządził akcję poszukiwawczą wzdłuż Nilu. Do wszystkich posterunków policyjnych rozesłano fotografie Rai Kurianowej – niepotrzebna fatyga przy jakości fotografii paszportowych i wobec faktu, że dla Egipcjanina wszystkie Rosjanki wyglądają jednakowo.

W domysłach na temat miejsca pobytu zbiegłej agentki nie było jednomyślności. Pułkownik Smoliczew przypuszczał, że Raja przebywa gdzieś w Asuanie. Jest tu wiele kryjówek, a przede wszystkim wielu Europejczyków (głównie z Zachodu), którzy mogli przejąć towarzyszkę. Większość uczestników zwołanego specjalnie w tym celu posiedzenia przypuszczała, że Raja jest jednak w Kairze, dokąd mogła dojechać nocnym pociągiem w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wszyscy zebrani byli jednak zgodni w opinii, że jeśli Raja udała się do Kairu, poszukiwanie jej można porównać do słynnego szukania igły w stogu siana.

Mniej szans dawał Smoliczew poszukiwaniom Rai, jeśli zaszła się ona wśród pięciu tysięcy Rosjan na budowie tamy asuańskiej. Dlatego wysłał on Moisiejewa, zaopatrzonego w specjalne pełnomocnictwa (Rosjanin potrzebuje do wszystkiego, oprócz jedzenia i picia, specjalnych pełnomocnictw), do Asuanu, podczas gdy Łysenko, któremu przypadło beznadziejne zadanie, miał szukać uciekinierki w Kairze.

Nikommu zaś nie przyszło do głowy, że Raja mogła zbiec do Abu Simbel.

Jacques Balouet, kierownik biura prasowego w Abu Simbel, nie umiałby powiedzieć, dlaczego tak bardzo wstawiał się za młodą Rosjanką. Prowadził podwójną grę, narażając się w ten sposób na wielkie niebezpieczeństwo, choć wcale nie należał do ludzi, których pociąga igranie z ogniem.

Udało mu się zatrudnić Raję w swoim biurze jako asystentkę. Aby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, Raja nie nazywała się teraz Kurianowa, tylko Montet, i opowiadała wszystkim, że jest urodzoną paryżanką, która już od wielu lat żyje za granicą. Znakomita znajomość francuskiego bardzo jej przy tym pomagała i nikt nie wątpił w to, co o sobie mówiła, nawet Gaston Bedeau, inżynier budowlany, który chętnie rozmawiał z nią w swoim języku, kiedy tylko ją spotkał.

Między Rają i Balouetem natomiast panowało ukrywane napięcie. Raja tłumaczyła sobie uprzejmość Baloueta jako nieporadną próbę zbliżenia się do niej, podczas gdy Jacques żył w nieustannym strachu, że mógłby się jakimś zdaniem albo jakąś nieistotną uwagą zdradzić jako szpicel KGB. W szybkim tempie piętrzyły się drobne nieporozumienia i spory, tak że Raja zastanawiała się, czy nie powinna zmienić miejsca pracy. Ale ponieważ nie miała żadnych papierów i musiała się obawiać podchwytliwych pytań, wołała jednak znosić Baloueta.

Lundholm i Alinardo zostali wielbicielami Rai. Obaj czynili jej awanse, ona jednak traktowała ich z udawaną wyniosłością, choć obaj, każdy na swój sposób, bardzo jej się podobali. Kiedy Balouet to zauważył, próbował zarówno jednego, jak i drugiego przedstawić w jak najgorszym świetle, przy czym Alinarda opisywał jako uwodziciela, przed którym żadna kobieta w Abu Simbel nie jest bezpieczna; Lundholm natomiast, jak twierdził, jest zaręczony z Ewą, córką kierownika budowy. Oba twierdzenia miały się z prawdą, ale przynajmniej na początku osiągnęły swój cel – w każdym razie w oczach Baloueta: Raja bowiem nie dawała żadnemu z adoratorów najmniejszych nadziei.

Od Ewy Jacobi, córki dyrektora budowy, Raja dowiedziała się kilka dni później, że Balouet ją okłamał. Co się tyczyło Lundholma, to istotnie oboje byli zaprzyjaźnieni, ale o zaręczynach nie mogło być mowy; Alinardo zaś, powiedziała Ewa, jest jak na Włocha raczej powściągliwy. Wstrętny Balouet, pomyślała Raja i zaczęła go nienawidzić.

Jak daleko Raja sięgała pamięcią, zawsze żyła w atmosferze nieufności. Nikt nikomu nie ufał, nawet ludzie, których się dobrze znało, musieli być od czasu do czasu sprawdzani, również najlepsi przyjaciele. Balouet więc był daleki od tego, aby wymagać przyjaźni od Rai, jednak w tych pierwszych dniach miała ona pewne zaufanie do owego mężczyzny, który jej tak bezinteresownie pomógł. Ale teraz to minęło.

Kiedy Balouet opuścił Abu Simbel, aby udać się z powrotem do Asuanu, Raja wyjęła klucz z jego kryjówki, która znajdowała się w szparze pod parapetem okiennym. Zaobserwowała, że Balouet, któremu obcy był porządek i sumienność, podobnie jak rosyjskiemu urzędnikowi, starał się pozostawiać swoją szafę stale zamkniętą, nawet wówczas, kiedy przebywał w pokoju. Raja wiedziała, że przechowywał w tej szafie pieniądze, ale to nie wydawało się wystarczającym powodem takiego dziwnego postępowania.

Później nadszedł moment, że żałowała, iż nie poskromiła swej nieufności i niepohamowanej ciekawości, albowiem to, co jej wpadło w ręce w tej tajemniczej szafie, sprawiło ją w wielkie zdenerwowanie i odebrało całkowicie wiarę, że na tym świecie można było jeszcze komukolwiek ufać.

Ale to nie powiązane listy od niejakiego Pierre'a napełniły Raję uczuciem bezsilności (choć niewątpliwie pytanie, dlaczego mężczyzna, który dostaje listy miłosne od innego mężczyzny, robi awanse kobiecie), tylko spisy nazwisk, wśród których odkryła nazwiska Jacobiego, Lundholma, doktora Heckmanna, Rogalli, Bedeau i Alinarda. Pod każdym nazwiskiem widniała informacja o sytuacji rodzinnej i dalsze nazwiska osób, z którymi dana osoba pozostawała w kontaktach, przede wszystkim jednak jej zwyczaje i słabości.

Raja знаła takie spisy; sama sporządzała podobne dla KGB; stanowiły one podstawę działalności rosyjskiego wywiadu. Z minuty na minutę stawało się dla Rai jasne, na jakie niebezpieczeństwo się naraziła. Omal nie zaczęła krzyczeć i w bezradnej wściekłości gotowa była zadenuncjować tę świnię Baloueta, ale coś ją przed tym powstrzymało; jedyną reakcją stały się łzy wściekłości, które popłynęły jej po twarzy.

Pospiesznie zamknęła szafę, położyła klucz na swoim miejscu i wybiegła. W cieniu muru, który chronił wejście przed masami piasku, zaczęła szlochać. Łzy miały słony smak i pozostawiały lepkie ślady na jej twarzy. Co dalej?

Nie znalazła odpowiedzi. Zdana na Baloueta, czuła się zwabiona w zasadzkę, z której nie widziała wyjścia. O ucieczce nie miała co marzyć. Już w Asuanie pochwyciliby ją ludzie Smoliczewa. Była skończona. Przykucnęła pod murem,

oparła głowę na zgiętych kolanach i rozmyślała.

Nagle coś ją olśniło. Czyż ona sama, dzięki temu, czego się potajemnie dowiedziała, nie miała teraz w garści środka nacisku wobec tego Francuza? Balouet był tchórzem. Musiała wystąpić wobec niego z całą mocą; tylko w tym widziała szansę uratowania swojej skóry. Raja wyprostowała się. Próbowwała dłonią zetrzeć z twarzy ślady łez. Następnie wróciła do domu i opracowała plan działania.

Kiedy Balouet następnego dnia wrócił z Asuanu, Raja wyjechała po niego landroverem. Powitała go z niezwykłą serdecznością na przystani, zapytała o samopoczucie i czy wszystkie sprawy załatwił pomyślnie. Wreszcie obiecała mu, że pójda razem na kolację do kasyna, przed czym dotychczas uparcie się wzbraniała.

Nagła przychylność Rai zmieszała Jacquesa Baloueta, Przypuszczał, że coś się wydarzyło, ale zachowywał się tak, jakby niczego szczególnego nie zauważył. Im bardziej Balouet tracił spokój ducha i stawał się coraz bardziej nerwowy, tym Raja była spokojniejsza. A kiedy otworzył czarną walizkę, którą zawsze zabierał ze sobą, ilekroć jechał do Asuanu, Raja powiedziała jakby mimochodem: – Czy Smoliczew wyznaczył nagrodę za moją głowę?

Balouet zaniemówił, jakby rażony piorunem. Spojrzał na Raję, ale załamał się pod jej spojrzeniem: – Smoliczew? Nagroda? Nie wiem, o czym mówisz.

Raja milczała. Jej pytanie wisiało w powietrzu jak groźny znak ostrzegawczy. Swoim milczeniem Raja pokazała, że nie zadowolają jej wykręty Baloueta, że oczekuje jasnej odpowiedzi na ważne pytanie.

– Ty... wiesz? – odparł wreszcie Jacques półgłosem, i w tym momencie uświadomił sobie, że musiały jej wpaść w ręce papiery znajdujące się w jego szafie. – Szpiegowałaś mnie! – syknął.

Raja się roześmiała. – To gra, którą ty uprawiasz najwyraźniej z jeszcze większym sukcesem. Wiem, że KGB nieźle płaci, ale nagradza nie nakład pracy, a wyłącznie rezultat. Z tego punktu widzenia musisz być dla Smoliczewa wiele wart.

Z niespokojnych ruchów Baloueta Raja mogła odgadnąć, jak bardzo był zdenerwowany, w każdym razie bardziej niż ona, o której los w istocie tu chodziło. Ta świadomość dodała jej niespodziewanie siły i tym mocniejszym głosem Raja powtórzyła swoje pytanie: – Czy Smoliczew wyznaczył nagrodę za moją głowę?

Balouet podniósł w górę ramiona: – Nie wiem, tym razem nie spotkałem Smoliczewa.

Wtedy Raja poczerwieniała ze złości i zawołała: – Jesteś małym, nędznym draniem! A w dodatku jesteś tchórzem. Dlaczego nie wyrażasz się jasno? Zniosę każdą prawdę. Życie mnie nie rozpieszczało. Możesz walić śmiało. Co Smoliczew

zamierza w związku ze mną?

Balouet spojrział na nią niemal błagalnym wzrokiem. Wiedział, że cokolwiek teraz odpowie, Raja mu nie uwierzy, i w głębi duszy nawet to rozumiał. – Nie byłem u Smoliczewa – powiedział. – Przecież wiesz, że tego człowieka nie można tak po prostu odwiedzić, trzeba się zapowiedzieć; w ogóle nie byłem na dacy, a więc nikomu z KGB nie powiedziałem o twojej ucieczce do Abu Simbel. – A kiedy zobaczył cyniczne spojrzenie Rai, dodał cicho: – Przysięgam.

Raja nie przyjęła tej odpowiedzi. Dopiero teraz naprawdę wybuchła i nazwała Baloueta godną pogardy kreaturą, która w pogoni za pieniądzem gotowa jest sprzedać własny cień.

Jak, u diabła, ma tej kobiecie udowodnić, że mówi prawdę? W ciągu ostatnich dni i tygodni wszystkie swoje myśli Balouet poświęcał problemowi, jak by się wyrwać ze służby dla KGB. Ani przez moment nie przyszło mu do głowy, żeby na losie Rai zbijać własny kapitał. Ale ona oczywiście mu nie wierzyła. I był w stanie to zrozumieć.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, odwrócenie od siebie, w niewielkim pokoju biura prasowego. Nie mając o tym pojęcia, oboje myśleli o tym samym. Czyż nie byli nawzajem zdani na siebie? Czyż każde z nich nie miało szansy tylko wówczas, jeśli oboje będą milczeć?

Z pewnością Balouet miał Raję w garści. Zdradzenie jej oznaczało dla młodej Rosjanki pewny koniec. Raja także mogła zdemaskować Baloueta w każdej chwili jako agenta KGB. Wprawdzie nie przypłaciłby tego życiem, ale kilka lat więzienia i koniec kariery miał zapewnione. W tej diabelnej sytuacji Raja sprawiała wrażenie bardziej opanowanej. Zakładając, że Balouet powiedział prawdę i jej nie zdradził, ona miała atut w rękę i jej los mógł się tylko odmienić na lepsze. Balouet natomiast wyglądał na całkiem zgnębnego. Dowiedział się, jak silna i nieobliczalna potrafiła być ta kobieta, a jej siła i nieobliczalność napawały go strachem. Balouet nie dorastał do Rai, czuł to.

Jak kupka nieszczęścia siedział na krześle, cmokał papierosa, nie wyjmując go z ust, i wreszcie zaczął mówić, patrząc w okno. Jego słowa brzmiały jak spowiedź. – Uczyniłem to wszystko, nie kierując się własną wolą – zaczął i w nieregularnych odstępach wypuszczał nosem smugi dymu z papierosa. – Jak większość ludzi w Abu Simbel, nie jestem tu z własnej chęci, ale wówczas wydawało mi się to jedyną możliwością...

Balouet odwrócił wzrok od okna i spojrział na Raję. Oczekiwał, że teraz na niego napadnie i zapyta, jakie to nieprzychylnie okoliczności sprawiły, iż znalazł się

tutaj. Ale Raja woląa powściągnąć swoją ciekawość. Popatrzyła tylko na niego i nie powiedziała ani słowa.

To sprawiło, że Francuz stał się jeszcze bardziej rozmowny i opowiadał: – Byłem w Tulonie uznanym człowiekiem, naczelnym redaktorem tulońskiej „Gazette”. Ale potem nawiązałem romans z pewnym młodym redaktorem, nazywał się Pierre. Moje uczucia były prawdziwe i szczerze, w każdym razie w początkowym okresie, w ciągu pierwszych dwóch lat. Człowiek się jednak zmienia, a wraz z nim zmieniają się jego uczucia. Myślałem, że potrafię kochać tylko mężczyzn, ale stopniowo okazało się, że moje uczucia błędziły. Matka Pierre’a była tą kobietą, która mnie utwierdziła w moim przekonaniu. Kochaliśmy się w najbardziej niesamowitych miejscach, na ławce w parku, w windzie między dwoma piętrami albo w samochodzie przed supermarketem. Trudno mi było wytłumaczyć to Pierre’owi. Dowiedział się o wszystkim od swojej matki. Wówczas jego rzekoma miłość przemieniła się w nienawiść i zaczął mnie szantażować. Żądał coraz większych sum, które powoli zaczęły przekraczać moje możliwości finansowe. Jeśli nie płaciłem, groził, że poinformuje opinię publiczną o naszym związku, a to oczywiście oznaczałoby koniec mojej kariery.

Raja patrzyła zdumiona. W jakimś sensie było jej żal tego młodzieńca. Przeszła jej przez głowę myśl, dlaczego on właśnie jej robił awanse. Balouet szukał silnej kobiety, kobiety, która by nim kierowała, nie odwrotnie. – A jak trafiłeś do KGB? – zapytała.

Balouet zapalił od niedopałka nowego papierosa; wypuścił dym pionowo w górę i odpowiedział: – Było to w tym samym roku podczas wycieczki grupy dziennikarzy do Moskwy. Na Placu Czerwonym zaczęła mnie pewna kobieta. Była wyjątkowo piękna i zapytała, czy nie zaprosiłbym jej na kolację. Odpowiedziałem, że bardzo chętnie; nie miałem nic przeciwko przygodzie; ale w ciągu wieczoru okazało się, że ta kobieta miała całkiem inny cel. Zaproponowała mi współpracę z tajnymi służbami sowieckimi, za dobre pieniądze oczywiście, a tych pieniędzy w mojej sytuacji bardzo potrzebowałem.

– Taka akcja przebiega u nas zawsze według tego samego schematu – zaśmiała się Raja – teoretycznie mogło się zdarzyć, że mogliśmy się spotkać już wówczas, przed pięciu laty.

– My oboje?

– Tak, ja także przeprowadzałam takie werbowanie.

Balouet potrząsnął głową. Potem mówił dalej: – Sprawa z Pierre’em i romans z jego matką wkrótce tak zawładnęły całym moim życiem, że postanowiłem

wszystko rzucić i zacząć gdzieś na nowo. Usłyszałem o Abu Simbel i zwróciłem się do Grands Travaux de Marseille, francuskiej firmy partnerskiej związanej z przedsięwzięciem w Abu Simbel. Od tamtej pory jestem tutaj.

– A Pierre i jego matka?

– Karta się odwróciła. Oczywiście przestałem mu wysyłać pieniądze. Teraz nie mógł mi już zaszkodzić. Ale wydarzyło się coś dziwnego: zamiast pogroźek Pierre zaczął mi przysyłać listy pełne płomiennych wyznań miłosnych. Prosił o wybaczenie swojego haniebnego postępowania i zwrócił mi do ostatniego grosza pieniądze, które wymusił szantażem.

– A jego matka?

Balouet zawahał się. Wreszcie powiedział ze smutkiem: – Nazwała mnie tchórzem i niedołągą – inne słowa wolałbym sobie darować. Od tamtej pory nic o niej nie słyszałem...

Choć Raja tego nie okazała, historia Jacquesa poruszyła ją. Ale zanim zadała dalsze pytanie, Balouet mówił: – Oczywiście wierzyłem, że wraz z decyzją wyjazdu do Abu Simbel uwolnię się także od KGB. Ale jakże się myliłem! Dla Sowietów byłem obecnie jeszcze bardziej interesującym obiektem i wymusili na mnie przyrzeczenie, że również i tu będę dla nich pracował. Teraz już wszystko wiesz.

Znali oto nawzajem swoje losy, miały one ze sobą wiele wspólnego. A nic nie łączy ludzi tak bardzo jak wspólny los.

Od wielu dni Artura Kaminskiego nurtował problem, jak to właściwie jest z doktor Hellą Hornstein. Od owego nieoczekiwanego spotkania w baraku Hella całkowicie się zmieniła, w każdym razie jeśli chodzi o jej stosunek do Artura. Zniknęła gdzieś jej nieprzystępność. Podczas przerwy obiadowej zjawiała się niespodziewanie na budowie i przywoziła chłodne piwo; wieczorami widywano ją z Kaminskim w kasynie; w ogóle wykorzystywała każdą okazję, aby się z nim spotkać.

Lundholm i Alinaro, przyjaciele Kaminskiego, robili na ten temat złośliwe uwagi, a Alinaro zapytał nawet wprost, w jaki sposób Artur dokonał tego cudu. Kaminski jednak nie umiał mu na to odpowiedzieć; wiedział tylko, że pragnie mieć tę kobietę, im bardziej ona się do niego zbliżała, i był przekonany, że to się w najbliższej przyszłości stanie.

Myśli Artura wędrowały stale w inną stronę, co działo się z uszczerbkiem dla jego pracy; wciąż miał przed oczami gołe uda Helli, kiedy owej nocy ześlizgiwała się z jego biurka. Jednak panował nad sobą; czekał na znak, na aluzję, która by mu zasygnalizowała, że Hella pragnie się z nim przespać. Nie było bowiem innej możliwości, aby zdobyć tę kobietę.

Pewnego wieczora po planowanym spotkaniu kierowników budowy w biurze dyrektora Jacobiego, podczas którego ustalano terminy dla poszczególnych grup, Kaminski wyszedł zaczerpnąć powietrza. Przed wielkim placem składowym stał volkswagen Helli. Kaminski początkowo myślał, że Hella jest w domu gościnnym kierownictwa budowy, który stał nieco z boku, ale zaraz zrodziło się pytanie, dlaczego w takim razie nie podjechała bezpośrednio pod ten dom.

Plac przypominał olbrzymi kamieniołom, na którym tymczasem składano bloki skalne różnej wielkości. Między nimi biegły żelazne tory prowadzące do żurawia portalowego. Jego reflektory oświetlały bloki z reliefami i postaciami niczym kulisy sceny operowej.

Od nasłonecznionej strony bloki były przykryte plandekami w celu ochrony przed rozszerzaniem. Piaskowiec, który przez tysiące lat był wystawiony na słońce padające stale z jednej strony, pęka i kruszeje, jeśli ten codzienny proces nagle się zmieni.

Kaminski chciał zawołać Helle, ale się powstrzymał, albowiem jego głos rozniósłby się po równinie, a dość było już ludzi, którzy sobie strzępili języki na temat jego i lekarki. Czego ona tu szukała o tej porze?

Nagle zza posągu wyszedł doktor Hassan Muchtar. Archeolog przestraszył się jeszcze bardziej niż Kaminski, ale pozdrowił go uprzejmie i powiedział coś na temat obchodu kontrolnego.

– Boi się pan, żeby mu ktoś w nocy nie ukradł kamieni? – zaśmiał się Kaminski.

– Bzdura! – mruknął Muchtar, który nie znał się na żartach. – I proszę mnie nie krytykować.

– Nie mam takiego zamiaru! – odparł Kaminski. – Ale to jest mój teren i pan nie ma prawa zwracać mi uwagi. Jeśli są jakieś problemy techniczne, to pragnę o nich wiedzieć.

Muchtar zamachał rękami w powietrzu: – Dobrze, dobrze! – zawołał po niemiecku, którym to językiem porozumiewano się zwykle na budowie, a następnie przeszedł na angielski: – Wcale nie o to mi chodziło, mister Kaminski.

Archeolog oddalił się następnie w kierunku radiostacji, a Kaminski kontynuował poszukiwanie Helli. Nagle przystanął. Zdawało mu się, że słyszy jej głos. A może się mylił? Głos brzmiał podobnie jak głos lekarki, ale sposób mówienia nie pasował do niej. Kaminski zbliżał się ostrożnie do miejsca, skąd go słyszał.

W świetle reflektora rozpoznał Helle; trwało jednak dobrą chwilę, zanim dojrzał kobietę, która niczym wąż wiła się przed nim na piasku. Zrzuciła ubranie i wykonywała na jasnym, ciepłym piasku taniec czarownic jak wijący się w bólu robak; odrzucała głowę do tyłu, wydając przy tym gulgoczące, pełne nienawiści słowa, jak gdyby mówiła obcym językiem. Wydawało się, że celem jej przekleństw było oblicze pierwszego kolosa świątynnego, który uśmiechając się, leżał sobie spokojnie przed nią na piasku.

Hella poruszała się jak w transie, wyglądała wyzywająco niczym dziwka, drobna postać przed głową olbrzyma. Nie była teraz zimną, nieprzystępną lekarką obozową, tylko całkiem inną kobietą. Jakaż ona jest piękna i pociągająca, myślał Kaminski, który wydał się sam sobie podglądaczem tego widowiska. Pochłaniał scenę pożądlivym wzrokiem. Jeśli chodzi o niego, scena ta mogłaby trwać wiecznie. Jak ona klęczała na piasku z rozstawionymi nogami, z głową chwiejącą się jak kwiat lotosu, z ramionami wyciągniętymi w górę niczym pęciki lilii!

Nie musiał się obawiać, że Hella go zauważy, była za bardzo pochłonięta sobą i

nieobecna duchem wykonywała swój niezwykle rytualny taniec. Powoli jednak Kaminski zaczął zadawać sobie pytanie, jakie znaczenie przypisywała Hella temu przedstawieniu. Czy był to taniec człowieka obłąkanego? Co rozgrywało się przed jego oczami?

Nie ma się nad czym zastanawiać, Hella była niezwykle kobietą, i właśnie to sprawiało, że była tak fascynująca. Ale gdzie kończyła się niezwykłość, a zaczynał obłąd? Czy może właśnie jej obłąd tak go fascynował? Kaminski przestraszył się, ponieważ przyłapał się na myśli, że dobrze byłoby popaść w taki sam obłąd jak Hella i tańczyć razem z nią, najlepiej natychmiast, tu, na ciepłym piasku.

Ukrytemu obserwatorowi wydało się niestosowne zbliżyć się niespodziewanie do kobiety, zachowującej się tak niezwykle. Kaminski bał się, że Hella, nagle wyrwana z transu, poczuje się przyłapana na gorącym uczynku. Tego w żadnym razie nie chciał. A więc cofnął się nieco i zza bloku skalnego zawołał głośno imię Helli. Wołając, szedł do miejsca, gdzie wiedział, że kobieta się znajduje. Chciał w ten sposób dać jej możliwość ubrania się i oswojenia z jego przybyciem.

Kaminski zdumiał się, kiedy przybył na miejsce, z którego uprzednio ją obserwował. Hella leżała na plecach na piasku. Wciąż jeszcze była naga i miała otwarte oczy. Kiedy go ujrzała, wyciągnęła ręce ku niemu, jak gdyby to było coś najbardziej oczywistego na świecie. – Chodź – zawołała cicho – chodź, najdroższy!

Cóż miał robić? Widowisko, w którym Hella sprawiała wrażenie raczej obłąkanej, nasunęło mu wątpliwości. Ale czyż każda namiętność nie była rodzajem obłądki? Nad czym się tu więc zastanawiać, skoro ona chciała i skoro on chciał? Nie wyobrażam sobie mężczyzny, który w tej sytuacji powiedziałby nie, pomyślał.

Całe wydarzenie Artur Kaminski pamiętał potem tylko fragmentarycznie, albowiem to, co się następnie stało, wciągnęło go jak trąba powietrzna do czarnego nieba Abu Simbel. Jeszcze nigdy w życiu Kaminski nie przeżył z żadną kobietą takich niebiańskich chwil uniesienia. Dzikie zwierzę, które dopiero niedawno przypominało szalejącego węża, przemieniło się w łagodną kotkę. Podobnie jak gąsienica, która przemienia się w motyla, Hella zmieniała swą istotę z minuty na minutę, a jednak pozostawała wciąż ta sama.

Kaminski zapomniał o swoim postanowieniu, że będzie schodził z drogi kobietom, zapomniał o wszystkim, co nazywał doświadczeniem. Ta kobieta pod nim, nad nim, obok niego i między jego nogami była uosobieniem rozkoszy, ucieleśnieniem namiętności – do diabła, gdyby to było możliwe, także inkarnacją opętania. Jeśli Hella była opętana, on również pragnął być opętany.

Krzyczała swoim głębokim, dzikim głosem jak egzotyczne zwierzę. Kaminski

nigdy jeszcze nie słyszał takich dźwięków. Wywoływały przyjemne dreszcze. Co się tyczyło jego i jego zwyczajów spółkowania, to dotychczas uznawał namiętne milczenie, którego w żadnym razie nie należało porównywać z nudą i chłodem; ale kiedy teraz leżał pod sprężystym ciałem Helli, a rozżarzony nóż przeszywał jego mózg, wydał okrzyk, głośny i niepohamowany i pełen błogiego zachwyty.

Na grzbiecie góry nad świątynią rozpoczęto tymczasem przygotowania do odbudowy. Geodeci podczas wielotygodniowej pracy ustalili punkty, które miały gwarantować precyzyjne ustawienie wielkiej świątyni. Gaston Bedeau, kierujący zespołem geodetów, wyznawał zasadę: jeden centymetr odchylenia to już za wiele. W końcu chodziło o to, żeby w wielkiej świątyni w jej nowym miejscu powtórzył się cud słoneczny z Abu Simbel. Kiedy bowiem raz w roku, podczas zrównania dnia z nocą, słońce świeciło przez portal świątyni, miało ono opromieniać lśniącem blaskiem postać wielkiego Ramzesa stojącego między bogami Ptahem, Amonem i Re-Horachte.

Fundamenty pod potężny betonowy dzwon, na którym miały zawisnąć przepiłowane kamienne bloki, wymagały ogromnych ilości materiału. Z Asuanu łodzie frachtowe dostarczały cement. Ale największy problem stanowiło sporządzenie betonu przy temperaturze na zewnątrz wynoszącej czterdzieści do pięćdziesięciu stopni; woda bowiem, która miała wiązać cement, wyparowywała albo beton twardniał, zanim jeszcze został wlany.

Tak więc wodę w zbiorniku znajdującym się pomiędzy elektrownią a radiostacją chłodzono do temperatury zerowej. W ten sposób udawało się wytwarzać beton, który dawał się całkiem zwyczajnie przerabiać. Ale to wymagało niezwykle wysokiego nakładu energii.

Prąd dostarczała własna elektrownia, której agregaty o napędzie diesla hałasowały dzień i noc. Zapasy paliwa wystarczały akurat na jeden tydzień, a tankowiec z Asuanu spóźniał się już kilka dni.

Jacobi stał się nerwowy i zwołał w biurze kierownictwa naradę kryzysową.

Panowała napięta atmosfera. Problem szybko przedostał się do publicznej wiadomości. Jacobi niczego w bawełnę nie owijając, objaśnił szczegółowo, że zbiorniki paliwa za kilka dni będą puste, a Egipcjanie nie są w stanie dostarczyć rezerw. – Myślę, że zdajecie sobie wszyscy sprawę, co to oznacza.

– Nie – zawołał Istvan Rogalla, archeolog niemiecki – ale pan nam to z pewnością wyjaśni!

– To znaczy, że musimy zmienić plan pracy. Roboty wymagające dużo energii, jak produkcja betonu, będą przerwane, obóz robotników i domy prywatne zostaną

odłączone od dopływu prądu. Będziecie się musieli obywać bez urządzeń klimatyzacyjnych. Skoncentrujemy się całkowicie na pracach demontażowych; bo jeśli się spóźnimy, stracimy szansę.

Bezwzględne słowa Jacobiego wywołały wielki niepokój. Najgłośniej złorzeczył Alinardo, który Jacobiego najwidoczniej nie rozumiał; wołał, że bez prądu nie może pracować. Lundholm narzekał, że nie będzie mógł spać bez klimatyzacji. Bedeau chciał natychmiast rzucić pracę i krzychał czerwony ze złości, że Egipcjanie nie są warci takiej inwestycji jak ta tutaj, Lundholm zaś najwyraźniej rozwścieczony, zerwał się i zawołał: – Mam już dość, mam już dość!

Doktor Hassan Muchtar podniósł się i zaczął mówić wymachując rękami: – Przyjaciele, jeśli taka jest wola Allana, to przeniesiemy świątynię z Abu Simbel, obojętne, z paliwem czy też bez. Allah jest wielki, a Mahomet jest jego prorokiem. Gdyby jego wolą było, aby świątynie zatoneły w wodach Nilu, już dawno dałby nam znak.

Europejczykom trudno było traktować poważnie słowa Muchtara. Rogalla uśmiechnął się złośliwie, a Kaminski, który sprawiał wrażenie nieobecnego, jak gdyby go to wszystko nie obchodziło, powiedział głośno: – Amen.

Balouet i Raja, którzy siedzieli z boku przy oknie, przysunęli się do siebie. – Nie wiem – szepnął Balouet do Rai – ale wydaje mi się, że za tym stoją Rosjanie.

Raja skinęła głową: – A więc myślimy oboje tak samo. Wygląda mi to na Smoliczewa. Trzeba o tym poinformować Jacobiego: – Chyba zwariowałaś! – syknął Balouet cicho. – Chcesz zdradzić siebie i mnie?

– Co znaczy zdradzić! Musi być jakiś sposób, aby poinformować kierownictwo budowy, że przepowiednie Antonowa są błędne i że Nil nie przybiera szybciej, niż przewidywano, tylko wolniej. I wcale nie było konieczne zwoływanie narady tylko dla tego, że nie nadchodzi transport paliwa.

Balouet pociągał nerwowo papierosa. – Dobrze, idź więc do Jacobiego i powiedz mu: nie nazywam się Montet, nazywam się Kurianowa i jestem z KGB; wszystkie dane, które macie od Rosjan, są fałszywe...

Raja zrobiła niechętny ruch ręką: – W porządku. Ale czy nie uważasz, że znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia? Moglibyśmy pomóc, ale nie możemy. Gdyby prawda wyszła na jaw, podejrzenie padłoby przede wszystkim na ciebie. Cóż nam zatem pozostaje?

Tankowiec z paliwem przeznaczonym dla Abu Simbel stał tymczasem na kotwicy między Esną a Edfu. Kapitan przekazał wiadomość za pomocą radiotelegrafu, że ma defekt silnika i zanim nadejdą z Kairu potrzebne części, potrwa to co najmniej tydzień. Jak się potem okazało, wcale nie chodziło o wadę materiału, tylko o błąd w obsłudze, którego się dopuścił pierwszy mechanik.

Zwłoka dziesięciu dni wystarczyła jednak, aby zatruć atmosferę na budowie w Abu Simbel. W walce o przydział energii nawet przyjaciele stali się wrogami, ponieważ każdy uważał swoją pracę za najważniejszą. Nadto dochodziły straszliwe upały, które teraz panowały także w nocy w domach i miejscach noclegowych, tak że mężczyźni zjawiali się w pracy niewyspani i rozdrażnieni.

Raja Kurianowa alias Montet i Jacques Balouet byli jedynymi, którzy wiedzieli, że kryzys energetyczny to tylko mistyfikacja rosyjskich tajnych służb i że stan wody w zbiorniku zaporowym w żadnym razie nie zmusza do pośpiechu.

Wiedza o tym wkrótce stała się dla nich nieznośnym obciążeniem. Groziło im, że mogą siebie nawzajem zdradzić. Wreszcie Raja spakowała manatki i wyprowadziła się. Znalazła pokój w jednej ze „stajni”, gdzie mieszkał także Alinardo.

W obozie robotników, zamieszkanym obecnie przez około tysiąc osób, przeważnie Egipcjan, pewien Nubijczyk zorganizował demonstrację protestacyjną. Wiele grup porzuciło pracę. Sytuacja była napięta.

I oto wreszcie, z dwunastodniowym opóźnieniem, przyплыnęło paliwo z Asuanu i robotnicy mogli kontynuować pracę.

Kamiński niezbyt cierpiał z powodu tej sytuacji. Demontaż i transport bloków świątyni przebiegały zgodnie z planem i przyniosły inżynierowi powszechne uznanie. Poza tym zauważono już dawno, że coś go łączy z doktor Hellą Hornstein. Widywano ich stale razem, nie tylko wieczorami w kasynie; nie było także dla nikogo tajemnicą, że Kaminski często nie wracał na noc do domu.

Przed wszystkim doktorowi Georgowi Heckmannowi, lekarzowi obozowemu i kierownikowi szpitala, nie w smak był sukces Kaminskiego u Helli Hornstein. Czuł się upokorzony, albowiem sam rościł sobie prawa do koleżanki jeszcze z dawnych czasów. Teraz Heckmann schodził obojgu z drogi, a jeśli spotkanie było nieuniknione, witał ich z podkreślaną serdecznością.

Kaminski zaś żył z głową w chmurach. Tylko kiedy był sam, podczas pracy na budowie, nurtowało go pytanie, jaka jest prawdziwa natura Helli: czy jest to natura chłodnej, pozbawionej uczuć lekarki, która wzbudzała u wszystkich respekt, czy też natura namiętnej kobiety, która tłumiąc swoje uczucia potrafiła doprowadzić mężczyznę do obłędu. Ale ilekroć o tym myślał i analizował obie natury – jego pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

Odpowiedź mogła mu być zresztą obojętna, dopóki Hella darzyła względami tylko jego. Oczywiście pochlebiała mu świadomość, że pobił wszystkich konkurentów. W swoich marzeniach wybiegał tak daleko, że był gotów później, kiedy zakończy się praca w Abu Simbel, zacząć gdzieś z Hellą nowe życie; ale nie miał odwagi wypowiedzieć tego na głos, jeszcze nie teraz.

Owego wieczoru jedli pospiesznie w kasynie kolację. Widać było niepokój obojga. Uważnemu obserwatorowi rzuciłoby się w oczy, że prawie ze sobą nie rozmawiali; patrzyli sobie intensywnie w oczy, tak jak gdyby jedno wiedziało, co myśli drugie. Wreszcie opuścili kantinę i udali się wozem terenowym Kaminskiego w kierunku wschodnim. Tuż przed zapadnięciem ciemności dotarli dalekim objazdem przez Access Road do biura kierownictwa budowy nad brzegiem zalewu.

Kaminski polecił Helli wsiąść i poprowadził ją do drewnianego baraku. Po krótkim czasie wrócił do samochodu i postawił go w pobliżu małej świątyni. Plac budowy naprzeciwko był pogrążony w jasnym świetle. Maszty dźwigów i

metalowe liny sprawiały wrażenie, jak gdyby rozładowywano stary statek żaglowy. Słychać było zgrzyt pił do cięcia kamienia, a w górę unosiły się kłęby białego pyłu. Spektakl, który Kaminskiego wciąż zachwycał.

W hałasie i pośpiechu Kaminski pozostał nie zauważony. Zazwyczaj zjawiał się nieoczekiwanie i o niezwykłych porach, a potem znikał; ale dziś znikł niepostrzeżenie w swoim baraku.

Inaczej niż za pierwszym razem, kiedy Kaminski nie wiedział, co go czeka w szybie pod drewnianą podłogą, tym razem wszystko sobie przygotował. Stare plany posłużyły do zasłonięcia obu okien, tak aby żaden promień światła nie mógł wydostać się na zewnątrz. Kaminski zamknął drzwi; następnie objął Hellę, która odpowiedziała na jego objęcie pocałunkiem. Wreszcie zaczął odsuwać deski z podłogi.

Kiedy przed tygodniem zakrywał wejście do szybu, zrobił znak, aby być pewnym, że tymczasem nikt inny tu nie zaglądał. Znak był nie naruszony. Kaminski odgarnął żwir na bok i uniósł ciężkie drewniane belki.

Hella klęczała na podłodze i latarką kieszonkową oświetlała szyb. Patrzyła na Artura i próbowała się uśmiechać, ale jej twarz zdradzała wewnętrzne napięcie. Milczała. Kaminski również ograniczał się tylko do gestów. Spuścił w głąb na linie małą rozkładaną drabinę. Następnie przymocował drabinę sznurową do belki, przyczepił sobie lampkę górniczą do paska i zaczął schodzić do szybu, dając przedtem Helli znak ręką, że ma iść za nim.

Kiedy Hella znalazła się na dole, drżała na całym ciele.

– Czy nie masz już dość? – szepnął Artur i ujął jej dłoń.

Hella szybkim ruchem wyrwała ją. – To... tylko... zdenerwowanie – odpowiedziała, kaszląc. Kurz i suche powietrze bardziej ją obchodziło niż Kaminski.

– Lepiej, żebyś szła pierwsza – rzekł – każdy krok bowiem wznosi tuman kurzu i jeszcze bardziej utrudnia oddech.

Hella skinęła głową i zaczęła się czołgać przez tunel.

Kaminski szedł za nią i ciągnął za sobą drabinę. Kiedy schodził pierwszy raz, wszystko to wymagało od niego znacznie mniej wysiłku; być może dlatego, że wówczas myślał tylko o sobie. Teraz większą uwagę zwracał na Hellę niż na siebie.

Nagle Hella się zatrzymała. – Nie dam rady dalej, Arturze – wydyszała.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – odpowiedział Kaminski i próbował zbliżyć się do Helli. Blask jego lampki górniczej oświetlał jej postać i wielki stos kamieni za nią. Sięgał niemal do sklepienia niskiego korytarza. Kaminski potrząsnął głową. Hella

poświeciła mu w twarz.

– No i co teraz? – zapytała półgłosem.

– To niemożliwe! – zawołał Kaminski i otarł sobie rękawem lepki pot z czoła.

– Arturze – nalegała Hella – co się stało? Co robić?

Kaminski zaśmiał się gorzko: – Widzisz przecież, że to kamień oderwał się od sklepienia. Korytarze nie wytrzymują wstrząsów spowodowanych ciężarówkami. Musimy się wycofać. Poza tym nasze przedsięwzięcie jest zbyt niebezpieczne. Sama widzisz...

Hella dotychczas zachowywała się cicho, była jakby zamyślona. Ale nagle zaczęła krzyżeć: – Arturze, obiecałeś, że zaprowadzisz mnie do mumii. Musisz dotrzymać obietnicy. Musisz, słyszysz?

– Ale co mam zrobić? – zawołał Kaminski równie gwałtownie. – Skąd mogłem wiedzieć, że sklepienie opadnie!?

Przez chwilę stali oboje w milczeniu naprzeciw siebie. Potem Kaminski zrezygnował z oporu i pełzał na brzuchu przez stos kamieni, tak daleko, jak sięgało światło jego lampki w głąb powstałej szpary.

– Czy widzisz coś?! – zawołała Hella.

Artur odpowiedział z wahaniem: – Zdaje się, że nie wygląda to tak źle. – Dotykał ostrożnie stropu. – Poczekaj! – rzekł wreszcie. – Spróbuję zrobić przejście.

– Dasz sobie radę, Arturze, dasz sobie radę! – zawołała Hella podniecona. Usiadła na ziemi i zmęczona oparła się o ścianę. Patrzyła z uwagą, jak Kaminski odsuwa na bok kamień po kamieniu.

Trwało to jakieś pół godziny, wreszcie stos kamieni był na tyle niski, że mogli się po nim przeczołgać.

– Teraz ja pójde pierwszy! – powiedział Kaminski i wsunął najpierw drabinę przez otwór. I zanim sam podążył jej śladem, zażartował: – Mam nadzieję, że nie przejedzie teraz nad nami ciężarówka. Bo jeśli tak – to zachowaj mnie w życzliwej pamięci.

Kaminski zniknął w otworze; wkrótce potem zawołał z drugiej strony: – Możesz wejść!

Hella pospieszyła za nim. Zwinnie jak łasica posuwała się po żwirze. Kiedy się wyprostowała, roześmiała się od ucha do ucha. Potem zaczęła się trząść ze śmiechu i przestępować z nogi na nogę jak rozbrykane dziecko.

– To jeszcze nie koniec! – upomniał ją Kaminski i wyciągnął lampę w kierunku drugiego szybu. Ten pokonali po kilku krokach i Artur wyciągnął drabinę. Umieścił ją w poprzek nad przepaścią; miała akurat odpowiednią długość.

Następnie ujął Hellę za ramiona, aby swoim słowem nadać większe znaczenie:
– Najpierw ja przejdę na tamtą stronę. Uważaj na moje znaki. Jak już będę na miejscu, przyjdiesz za mną. Musisz cały czas patrzeć przed siebie, nie w dół. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Kaminski przyczepił lampę do paska; następnie poczołgał się na czworakach do przodu. W połowie drogi drabina zaczęła drzeć jak sprężyna. – To nic – powiedział, nie odwracając wzroku od drabiny. – Nie bój się. I patrz cały czas przed siebie! – Kiedy dotarł na drugą stronę, usiadł na ziemi. Teraz polecił, aby Hella rzuciła mu swoją latarkę. – No, dalej! – zawołał.

Hella ruszyła śmiało. Ale kiedy dotarła do połowy i drabina zaczęła drzeć, zatrzymała się.

– Dalej, dalej! – zawołał Kaminski.

Hella się nie poruszyła.

– Co się stało? – krzyknął Kaminski do Helli.

– Nie wiem. Czuję się jak sparaliżowana.

– Głupstwo. Musisz iść dalej!!

– Kiedy nie mogę!

– Dalej! Musisz pokonać strach. Dalej!

Szttywna jak posąg Hella trzymała się żerdzi drabiny. Wzrok skierowała przed siebie, ale jej oczy były jakby bez życia. Wydawało się, że ciało Helli straciło zdolność poruszania się, nawet jej oddech był niesłyszalny. Kaminski się wystraszył.

Jak ma iść ku niej? Drabina była za słaba. Mógł się wprawdzie ucześcić żelaznej sztangi, ale co by to dało w tej sytuacji? Cofać się po rozchwianej drabinie było jeszcze bardziej niebezpieczne niż iść naprzód. Ona musi dać radę.

– Sama tego chciałaś! – ofuknął Kaminski Hellę. – Ostrzegałem cię. Czego ty właściwie chcesz? Zobaczyć starą, zbutwiałą mumię? Lepiej zajmij się sprawami, które do ciebie należą...

Mówiąc to Kaminski spostrzegł, że życie wraca do zdrętwiałego ciała Helli. Jego słowa podziały. Kontynuował: – Jesteś mięczakiem. W decydującym momencie zawodzisz, boisz się o swą żalną resztkę życia...

Nagle jej drętwa ustąpiła. Ostatni odcinek Hella pokonała za jednym zamachem.

Kaminski powitał ją bez słowa. Zauważył, jak bardzo Helli było wstyd; dlatego próbował przejść nad sprawą do porządku dziennego.

Przeciagnał drabinę na drugą stronę i szedł dalej pochylony. Przed wejściem do pomieszczenia, w którym znajdowała się mumia, przepuścił Helle przed sobą.

Oddychała ciężko, kiedy wyprostowała się w wysokim grobowcu. Włosy przylepiły jej się do lepkiego czoła. Była całkowicie wyczerpana, ale wzrok miała jasny i pełen radosnego podniecenia.

Przed nią wznosił się niby ołtarz ciemny cokół sarkofagu.

Hella natychmiast zaczęła się wspinać na stos kamieni, który Kaminski ułożył za pierwszym razem. Artur oparł drabinę o przeciwległą ścianę cokołu i szczebel po szczeblu piał się w górę.

Rzucił tylko krótkie spojrzenie na brązową twarz mumii, bardziej interesowała go Hella, której twarz zdawała się płonąć, drżała, jak gdyby jej serce wykonywało nie kontrolowane skoki. Drżały jej też kąciki ust, a oczy lśniły nienaturalnie jasno.

Wyglądało to upiornie, kiedy Hella zbliżyła twarz do mumii, jakby chciała dotknąć policzkiem zmarłej; ale jej się nie udało, nie mogła dosięgnąć. Z drabiny byłoby to może łatwiejsze, lecz Kaminski nie miał odwagi odezwać się do Helli.

Odnosił wrażenie, że pomiędzy mumią a Hellą zapanowała jakaś niezwykła intymność. Nie widać było lęku ani obrzydzenia – a przecież w końcu chodziło o zwłoki. On sam, choć na ogół był odważny, zachowywał większą rezerwę. Podobnie jak za pierwszym razem, czuł się intruzem.

Kaminski nie umiałby powiedzieć, ile czasu obserwował milczącą Helle. Wreszcie odważył się ją zagadnąć. – Co czujesz? – zapytał, spoglądając na przemian to na Helle, to na mumię.

– Co ja czuję? – Hella nie spuszczała wzroku z mumii. – Myślę, że nie jesteś w stanie tego pojąć. Wybacz mi, Arturze, że ci nie odpowiem.

Kaminski zrezygnował z dalszych pytań. Istotnie rozgrywało się tu coś, czego nie pojmował.

Hella była myślami bardzo daleko. Całkiem bez związku zapytała: – A skarabeusz?

Kaminski wskazał na prawą dłoń mumii, którą do połowy przykrywało wieko sarkofagu. – Trzymała go w prawej dłoni. Widać było, jak połyskuje w niej coś zielonego. Mogłem go z łatwością wyjąć. Prawdopodobnie pozostał nie zauważony przez złodziei, którzy tu byli przed nami.

Hella skinęła głową i przycisnęła obie dłonie do ciężkiej płyty. Daremnie próbowała przesunąć ją na bok.

– Nie dasz rady – rzekł Kaminski. – Płyta jest zbyt ciężka.

– Próbował pomóc Helli, pchając płytę z drugiego końca. Bolały go ręce,

ponieważ brzeg płyty był ozdobiony hieroglifami o ostrych konturach. Nagle nastąpiło szarpnięcie i ciężka porfirowa płyta niejako samoistnie odwróciła się na bok i leżała teraz niemal poprzecznie nad sarkofagiem, odsłaniając szczupłą postać mumii.

Odgłos podobny do kłaśnięcia, który dotarł do nich od wejścia do grobowca, przeraził oboje. Mieli wrażenie, że ktoś klaszcze w dłonie krótko, szybko i w nieregularnych odstępach. Hella spojrzała pytająco na Kaminskiego. Ten zrobił się biały na twarzy.

– Tam spadł kamień! – powiedział. Zastanawiał się chwilę, następnie zawołał: – Dalej, musimy uciekać!

Kaminski zeskoczył z drabiny i przepuścił Hellę przed sobą. Następnie ujął ją za rękę i pociągnął.

– To zbyt niebezpieczne – zaprotestowała Hella i uwolniła się z jego uchwytu.

– Oczywiście, że to niebezpieczne – odparł Kaminski pospiesznie. – Masz teraz do wyboru: możesz tu zostać i czekać, aż wszystko minie. Wtedy zostaniesz, być może, żywcem pogrzebana, a może i nie. Albo zaryzykujesz, że kamień spadnie ci na głowę, ale być może wyjdiesz stąd żywa. Co wolisz?

Nie czekając na odpowiedź, Kaminski ruszył pochylony do przodu, ciągnąc za sobą drabinę. Wiedział, że Hella pójdzie za nim, i wiedział, że byłoby błędem żądać od niej, aby mu dorównała.

W połowie drogi usłyszał jej kroki. Szła za nim. Kaminski tymczasem dotarł do miejsca, w którym kamień oderwał się od sklepienia. Nastawił uszu, ale im dłużej nasłuchiwał, tym krótsze były odstępki, w jakich kamienie spadały na ziemię.

Wreszcie Hella go dogoniła.

– Trzymaj ręce nad głową! – Kaminski przytrzymał zębami uchwyt lampy i zapytał Hellę ruchem ręki, jak się czuje. Hella skinęła głową. Kaminski dał jej kuksańca. – Dasz radę! – powiedział, dodając jej odwagi.

Hella rozpostarła dłonie nad głową, następnie pobiegła przed siebie. Latarka na pasku niedostatecznie oświetlała drogę. Nie słuchała huku kamieni, które spadały na ziemię obok niej i za nią; w głowie miała tylko jedną myśl: Musisz przejść!

Udało się. Kiedy dotarła do szybu, opadła wyczerpana na ziemię. Nie wiedziała jeszcze, czy odniosła obrażenia. Badała swoje ciało; okazało się, że wyszła z tej przygody bez szwanku.

Nagle wyrósł przed nią jak spod ziemi Kaminski. – Wszystko w porządku?

– W porządku – potwierdziła Hella. – Au ciebie?

– Okay. – Podczas gdy za nimi wciąż jeszcze odrywały się od sklepienia

kamienie, Kaminski przesunął przez szyb drabinę. Po tym, co przeżyła, Hella nie bała się już tej przeszkody.

Kiedy dotarli na górę do baraku, Hella objęła Kaminskiego, dziękując mu z radością.

– Nie ma o czym mówić – Kaminski próbował zbagatelizować sytuację. W rzeczywistości jednak był świadomy, że szanse, iż wyjdą z grobowca cali i zdrowi, były nikłe.

Kaminski opadł na krzesło, na którym zwykle siedział przy biurku, kiedy pracował. Lampa gazowa syczała. Ręce go paliły jak ogień, i aby złagodzić ból, pocierał nimi uda. W ten sposób jeszcze zwiększał ból.

– Moje ręce, moje ręce! – zawołał nagle Kaminski i wyciągnął ku Helli rozpostarte dłonie. – O Boże, co to ma znaczyć?

Ręce Kaminskiego przybrały barwę ciemnoczerwoną, jak gdyby ktoś oblał je wrzątkiem. Na obu dłoniach zarysowały się ciemne owalne pierścienie, co sprawiało, że ręce wyglądały jeszcze straszniej. Niczym Kainowe piętna pierścienie te otaczały tajemnicze hieroglify. Płyta sarkofagu, przeszło Kaminskiemu przez myśl, brzeg płyty był usiany hieroglifami.

Hella milczała; była całkiem spokojna, kiedy pokazywała swoje ręce. Również jej dłonie miały te osobliwe piętna, tylko znaki były inne.

– O Boże, co to ma znaczyć? – powtórzył Kaminski. Przyglądał się dokładnie Helli. Sprawiała wrażenie znacznie mniej wzburzonej. Jednocześnie Kaminskiemu wydawało się, że Hella chyba rozumie znaczenie hieroglifów. Zachowywała się bowiem zbyt spokojnie. Ale wiedział też, że Hella wykręci się od odpowiedzi, jeśli ją zapyta o sens znaków.

Kaminski zaczął najpierw rysować na papierze mocnymi kreskami piętno, które wycisnęło się na jego lewej ręce, następnie wykonał rysunek prawej ręki. Hella patrzyła na niego uśmiechnięta. Kiedy skończył pracę, ujął jej lewą dłoń i również przerysował piętno. Potem zrobił to samo z prawą ręką.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Hella.

– Chcę się dowiedzieć, co oznaczają te pierścienie – odparł Kaminski – a może ty wiesz?

– Nie – odpowiedziała Hella zbyt pośpiesznie – skąd mam...

Kaminski nie oczekiwał innej odpowiedzi. Dla złagodzenia bólu dłoni, nalał ze szklanego balona wody do miski. Zanurzył ręce w wodzie. Przyniosło to ulgę. Hella również podeszła i wsadziła ręce do miski z wodą.

– Jak to dobrze robi – stwierdziła z uśmiechem i pocałowała go w policzek.

Kiedy Kaminski wyjął ręce z wody, przeraził się: piętna na dłoniach znikły. Ujął dłonie Helli i odwrócił je. Również na jej rękach znaki zniknęły.

– Ale to przecież niemożliwe! – zawołał Artur.

Hella odpowiedziała spokojnie, jak gdyby jej to wcale nie zaskoczyło, jak gdyby właśnie tego oczekiwała: – Widzisz przecież, że to możliwe! – I po chwili dodała: – Najlepiej będzie, jeśli po prostu zapomnimy o całej sprawie. Nie sądzisz?

Artur z trudem zbierał myśli. Najpierw znalezienie mumii wydawało się dla Helli najważniejszą sprawą pod słońcem, a teraz nagle nie chciała więcej o niej słyszeć. Co, u diabła, działo się w tej kobiecie?

Hella podeszła do biurka, wzięła kartkę, na której Kaminski narysował znaki, i przysunęła ją do płomienia lampki gazowej. Chciał zaprotestować, chciał zapobiec zniszczeniu kartki, ale głos odmówił mu posłuszeństwa, i zanim zdołał wymówić choć słowo, rysunki zapaliły się i wkrótce zamieniły w popiół.

Tego roku letnie upały zaczęły się już w kwietniu. Szczególnie dawały się we znaki dlatego, że również w nocy temperatura spadała zaledwie poniżej czterdziestu stopni. W szpitalu obozowym doktor Heckmann i doktor Hornstein mieli pełne ręce roboty. Było bowiem bardzo wielu pacjentów z zaburzeniami krążenia i niewydolnością nerek. Kto był jeszcze zdrowy, łykał tabletki soli w ogromnych ilościach. To pomagało, miało jednak nieprzyjemne działanie uboczne: słony pot gromadził się w ubraniu, przez co stawało się ono sztywne i ocierało skórę.

W czasie tego upału dwaj Egipcjanie przywieźli do obozu kolegę na ciężarówce. Leżał nieprzytomny bez ruchu jak kłoda. Doktor Hornstein zastosowała infuzję, ale mężczyzna zmarł jeszcze podczas zabiegu. Był to siódmy wypadek śmierci w Abu Simbel, i ten fakt spowodował jeszcze większe rozdrażnienie wśród ludzi.

Coraz więcej pacjentów szukało pomocy u kowala Kemala, który swoimi niezwykłymi metodami osiągał lepsze rezultaty niż lekarze. Wieść o tym szybko się rozeszła. Kemal nie żądał wprawdzie niczego za swoje leczenie, ale oczekiwał odpowiedniego bakszyszu, i to z góry – a im większa była suma, tym bardziej niezwykła była terapia – i w większości przypadków skuteczna.

Istvan Rogalla, archeolog niemiecki, udał się do domu swojej asystentki, ponieważ ta nie zjawiała się o określonej porze w pracy. Zastał ją leżącą w łóżku bez ruchu. Tylko jej oczy poruszały się niespokojnie.

Rogalla schwycił Margret za ramiona. – Margret, co się stało? – zawołał i potrzasał jej ciałem, jak gdyby chciał wyrwać ją z odrętwienia.

– Nie mogę się ruszać – odpowiedziała Margret z trudem. Następnie wyciągnęła ku niemu rozpostarte palce.

Rogalla spojrział zdumiony. Palce, grzbiety dłoni, nawet ramiona kobiety były spuchnięte jak balony. – Każdy ruch sprawia mi ból – skarżyła się Margret.

W tej chwili zaświtała mu tylko jedna myśl: – Kowal Kemal! Kemal musi pomóc!

Kiedy niósł Margret na rękach do samochodu, zauważył, że twarz i ramiona dziewczyny przybierają niebieski kolor. Podczas krótkiej drogi do kuźni Margret

Bakker straciła przytomność.

Rogalla zastanawiał się. Czy mam zawrócić? Czy mam zawieźć Margret do szpitala? Ale zanim jeszcze mógł zmienić decyzję, znalazł się w kuźni.

Łysy Kemal wyszedł, kiedy usłyszał samochód. Biodra miał przepasane jasną tkaniną. Jego spocone ciało było nagie i przypominał owych rzemieślników, namalowanych w grobowcach faraonów.

– Kemal – zawołał Rogalla zdenerwowany – szybko, zrób coś, błagam cię. Margret chyba umiera! – Następnie wyciągnął banknot dziesięciofuntowy, prawie tak wielki jak chusteczka do nosa.

Kemal wziął go, wsunął za przepaskę i zaniósł Margret do ciemnej kuźni. Położył ją na pryczy w głębi warsztatu. Następnie patrzył na nią długo i przenikliwie.

Archeolog przyglądał się tej scenie z niecierpliwością. – Czy... ona nie żyje? – zapytał z wahaniem.

Kemal nie odpowiedział. Rozpiął bluzkę Margret i przyłożył ucho do jej piersi. Potem podszedł do żelaznej kadzi, nabrał z niej wody do miski i postawił ją na piersi dziewczyny. Uśmiech przemknął po jego ponurej twarzy. Pokazał na lustro wody w misce, na którym utworzyły się małe, drżące fale.

– Fale oznaczają życie, mister – powiedział Kemal, nie spuszczać oczu z nieruchomej dziewczyny – a gdzie jest życie, tam Kemal może pomóc. Tylko nad śmiercią Kemal nie ma władzy.

– No to zrób coś wreszcie! – naglił Rogalla.

Kowal mierzył wzrokiem opuchnięte ciało Margret od stóp do głów. Gładził jej ubranie. Nagle w jego dłoni zabłysnął mały ostry nóż. Kemal ujął lewą dłoń Margret i krótkim, szybkim ruchem przekłuł przedramię dziewczyny. Tak samo postąpił z prawą łydka Margret.

Z ciała dziewczyny popłynęła gęsta, ciemna krew i pociekła na zakurzoną kamienną podłogę. Rogallę opuściła odwaga i zaczął wątpić, czy zrobił słusznie i czy lekarze ze szpitala nie lecziliby Margret lepiej.

Młoda kobieta broczyła krwią jak zwierzę w rzeźni, i im dłużej trwał zabieg Kemala, tym bardziej wzrastał strach i zdenerwowanie Rogalli. Oszołomiony wybiegł z kuźni i w szalonym tempie pojechał samochodem do szpitala. Trochę później wrócił w towarzystwie doktor Hornstein.

Kiedy lekarka weszła do mrocznego pomieszczenia i ujrzała Margret Bakker leżącą we krwi, a Kemal stał z rozpostartymi rękoma niczym kat nad swoją ofiarą, wydała okrzyk. – O Boże – zawołała – co pan zrobił z tą kobietą?!

Kemal obronnym gestem odsunął lekarzkę na bok i warknął: – Ty jesteś kobietą, mistress, a żadna kobieta nie posiada daru uzdrawiania. Tego daru Allah udzielił tylko mężczyźnie...

– Jesteś szaleńcem! – przerwał Rogalla wściekłemu kowalowi. – Doktor Hornstein jest lekarzką. Ona skończyła studia!

– Studia? – odpowiedział Kemal wzburzony i splunął na podłogę. – Kobieta i studia! Gdyby prorok Mahomet chciał, aby kobiety studiowały, to byłoby to zapisane w Koranie. Ale żadna sura nie wspomina o tym, że kobiety mają studiować, i żadna sura nie wspomina o tym, że kobiety mogą uzdrawiać!

Czas naglił i Rogalla stanął z wyciągniętymi rękami przed Kemalem: – Pozwól spełniać doktor Hornstein jej powinność! – powiedział groźnym tonem. – Sytuacja jest poważna, naprawdę nie mamy czasu, aby dyskutować o sprawach światopoglądowych. Zrozumiałeś?

Kemal nie rozumiał treści słów, ale zrozumiał, o co Rogalli chodziło, i zaszył się, z głową opuszczoną na piersi, w najdalszy kąt kuźni, gdzie usiadł na stołku z szeroko rozstawionymi nogami i obserwował lekarzkę.

Tymczasem doktor Hornstein założyła Margret Bakker opatrunki, aby zahamować upływ krwi. Ciało młodej kobiety było już tak opuchnięte, jakby za chwilę miało pęknąć.

Rogalla czuł się jak zbity pies, zbierało mu się na wymioty, ale się pohamował. – Co to może być? – zapytał jękając się, zwrócony do doktor Hornstein.

– Silny niedobór wapnia – odpowiedziała Hella. – Szok.

– Wskazała na dłonie Margret. Jej palce były zaciśnięte, założone ściśle jeden na drugi. – Typowy objaw tężyczki! – zauważyła lekarka, wyjmując strzykawkę.

– I co! Czy jest jakaś szansa?

Doktor Hornstein wbiła igłę. Margret Bakker nie zareagowała, nawet nie drgnęła.

– Tego nie wiem – odpowiedziała lekarka. – Normalnie nie miałabym większych wątpliwości. Ale w tej sytuacji... – Hella spojrzała wokół siebie i Rogalla dostrzegł odrazę na jej twarzy. – Ale obojętne, jak to się skończy, nie uniknie pan paru nieprzyjemnych pytań.

Rogalla chciał odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji zajmowanie jakiegokolwiek stanowiska jest nie na miejscu. – Czy nie powinniśmy odwieźć Margret do szpitala? – zapytał w końcu.

– Z pewnością – odpowiedziała doktor Hornstein – ale nie od razu. A może wolałby pan, aby pańska asystentka dojechała tam martwa?

Po kilku minutach zastrzyk zaczął działać. Margret otworzyła oczy, ale płuły one niespokojnie, i po kilku minutach dziewczyna z powrotem straciła świadomość. Tymczasem Kemal burczał w swoim ciemnym kącie, przeklinał, złorzeczył wydając głębokie gardłowe dźwięki.

– Jeśli Margret tego nie przeżyje – zawołała Hella Hornstein w głąb kuźni – to niech Bóg ma cię w swojej opiece, Kemal! – A zwracając się do archeologa, dodała: – I pana również, panie Rogalla!

Ten spojrział na nią dotknięty. Czuł się winny, ponieważ od razu nie pomyślał o pomocy lekarza. Ale ludzie na budowie opowiadali cuda o umiejętnościach Kemala. Dlaczego miał z tych umiejętności nie skorzystać? Przecież chciał pomóc Margret!

Doktor Hornstein jak gdyby odgadła jego myśli i powiedziała: – Wiem, że pan chciał pomóc, ale po wykształconym Europejczyku należało się spodziewać więcej rozsądku.

Rogalli było wstyd. Ujął Margret za rękę i pogłaskał ją – był to gest bezradności; nic więcej nie mógł w tej sytuacji uczynić.

– Ręczniki! – zawołała doktor Hornstein. – Potrzebuję wilgotnych ręczników!

Kemal dość niechętnie wysunął się ze swojego kąta; przyniósł brudny mokry ręcznik. Hella wzięła go do ręki, następnie cisnęła nim w twarz kowala. Ten wrzasnął z wściekłości na taką zniewagę od kobiety, pochylił się i chciał ją uderzyć. Nie doszło do tego tylko dzięki interwencji Rogalli.

– Niech mi pan da kluczyki do samochodu! – rozkazała doktor Hornstein archeologowi i bez słowa wyjaśnienia chwyciła je, wybiegła na dwór i odjechała.

Przyczynę tej ucieczki Rogalla i Kemal tłumaczyli w różny sposób. Podczas gdy archeolog sądził, że Hella pojechała do szpitala po mokre ręczniki i lekarstwa, kowal uważał, że lekarka wyczerpała już wszystkie możliwości swojej sztuki i zrezygnowała. Dlatego podszedł do Margret, która leżała bez ruchu jak poprzednio, i zerwał bandaż z ramienia i nogi. Krew na nowo zaczęła płynąć na podłogę.

– Czarna krew, zła krew – ucieszył się Kemal, a Rogalla stał osłupiały ze strachu, niezdolny do żadnego ruchu. – Jasna krew, dobra krew, rozumieć?

Kemal znów chwycił swój nóż i zamierzał zrobić dalsze nacięcia na ramionach i udach Margret, kiedy w drzwiach ukazała się doktor Hornstein. Jaskrawe światło dnia tylko w zarysach pozwalało rozpoznać jej sylwetkę; lekarka stała niczym staroegipska bogini zemsty. Doskoczyła do Kemala, drapiąc mu twarz; jej paznokcie pozostawiły ciemne, czerwone ślady. Kemal potrząsał rozwścieczoną kobietą niczym fretką, która wbiła się zębami w swoją ofiarę. Hella upadła na

ziemię, zerwała się i zwracając się do Rogalli zawołała: – Niech pan bierze Margret! Musimy ją stąd wywieźć! Natychmiast!

Archeolog nie zastanawiał się ani chwili, wziął krwawiącą dziewczynę na ręce i wyniósł do samochodu. Hella pakowała pośpiesznie swoje rzeczy, podczas gdy Kemal śledził z wściekłością każdy jej ruch. Nie zauważyła, że kowal trzyma w ręku procę wielkości dłoni, wykonaną z gałązki i sznurka. Nie zauważyła także, że kiedy szła pośpiesznie do drzwi, Kemal napiął swoją broń i przymknąwszy oczy wycelował w jej plecy. Lekarka była zbyt poruszona, aby zauważyć, że Kemal strzelił w nią niewielkim nabojem; coś jakby ostry haczyk wędkarski uderzył Helle w plecy i tam zawisło.

Podczas gdy Rogalla i doktor Hornstein odjeżdżali z Margret samochodem, Kemal wyszedł przed kuźnię i patrzył za nimi; wkrótce było już tylko widać czerwoną chmurę kurzu.

– Bądź przekłeta – mruknął kowal ze złością i splunął w kierunku, gdzie zniknął samochód. – Nikt nie będzie psuł roboty Kemalowi! A już na pewno nie kobieta! – Następnie wrócił do swojej szopy i daleko słychać było, z jaką wściekłością wali w kowadło.

Wieczorem w kasynie siedzieli dwaj mężczyźni, którzy jak zwykle niewiele mieli sobie do powiedzenia: Artur Kaminski i Istvan Rogalla. Rogalla sprawiał wrażenie pijanego, a było to niezwykle u mężczyzny, który uprzejmym, dyskretnym zachowaniem służył wszystkim za wzór powściągliwości.

– Jakieś zmartwienie? – zapytał Kaminski. Dosiadł się bez pytania do stolika Rogalli i zamówił piwo.

Rogalla popatrzył na Kaminskiego, następnie odwrócił się ostentacyjnie w drugą stronę i milczał.

Tak więc obaj milczeli, ze wzrokiem utkwionym w szklanki; wreszcie Rogalla z pewnym wysiłkiem zaczął mówić: – Wszystko zrobiłem źle, rozumiesz, wszystko. Nie powinienem był chodzić do Kemala. Nie do Kemala, jeśli rozumiesz, o czym mówię...

Kaminski słyszał o tym wypadku i o niewielkiej szansie uratowania Margret Bakker. Chętnie przyjął poufne „ty” archeologa i próbował go pocieszyć: – Przecież chciałeś jedynie dobrze, Rogalla, a Kemal często miewał dobre wyniki. Żaden człowiek z powodu bólu głowy nie udaje się do szpitala. Wszyscy chodzą do Kemala i on pomaga.

Podpity mężczyzna podniósł wzrok na Kaminskiego; wiedział oczywiście, co łączy inżyniera i doktor Hornstein, wszyscy to wiedzieli; tym bardziej zdumiało go, że Kaminski zdawał się go rozumieć.

– Czy mówisz szczerze? – zapytał wreszcie.

– Oczywiście.

– A czy ona wyzdrowieje? – Rogalla rzucił Kaminskiemu błagalne spojrzenie.

Ten uniósł ramiona. – Nigdy nie wolno tracić nadziei.

Rogalla zaczął płakać jak dziecko.

– Już dobrze, chłopcze – Kaminski próbował go pocieszyć. – Nie ma pewności, że Margret by przeżyła, gdybyś ją natychmiast przewiózł do szpitala. Któż to wie?

Archeolog zaczął się zastanawiać, co w jego stanie przychodziło mu z trudem; ale uwaga Kaminskiego dobrze mu zrobiła.

– Czy doktor Hornstein również tak mówi? – zapytał nieśmiało.

– Tego nie wiem – odparł Kaminski – ale tak przypuszczam. Nikt nie może

powiedzieć, jak zakończy się historia choroby.

Wtedy Rogalla uderzył swojego rozmówcę ręką w plecy i po wiedział, jękając się: – Jesteś prawdziwym przyjacielem, Kaminski. Gdybym mógł kiedyś coś dla ciebie zrobić...

Kaminski tylko czekał na tę propozycję; wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. Była to szczególna kartka. Przedstawione były na niej dość niewyraźnie owe piętna, które przerysował z dłoni swoich i Helli.

Arturowi nie dawało spokoju to, że Hella spaliła oryginał i nie wyjaśniła mu znaczenia owego tekstu. Jaki miała powód, aby tak uczynić? Dlatego następnego dnia po owym niebezpiecznym zejściu do grobowca pokrył on papier, który mu służył jako podkładka dla jego rysunku, miękkim ołówkiem – jak detektyw w starym filmie kryminalnym – i w ten sposób otrzymał chociaż przybliżone odbicie swoich szkiców.

– Czy możesz mi powiedzieć, co to znaczy? – zapytał Kaminski i podsunął Rogalli kartkę pod nos.

Ten rzucił na nią krótkie spojrzenie i roześmiał się: – Oczywiście że mogę!

– Wiem, że to nie jest najlepszy rysunek – tłumaczył się Kaminski – ale może potrafisz jeszcze coś odczytać...

– Głupstwo! – przerwał Rogalla. – Odczytywałem już mniej wyraźne teksty. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Bo mnie interesuje. Ten napis widnieje na jednym z bloków na placu załadunkowym. Spodobał mi się.

– A więc dobrze. – Rogalla wypił głęboki łyk. – To tutaj – wskazał na lewy szkic – oznacza imię tronowe Ramzesa: – Weser-maat-Re-setepen-Re.

– A drugi napis?

– Trudno go odczytać. Ale imię oznacza Bent-Anat.

– Bent-Anat?

– Tak nazywała się jedna z czterech królewskich żon, a więc głównych żon – jeśli wolisz. Nałożnic miał on znacznie więcej. Pikantne w przypadku Bent-Anat jest to, że była ona jednocześnie jego córką.

– A więc Ramzes był kazirodcą?

– Faraon nigdy nie żył w kazirodztwie – powiedział Rogalla, zataczając szeroki łuk ręką. – Albowiem wszystko, co robił Ramzes, nie podlegało żadnym regułom, rozumiesz? Mógł cię zabić, i miałby do tego słuszne prawo. Mógł żyć z własną córką i wszystko było w porządku. Rozumiesz?

Kaminski rozumiał. W tej chwili jeszcze bardziej zdumiewał go fakt, że w

przypadku mumii znajdującej się pod barakiem chodziło o ową Bent-Anat.

– Co wiadomo na temat tej Bent-Anat? – zapytał Kaminski.

Archeolog, starając się zachować powagę, odpowiedział: – Mówiąc szczerze właściwie nic nie wiemy o Bent-Anat. Była ona córką drugiej żony Ramzesa, Izydy-Nefretari; później faraon pojął ją za żonę. Poza tym nie ma po niej żadnego śladu.

– Ani grobu? Ani mumii?

– Niczego.

Kaminski czuł, jak krew uderza mu do głowy, a to z dwóch powodów. Po pierwsze nie miał nawet odwagi pomyśleć, jakie skutki może mieć jego odkrycie. Po drugie wprawiało go w niepokój pytanie, jaki szczególny związek z mumią miała Hella Hornstein; z jej dziwnego zachowania nietrudno było wyciągnąć wniosek, że Hella wiedziała, o co tu chodzi.

– A czy można sobie wyobrazić – zaczął Kaminski powoli i ostrożnie – że jest jeszcze szansa na odnalezienie grobu i mumii tej Bent-Anat?

Rogalla roześmiał się głośno: – Gdzie? Może tutaj? Człowieku, ale ty zadajesz pytania!

– Dlaczego nie?

– Posłuchaj! W Nowym Państwie – tak nazywa się okres, w którym żyli Thotmes, Amenhotep, Tutanchamon i Ramzes – wszystkich chowano w Dolinie Królów, a ich żony w Dolinie Królowych. Tam też znaleziono także grób Nefretari, Bent-Anat jednak nie.

– Ponieważ Bent-Anat być może została pochowana całkiem gdzie indziej.

– To niemożliwe – mruknął Rogalla i potrząsnął głową – chociaż...

– Chociaż co?

– No tak, archeologia jest jak polityka sztuką możliwości. Podstawą tej wiedzy jest to, co możliwe, a nie to, co faktyczne. My, archeolodzy, bardzo często o tym zapominamy.

Tego wieczoru Kaminski i Rogalla rozmawiali jeszcze długo z ożywieniem, popijając piwo. Rogalla dlatego, że bał się o życie swojej asystentki, a Kaminski dlatego, że Hella Hornstein wydawała mu się coraz bardziej tajemnicza.

Rankiem następnego dnia Kaminski czuł jeszcze w kościach alkohol, który go obezwładniał; przyszedł do szpitala, aby spotkać Hellę.

Mimo że było po siódmej, w budynku panował nieznośny upał. Kaminski postanowił skonfrontować Hellę z tym, czego się dowiedział wczoraj od Rogalli. Teraz, kiedy się okazało, że również on wiedział o znaczeniu znaleziska, być może ona uchyli rąbka tajemnicy.

Idąc długim korytarzem prowadzącym do jej gabinetu, zobaczył jak dwaj pielęgniarze wysunęli z pokoju nosze, na których leżał egipski robotnik. Był martwy.

Hella stanęła w drzwiach. Wyglądała na wyczerpaną.

– Co się stało? – zapytał Kaminski bez przywitania.

Hella potrząsnęła ze zdenerwowania głową. – Exitus – powiedziała cicho. – Zatrucie ołowiem.

– Zatrucie ołowiem?

Lekarka ujęła dłoń zmarłego i odwróciła ją. Była biała jak śnieg i odróżniała się wyraźnie od ciemnej barwy skóry Egipcjanina.

– Ali był mechanikiem – powiedziała – stale miał do czynienia z benzyną. Benzyna, która spływa człowiekowi po rękach, paruje w upale tak szybko, że ręka po prostu ulega zamrożeniu. Jednocześnie ołów dostaje się przez skórę do krwiobiegu i powoduje szybki koniec. To już drugi taki przypadek w mojej karierze. Ale spróbuj tym ludziom wytłumaczyć, że benzyna na skórze jest niebezpieczna dla życia. Niektórzy stosują ją nawet, aby się ochłodzić.

– O Boże! – powiedział Kaminski poruszony. – Musisz porozmawiać z brygadzystami...

– Ach, co tam! – Hella machnęła ręką. – Już dawno to zrobiłam. Ale nadaremnie. Egipcjanin wierzy tylko w to, co widzi, albo w to, co mu nakazuje Koran. W każdym razie mają raczej zaufanie do takich szcurołapów jak Kemal niż do doktora medycyny. Szczególnie jeśli tym doktorem jest kobieta.

– Jak się ma Margret? – zapytał Kaminski.

Hella wzruszyła ramionami: – Straciła wiele krwi. Jej krążenie jest niestabilne. Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli przeżyje. – Zamknęła za sobą drzwi i

podeszła do Artura, aby objąć go za szyję. – Poza tym dzień dobry. – Następnie pocałowała go ze zwykłą gwałtownością.

Kaminski nie czuł się dobrze w szpitalnej atmosferze gabinetu. Hella natychmiast to wyczuła i zawołała: – Nie kochasz mnie już, Arturze!

– Bzdura – odparł Kaminski, uwalniając się jednocześnie z jej objęć – to tylko wina otoczenia. Ty jesteś do tego przyzwyczajona, we mnie zaś te białe meble, oszklone gablotki i instrumenty wywołują strach. Ale nie przyszedłem, aby ci to powiedzieć.

– A po co?

– Rozmawiałem z Rogallą. Popiliśmy trochę wczoraj i do wiedziałem się, o jaką mumię tu chodzi...

– Zdradziłeś wszystko? – zawołała Hella przerażona i odepchnęła Artura.

– Ależ skąd – odparł Kaminski – niczego nie zdradziłem. Narysowałem mu tylko z pamięci znaki w pierścieniach, które odbiły się na naszych dłoniach, i zapytałem Rogallę, czy wie, co one znaczą.

– To niemożliwe!

– Nie ma nic niemożliwego. Rogalla natychmiast je rozpoznał. Chodzi tu o imiona Ramzesa i jego córki i żony, Bent-Anat.

Hella wpatrywała się w Artura; ale jej wzrok przechodził przez niego jak przez szybę. Jakby wpatrując się w dal, Hella zaczęła mówić zmienionym tonem. Jej przyjemny, namiętny głos, który niekiedy przyjmował barwę głosu dziecka, stał się nagle ostry, twardy, niski i starczy. I tym głosem, od którego Kaminski zadrżał, Hella powiedziała: – Byłoby lepiej, gdybyś zostawił tę sprawę w spokoju, tak jak ci radziłam. Dlaczego mnie nie posłuchałeś? Niewiedza jest często największym szczęściem człowieka.

Kaminski zadrżał, kiedy usłyszał słowa Helli, nie tyle z powodu ich treści, ile z powodu nieprzyjemnego brzmienia jej głosu. Wydawało mu się, jakby mówiła całkiem inną osobą. To nie była owa Hella Hornstein, która ruchami swego ciała tak go zachwyciła, że zapomniał o swoich zasadach. Ta osoba była obcą kobietą, której wolałby nigdy nie spotkać, wywoływała strach.

Nie odwracając od niej wzroku, zauważył, że Hella nadal patrzy na niego, nie widząc go. Jej oczy połyskiwały jak szkło, były bez życia jak oczy starej lalki. Fakt ten oraz jej nieruchoma postawa sprawiały, że wyglądała jak duch, ale zarazem była pełna godności, co powodowało, że Kaminskiemu słowa uwieźły w gardle. Nie miał odwagi zapytać, co Hella miała na myśli, mówiąc, iż niewiedza może oznaczać dla człowieka największe szczęście. Dlaczego za wszelką cenę pragnęła

zachować w tajemnicy identyczność mumii?

Kaminski cofnął się odruchowo. Zaczepił przy tym o półkę z butelkami i instrumentami. Jedna z butelek spadła na podłogę i pękła, a przenikliwy zapach karbolu rozszedł się po pokoju.

– Bardzo mi przykro! – zawołał Kaminski i pochylił się, aby pozbierać odłamki szkła. Kiedy spojrzał w górę, śmiertelnie się przeraził: tuż nad swoją głową ujrzał wykrzywioną twarz. Nie była to twarz Helli, była to twarz mumii. Jego pierwsza myśl: Jesteś obłąkany.

Kaminski zerwał się przerażony, przebiegł obok Helli, dopadł drzwi i pędził jakby gnany przez furie długim korytarzem na zewnątrz, gdzie drżąc usiadł na stopniach prowadzących do wejścia; głowę oparł na rękach. Nie mógł zebrać myśli, albowiem to, co zobaczył, przeczyło zdrowemu rozsądkowi.

To nerwy, pomyślał Kaminski. Prawdopodobnie cała ta historia poruszyła go bardziej, niż chciał się do tego przyznać, i z pewnością byłoby lepiej, gdyby zatrzymał tajemnicę dla siebie, zamiast ją publicznie rozgłaszać. Ale w miarę upływu czasu zaczął się oswajać z problemem. Co właściwie takiego się stało? Odkrył grobowiec królowej egipskiej. Niewątpliwie sprawa była bulwersująca, ale to na pewno nie powód, aby od razu tracić głowę.

Kiedy tak rozmyślał, siedząc w porannym upale, poczuł nagle czyjąś dłoń na ramieniu. Jednocześnie usłyszał głos Helli, ów głos, do którego był przyzwyczajony, głos jasny i przymilny. Spojrzał w górę.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała Hella, jak gdyby nigdy nic, i Artur się przestraszył. Przestraszył się, bo głos Helli brzmiał normalnie, i uświadomił sobie, że jego zmysły się pomieszały.

– Czy lepiej się czujesz? – powtórzyła Hella pytanie.

Kaminski skinął głową. – Przepraszam za tę butelkę.

– Nie ma o czym mówić – odparła Hella Hornstein. – Karbol to diabelski środek. Powoduje mdłości, a u niektórych osób wywołuje nawet halucynacje.

– Halucynacje?

– Tak, widzisz wówczas rzeczy, których nie ma w naturze. Ale to mija równie szybko, jak się pojawia.

Wyjaśnienie to oświeciło Artura i w pewnej mierze uspokoiło.

– Rzeczywiście poczułem się niedobrze – próbował wytłumaczyć swoją paniczną ucieczkę.

Hella zaśmiała się. – Nie musisz się tłumaczyć, Arturze, w każdym razie nie z tego.

– Co znaczy nie z tego?

– Nie powinienes zdradzać Rogalli naszej tajemnicy...

– Rogalla nic nie wie! – przerwał Kaminski. – Nie powiedziałem mu ani słowa, zapytałem go tylko o znaczenie imion. Możesz mi wierzyć!

Hella skinęła głową, ale Kaminski miał wątpliwości, czy istotnie mu uwierzyła.

– Poza tym – dodał – Rogalla był tak pijany, że z pewnością dziś już nie pamięta, o czym w ogóle rozmawialiśmy. Sprawa Margret Bakker jest mu znacznie bliższa.

Hella się podniosła. – Dałeś mi słowo, Arturze, że będziesz milczał. – Wyciągnęła do niego rękę.

Kaminski ujął ją z uśmiechem i wycisnął na niej pocałunek. – Obowiązki wzywają – powiedział i pożegnał się.

Kiedy zdążył do swojego samochodu, zobaczył idącego naprzeciw Balbusza. Wymachiwał rękami podniecony, jak gdyby miał mu przekazać jakieś ważne wieści. – Mister, mister! – wołał już z daleka. – Wiadomość od pana Lundholma: w świątyni odkryto grobowiec!

Kaminski stanął jak wryty. Zastanawiał się, czy powinien najpierw podzielić się tą wieścią z Hellą, ale postanowił najpierw sam zobaczyć, co się wydarzyło. Wskoczył do samochodu i popędził przez Governments Road w kierunku budowy. Co, u diabła, się stało?

W miejscu, gdzie szosa długim łukiem skręcała w kierunku zapory, Kaminski ujrzał swój barak. Upał migotał nad okolicą i powodował, że kontury rozpływały się niczym wosk. Dziwił się, że wokół baraku było pusto. Czyżby ludzie znaleźli drugie wejście?

Kaminski minął barak i udał się w kierunku tamy, następnie skręcił w prawo na plac budowy wokół świątyni; wyglądała ona jak wejście do olbrzymiego tunelu: fasada, sklepienie i większa część lewej strony zostały już od góry odpiłowane, a kamienne piły Alinarda pozostawiły miejscami dziwne ślady. U stóp trójkąta, na którego dłuższym boku wisiał blok kamienny, stali Lundholm i Istvan Rogalla. Kiedy ujrzeli Kaminskiego, zaczęli do niego machać.

– Istvan dokonał odkrycia! – śmiał się Rogalla.

– Gdzie? – zapytał Kaminski.

– Zaraz zobaczysz! – odparł Rogalla. – Chodź tu! – Te raz śmiał się także Lundholm. Po drodze Rogalla powiedział: – Wiesz, miałeś wczoraj rację. Wciąż zdarzają się nieoczekiwane odkrycia. Jak się czujesz po wczorajszym wieczorze?

– Dziękuję, w porządku – odpowiedział Kaminski pospiesznie, choć myślami

był teraz całkiem gdzie indziej. Jak się zdawało, Rogalla doskonale pamiętał wszystko, o czym wczoraj rozmawiali.

Wewnątrz otwartej świątyni leżał delikatny, żółty kurz grubości jednego centymetra. Tylko niewielu robotników przestrzegało surowego nakazu noszenia masek ochronnych. Ocierały one bowiem skórę i pozostawiały sączące się rany. To było gorsze, myślała większość, niż połykanie kurzu, który można było spłukać piwem.

Lundholm szedł pierwszy, Rogalla i Kaminski za nim. W odległości zaledwie paru metrów od czterech posągów bogów, którym świątynia była poświęcona, Szwed przystanął i pokazał wąską boczną nawę. Pomieszczenie oświetlała żarówka w czarnej blaszanej osłonie.

Rogalla zauważył chyba bezradność Kaminskiego i wepchnął go do środka.

– Czy zawiadomiliście już Muchtara? – zapytał Kaminski.

– Muchtara? – odparł Rogalla. – To nie jego interes.

Kaminski nie zrozumiał.

Za potężnymi kwadratowymi kolumnami podłoga była rozkopana. Kaminski dostrzegł źle zachowaną drewnianą skrzynię.

Lundholm podszedł bliżej. Uniósł popękane wieko. W skrzyni leżał zmarły oficer w mundurze; obwieszony orderami. Jego ciało było dobrze zachowane.

Kaminski, który nie wiedział, co się z nim dzieje, po chwili zdumienia wybuchnął śmiechem. Śmiał się głośno i z ulgą, dwaj pozostali przyglądali mu się ubawieni. Nie znali powodu owego wybuchu śmiechu, ale sytuacja była dość niezwykła, toteż nie zadawali pytań.

– Anglik – powiedział Lundholm. – Bedeau, który się zna na mundurach, uważa, że chodzi tu o oficera z ekspedycji lorda Kitchenera. Leżał tu pogrzebany, nie odkryty przez nikogo. Elektryk natknął się na niego podczas zakładania instalacji. Co teraz zrobimy?

– Niech zadecyduje profesor Jacobi – odparł Kaminski – ale proponuję, abyśmy zawiadomili ambasadę brytyjską. Niech powiedzą, co mamy począć z żołnierzem Jej Królewskiej Mości.

Kaminskiemu spadł kamień z serca, że odkrycie okazało się takie niewinne, i spontanicznie zaprosił Rogallę i Lundholma na piwo do swojego baraku, aby, jak się wyraził, spłukać kurz, a oni ochoczo przyjęli zaproszenie.

– Ty chyba myślałeś, że odkryliśmy grób królowej – zaśmiał się Rogalla, potrząsając ciepłym piwem. I zwracając się do Lundholma, powiedział: – Wiesz co, Artur wciąż wierzy w wielkie odkrycie!

Kaminski poczuł, że czerwieni się, i odruchowo skierował wzrok na podłogę baraku, aby sprawdzić, czy nie widać na niej żadnych śladów, które by wzbudzały podejrzenie.

– Nie musisz się z tego powodu wstydzić! – pocieszał go Rogalla, który błędnie zrozumiał zachowanie Artura.

W tym samym czasie obaj spostrzegli osmalony kawałek papieru leżący na podłodze obok biurka. Rogalla, który siedział bliżej, podniósł go i chciał położyć na biurku, kiedy ujrzał na strzępku pobieźnie naszkicowane hieroglify. – Powoli zaczyna mnie ogarniać uczucie – rzekł od niechcienia – że chcesz się mieszać w nie swoje sprawy.

– Ach, co tam! – Kaminski zbagatelizował jego słowa. – Podobają mi się te znaki i czasami, kiedy jestem na górze na placu budowy, robię sobie kilka szkiców, nie wiedząc nawet, co to wszystko znaczy.

Rogalla obracał kartkę na wszystkie strony. Następnie spojrzał na Kaminskiego i rzekł poważnym tonem: – Najdziwniejsze jest to, że w całym Abu Simbel nie ma najmniejszej wskazówki dotyczącej tego imienia. – Pomachał kartką w powietrzu.

– Co tam jest napisane?

– Bent-Anat – odpowiedział Rogalla.

Kaminski spodziewał się teraz, że Rogalla zacznie mu zadawać dalsze pytania. Ale tak się nie stało, i właśnie to wprowadziło Kaminskiego w niepokój. Niekiedy wydawało mu się, że każdy w Abu Simbel wie więcej, niż się do tego przyznaje.

Tego wieczoru Kaminski spał z Hellą, nie dlatego, że jej pożądał – był bowiem zbyt wyczerpany – tylko dlatego, że Hella go o to prosiła; potrzebowała go, jak się wyraziła. Arturowi było nawet przyjemnie z tego powodu, ale zachowanie Helli w szpitalu, strach, jaki przeżył w związku z odkryciem zwłok angielskiego żołnierza, i uwagi Rogalli sprawiły, że czuł się podle; w każdym razie myśli jego krążyły całkiem gdzie indziej niż wokół łóżka Helli.

Bardzo zmęczony, Artur zasnął w ramionach lekarki; tuż po północy jednak obudził się nagle, ponieważ usłyszał rżenie. Hella oddychała ciężko; była pogrążona w głębokim śnie, ale głośno chrapała. Artur zapalił światło.

Na czole Helli lśniły krople potu, a kąciki jej ust drżały w nieregularnych odstępach. Miała przy tym zamknięte oczy. Jej oddech i dziwne dźwięki, które wydawała, stawały się coraz szybsze, podczas gdy ich natężenie się zmieniało. Po gwałtownych, głośnych oddechach następowały ledwie dosłyszalne.

Artur chciał obudzić Hellę, uwolnić ją z koszmarne snu, ale nagle usłyszał, że w nieregularnym rytmie wyrzuca słowa bez związku, które tylko z trudem można było zrozumieć.

Kobieta bełkotała niemal bez przerwy: – Ramzes, Ram-zes – przy czym E rozciągała prawie jak I. Jednocześnie wyprężała ciało, jak gdyby odczuwała ból.

Wywołało to w Kaminskim mieszane uczucia; oczywiście pragnął uwolnić Hellę z jej złego snu, z drugiej jednak strony nasłuchiwał pożądliwie, czy w ten sposób nie dowie się czegoś o tajemnicy, jaka otaczała tę kobietę.

– Hella! – szepnął Artur ostrożnie i był zdumiony, kiedy odpowiedziała mu długim, niskim: – Słuuucham.

– Myślałem, że śpisz – powiedział Kaminski cicho. – Czy masz gorączkę?

– Gorączkę, gorączkę, gorączkę – powtórzyła Hella z zamkniętymi oczami i zaczęła się przewracać z boku na bok, uderzając się przy tym rękami po ciele, jak gdyby spędzała z siebie mrówki.

Nagle zawołała głośno: – Kemal! – dodając jakieś przekleństwo, którego Artur nie zrozumiał; następnie ciało Helli wygięło się jak napięty łuk, i jak łuk, który pękł w największym napięciu, kobieta nagle uwolniła się i leżała bez ruchu.

Jej oddech stał się krótki; Kaminski się przestraszył. Pogłaskał ją po policzku i

zawołał: – Hella, obudź się! – Ale Hella leżała nieprzytomna.

Artur rozglądał się bezradnie i rozmyślał, co ma dalej robić. Heckmann, przebiegło mu przez myśl. Musi wezwać doktora Heckmanna! Włożył więc spodnie, wciągnął przez głowę koszulę i wybiegł z pokoju.

Zapukał gwałtownie do sąsiedniego domku: – Panie doktorze! Tu Kaminski!

Heckmann stanął zaspany w drzwiach, ale kiedy Artur powiedział mu o stanie Helli natychmiast oprzytomniał. Wszedł do domu i wrócił po chwili niedbale ubrany z walizką w ręku.

– Ma wysoką gorączkę – stwierdził doktor położywszy rękę na czole Helli. – Niech mi pan przyniesie mokry ręcznik! – Podniósł w górę lewą powiekę Helli, tak że było widać białko. – Nie reaguje – powiedział Heckmann i potrząsnął głową. – Był pan z Hella – stwierdził wreszcie, a zabrzmiało to jak wyrzut. – Czy piła alkohol albo zażyła jakieś mocne leki?

– Nie, to niemożliwe – odparł Kaminski – w każdym razie nie w mojej obecności. – Nasłuchiwali obaj krótkich, nieregularnych oddechów Helli.

Heckmann nie zadowolił się odpowiedzią Artura. Rozglądał się po pokoju, powąchał dwa stojące na stole kieliszki, przyglądał się ampułce z napisem KUP i badał pudełeczko z tabletkami, które leżało na półce; ale nie odkrył niczego, co by wzbudziło jego podejrzenie.

– Wygląda mi to na zatrucie – powiedział wreszcie. Kaminski podał mu mokry ręcznik. Doktor położył go na czole Helli.

W swojej bezradności Kaminski zaczął porządkować niewielki pokój. Odstawił na bok kieliszki i butelki i zaczął zbierać ubranie, które było porozwieszane na oparciach krzeseł, i umieszczać je w jedynej drewnianej szafie.

Wzrok jego padł przy tym na coś dziwnego na plecach sukienki. Wyglądało to na amulet, ale potem Kaminski poznał, że był to przebity haczykiem wędkarskim pająk krzyżak. Haczyk tak mocno wbił się w tkaninę, że Arturowi nie udało się go wyciągnąć tak, aby nie zrobić dziury w materiale.

Doktor Heckmann wyciągnął tymczasem zastrzyki z penicyliny. – Nie pamięta pan – powiedział, wytryskując ze strzykawki w powietrze delikatny, cienki strumień – czy Hella ostatnio nie zetknęła się z czymś toksycznym? Dobrze by było to wiedzieć.

Kaminski zastanowił się. – O Boże, tak! – wykrzyknął. – Teraz mi się przypomniało. W jej gabinecie zrzuciłem na podłogę butelkę z karbolem. Tak, to było to!

– Karbol?

– Tak. Ja od zapachu dostałem halucynacji. Miałem straszliwą wizję.

– Od karbolu?

– Tak. Hella tak mi to wytłumaczyła.

Doktor Heckmann ujął rękę Helli, przytknął igłę do zgięcia łokcia i ukłuł. – Drogi przyjacielu – powiedział z uśmiechem – karbol jest wprawdzie dobrym środkiem dezynfekującym, ale w żadnym razie nie nadaje się do wywoływania halucynacji. – Następnie wyciągnął igłę z żyły Helli.

– Ale ja rozpoznałem wśród tego gryzącego zapachu straszliwie wykrzywioną twarz! – Kaminski próbował się tłumaczyć. – Jestem tego całkiem pewien.

– Jeśli pan jest pewien, to znaczy, że ta wykrzywiona twarz istotnie tam była. My, ludzie, jesteśmy skłonni uważać za halucynacje rzeczy, które są dla nas odrażające.

Kaminski się przestraszył. Na jego dłoni leżał pajak z niebezpiecznym haczykiem. Heckmann przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Co to jest?

– Nie wiem. – Trzymał dziwną rzecz przed nosem doktora.

– To wisiąło na ubraniu Helli.

– Osobliwe – powiedział doktor Heckmann i przyglądał się ze wszystkich stron przebitemu pajakowi. – Takimi kawałami zajmują się afrykańscy znachorzy. Ale Hella?

Kaminski doznał nagłego olśnienia: – Albo kowal Kemal.

Heckmann spojrział na Kaminskiego, jak gdyby chciał powiedzieć: Co wspólnego ma z tą sprawą Kemal?

– Hella miała przykre starcie z Kemalem z powodu Margret Bakker.

Oddech Helli stał się teraz wolniejszy i bardziej miarowy. Doktor Heckmann siedział w milczeniu obok niej i badał puls. – Czy uważa pan za możliwe, aby Kemal w tak perfidny sposób się zemścił? Wie pan, że istnieją trucizny, które mają tak druzgocące działanie, iż haczyk, który wejdzie w skórę, może spowodować śmierć.

Kaminski, który wciąż jeszcze trzymał w dłoni przekłutego pajaka, zadrżał i rzucił go na stół. Następnie przyglądał się na zmianę Helli i pajakowi; wreszcie powiedział: – Czy taki haczyk pozostawia ślady?

– Normalnie tak – odpowiedział doktor Heckmann i odwrócił Helle na bok. Na plecach poniżej prawej łopatki widać było lekkie zaczerwienienie.

– Co pan o tym sądzi? – zapytał Kaminski niecierpliwie. Spokój, jaki wykazywał lekarz w tej sytuacji, denerwował go.

Heckmann przejechał dłonią po plamie na skórze. Miał bezradny wyraz twarzy, kiedy odpowiadał: – Muszę przyznać, że w mojej praktyce nie miałem jeszcze takiego przypadku. Nie widać śladu zranienia. Mogłoby tu chodzić równie dobrze o podrażnienie skóry.

Lekarz wzruszył ramionami. Nie był zadowolony ze swojej uwagi. A jego mina utwierdziła Kaminskiego w przekonaniu, że Heckmann nie był perłą ani jako lekarz, ani jako człowiek.

Tak więc czas, jaki wspólnie spędzali na czuwaniu przy łóżku Helli, upływał po większej części na milczeniu. Tylko nad ranem, kiedy już szarzało, Heckmann powiedział zniechęcony – chyba długo nad tym myślał: – Czy pan wciąż jeszcze kocha Helle?

Takiego pytania Kaminski się nie spodziewał, w każdym razie nie w tej sytuacji. Jego wargi się zwięzły, a między brwiami utworzyła się mała pionowa zmarszczka.

– Niech pan posłucha – powiedział cicho drżącym głosem – czy pan wciąż jeszcze nie pogodził się z porażką? Czyżby pan zamierzał uzależniać swoje medyczne działania od szans, jakie pan ewentualnie ma jeszcze u Helli? Ale powiadam panu, że gdyby się okazało, iż nie uczynił pan wszystkiego, co w ludzkiej mocy, dla tej kobiety, wówczas postaram się, aby pan...

– Wypraszam sobie! – Heckmann był oburzony. – Nie ma pan prawa tak do mnie mówić! Odkąd bowiem zjawił się pan tu, w Abu Simbel, wprowadza pan tylko zamieszanie.

– Ach – powiedział Artur z udawanym spokojem, który był jedynie oznaką jego wściekłości, grożącej każdej chwili wybuchem. – A więc pan uważa, że to ja jestem wszystkiemu winien.

Niewiele brakowało, a Heckmann i Kaminski chwyciliby się za bary. Ale Kaminski powiedział sobie, że nie ma sensu wdawać się w awanturę, przestał więc na pogardliwym machnięciu ręką i wołał opuścić pokój.

Usiadł na schodach pod drzwiami domu i patrzył na obóz robotników, który jeszcze spał spokojnym snem. Łańcuchy górskie w oddali zaczynały powoli tracić swą mętną szarość i nabierać barw, najpierw ciemnego fioletu, potem zaś, kiedy pojawił się pierwszy promień słońca, ciemnego oranżu, szybko zamieniającego się w lśniącą żółtość.

Nie wolno ci, myślał Artur, pozostawiać losu Helli w rękach tego Heckmanna. Ale co miał robić? W jaki sposób mógł się dowiedzieć, czy Kemal wymierzył w Helle zatrutą strzałę? Rozmowa z nim nie miała sensu. Oczywiście Kemal

skłamałby, oczywiście wymyśliłby niestworzone rzeczy.

Muchtar! Ten znał Kemala lepiej niż wszyscy inni. Tak jak Kemal, pochodził z Górnego Egiptu, i jeśli istniał ktokolwiek, kto przejrzał tego kowala, to właśnie Muchtar.

Kaminski przyniósł haczyk z pajakiem, zawinął go w chusteczkę i pojechał do Muchtara, który mieszkał z drugiej strony drogi, tuż koło wieży ciśnień.

Muchtar najpierw nie chciał uwierzyć, że amulet z pajakiem został znaleziony przy Helli Hornstein; kryło się bowiem za tym złe przekleństwo, a pajak krzyżak symbolizował śmierć. Dlaczego Kemal pragnął śmierci lekarki?

Wówczas Kaminski opowiedział o sprzeczce tych dwojga i o przekonaniu Kemala, że według słów Allaha kobiecie nie wolno leczyć chorych. Ale to wszystko, powiedział Kaminski, jest sprawą drugorzędną; teraz najważniejsze jest stwierdzenie, czy Kemal użył trucizny, a jeśli tak, to jakiej.

Muchtar zrobił poważną minę i odparł, że należy się tego obawiać, albowiem za formułą przekleństwa tubylca kryje się nie tylko życzenie, ale także niezłomny zamiar. W tym wypadku należy przypuszczać, że Kemal miał zamiar zabić doktor Hornstein, a do tego celu mógł użyć tylko jadu żmii.

Jad żmii? Kaminski słyszał, że wystarczyła minimalna ilość takiej trucizny, aby zabić słonia.

Nic nie mówiąc, Muchtar wziął z ręki Kaminskiego chusteczkę z fetyszem i dał znak ruchem głowy, aby ten poszedł za nim.

Skromna łazienka o betonowych ścianach, pomalowana na zielono, składała się z umywalki i pryszniczki wystającego z sufitu. W drewnianej skrzyni leżały dwa małe, ociężałe krokodyle. Wielu ludzi w obozie trzymało małe krokodyle jako zwierzęta domowe. Wystarczyło tylko przynieść jaja z ławic piaskowych nad zalewem, należało tylko pamiętać, aby wypuścić na wolność zwierzęta, kiedy osiągną długość około trzydziestu centymetrów; potem bowiem zaczynają one gryźć i stają się niebezpieczne.

Nożyczkami do paznokci Muchtar wyjął haczyk z chusteczki, następnie ukłuł krokodyla w pysk. Gad drgnął, najpierw się nie ruszał, jak gdyby nic się nie stało, ale po dwóch, trzech minutach nagle zaczął się wściekle wić jak wąż, i po krótkiej walce padł martwy na grzbiet. Brzuch mu połyskiwał jasno i nienaturalnie.

– Trucizna – mruknął Muchtar.

Kaminski patrzył wstrząśnięty na martwe zwierzę. Nie mógł zebrać myśli. Następnie wypadł z domu Muchtara i oznajmił Heckmannowi, że na haczyku jest trucizna.

Heckmann początkowo nie chciał mu uwierzyć. Następnie stwierdził, że mógłby wprawdzie zaaplikować Helli środek wywołujący skurcze, ale nie wie, o jaką truciznę naprawdę chodzi. Kaminski przełamał się i poprosił lekarza niemal błagalnym głosem, aby wstrzyknął ten środek; przecież widzi, że Hella prawie nie ma szans. Heckmann ustąpił.

Kiedy Hella po czterech godzinach obudziła się z gorączkowego snu, Kaminski odniósł wrażenie, że doktor Heckmann jest zdumiony. Gdy opuszczał dom, wyglądał na zmieszanego. Zaś Artur ocierając Helli pot z czoła wilgotnym ręcznikiem, zastanawiał się, jakim naprawdę człowiekiem jest ten lekarz.

Pierwszy września 1966 był pamiętnym dniem w Abu Simbel. Tego dnia Sergio Alinardo i jego ludzie ścięli z góry ostatni blok kamienny, posąg wagi dwudziestu pięciu ton bez żadnych ozdób. Kaminski kazał go zawiesić na całe przedpołudnie na podnośniku jak trofeum, a robotnicy klaskali uradowani.

Co do przyboru wody w tamie, obliczenia rosyjskie okazały się błędne i dały okazję do żartów. Profesor Jacobi wygłosił przed południem krótkie przemówienie i zwrócił uwagę, że wprawdzie wygrano wyścig z czasem, ale wykonano dopiero połowę zadania.

W wydarzeniu tym uczestniczyli przedstawiciele władz, a Jacques Balouet fotografował wszystko z najwyższego punktu góry z zamglonym Nilem w tle.

Balouet i Raja Kurianowa mimo wzajemnej nieufności znów się odnaleźli; połączyły ich wspólne kłopoty. Stałe przebywanie ze sobą i obawa, że jedno mogłoby coś przedsięwziąć bez udziału drugiego, scementowało ich jak starą parę małżeńską – początkowo był to tylko związek interesu, powoli jednak wzajemne uczucia się pogłębiły. Ich rozmowy krążyły wciąż wokół jednego tematu: Jacques i Raja szukali bowiem okazji, aby się stąd wyrwać i rozpocząć gdzieś nowe wspólne życie.

Owego 1 września jednak ich plany zostały mocno pokrzyżowane. Raja miała zaopatrzyć zdjęcia, które Balouet przyniósł z laboratorium, w odpowiednie teksty, aby Kurusz „the Eagle” mógł zawieźć je następnego dnia samolotem do Asuanu.

Kiedy Raja sporządzała komentarze, wzrok jej padł na zdjęcie, które Balouet zrobił z góry; rozpoznała na nim siebie wśród gromady widzów. Nagle wydała okrzyk.

Balouet wsunął głowę przez drzwi, aby zobaczyć, co się stało.

– Tu – powiedziała Raja, podsuwając Balouetowi zdjęcie.

Ten przyjrzał się fotografii i rozpoznał Raję, ale nie pojmował, jakie niebezpieczeństwo mogło być z tym związane. Dlatego odpowiedział pytaniem: – Nie rozumiem, o co ci chodzi?

Raja położyła zdjęcie na stole, wzięła lupę do ręki i trzymała nad nim, aby Jacques mógł lepiej zobaczyć: – O tu, ten mężczyzna z kamerą, na ukos ode mnie! Wyglądający jak fotoreporter!

Balouet wyjął Rai lupę z ręki i pochylił się nad fotografią. – O Boże – powiedział i obracał zdjęcie na wszystkie strony – pułkownik Smoliczew!

Balouet nerwowo grzebał na biurku, szukając listy gości: – Smoliczew oficjalnie nie został zaproszony – wyjąkał i oboje patrzyli na zdjęcie jak skamieniali.

Puls Rai szalał. Nie potrzeba było zbyt bogatej wyobraźni, aby się domyślić, dlaczego Smoliczew przybył incognito do Abu Simbel. Było to typowe dla Smoliczewa: szczególne zadania wykonywał zazwyczaj osobiście, co często powodowało krytykę jego przełożonych, ale zawsze przynosiło mu pełny sukces. W ten sposób zdemaskował w Kairze dwóch egipskich szpicli, którzy pracowali dla CIA, i chodziły słuchy, że w Asuanie osobiście zwerbował znanego handlarza antykami do służby sowieckiej, człowieka, który obracał się w najwyższych kręgach towarzystwa egipskiego i stanowił dla KGB jedno z najcenniejszych źródeł informacji.

Jeśli Smoliczew zjawił się teraz w Abu Simbel, to oznaczało, że od dawna o wszystkim wiedział. Niewątpliwie od dawna niebyło tak dogodnej sytuacji, aby rozejrzeć się tu za Rają, nie rzucając się przy tym zbyt w oczy.

– Muszę stąd uciekać! – Raja zerwała się na równe nogi i zaczęła dreptać po biurze. Ręce miała zaciśnięte na piersiach. Jej twarz przybrała bladą barwę. – Muszę stąd uciekać! – powtórzyła bezradnie.

Balouet stanął przed Rają i chwycił ją mocno za ramię: – Uspokój się! Nie możesz tak po prostu uciec. Gdzie chcesz pójść?

– Muszę się stąd wynosić! – krzyczała Raja do Francuza. – Czy mam czekać, aż przyjdą tu ludzie Smoliczewa i mnie zabiorą? Albo aż ktoś mi strzeli w tył głowy? Wiem, że moje szanse są niewielkie, ale nigdy nie miałam w zwyczaju przyglądać się beczynnemu temu, co mi los gotuje. – Raja oddychała pospiesznie.

Balouet przyjrzał się po raz kolejny zdjęciu, następnie odłożył je na bok i powiedział: – Jeśli odejdziesz, pójdę z tobą. W końcu ja również uczestniczę w całej tej sprawie, a pułkownik uwierzy we wszystko, tylko nie w to, że nie wiedziałem o twoim przybyciu.

Oboje objęli się, jakby chcieli dodać sobie nawzajem odwagi.

– Teraz nasuwają się dwa pytania – zaczął Jacques z namysłem.

– Nie ma żadnych pytań! – przerwała mu Raja. – Odpowiedź jest jedna: musimy natychmiast uciekać, najlepiej jeszcze tej nocy. I musimy spróbować przedostać się na południe, najlepiej do Chartumu. Tam KGB nie będzie nas szukał.

– Chyba zwariowałaś, Raja! Czy wiesz, gdzie leży Chartum? Pięćset kilometrów na południe stąd, w Sudanie. Czy wiesz, co to znaczy? Pięćset kilometrów przez pustynię?

Raja mówiła: – A wiesz, co to znaczy, jeśli dysydent zostanie złapany przez KGB? Mam nadzieję, że orientujesz się w powadze naszego położenia.

Balouet skinął w milczeniu głową. Raja miała rację. Ucieczka na północ, do Asuanu, nie miała sensu. Musieli wybrać drogę na południe.

Przez kilka minut medytowali. Zdawali się szukać wyjścia, ale nie przychodziła im do głowy żadna zbawcza myśl.

– Tam nie ma nawet żadnej drogi – stwierdził Balouet zrezygnowany.

– Tylko droga wodna, Nil – odpowiedziała Raja.

Balouet zastanowił się. Przed placem budowy stało wiele łodzi motorowych. Mieli szansę uciec jedną z nich, jeśli ucieczka pozostanie możliwie jak najdłużej nie zauważona.

Spojrzeni na siebie i oboje w tej chwili pomyśleli to samo: istnieje tylko ta jedna droga ucieczki, w górę Nilu.

– Czy umiesz prowadzić motorówkę? – zapytała Raja.

Balouet wyjął papierosa z ust i odparł: – Ten, kto kieruje ciężarówką, potrafi też prowadzić łódź motorową. To już pozostaw mnie. Bardziej przeraża mnie, że pod Faras musimy przekroczyć granicę, a ty nie masz paszportu. A wiesz, że dla Araba nie ma nic ważniejszego pod słońcem niż firman, dokument ze stemplem. Ale... – zgniótł papierosa, podszedł do szafy pancерnej, otworzył ciężkie drzwi i wskazał na powiązane banknoty – to nam dalej pomoże, jestem tego pewien. Bakszysz, ulubione słowo każdego Araba!

– A jeśli trafimy na nieprzekupnego urzędnika?

– Musimy zaryzykować! – stwierdził Balouet. Próbował od pędzić tę myśl. – A może wolisz kierunek na wschód przez pustynię do Morza Czerwonego? To tylko czterysta kilometrów. Albo na zachód, do Libii? Sześćset kilometrów! Nie musielibyśmy się wtedy obawiać, że nas ktoś zatrzyma, ale szansa dotarcia tam jest równa zeru.

Raja zerwała się: – A więc dobrze. Kiedy wyruszamy?

Balouet długo się nie namyślał: – Natychmiast – odpowiedział. – Kiedy nastanie dzień, musimy już być daleko stąd.

Zapakowali najniezbędniejsze rzeczy. Jacques napełnił dwa kanistry wodą; pieniądze, 1600 funtów egipskich i osiem tysięcy dolarów, podzielił na równe części. Jedną część schował do oliwkowozielonego woreczka, pod ubraniem, drugą

do kieszeni kurtki, resztę dał Rai.

Kiedy otworzyli drzwi, powiał na nich gorący chamsin, upalny wiatr z południa, który unosi chmury piasku z pustyni i sprawia, że najjaśniejszy dzień się zaciemnia. Podczas chamsinu praca w Abu Simbel zamiera. To zwiększało ich szanse, że nie będą od razu przyłapani.

Volkswagenem Baloueta podjechali do baraku Kaminskiego. Tam zostawili samochód i resztę drogi, ostatnie sto metrów do przystani, odbyli pieszo.

Poruszone wiatrem cztery łodzie szarpały się na linach. Balouet znalazł na jednej z nich dwa kanistry benzyny, a ponieważ bez większego trudu dała się uruchomić, wybrał właśnie tę. O ile mógł się zorientować w ciemności, łódź ta była najmniejsza ze wszystkich, w lepszym stanie niż inne. Łodzie te służyły przede wszystkim do transportu robotników i narzędzi.

Ze względu na nadciągający chamsin Raja zastanawiała się, czy nie powinni poczekać do rana, Jacques jednak uważał, że ciemności i groźny wiatr są ich najlepszymi sprzymierzeńcami. W końcu Raja przyznała mu rację. Dopiero kiedy zniknęli z pola widzenia, Balouet obiecał, że w górze Nilu po drugiej stronie zakotwiczą łódź i poszukają schronienia przed wiatrem.

Raja położyła się na pokładzie przy burcie. Była w ten sposób osłonięta od suchego wiatru. Balouet zapuścił silnik i usiadł u steru. Ustawił łódź dziobem do wiatru, żeby w ten sposób jak najmniejsza powierzchnia była wystawiona na silne podmuchy. Aby powodować jak najmniej hałasu, Jacques płynął początkowo tylko na półobrotach. To wystarczało, aby posuwać się naprzód.

Zamglony Nil, zazwyczaj leniwie płynący, był tej nocy wzburzony, wznosił fale, jakich Balouet nigdy jeszcze nie widział. Uderzały w nieregularnych odstępach o burtę i unosiły łódź w górę, jakby chciały ją przewrócić.

– Nie bój się – zawołał Jacques przekrzykując wiatr – damy radę! – Ale były to tylko słowa otuchy, potrzebne w tej sytuacji samemu Balouetowi. Jego oczy świdrowały ciemności, starał się mieć przed sobą zachodni brzeg. Wschodniego, gdzie chciał zakotwiczyć, nie widział.

Bardzo prędko porzucił myśl, że w tym miejscu przepłynie Nil, istniała bowiem obawa, że łódź zostanie porwana przez wiatr. Balouet płynął teraz na pełnych obrotach. Tylko w ten sposób mógł utrzymać kurs.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – zawołała wystraszona Raja ze swojej bezpiecznej od wiatru kryjówki.

– Skąd mam wiedzieć – odpowiedział Jacques w jej kie runku. – Widzę zaledwie na odległość dłoni. Ale to nieważne, gdzie jesteśmy. Najważniejsze, że

daleko od Abu Simbel.

Raja skinęła głową i uchwyciła się mocniej burty rozkołysanej łodzi. Od czasu do czasu wychylała się ostrożnie; ale kiedy fale uderzyły ją kilkakrotnie w twarz, zdała się całkowicie na los. Ufała Jacquesowi. Nie musiał być od razu bohaterem, ale to, co do niego należało, robił perfekcyjnie.

Nie wiedziała, ile czasu już upłynęło, kiedy monotony szmer przerwały najpierw odgłosy mielenia, a zaraz potem stukot zacinającej się śruby. Balouet nie zauważył palmy, której tylko kilka kiści wystawało ze wzburzonego Nilu. Nie zważając na to, zbliżyli się na sto metrów do brzegu.

O ile Balouet mógł się zorientować, zalew w tym miejscu tworzył naturalną zatokę. Wydawała się odpowiednia, aby się w niej schronić do rana przed chamsinem.

Balouet nie umiał powiedzieć, jak daleko znajdowali się od Abu Simbel; nie znał Nilu w jego górnym biegu. Piaszczysty półwysep, który wyraźnie wynurzał się z wody, zachęcał, aby wyciągnąć łódź na brzeg. O kilka kroków dalej wznosił się blok skalny wielkości słonia. Postanowili przeczekać pod nim do rana.

Balouet całą siłą skierował łódź do brzegu. Dziób wwiерcił się w piasek. Jacques i Raja wyskoczyli i pobiegli do skały. Piasek wiał im w twarz i sprawiał ból jak tysiąc ukłuc igłą. Przeszli na stronę osłoniętą od wiatru, przykucnęli i oparli się plecami o kamień. Milczeli oboje i marzyli w półśnie.

W głębi serca Balouet żałował, że wziął na siebie całą tę eskapadę, i ogarniały go wątpliwości, czy dotrą do Sudanu łodzią; albowiem kiedy tylko pogoda się poprawi, Nil będzie przeszukiwany za pomocą samolotów, a Kurusz „the Eagle” był cholernie dobrym pilotem, szczególnie znanym ze swych lotów nurkowych.

Mieli nadzieję, że rankiem chamsin zelżeje i będą mogli kontynuować podróż, ale nadzieja okazała się złudna. Wiatr smagał Nil z jeszcze większą siłą niż w nocy i kiedy Balouet wyjrzał zza osłaniającej ich skały, aby zobaczyć, co się dzieje z łodzią, przeraził się śmiertelnie.

– Raja – wykrzyknął i wyrwał kobietę z półsnu – Raja, łódź zniknęła!

Raja zerwała się, pobiegła na miejsce, gdzie w nocy wysiedli na ląd, i wpatrywała się w rynnę, którą pozostawił dziób łodzi.

Balouet spojrział w kierunku północno-wschodnim i wskazał bez słowa środek zalewu. Tam dryfowała ich łódź, kołysząc się jak łupina orzecha. Raja i Jacques padli sobie w ramiona. Płakali.

– To moja wina, tylko moja wina – powtarzał wciąż Balouet. – Nie powinienem cię narażać na takie niebezpieczeństwo.

– Bzdura! – Raja próbowała go pocieszać. – To ja cię do tego zmusiłam. Być może istniała inna droga ucieczki z Abu Simbel. Ale oboje podjęliśmy tę decyzję i oboje przetrwamy.

Balouet zaśmiał się gorzko: – W jaki sposób? Bez środka transportu, bez wody, bez jedzenia. Jak ty to sobie wyobrażasz?

W istocie ich położenie stało się beznadziejne, ale bez sensu było uzalać się nad sobą. Uzalenie się nad sobą to pojęcie, którego Raja Kurianowa nienawidziła prawie tak samo jak KGB. – Podobno wielbłądy mogą żyć dziesięć dni bez wody i pożywienia – powiedziała pocieszająco i dlatego na szlakach karawan co najmniej po dziesięciu dniach marszu spotyka się studnię.

Uwaga Rai wywołała uśmiezek na twarzy Baloueta. Mimo swego hartu i inteligencji, Raja niekiedy reagowała zupełnie jak dziecko. – Ale niestety nie jesteśmy wielbłądami – odparł Jacques – i niestety nie znajdujemy się na szlaku karawanowym, tylko na brzegu zalewu.

– Czy woda z Nilu nadaje się do picia?

– Oczywiście można pić wodę z Nilu. Pytanie tylko, jakiej choroby człowiek się wówczas nabawi.

Z wody wyłaniało się z rosnącym brzaskiem coraz więcej wierzchołków drzew palmowych, które przedtem porastały brzeg rzeki, a teraz smagane przez wiatr i wodę wyglądały jak topielcy, wymachujący bezradnie ramionami.

– Jak długo trwa chamsin? – zapytała Raja po upływie dwóch godzin, które spędzili u stóp skały.

– Tego nie można przewidzieć – odparł Jacques i otarł sobie piasek z twarzy. – Czasem po dwóch godzinach wszystko mija i niebo promienieje najjaśniejszymi barwami. Ale w Górnym Egipcie chamsin może wiać także trzy dni, a niebo pozostaje żółte i szare jak brudne płótno.

Okolo południa – tak długo oboje siedzieli przytuleni za skałą – wycie i szum wiatru powoli ustawały, choć niebo się nie rozjaśniało. Balouet znał te kaprysy pogody i wiedział, że nierzadko był to znak, iż wiatr osłabł, aby znów zaczerpnąć powietrza i następnie, po krótkiej przerwie, wybuchnąć z jeszcze większą siłą.

Jacques i Raja wykorzystali okazję, aby wdrapać się na wydnię, którą chamsin pokrył geometrycznym wzorem fal. Po ich łodzi nie było śladu. Być może podczas sztormu rozbiła się i zatonięła. Na południe, w kierunku Sudanu, ciągnęły się wydmy. Góry piasku wyglądały jak brzuchate lwy morskie. Ale niedaleko otwierała się kotlina otoczona palmami, do której jednak nie mogli zajrzeć. Tę kotlinę obrali sobie za cel. Chcieli zobaczyć, co jest dalej.

Drogę do kotliny Balouet obliczał na trzy godziny, ale potrzebowali pięciu, zanim pokonali ostatnią wydmy. Świeżo nawiany piasek, w którym często zapadali się po kolana jak w puszystym śniegu i który niekiedy stawał się rwący jak potok górski, utrudniał posuwanie się naprzód.

Raja pierwsza z grzbietu ostatniej wydmy ujrzała coś nieprawdopodobnego: u jej stóp, w zatoce, którą utworzyły wody zapory, leżała opuszczona wioska – w każdym razie sprawiała wrażenie, jakby mieszkańcy ją opuścili. Połowa domów była już zatopiona w Nilu albo sterczały jeszcze tylko dachy, dni zaś nieco wyżej położonych chat były już chyba także policzone.

Nagle Balouet wykrzyknął: – Raja, uszczypnij mnie!

Teraz również Raja zobaczyła, co Jacquesa skłoniło do tego okrzyku. Do jednej ze skał, które sięgały do wody, były przymocowane dwie łodzie, jedna feluka z poszarpanym żaglem i łódź motorowa, która najlepsze dni miała już dawno za sobą.

Balouet wydał okrzyk radości i zaczął skakać ze zbocza w dół, przewracając się wielokrotnie jak rozbrykane dziecko. Raja podążała za nim ostrożnie. Ale zanim Jacques dotarł na dół, z chat wyszły postacie wysokie jak drzewa, niektóre półnagie, inne odziane w długie szaty. Trzy z nich trzymały broń w pogotowiu.

Jacques biegł naprzeciw mężczyznom i wymachiwał rękami. Uzbrojeni ludzie zdawali się jednak tego nie rozumieć; skierowali karabiny na Baloueta. Balouet przystanął i krzyknął parę arabskich słów, które mu akurat wpadły do głowy, ale nie zrobiły one wrażenia na mężczyznach.

Nie spuszczając oczu z Baloueta, jeden z nich wystrzelił w powietrze. Wówczas z chat wyszedł starszy mężczyzna odziany w białą galabiję. Wyciągnął ramię i zakreślił w powietrzu półkole, a mężczyźni opuścili broń.

Teraz nadeszła także Raja. Szukała dłoni Jacquesa. Drżała. Aby sobie dodać odwagi, mniej zaś z przekonania, powiedziała: – Oni nam nic złego nie zrobią, jeśli zauważą, że przybyliśmy w pokojowych zamiarach. – Balouet ścisnął jej rękę.

Stary człowiek zbliżał się wolno, a idąc wołał do nich coś niezrozumiałego w arabskim języku. Balouet próbował powiedzieć coś po angielsku, ale jego słowa nie spotykały się z żadną reakcją. Zrozpaczony spróbował po francusku, wówczas

zobaczył, że stary zareagował i kalecząc język zadał pytanie, czy są wysłani przez władze.

– Przez władze?

Balouet i Raja spojrzeli na siebie. Co mają na to odpowiedzieć?

– Powiedz zwyczajnie prawdę – mruknęła Raja.

– To niemożliwe – odparł Jacques, po czym opowiedział starcowi następującą historię: są dziennikarzami z Francji i chcieli napisać artykuł o wpływach tamy na okolice Górnego Egiptu. Podczas chamsinu ich łódź się wywróciła, teraz szukają pomocy; chcą się dostać dalej do Sudanu.

Szejk słuchał słów Baloueta, trzymając dłoń za lewym uchem, co, jak się wkrótce okazało, mniej wskazywało na słaby słuch, a raczej na palące zainteresowanie słowami Baloueta. Stary słuchał historii, wykrzywił pomarszczone usta i spluwał wysokimi łukami śliny na ziemię. Następnie zaczął słać Allaha, który dał mu wykształcenie i dar rozumienia nawet ludzi, którzy mówią obcym językiem, i nikt inny między Kurusku i Wadi Halfa nie mógł mu w tym dorównać.

Obcy przybysze kiwali z podziwem głowami. Mieli nadzieję zyskać w ten sposób przychylność szejka; ale ten zaczął nagle przeklinać cudzoziemców, a dziennikarzy przede wszystkim, i kończył każde ze swoich trudnych francuskich zdań, gwałtownie spluwając na ziemię, jakby to miało mu zastępować znaki interpunkcyjne. Najpierw, złorzeczył, zostali zdobyci przez Anglików, teraz przez Rosjan. A dziennikarze to wyjątkowa hołota – tak, użył francuskiego słowa *canaille* – ponieważ zawsze przeinaczają prawdę, i nikt dotychczas nie napisał, jak naprawdę władze obchodzą się z mieszkańcami wsi, którzy swój kraj zamieszkują od pokoleń, że zatapiają ich ziemię dla własnego zysku. A Naser, ich prezydent, to człowiek niewierzący, którego przysłały tu chrześcijańskie psy; gdyby Allah, Wszechmocny, zechciał, aby Nil stał się olbrzymim jeziorem, tak wielkim jak morze leżące za Mekką i Medyną, dwoma świętymi miastami, to wystarczyłoby, aby kiwnął palcem, a tak by się stało. Ale Rosjanie ze stepów Azji przybyli do tego kraju, obsiedli go niczym tysiące much plujek wielbłądzi nawóz, po to, aby go eksploatować. I nawet jeśli tama, ta hańba w sercu Egiptu, już stanie, Rosjanie nie wrócą do swego kraju, będą tkwić jak te kleszcze w ciele egipskiego barana.

W tym nie kończącym się potoku słów starca głos jego wielokrotnie przechodził w falset, tak bardzo wzburzyły go własne słowa, i kiedy skończył, i gwałtownie łapał powietrze, mężczyźni stojący za nim wydali ostry okrzyk jako znak aprobaty, choć nie zrozumieli ani słowa. Znali jednak ton głosu swego wodza

i wiedzieli, że powiedział on coś bardzo ważnego.

Potem zapanowała dłuższa przerwa. Szejk mierzył przybyszów wzrokiem od stóp do głów, jak tellach wielbłądy na targu. Jacques i Raja uznali, że najstosowniej będzie teraz milczeć; byli i tak skazani na łaskę mieszkańców wsi. Kiedy stary dostatecznie się im przyjrzał, dał znak, aby poszli za nim.

Dom był wielkości mniej więcej cztery na sześć metrów i zbudowano go z cegieł wykonanych z błota Nilu. Miał tylko jedne drzwi i małe okienko wychodzące na ocienioną stronę. Zielononiebieskie drzwi otwierały się bezpośrednio do kuchni, której ściany i sufit lśniły tłustą sadzą, i gdzie śmierdziało jak na śmietniku.

Zasłonięte sznurkami koralu przejście prowadziło do drugiej izby. Była ona skąpo oświetlona za pomocą otworu w suficie. Na podłodze leżały wystrzępione dywany i poduszki w jaskrawe wzory. Oprócz niskiego drewnianego stołu nie było tu żadnych mebli.

Gdy Raja, Balouet i starzec zajęli miejsca na podłodze, wódz zaklaskał w dłonie. W sąsiedniej izbie, w której jeszcze przed chwilą panowała cisza, teraz się ożywiło. Słysząc było głosy kobiet oraz brzęk naczyń i po krótkim czasie ukazała się niska krępa kobieta, z herbatą w malutkich szklankach. Zaraz po niej zjawiała się druga i przyniosła miskę z zielonkawo-białymi kawałkami sera, a w chwilę potem weszła trzecia z okrągłym chlebem wielkości brytfanny.

Wskazując na kobiety, stary powiedział, że wszystkie należą do niego; a jeżeli chodzi o ser i chleb, to powinno, jego zdaniem, wystarczyć.

Ser smakował podobnie, jak wyglądał: dość obrzydliwie.

Za to chleb pachniał wybornie; smakował wyśmienicie i Raja i Jacques jedliby go z przyjemnością, gdyby szejk każdego kęsa, który wkładali do ust, nie obserwował z zagadkowym uśmiechem i niemal z obsesyjną ciekawością. Przede wszystkim ruchy rąk Rai zdawały go fascynować.

W chwili, kiedy czuł, że nie jest obserwowany, Balouet wyciągnął z kieszeni banknoty wartości pięciuset dolarów, rzucił je przed starym na stół i oznajmił protekcjonalnie, że będą należały do niego, jeśli ich, to znaczy jego i Raję, przeprowadzi przez granicę do Sudanu.

Pięćset dolarów to było bardzo dużo pieniędzy, a na południe od 23 równoleżnika pięćset dolarów to był majątek. Szejk nie sprawiał jednak wrażenia, że pieniądze go w jakimś stopniu interesują. Nawet kiedy Balouet wyjaśnił, że są to dolary amerykańskie, stary pozostał obojętny. Z uśmiechem, który ich prześladował już od dłuższego czasu, zadał pytanie, czy znają bajkę o koniu i ośle.

Zaprzeczyli uprzejmie, na co szejek pokręcił głową nad taką niewiedzą, i zaczął opowiadać: W stajni pewnego bogatego chłopa w Środkowym Egipcie stary koń i młody osioł jedli z jednego żłobu. Koń całe życie spędził u chłopa i był zadowolony, podczas gdy osłowi nie podobała się ciasnota w stajni. Próbował niejednokrotnie uciec, ale zawsze ucieczka kończyła się na płocie, który otaczał posiadłość bogatego chłopa.

Pewnego dnia – kontynuował starzec – osioł zapytał konia, czy nie mógłby mu pokazać, jak przeskoczyć drewniane ogrodzenie. Oczywiście, odpowiedział koń, ale wówczas on pozostanie sam ze swymi kłaczami; w każdym razie będzie mu bardzo brakowało młodej oślicy. Co ma więc zrobić, zapytał osioł, a koń odpowiedział, żeby mu dał oślicę na jedną noc. Oburzony osioł odrzucił tę propozycję, ponieważ nie zgadzał się, aby stary koń spółkował z młodą oślicą. Pewnego dnia jednak koń zdobył przemocą to, czego od dawna pożądał; ale teraz odmówił osłowi pokazania, jak można się wydostać na wolność, i od tej pory osioł wadził się ze sobą i swoim losem i stał się uparty i narowisty jak żadne inne zwierzę.

– Zaczynam rozumieć – szepnął Jacques do Rai.

Raja skinęła głową: – On nie chce pieniędzy, on chce mnie!

Szejkowi sprawiło widoczną przyjemność stwierdzenie, że tych dwoje zrozumiało sens i morał jego bajki; zaśmiał się głośno i oblesnie, aż mu ślina pociekła z kącików ust, następnie podniósł się z trudem z podłogi i zniknął za zasłoną z koralików.

– Zabiję go, jeśli cię dotknie – syknął Balouet głośno.

– To ci przyniesie zaszczyt, ale nic nam nie pomoże – odparła Raja oschle. – Wprost przeciwnie, oni nas zastrzelą. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego ten stary nie przywiązuje wagi do pieniędzy.

– Ja też tego nie rozumiem – odparł Balouet – za pięćset dolarów mógłby sobie przecież kupić cały harem.

W tej samej chwili szejek wyszedł zza koralikowej zasłony i rzucił na stół gruby zwitek banknotów obok pięciu już leżących banknotów.

– Myśleliście może, że jesteście pierwszymi, którzy do mnie przychodzą i chcą, aby ich przeprowadzić przez granicę? Oczywiście, że nie! – Zaczął obracać banknotami jak piekarz, który ugniata ciasto. – Proszę, bierzcie – zawołał gorzko – ja nie potrzebuję pieniędzy; albowiem prawdziwe życzenia nie spełniają się za pieniądze.

Balouet nie wiedział, co się z nim dzieje; spojrzał zrozpaczony na Raję. Myślał,

że jego pieniądze, których trzecią część i tak stracili wraz z bagażem, otworzą im wszystkie bramy, że za parę dolarów każdy tu, na pustyni, gotów jest wszystko dla nich uczynić. I oto przychodzi ten stary szejk, człowiek niczym sękatę drzewo oliwne, postać niemal biblijna, i oświadcza, że pieniądze nic dla niego nie znaczą, że ma ich dość i nie wie, co z nimi począć; ale jeśli obcy pozwoli mu się przespać z ładną młodą kobietą – kobietą, którą Jacques przyrzekł chronić, kobietą, którą kocha...

Jacques czuł, jak wściekłość rozsadza mu skronie, i w swej bezradności zerwał się, podszedł do starego, który wstał od stołu, i przyjął groźną postawę. Przerastał go niemal o głowę.

Raja zamierzała stanąć pomiędzy nimi, aby zapobiec bójce, ale szejk popatrzył spokojnie na Jacquesa, jak gdyby nigdy nic, następnie położył mu prawą rękę na ramieniu i rzekł z bezwstydnym uśmiechem: – Rok jest długi, macie czas, aby się zastanowić.

Tak powiedział, i nie okazując odrobiny emocji, opuścił dom, pozostawiając swoje pieniądze na stole. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Balouet i Raja myśleli, że szejk zamknął ich od zewnątrz, ale gdy po dłuższym czasie nieprzyjemnej ciszy Jacques oglądał dom i ostrożnie nacisnął klamkę, stwierdził, że drzwi są otwarte.

– Wydaje się, że stary jest pewny swego – zauważył Balouet i z powrotem zamknął drzwi.

– To żadna sztuka – odpowiedziała Raja. – Bo niby gdzie mielibyśmy pójść? Poza tym jego ludzie są uzbrojeni. Myślę, że nie patyczkowałiby się z nami.

Balouet skinął głową. – O Boże, gdzie myśmy się dostali!

Jacques był, jak się zdawało, u kresu wytrzymałości. Raja, znając swego towarzysza nie od dziś wiedziała, że jego nerwy są w stanie o wiele gorszym niż jej.

– Wiesz co, Jacques – powiedziała i spojrzała na wyimaginowany punkt w mrocznym pomieszczeniu – istnieją z pewnością gorsze rzeczy niż przespanie się z nubijskim szejkiem. W KGB znamy jeszcze okropniejsze metody nacisku. Poza tym zachowywał się on dotychczas wobec nas uprzejmie i nie sprawiał wrażenia, że chce użyć przemocy...

Balouet nie mógł tego pojąć; nie wierzył własnym uszom. Nagle zerwał się jak ukąszony przez tarantulę i zaczął chodzić, swoim zwyczajem, wzdłuż i wszerz małego pomieszczenia z rękami założonymi na plecach. Widać było, że szuka odpowiednich słów, ale nie znalazł właściwej odpowiedzi.

Raja przyszła mu z pomocą, powiedziała, żeby jej źle nie zrozumiał, żeby nie

uważał, iż to nie jest dla niej żadne poświęcenie, ale jeśli już do tego dojdzie, nie będzie całe życie rozpaczała.

– Nigdy, nigdy, nigdy! – zawołał Balouet w najwyższym oburzeniu. – Raczej zabiję tego drania.

W nubijskiej wiosce zapanowała cisza, nieprzyjemna cisza. Szybko zapadał zmierzch, jak wszędzie na południu; Raja i Balouet siedzieli w półmroku. Oboje rozmawiali szeptem, gdyż sądzili, że stary ich podsłuchuje. Byli zmęczeni i wyczerpani i postanowili, że noc spędzą tutaj, a następnego dnia znów spróbują pertraktować ze starym. Ustalili, że jeśli zajdzie taka konieczność, odważą się na ucieczkę w górę Nilu.

Raja zasnęła pierwsza. Poduszki, które leżały dookoła na podłodze, były wygodne, a otwór w dachu domu sprawiał, że temperatura była do zniesienia. Wreszcie zasnął też Balouet, nie znalazłszy żadnego rozwiązania.

Obudzili się oboje jednocześnie, nie wiedzieli, jak długo spali, ale przez otwór w dachu dochodziło już jasne światło dnia. Zaszczekał pies, najpierw samotnie, potem wspierany przez gdakanie i gęganie ptactwa domowego, wreszcie odezwały się inne zwierzęta w obejściu. Coś musiało się dziać na dworze.

– Cicho! – Balouet położył palec na ustach i nasłuchiwał. – Słyszę szum silników.

– To łódzie! – zawołała Raja poruszona. – Szukają nas!

Balouet siedział jak skamieniały. Kto, u diabła, doniósł o ich pobycie tutaj?

Szum silników zbliżał się coraz bardziej. Przed chatą słychać było podniecone okrzyki. Raja i Jacques nie mieli pojęcia, jak mają się zachować. Nawet nie wiedzieli, kto ich ściga. Czy byli to ludzie z Abu Simbel? Wobec nich być może umieliby się jakoś wytłumaczyć ze swego zachowania; ale jeśli odkryli ich Rosjanie, to nie mieli żadnych szans, wówczas koniec z nimi.

W głębi duszy Balouet miał nadzieję, że łódzie odpłyną jak zły sen, ale po chwili usłyszeli z przerażeniem, że wyłączono silniki i cumowano łódzie. Padł strzał, rozległ się dziki okrzyk, potem drugi, trzeci strzał i natychmiast zaczęła się regularna bitwa. Balouet zadawał sobie pytanie, czy ta akcja dotyczyła ich, czy też trafili na spór dwóch plemion nubijskich. Jeśli tak, wówczas wyjdą, wszystko się wyjaśni i będą mogli pójść swoją drogą.

Kiedy Balouet tak rozmyślał, Raja uczepiła się kurczowo jego ramienia, ktoś kopnął w drzwi domu. Wpadł uzbrojony policjant i zawołał coś, czego nie zrozumieli, ale z jego gestów mogli się zorientować, że mają opuścić dom, a przede wszystkim, że sprawa jest poważna. Mężczyzna trzymał w ręku pistolet, który

skierował na nich.

Balouet próbował wyjaśnić ich sytuację, ale napotkał trudności językowe. Poza tym policjant nie chciał z nimi rozmawiać, tylko popychał ich przed sobą lufą pistoletu do wyjścia.

Ledwie opuścili chatę, wszedł drugi uzbrojony mężczyzna z kanistrem w rękę. Oblał płynem ściany, następnie podpalił dom.

Tymczasem wieś otoczyły dwa tuziny żołnierzy, którzy trzymali broń w pogotowiu. Ostatni mieszkańcy zostali wyprowadzeni z domów, również zwierzęta i bydło; popędzono ich do łodzi na brzegu. Następnie chaty stanęły w płomieniach.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Balouet i Raja nie mieli czasu, aby zrozumieć swoje położenie. Doszli do siebie dopiero wówczas, kiedy znaleźli się na jednej z łodzi – były tam trzy łodzie, dwie mniejsze motorowe i jedna większa frachtowa, na którą zapędzono zwierzęta – wśród piszczących histerycznie kobiet i krzyczących jeden przez drugiego mieszkańców wsi.

Ludzie tłoczyli się wokół starego i zasypywali go gradem pytań. Balouet zawołał do szejka, co to wszystko ma znaczyć. Wtedy stary, przeciskając się przez tłum swoich ludzi, podszedł do niego. Uśmiechnął się szyderczo jak poprzedniego dnia i powiedział: – Widzi pan, miałem rację. Nie zaspokoicie waszych życzeń nawet za pomocą pieniędzy.

Pieniądze! przebiegło Balouetowi przez głowę. Wszystkie ich pieniądze spłonęły w chacie! Nie rozumiał, co stary miał na myśli, i powtórzył: – Co to wszystko ma znaczyć?

– Ja i moja wieś jesteśmy ostatnimi, którzy się przeciwstawili przesiedleniu. I tym razem byliśmy przygotowani do obrony. Dwóch ludzi przypląciło to życiem. Ale tego już za wiele. – Pokazał na płonącą wioskę, która wciąż jeszcze była otoczona przez żołnierzy.

– Niech więc pan im powie, że nie jesteśmy mieszkańcami waszej wsi, tylko turystami! – krzyknął Balouet do starca bardziej śmiałym głosem niż dotychczas.

Ten uśmiechnął się zgnębiony i odpowiedział: – Chętnie bym to uczynił, ale tu nikt mnie nie słucha. Obawiam się, że także nikt mi nie uwierzy.

– A dokąd oni nas wiozą? – przerwała Raja.

Szejk splunął szerokim łukiem do wody. – Przygotowali dla nas bloki mieszkalne. Bloki! Czy możecie sobie wyobrazić, że fellach, który całe życie wychodził z domu na własną ziemię, nagle ma żyć w bloku, zamknięty jak królik w klatce? Wielu spośród moich ludzi nie postawiło dotąd nawet nogi na progu domu i będą się bali to uczynić. A jeśli już zostaną do tego zmuszeni, to zamieszkają

przed wielkimi domami, ale nie w środku.

– A dokąd płyniemy?

Szejk znów splunął do wody, z nienawiścią i największą pogardą, do jakiej był w tej chwili zdolny. – Do Asuanu!

Raja zadrżała, kiedy shejk wymienił cel podróży. Zwróciła się błagalnie do Jacquesa: – Musimy coś zrobić, musimy uciec z tej łodzi!

Balouet oczywiście myślał o tym samym. Dał znak Rai, aby nie ruszała się z miejsca; chciał spróbować nawiązać kontakt z dowódcą całej akcji. Wymachując rękami, przedzierał się przez stłoczonych na łodzi Nubijczyków. Próbował dojść do wąskiej kładki, która łączyła łódź z brzegiem; zbudowana z dwóch chwiejących się belek i poziomo przybitych listew przypominała raczej drabinę dla kur niż trap. Ale kiedy Balouet wszedł na kładkę, żołnierz na brzegu podniósł w górę broń. Wykrzyknął coś niezrozumiałego, a gdy Jacques nie zareagował i nadal zamierzał zejść na ląd, strzelił do niego. Balouet poczuł silne uderzenie w prawe udo; odrzuciło go na bok; w tej samej chwili zobaczył, że kula raniąc go, utkwiała w zewnętrznej ścianie sterówki. Drewno roztrzaskało się jak pod uderzeniem topora.

Raja wydała okrzyk, a Jacques pomachał jej uniesioną ręką. Dopiero teraz Jacques zobaczył, że jego spodnie zabarwiły się na czerwono.

Choć Balouet nie czuł bólu, usiadł obok sterówki i zdjął spodnie. Raja podeszła do niego; była roztrzęsiona i krzyczała histerycznie: – Lekarza, potrzebujemy lekarza!

Jacques musiał ją uspokajać. Strzał trafił go w udo, rozciął ciało na długości dziesięciu centymetrów; z rany płynęła teraz ciemna krew.

Z tłumu wyłonił się shejk, przyjrzał się ranie i zaczął drzeć na paski swoją długą szatę, jakby to było czymś normalnym. – Niech pani wyciągnie pasek z jego spodni – rozkazał Rai, następnie ścisnął nim nogę powyżej rany i krwawienie natychmiast ustało.

Z pasków materiału zrobił opatrunek.

– Dlaczego pan to robi? – zapytała Raja zdumiona.

– Dlaczego? – stary się roześmiał. – Wszyscy jesteśmy synami i córkami pustyni, mamy własne prawa. Dla obcego są one być może niezrozumiałe. Jedno z tych praw brzmi: Pomóż słabszemu, bo może kiedyś stać się silniejszy od ciebie, a wtedy ty będziesz potrzebował jego pomocy. To czysty egoizm, ja wiem, ale tacy już jesteśmy.

W tym zamieszaniu oboje nie zauważyli, że statek tymczasem odbił od brzegu i na jeziorze zaporowym wziął kurs na północny-wschód.

Stary wyciągnął rękę i wskazał w kierunku południa na łańcuch górski: – Popatrzcie – rzekł – tam byłby wasz cel. Za tymi górami leży Wadi Halfa i Sudan. – Następnie skierował spojrzenie na brzeg, gdzie płonęły chaty jego wsi; na jego twarzy nie malowało się wzruszenie.

Bardziej niż troska o to, co ich czeka w Asuanie, niepokoił Raję Kurianową stan Baloueta. Sprawiał on przygnębiające wrażenie; przeleżał cały dzień na pokładzie, oparty o sterówkę, i prawie się nie odzywał. Odczuwał bóle większe, niż się do tego przyznawał. A kiedy szejk zdjął mu pasek z uda, rana na nowo zaczęła krwawić.

Tymczasem Rai udało się przekonać dowódcę – jasnookiego pułkownika z Dolnego Egiptu, który ze swymi krótko ostrzyżonymi włosami i wąską górną wargą bardziej wyglądał na Brytyjczyka niż niejeden pułkownik ze Zjednoczonego Królestwa – że przypadkiem znaleźli się we wsi i niesłusznie są przetrzymywani na statku. Swoją wiarygodność Raja potwierdziła dwoma studolarowymi banknotami ze swojej gotówki, którą wciąż jeszcze miała ukrytą na piersi.

Balouet potrzebował pilnie lekarza, ale do Asuanu, jak dał do zrozumienia pułkownik, było jeszcze dobre trzy dni drogi. A przy tym sytuacja na statku już po paru godzinach stała się nie do zniesienia; śmierdziało kałem i uryną, a od żałosnych krzyków kobiet aż uszy bolały. Bezradność Rai i strach, że Jacques może nie doczekać przybycia do Asuanu, sprawiły, że stała się milcząca. Doszła do takiego stanu, w którym człowiekowi już nic nie przychodzi do głowy, zupełnie nic, albo w najlepszym razie wpada na jakiś śmieszny, niemal absurdalny pomysł. Tak było też w przypadku Rai.

Nie wtajemniczając w swój plan Baloueta, który otepiałe patrzył przed siebie, Raja dowiedziała się od pułkownika, że statek przybędzie do Abu Simbel jeszcze tej nocy. Potem Raja Kurianową poprosiła dowódcę, aby pozwolił jej i jej towarzyszowi zejść na ląd. Zna tam pewnego niemieckiego lekarza, który mógłby się zająć raną Jacquesa.

Początkowo pułkownik odrzucił tę prośbę, czego Raja się spodziewała. Zmiana jego stanowiska i przyrzeczenie, że zjedzą z pokładu szybko i ukradkiem, tak aby inni nie zauważyli, co się dzieje, kosztowały ją tylko sto dolarów.

Raja nie wtajemniczała na razie Baloueta w swój plan. Dopiero kiedy łódź zwolniła tempo, a reflektor na budowie wskazywał drogę, szepnęła rannemu: – Posłuchaj, Jacques, co ci teraz powiem: zaraz dobijemy do Abu Simbel i tam zejdziemy ze statku.

Poszukamy doktora Heckmanna. On się tobą zajmie.

– Chyba zwariowałaś – odpowiedział Balouet równie cicho. Mówił z wielkim trudem. Utrata krwi bardzo go osłabiła. – Chyba zwariowałaś – powtórzył i dodał: – Wobec tego możemy się od razu zastrzelić.

– Bzdura – odpowiedziała Raja stanowczo, choć w głębi duszy myślała tak samo. Nie miała wielkiej nadziei, że Heckmann będzie milczał. Heckmann dawniej bardzo ją adorował, spędzili ze sobą kilka przyjemnych wieczorów; teraz będzie miał okazję zemścić się za to, że go odrzuciła i wybrała Jacquesa. A jak potem wydostaną się znów z Abu Simbel – tego także nie wiedziała.

– Zrozum, to nasza ostatnia szansa! – rzekła do Baloueta; powiedziała to dlatego, aby samej sobie dodać odwagi, Jacques nie miał już sił, by się przeciwstawić.

Pułkownik dał Rai znak, żeby byli gotowi.

– Chodź! – powiedziała Raja do Jacquesa. Zabrzmiało to niemal błagalnie. Pomogła mu się podnieść i położyła jego rękę na swoim ramieniu.

Potem wszystko potoczyło się szybko: dwóch marynarzy opuściło wąski trap. Raja ostrożnie popychała Jacquesa przed sobą.

Ledwie poczuli grunt pod nogami, łódź odbiła. Większość Nubijczyków niczego nie zauważyła.

Stali teraz w głębokich ciemnościach w tym samym miejscu, z którego przed czterema dniami wyruszyli, ale ich sytuacja znacznie się od tamtej pory pogorszyła. Co robić?

Miejsce, w którym wycięto ze skały obie świątynie, było teraz opuszczone. W górze ziały olbrzymie kanciaste dziury. Wkrótce wszystko to zniknie pod wodami utworzonego jeziora zaporowego. Na odległość rzutu kamieniem stał jeszcze barak Kaminskiego i Raja wpadła na pomysł...

– Zaprowadzę cię teraz do baraku – powiedziała do Baloueta, którego siły najwidoczniej opuszczały. Musiała go niemal nieść. Jacques mamrotał coś, czego nie rozumiała, ale odnosiła wrażenie, że Balouet nie jest już w stanie podjąć żadnej samodzielnej decyzji. – Poczekasz tam, aż sprowadzę pomoc. Heckmann się tobą zajmie; potem zobaczymy, co dalej.

Barak był zamknięty, okna zasłonięte. Raja łokciem wybiła szybę w bocznej ścianie, aby otworzyć okno od środka. Z niedowierzaniem zajrzała do wnętrza, gdzie paliła się lampa gazowa rzucająca na pomieszczenie chłodne żółte światło.

Dziwne, pomyślała Raja, przecież w nocy nikt tu nie przebywa. Ale nie było czasu na zastanawianie się. Raja otworzyła okno, wspięła się na gzyms i otworzyła drzwi, które zamknięto od środka na klucz.

– Popatrz tylko! – powiedziała zdumiona do Baloueta, który bezradny i wyczerpany usiadł oparty o ścianę. Wskazała na podłogę, w której odsunięto deski na szerokość ramienia. W podłodze ziała głęboka dziura, a w dziurze była drabina. – Co to ma znaczyć?

Utrata krwi i wysiłek ostatnich godzin tak osłabiły Baloueta, że było mu całkiem obojętne, kto i z jakiego powodu zrobił dziurę w podłodze tego nędznego baraku. Dowlóknął się do krzesła stojącego przy biurku i usiadł na nim wyczerpany.

Jacquesowi Balouetowi zdawało się, że śni, a ów gorączkowy sen jest niewątpliwie następstwem odniesionej rany, kiedy nagle w dziurze w podłodze ukazała się twarz, którą znał: Kaminski.

Inżynier sprawiał wrażenie nie mniej zdumionego, a nawet wyglądał na przestraszonego, kiedy odstawił lampę i mrużąc oczy zmierzył wzrokiem intruza. Nie mówiąc ani słowa, wyskoczył z czeluści, otarł sobie twarz rękawem marynarki

i zaczerpnął głęboko powietrza. Balouet widział, jak jego ramiona pospiesznie unosiły się i opadały. Kaminski z trudem chwycił powietrze, jakby miał za sobą wielki wysiłek.

– Czego tu chcecie? – powiedział cicho. – Ludzie w obozie mówili, że zatonięście. Przypląnęła pusta łódź. Skąd się tu wzięliście?

W tej samej chwili, kiedy Raja chciała odpowiedzieć na pytanie, usłyszała okrzyk z głębi szybu, tak że zawahała się wystraszona, a w otworze podłogi pojawiła się druga twarz, również znajoma: Hella Hornstein.

Doktor Hornstein również miała zdumioną minę; sprawiała nawet wrażenie wytraconej z równowagi; krzyknęła zmieszana, wciąż jeszcze stojąc na drabinie: – Arturze, co to znaczy?!

Kaminski dochodził powoli do siebie, usiadł na pokrytym kurzem biurku i powiedział, zwracając się do Rai i Jacquesa: – Szpiegowaliście nas. Wasze zniknięcie to była tylko mistyfikacja. Czego tu chcecie? – Dopiero teraz wzrok jego padł na zakrwawione udo Baloueta.

Przez chwilę wszyscy czworo patrzyli na siebie bez słowa; nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Między Hellą i Rają już podczas pierwszego spotkania w Abu Simbel pojawiła się szczególna nieufność, choć żadna z nich wówczas o tym nie myślała. Było to owo nierzadkie zjawisko, które każe kobietom być rywalkami tylko dlatego, że są podobne do siebie zewnątrz i z charakteru. Właśnie takie wrażenie odniosły wówczas obie w stosunku do siebie nawzajem i teraz znalazły potwierdzenie swoich ocen. Kaminski natomiast uważał Francuza za człowieka sympatycznego, choć nie utrzymywał z nim żadnych bliższych kontaktów: tym bardziej zdawał się teraz zdumiony.

Raja Kurianowa pierwsza wróciła do równowagi, i choć wciąż jeszcze nie rozumiała, co tu się właściwie dzieje i w jakim położeniu się znaleźli, zebrała się na odwagę i odpowiedziała na pytanie Kaminskiego: – Nikogo nie szpiegowaliśmy, przysięgam; ale o tym porozmawiamy później. Najpierw Jacques potrzebuje pomocy lekarskiej. Pani doktor, niech pani nam pomoże. Przecież pani widzi, w jakim on jest stanie. Chcieliśmy pójść do doktora Heckmanna, ale nie mamy rady. Balouet jest u kresu sił, czy pani tego nie widzi?

Hella syknęła przez zęby, jakby chciała powiedzieć: Coraz lepiej, najpierw nas szpiegujecie, a potem prosicie o pomoc! Nic z tego! Ale milczała. Wyszła z szybu i stanęła ze skrzyżowanymi rękami. Raja, która bała się, że może dojść do sprzeczki, a ta tylko pogorszyłaby sytuację, uklękła przed Balouetem na podłodze i zaczęła zdejmować mu z uda prowizoryczny opatrunek.

Udo wyglądało okropnie: rana była zaogniona. Krew wokół zakrzepła, a kiedy Raja zdjęła bandaż, zaczęła na nowo krwawić. Balouet wykrzywił twarz; zdawało się, że ma silne bóle i zdaje się już nie dostrzegać niczego wokół. – On się wykańcza! – krzyknęła Raja. – Czy pani tego nie widzi?

Przycisnęła stary opatrunek do rany, zerwała się i pospieszyła do drzwi. Hella Hornstein zagroziła jej drogę: – Dokąd pani chce iść?

– Do doktora Heckmanna!

– Zostanie pani tutaj – odparła lekarka szorstko.

Raja uniosła dłoń i zamierzała uderzyć Hellę w twarz, ale w ostatniej chwili Kaminski stanął między nimi, rozdzielił obie kobiety i zawołał: – Czyście zwariowały? Nikomu to nie pomoże, jeśli się pobijecie. Ten człowiek potrzebuje pomocy, inaczej umrze. Hella, musisz pomóc Balouetowi, proszę cię!

Lekarka nadal upierała się. Potrząsnęła energicznie głową.

– Jeśli ich tu zostawimy – odparła – wtedy wszystko stracone. Wszystko się wyda, rozumiesz?

Kaminski uniósł ramiona: – Jeśli tego nie chcesz, to właśnie ty musisz się zająć Balouetem. Przywieź ze szpitala wszystko, co potrzebne. Ja z nimi pozostanę. Nie musisz się obawiać, że uciekną.

Raja nie miała zielonego pojęcia, o co chodziło, nie mówiąc już o Balouecie. Oczywiście sytuacja, w jakiej się znaleźli, była niezwykła – a nawet bardzo niezwykła, wzięwszy pod uwagę zachowanie lekarki. Ale czy przede wszystkim ich zachowanie nie wymagało wyjaśnienia? – myślała Raja.

Podczas gdy Raja zastanawiała się, jak mogłaby oddalić śmieszne podejrzenie, że oboje szpiegowali Kaminskiego i doktor Hornstein, nie zauważyła, że ci dwoje porozumieli się spojrzeniem i kiwnięciem głową i że Hella opuściła barak. Raja zrozumiała to dopiero wówczas, kiedy usłyszała warkot samochodu, który startował w niedalekiej odległości.

– Zaraz przywiezie potrzebne rzeczy ze szpitala – powiedział Kaminski pojednawczo.

Raja trzymała Baloueta za rękę. Skinęła głową w milczeniu.

Po dłuższej przerwie, podczas której Raja nasłuchiwała, czynnie nadjeżdża samochód, Kaminski zaczął mówić, jękając się:

– Pani... pani niewątpliwie zadaje sobie pytanie, co to wszystko znaczy, jestem pani winien wyjaśnienie...

– To my jesteśmy winni wyjaśnienie – przerwała Raja inżynierowi.

– Ależ nie!

– Tak, tak. Być może wówczas będzie panu łatwiej mówić.

Raja podniosła się i stanęła przed Kaminskim. – Musi pan wiedzieć, że wcale nie jestem Francuzką, tylko Rosjanką. Wiele lat spędziłam w Paryżu, pracując w ambasadzie rosyjskiej, tak że nie jest mi trudno udawać Francuzkę. Duża w tym też zasługa Baloueta.

Kaminski popatrzył sceptycznie, jakby chciał powiedzieć: Dobrze, ale ta okoliczność nie wymaga spowiedzi.

– Z Balouetem łączyła mnie – kontynuowała Raja – wspólna praca dla tajnych służb KGB. Powiedziałam łączyła, panie Kaminski, popadłam w niełaskę i musiałam się spodziewać najgorszego. Balouet zaś chciał się wycofać z tej współpracy, co jest równie niebezpieczne. Jesteśmy oboje śledzeni i dlatego postanowiliśmy zniknąć z Abu Simbel. Chcieliśmy uciec do Chartumu, ale dotarliśmy zaledwie do granicy. Tam zostaliśmy schwytani wraz z mieszkańcami wioski nubijskiej, którzy byli przymusowo przesiedleni: jeden z żołnierzy strzelił do Jacquesa. Przekupiłam dowódcę i pozwolił nam tu wysiąść. Właściwie chciałam udać się z Balouetem do doktora Heckmanna...

Kaminski miał trudności w zrozumieniu wyznania Rai. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że w Abu Simbel są jacyś współpracownicy rosyjskich tajnych służb. Ale wiedzieć coś takiego, a usłyszeć potem z ust ludzi, których się znało, do których miało się zaufanie, to było całkiem coś innego. Poczł się tym tak dotknięty, jakby osobiście został zdradzony.

Ale wściekłość, jaką poczuł, została złagodzona przez świadomość, że teraz znali swoje tajemnice i że byli nawzajem zdani na milczenie.

– Teraz ja też mogę pani wyjaśnić, co to wszystko tu znaczy – powiedział Kaminski i wskazał na dziurę w podłodze.

Rai było dość obojętne, co Kaminski ma do powiedzenia, czekała niespokojna na powrót doktor Hornstein. Słuchała jednym uchem, kiedy Kaminski wyjaśniał, że znalazł pod swoim barakiem mumię małżonki wielkiego faraona Ramzesa i że tylko oni Hella Hornstein o tym wiedzą. Potem jednak, kiedy Kaminski jej uświadomił, że teraz mają siebie nawzajem w garści, Raja nagle zaczęła słuchać uważnie. Jeśli oboje z Balouetem będą milczeli, wówczas mogą być pewni, że również on i doktor Hornstein ichnie zdradzą.

Choć nie mogła zrozumieć, dlaczego tych dwoje chciało zataić znalezienie mumii, sytuacja wydała jej się korzystna. Być może doktor Hornstein uda się postawić na nogi Baloueta na tyle, że będą mogli po raz drugi zniknąć nie zauważeni z Abu Simbel.

Kiedy doktor Hornstein wróciła, Kaminski wyszedł jej naprzeciw. Przed drzwiami doszło do krótkiej, ale gwałtownej sprzeczki, z której Raja niczego nie zrozumiała. Lekarka natomiast weszła do mrocznego pomieszczenia jakby nagle odmieniona. Miała ze sobą dużą, czarną lekarską torbę i zaaplikowała Balouetowi, który wszystkiemu się przysłuchiwał, zastrzyk w udo w celu miejscowego znieczulenia. W trójkę przenieśli Baloueta na łóżko polowe stojące w głębi.

Doktor Hornstein zbadła puls Baloueta. Miała skupioną twarz. – Musi pani zrobić wszystko – powiedziała, zwracając się do Rai – aby on nie zasnął. Ma bardzo słabe tętno. Na pani odpowiedzialność... – Następnie zaczęła oczyszczać ranę.

Raja asystowała lekarce. Normalnie wszystko byłoby dla niej całkiem naturalne, ale w sytuacji, kiedy chodziło o życie Baloueta, czuła każde ukłucie igły, a przeciąganie nitki sprawiało jej większy ból niż pacjentowi, który ledwie zdawał sobie sprawę z operacji.

Po zaszyciu rany brzydkim, szerokim ściegiem, Hella Hornstein nabrała głęboko powietrza i powiedziała: – Wprawdzie szew pozostawia wiele do życzenia, ale rana została opatrzona. Jeśli nie nastąpi infekcja, za tydzień pacjent nie będzie o niczym pamiętał i będzie się mógł znów normalnie poruszać.

– Za tydzień? – Raja podskoczyła. – My musimy uciekać, i to jeszcze dziś w nocy!

Hella Hornstein zawinęła narzędzia w białe płótno i schowała do torby. – To niemożliwe – odparła. Oczywiście dla niej byłoby najlepiej, gdyby ci dwoje zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Ale Balouet miał przecież za sobą operację; był bardzo osłabiony. – Jak pani to sobie wyobraża?

Raja milczała. Pytanie lekarki uświadomiło jej rzeczywistość. W gruncie rzeczy była ona tylko potwierdzeniem tego, co Raja już wiedziała, odkąd tu przybyli, ale nie chciała się przyznać: przygoda była skończona.

– A jak pani to sobie wyobraża? – odpowiedziała Raja zrozpaczona. – Mamy tylko dopóty szansę, dopóki uważa się nas za zmarłych. Jeśli nagle się tu pojawimy, KGB natychmiast zwęszy ten fakt.

Kaminski układał deski na włączu do szybu. Kiedy skończył swoje zajęcie, wyprostował się i powiedział do Helli: – Ona ma rację. W Abu Simbel nie mogą w żadnym razie pozostać. Muszą stąd zniknąć.

Troskliwość, z jaką Kaminski traktował tych dwoje, zdenerwowała Helle: – A czy możesz mi powiedzieć, w jaki sposób? – zapytała zuchwale. – Czy mają po raz drugi odwiązać łódź motorową? A może powinni wyruszyć na piechotę? Jak ty to

sobie wyobrażasz?

– Kurusz! – powiedział Kaminski.

– Kurusz „the Eagle”?

– Właśnie on. Wszyscy wiedzą, że Kurusz za pieniądze gotów jest zrobić wszystko. Powiadają, że już nieraz latał do Chartumu, szmuglując towar. Trzeba przekupić Kurusza.

Kaminski ze zdziwieniem obserwował Raję, która wyciągnęła ze spódnicy bluzkę i wydobyła spod niej zwitek pieniędzy. – Tysiąc dolarów! – powiedziała spokojnie i rzuciła zawiniątko na stół. – Czy to wystarczy?

Kaminski i Hella Hornstein byli zdumieni. Ta Francuzka czy też Rosjanka wprawiła ich w podziw. Wydawało się, że była w stanie sprostać każdej sytuacji, nawet takiej beznadziejnej jak ta.

Kiedy byli pogrążeni w swoich myślach, Raja wyciągnęła drugie zawiniątko z pieniędzmi. – To dla państwa – powiedziała chłodno – za wasz trud!

Kaminski najpierw zaniemówił. Następnie wziął pieniądze i oddał Rai: – Niech pani zatrzyma te pieniądze. Będą wam z pewnością jeszcze potrzebne.

W końcu wziął tysiąc dolarów, wsadził do kieszeni i powiedział: – Chodźmy, trzeba przenieść Baloueta do samochodu. Za godzinę się rozwidni. Do tego czasu trzeba wszystko załatwić!

Salah Kurusz, zwany „the Eagle”, był pilot Egypt Air, nie bez powodu przeniesiony do Abu Simbel jako pilot kurierski, mieszkał w jednym z domków na skraju obozu robotników w pobliżu lotniska. Składało się ono z krótkiego asfaltowanego pasa startowego i długiego hangaru. Jedno i drugie otaczał piasek, piasek i jeszcze raz piasek i często rano trzeba go było najpierw odgarniać. W hangarze było także miejsce dla dwóch samolotów, które utrzymywały łączność z Asuanem. Nie istniał ścisły plan lotów, i Kurusz „the Eagle” bez trudu mógł wystartować na południe i zniknąć za wydmami, tak żeby nikt tego nie zauważył.

Ten Egipcjanin, mający wielki pociąg do kieliszka, dziwak i pilot z zamiłowaniem, żył samotnie. O jego kurierskich lotach opowiadano niezwykle historie, jak również o jego interesach, które przy okazji załatwiał, a ich efekty zamieniał na stuprocentowy alkohol, nie mogąc bez niego żyć, podobnie jak i bez pociechy, jaką dawał mu Koran – choć i jedno, i drugie miało się tak do siebie jak ogień i woda. Ale Allah stworzył nie tylko ogień i wodę, tłumaczył Kurusz, także wodę ognistą; a Allah jest wielki.

Kiedy Kaminski budził pilota, Raja, Balouet i Hella czekali w samochodzie. Egipcjanin początkowo był zły, ale gdy ujrzał przed sobą na stole plik banknotów, jego postawa zmieniła się z minuty na minutę.

– Tysiąc dolarów? To musi być coś nieczystego, mister!

– Oczywiście – odparł Kaminski – czy inaczej ktoś dawałby panu taki prezent?

Kurusz przełknął ślinę; nie spuszczał oczu z pieniędzy, ale po chwili powiedział: – Żadnych podejrzanych interesów! Ja nie robię żadnych podejrzanych interesów. Żebyśmy się dobrze rozumieli.

– Wiem – odpowiedział Kaminski spokojnie. – Wiem, że pan nigdy by nie wpadł na pomysł, aby szmuglować z Chartumu whisky. To byłoby dla pana zbyt ryzykownym przedsięwzięciem, w końcu mógłby pan stracić przez to pracę...

– Skąd pan o tym wie, mister?

– Ja nic nie wiem, Salah. Jednak w obozie opowiada się niesamowite historie na temat pochodzenia tych ogromnych ilości whisky, ale to oczywiście wszystko plotki.

– Oszczerstwa!

– Oszczerstwa. Nigdy w nie nie wierzyłem.

Salah wziął pieniądze do ręki i trzymał je pod światło nad stołem. – Dobre pieniądze – burknął, wciąż jeszcze niechętnie, ale natychmiast zmienił temat: – No a teraz niech pan powie, co mam zrobić!

– Proste zlecenie – odpowiedział Kaminski. – Zawiezie pan dwoje ludzi do Chartumu. Czekają w samochodzie. Niech pan nie pyta o ich nazwiska i niech pan zapomni, jak wyglądają. A tak naprawdę to nie był pan w ogóle w Chartumie.

– To niemożliwe! – Salah Kurusz potrząsał głową.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że Boelkowem 207 nie da się przetransportować naraz dwóch pasażerów.

Kaminski sięgnął po banknoty w taki sposób, jakby chciał je schować z powrotem do kieszeni.

– Niech pan zaczeka! – Kurusz położył dłoń na ręce Kaminskiego. – A bagaże?

– Żadnych – odparł Kaminski – nic prócz tego, co mają na sobie.

Kurusz jakby się wahał. – A kiedy to miałoby nastąpić? – zapytał ostrożnie.

– Natychmiast – napierał Kaminski. – Musi pan się zdecydować, czy przyjmuje zlecenie. W przeciwnym razie poszukam innego wyjścia.

Kurusz podniósł się, ziewając, i wyjrzał przez okno. Na dworze było jeszcze ciemno, ale już za niespełna pół godziny na wschodzie horyzontu rozjaśni się i wystarczy światła, aby wystartować w kierunku południowym bez oświetlenia.

– Insza Allah! – powiedział Kurusz i wziął pieniądze. – Gdzie są ludzie ?

– Czekają w samochodzie. I jeszcze raz: nie zna ich pan, nigdy ich pan nie widział!

– Salah potrafi milczeć jak grób.

Kaminski zadrżał mimo woli.

Wkrótce potem Kurusz wyprowadził z hangaru biało-niebieskiego Boelkowa 207.

Balouet ujął Kaminskiego za rękę. – Dziękuję panu, monsieur – powiedział słabym głosem. – Mam panu wiele do zawdzięczenia.

Kaminski cofnął rękę: – Nie ma pan co dziękować. Zapłacił pan za to!

– Nie, nie – odparł Balouet – to nie jest takie oczywiste.

Kaminski się bronił: – Może mi pan nie wierzyć, ale zrobiłem to tylko we własnym interesie. Ale jeśli się panu uda – Kaminski wyciągnął kartkę z kieszeni na piersi i nakreślił na niej kilka wierszy – jeśli się panu uda uciec do Europy i zechce panu czynić coś dobrego, to niech pan pójdzie pod ten adres i poda moje

nazwisko.

Balouet skinął głową i schował kartkę.

– I nie zapomnijcie – dodał Kaminski, pomagając rannemu i Rai zająć miejsce na tylnym siedzeniu samolotu – jak się umawialiśmy: niczego nie widzieliście.

– Niczego – powtórzyła Raja Kurianowa nieobecna duchem.

Dopiero kiedy mała maszyna była już w powietrzu, kiedy Kurusz po wykonaniu pętli nisko nad jeziorem zaporowym skierował dziób samolotu prostopadle w górę, Raja zaczęła się zastanawiać, jakie znaczenie mogło mieć to odkrycie. Następnie ujęła Baloueta za rękę, ścisnęła ją i zawołała, przekrzykując huk silnika: – Uda nam się, słyszysz? Uda się!

Czas naglił, albowiem I wrześnie, przewidywany termin, kiedy to wody jeziora miały się przelać przez wał ochronny, dawno już minął. Niebawem więc również barak i mumia miały zostać zatopione.

Hella zachowywała się tak, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości, że jeśli nie poczynią żadnych kroków, mumia za kilka tygodni może być stracona. Natomiast upierała się, aby co dwa albo trzy dni schodzić do grobowca pod barakiem i przy świetle latarki kieszonkowej medytować przy niej.

Kaminski początkowo się na to zgadzał, ponieważ Hella po każdym takim pobycie na dole była radośnie podniecona i oddawała mu się z największą namiętnością, do jakiej zdolna jest kobieta. Kiedy jednak ten rytuał powtarzał się już zbyt często i Hella wciąż nie miała dość przesiadywania przed mumią, wówczas Kaminski zaczął rozmyślać, jak by położyć temu kres i przywieść kochankę do rozsądku.

W oczach Kaminskiego Hella wciąż była fascynującą kobietą, inteligentną, pewną siebie, która jednocześnie okazywała mężczyźnie, że go potrzebuje. Już niejedną raz Kaminski przeklinał dzień, w którym zdradził Helli tajemnicę swojego odkrycia. Albowiem od czasu, kiedy Hella ujrzała po raz pierwszy to wysuszone ludzkie ciało, ich związek uległ zachwianiu. Kaminski nie chciał się wgłębiać w ten osobliwy rodzaj nekrofilii, Hella zresztą nawet nie próbowała wyjaśnić swojego zachowania.

Jednego z owych ciepłych wrześnieowych wieczorów, po letnich upałach, kiedy to nawet nocą nie przychodziło ochłodzenie, obudziła się nowa nadzieja na bardziej znośną temperaturę, Kaminski przyszedł do mieszkania Helli Hornstein, bez umawiania – co na ogół nie było w jego zwyczaju. Miał ochotę przespać się z nią, ale na jego zawołanie Hella nie otworzyła. Drzwi były zamknięte, ze środka zaś dochodziła żałosna muzyka. Artur był speszony.

Wszedł przez okno do pokoju. Owiął go słodkawy dym.

– Hella! – zawołał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

W pokoju Helli, z którego dochodził dym, paliły się świece i kadzidełka. Słychać było dźwięki tajemniczej muzyki.

Hella leżała naga na łóżku, wpatrywała się w sufit, ręce miała skrzyżowane na

piersiach.

Najpierw Kaminski myślał, że nie żyje, ale potem ujrzał, jak opada i unosi się jej brzuch i drgają powieki.

– O Boże – powiedział – ale mnie przestraszyłaś.

Hella zdawała się nieobecna duchem.

Do wielu cech Helli Kaminski już przywyknął, być może na wet podobała mu się jej egzaltacja, ale czegoś takiego jak ta scena jeszcze nigdy dotąd nie przeżył. Mimo to sytuacja nie wydała mu się groźna, ani dla niej samej, ani dla niego; ta podniecająca scena wywołała w nim tylko jeszcze większą namiętność.

Usiadł więc na łóżku obok Helli i przyglądał się jej pięknemu ciału. Kiedy tak leżała, mlecznobiała, jakby z wosku, miała w sobie coś nierealnego, co raczej powinno było tłumić pożądanie. Artur jednak, przyzwyczajony do nadzmysłowości w tej kobiecie, odczuł w całej sytuacji jej magnetyczną siłę przyciągania; nie mógł się inaczej zachować, zaczął ją głaskać, początkowo ostrożnie nogi, następnie z rosnącym pożądaniem inne miejsca jej ciała, co sprawiało mu największą rozkosz.

Hella zachowywała się tak, jakby wcale nie chodziło o nią, tylko nieregularne mruganie powiekami zdradzało, że nie potrafiła być całkowicie obojętna na pieszczoty mężczyzny.

Gdy Kaminski wciskał rękę pomiędzy jej zaciśnięte uda, gdy je masował i pieścił, drugą ręką zaczął się rozbierać, powoli i z nieporadnością mężczyzny, który ma odbyć niespodziewany stosunek miłosny.

Kiedy zdejmował spodnie, zaśmiał się i powiedział: – Mogłabyś mi pomóc.

Wreszcie uporał się ze wszystkimi przeszkodami. Spokój jej ciała zapowiadającego rozkosz bardziej go podniecał, niż gdyby wiała się w dzikiej namiętności. Pożądliwie wsunął się do niej do łóżka. Zaczął ją okrywać pocałunkami od czubków palców, dotarł do ud, do łona, zatrzymał się i oczekiwał jakiejś reakcji. Ale ta nie następowała. I nagle obojętność, która jeszcze przed chwilą go podniecała, zaczęła go irytować. Nie mógł pojąć, że można tak trzymać na wodzy własne uczucia, i rzucił się na Hellę jak dzikie zwierzę.

Przemocą próbował rozewrzeć jej skrzyżowane ramiona, ale był podniecony, a podniecenie odbierało mu siły. Klęcząc nad Hellą, wyprostował się i z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, rozpostarł jej ramiona skrzyżowane na piersi. Usłyszał głuchy trzask, a kiedy spojrział na ciało Helli, które jeszcze przed chwilą wywoływało u niego najwyższe pożądanie, zimna błyskawica przeszła jego członki: to nie Hellę trzymał w ramionach – to była mumia; sucha, żółtobrunatna, pokryta cienką, niemal przezrystą skórą, popękaną i postrzępioną, częściowo

owinięta kruchymi strzępkami tkaniny.

Kaminski, jakby rażony prądem, nie mógł wyrwać się z owej fatalnej sytuacji. Pozostając pod wpływem jakiejś potężnej energii próbował zapanować nad własnym ciałem, ale mu się to nieudało. Jego ręce przykleiły się do ramion mumii i dopiero jej wyzwalający krzyk rozdzielił ich niespodziewanie.

Kaminski zerwał się, pozbierał leżące dookoła części ubrania i wybiegł na zewnątrz. Zatrzymał się pod drzwiami, chwycił powietrze jak topielec; przejechał dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć z pamięci niedawne przeżycie. Stał przez chwilę bez ruchu, bezradny, i zaczął wątpić we własny rozum. Potem ogarnął go strach, że to nie był sen, że on to wszystko naprawdę przeżył, i zaczął uciekać; chciał się znaleźć jak najdalej stąd, jak najdalej od tej przeklętej mumii.

Owej nocy Kaminski nie zmrużył oka. Bał się, bał się siebie samego, ponieważ nie był w stanie rozróżnić snu od jawy.

Mógłby przysiąc, że Hella leżała tam na łóżku, kiedy wszedł do pokoju, ale z taką samą pewnością twierdziłby, że to skrzyżowane ramiona mumii wprawiły go w takie przerażenie.

Tak albo podobnie, myślał, musi wyglądać człowiek, który jest bliski obłądu, tym bardziej, że Kaminski wciąż miał przed oczami obraz mumii. Bał się nowego spotkania z Hellą Hornstein.

Przyłapał się na myśli, żeby stąd uciec, po prostu zwiać, tak jak uczynili Balouet i Raja. Być może to wina trzech lat na pustyni i wciąż tych samych ludzi dookoła. Być może była to monotonia dni w Abu Simbel – nie mówiąc już o nocach – być może było to szaleństwo, które ogarniało nowicjuszy już po kilku dniach pobytu i które zmuszało dyrektora budowy do odsyłania takich ludzi najbliższym samolotem do domu.

Pod pretekstem, którego potem nie umiał sobie nawet przypomnieć, koło południa Kaminski poleciał z Kuruszem do Asuanu. Musiał zobaczyć innych ludzi, inne domy i ulice; marzył o kolorowym zgiełku bazaru, choć nie potrzebował niczego tam kupować.

Trzy razy w ciągu trzech lat opuszczał Abu Simbel i udawał się do Asuanu, aby tam załatwić ważne sprawy. Raz zamówił dla Helli coś z biżuterii, ale bardzo szybko wrócił do swoich obowiązków, w obawie, że podczas jego nieobecności mogłyby stanąć na budowie wszystkie maszyny.

Kurusz i Kaminski niewiele rozmawiali podczas półtoragodzinnego lotu, w każdym razie nie padło ani jedno słowo na temat ucieczki Rai i Baloueta, z czego Kaminski wysnuł wniosek, że wszystko odbyło się zgodnie z planem.

Kurusz „the Eagle” zapytał, kiedy Kaminski zamierza wracać, ale ten powiedział tylko, że nie wie i że zadzwoni do niego, jak będzie mu potrzebny.

Stary egipski taksówkarz za jednego funta zawiózł go z lotniska do hotelu „El-Salamek”, położonego w pobliżu wielkiego bazaru na spokojnej bocznej ulicy. Jasna, żółta fasada z bogato zdobionymi kolumnami u wejścia zapowiadała znacznie więcej, niż mogło zaoferować wnętrze. Oczywiście Kaminski mógł sobie pozwolić na drogi hotel „Cataract”, ale obawiał się, że może tam spotkać ludzi, których znał, i musiałby wytłumaczyć swoją obecność tutaj, a na to nie miał ochoty.

W pokoju na pierwszym piętrze, wyższym niż szerszym, z kamienną podłogą, Kaminski domyślał się tylko sufitu, zobaczyć go w każdym razie nie mógł, ponieważ okiennice, jak we wszystkich starych hotelach w mieście, dzień i noc były zamknięte. Wszelkie próby ich otwarcia były bezskuteczne, albowiem zawiasy, używane ostatni raz przed piętnastu laty, kiedy to ulicą ciągnęła parada, a grona wrzeszczących ludzi wisały w oknach, były zardzewiałe i nie dały się ruszyć. Wprawdzie słaba żarówka pośrodku niemal pustego pomieszczenia wystarczyłaby, aby oświetlić również sufit, ale przeszkadzał emaliowany abażur, niegdyś z pewnością biały, ale chmary gryzących much wykorzystywały go jako miejsce wypoczynku, tak że po jakimś czasie stał się ciemnoszary.

Żelazne łóżko, naprzeciw mały, kwadratowy drewniany stół na czterech toczonych nogach, krzesło z wytartym siedzeniem i szafa bez drzwi z drewnianym drążkiem na ubrania stanowiły jedyne umeblowanie. Do celów sanitarnych służyła stojąca w kącie trójnoga umywalka z miską i dzbankiem.

W Abu Simbel Kaminski przywykł do większego komfortu; jednak czuł się dobrze również i tu, w niemal spartańskich warunkach. Miał wrażenie, jakby pozostawił za sobą przeszłość; najchętniej w ogóle nie wracałby do Abu Simbel. Zmęczony opadł na skrzypiące łóżko. Uniósł ręce nad głowę i wpatrywał się w nicość. Ale kiedy zamknął oczy, znów ujrzał przed sobą zasuszoną twarz mumii i posągi Abu Simbel.

Przez okno przenikał zapach tranu używanego do pieczenia wielbłądziego mięsa; przypomniało to Kaminskiemu, że nic jeszcze dziś nie jadł, a więc podniósł się, aby pójść coś przekąsić.

W drodze na bazar, który zaczynał się dwa domy dalej, tłum coraz bardziej gęstniał. Kaminski nie lubił wielkich skupisk ludzi, ale teraz czuł się dobrze i bezpiecznie i nie musiał się bać, że jego zmysły znów zrobią mu jakiś kawał.

Krążący wokół handlarze oferowali w drewnianych skrzynkach, które mieli

przymocowane na brzuchu, asortyment kompletnie wyposażonego sklepu, inni natomiast nosili naczynia i przedmioty gospodarstwa domowego w koszach na plecach. Dzieci zachwalały na cały głos obwarzanki, a kobiety niosły na głowach zakupy do domu.

Co kilka kroków spotykało się pucybutów, którzy siedzieli w kucki na ziemi i uderzali szczotką do butów o skrzynkę służącą do przechowywania pasty i szczotek i jako podest do stawiania nóg. Do ich najlepszych klientów należeli liczni umundurowani żołnierze, którzy włożyli się zawsze po dwóch; wyglansowane buty były dla nich symbolem statusu, podobnie jak dla bogatego mahometanina trzy żony.

Na każdym kroku spotykało się uderzająco piękne dziewczyny w kolorowych szatach; osłaniały jaskrawo pomalowane usta welonem, nie omieszkując uchylać go tak, aby ukazać przechodniom, co się pod nim kryje. Nie mówiąc ani słowa, wzrokiem zwabiały zainteresowanego w zazwyczaj ciemną boczną uliczkę, aby tam oddawać się swej zakazanej profesji. Krzeselka przed kawiarniami były zajęte. Zwinni kelnerzy balansowali z nargilami pomiędzy rzędami stolików i wręczali gościom cybuchy owinięte przeważnie kolorowymi opaskami.

Kaminski znalazł nieoczekiwanie wolne miejsce, usiadł i zamówił czarną kawę, którą, jak zwykle z fusami i żółtą pianą, podawano tu w miedzianych dzbanuszkach i pito z miseczek bez ucha.

– Europejczyk? – zapytał po angielsku mężczyzna, którego Kaminski nawet nie zauważył. Był zadbany, niemal wytwornie ubrany, w dwurzędowym szarym garniturze. Głowę o szerokiej, obrzmiałej twarzy zwieńczał czerwony fez z dyndającym chwastem.

– Niemiec – Kaminski skinął grubasowi przyjaźnie głową.

– Ach – odparł nieznajomy – Abu Simbel!

– Tak – odpowiedział Kaminski – inżynier.

– Dobra robota, wspaniała, cud techniki! – Grubas pociągnął ustnik i w pojemniku fajki wodnej pojawiły się bulgocące pęcherzyki powietrza. Byстрыm wzrokiem obserwował zgiełk panujący przy niewielkich okrągłych stolikach.

Kaminski uznał rozmowę z nieznajomym za zakończoną, ale ten wyjął z kieszeni na piersi poźółkłą wizytówkę i trzymał mu ją przed nosem, uśmiechając się od ucha do ucha.

Inżynier popatrzył najpierw na przyjazną twarz mężczyzny, następnie na zniszczoną wizytówkę, która służyła mu już niewątpliwie wielokrotnie. Wreszcie grubas powiedział, mrugając poufnie okiem: – Foster, Charles D. Foster.

– Kaminski – odparł i skinął uprzejmie głową – Artur Kaminski – i schował wizytówkę do kieszeni. – Czy jest pan Anglikiem?

– Egipcjaninem! – poprawił pospiesznie mężczyzna. – Choć mój ojciec był Anglikiem, a moja matka Niemką. Mieszkam tu od urodzenia i żyję jakby między dwoma światami. Egipcjanie nazywają mnie cudzoziemcem, choć mówię i piszę w ich języku lepiej niż większość z nich, Anglicy tytułują mnie paszą, ponieważ sam uważam się raczej za Egipcjanina. Ale mi to nie przeszkadza i całkiem dobrze mi z tym żyć...

Kaminski mierzył Fostera ciekawym wzrokiem. Ten mężczyzna zaczął go interesować.

Foster zrozumiał jego pytające spojrzenie i kontynuował: – Chciałby pan wiedzieć, z czego ja tak dobrze żyję? – Zaśmiał się ironicznie. – Niech pan się tu rozejrzy. Na bazarze znajdzie pan czterysta, a może nawet pięćset małych sklepów i straganów, ale tylko niewiele osób zachwala tu na głos swoje własne towary. Ci ludzie biorą jedynie udział w obrocie i z tego żyją. Prawdziwi właściciele mieszkają w dzielnicy willowej w pobliżu nowego szpitala i każą biednym na siebie pracować, zgodnie z wolą Allana. – Następnie Anglik wystrzelił krótkim grubym palcem w powietrze i powiedział: – Wszystko dookoła to moje sklepy. – Jego twarz lśniła jak kopuła meczetu sułtana Hassana w Kairze.

– A co pan sprzedaje, mister Foster? – zapytał Kaminski ostrożnie.

Grubas klasnął w dłonie i powiedział: – Dobry handlarz musi handlować wszystkim, co stworzył Allah. Handlarze klejnotów, warzyw albo dywanów to wymysł dekadentckiego Zachodu; dobry handlarz handluje wszystkim naraz. Kupować i sprzedawać to moja dewiza. Jest mi przy tym całkiem obojętne co.

Kaminski roześmiał się. Mężczyzna mu się spodobał; jego niekonwencjonalny sposób bycia dobrze na niego działał. – W języku niemieckim – powiedział ze śmiechem – jest wyrażenie, które pasuje do takich ludzi jak pan.

– No to wal pan!

– Kiedy nie wiem, czy mogę. Nie jest ono zbyt pochlebne.

– Ach, co tam – odparł Foster. – W arabskim jest przysłowie: Ten, kto ci schlebia, jest twoim wrogiem. Kto ci krytykuje, jest twoim nauczycielem!

Roześmieli się obaj na głos i Kaminski rzekł: – A w niemieckim mówi się o takim człowieku jak pan, mister Foster, że gdyby musiał, sprzedałby własną babkę!

– Sprzedać własną babkę! – zawołał Foster śmiejąc się. – Sprzedać własną babkę! – Uderzył się po udach, a jego szeroka twarz przybrała ciemnoczerwoną barwę, wyglądała, jak gdyby lada moment miała pęknąć. – Sprzedać babkę? –

powtarzał. Wspaniale pan to wyraził, mister...

– Kaminski.

– Mister Kaminski. Trudne nazwisko. Ale co to ja jeszcze chciałem powiedzieć – z wyrazem powagi na twarzy przysunął się całkiem blisko do Kaminskiego – jeśli pan potrzebuje...

– Nie! – przerwał Kaminski szorstko. Domyślał się, co teraz nastąpi, a rzeczywiście na wszystko miał teraz ochotę, tylko nie na kobietę.

– Ach, rozumiem! – Foster nie dał się zbić z tropu. – Mogę panu także załatwić chłopców, świetnych chłopców z najlepszych rodzin.

Oferty Fostera ze zrozumiałych względów działały Kaminskiemu na nerwy. Odsunął się od handlarza dziewczętami i chłopcami i powiedział szorstko: – Niech pan posłucha, mister, jeśli będę chciał się zabawić, chętnie się do pana zgłoszę. Ja również obcuje tylko z najlepszymi sferami. Ale chwilowo nie mam ochoty na kobietę, i sędzę, że w najbliższym czasie nic się nie zmieni. – Kaminski dopił swoją kawę, rzucił monetę na okrągły stolik i zamierzał odejść.

– Proszę mi wybaczyć, drogi przyjacielu! – Grubas skłonił się uniżenie przed Kaminskim i przycisnął go do krzesła. – Skąd mogłem przypuszczać, że pan ma za sobą historię z kobietą. Nie chciałem być natrętny, z całą pewnością nie.

Kaminski stawał się powoli wściekły. – Kto panu powiedział, że mam za sobą historię z kobietą, panie...

– Foster. Całkiem po prostu Foster – odparł Foster. – Ślepy by to zauważył. Pan uciekł od kobiety. Po prostu.

Kaminski się zdumiał.

– Po prostu – ciągnął dalej handlarz – i jeśli mogę panu udzielić rady, mister Kaminski, niech pan do niej nie wraca. Żadna kobieta nie jest warta, aby od niej uciekać i wracać pełnym skruchy, żadna! Niech się pan tylko rozejrzy! Allah stworzył więcej kobiet niż mężczyzn. A to oznacza, że może pan wybierać jak na targu wielbłądów we wschodniej części miasta. Kelner, jeszcze jedną kawę dla mojego przyjaciela.

Prawie niemożliwością było wyrwać się ze szponów tego mężczyzny, w głębi duszy Kaminski przyznawał mu rację, w każdym razie w obecnym stanie swoich uczuć. Są sytuacje w życiu, kiedy kobiety zaczynają przejmować role wcale nie pasujące do nich i zyskują nad człowiekiem władzę, z którą nawet wojownicza męska natura z trudem może sobie poradzić. Kaminski czytał gdzieś, że chemia wpływa na wzajemną fascynację i antypatię dwojga ludzi różnych płci. I to ona właśnie lub inna nieznaną formuła przywiązała go z pewnością do tej tajemniczej

kobiety. Tak, użył w myśli przymiotnika „tajemniczy”, ponieważ nie umiał sobie wytłumaczyć tej pociągającej siły; być może leżała ona w niesamowitości istoty Helli, tak bardzo różniącej się od wszystkich kobiet, które dotychczas spotykał.

– Niech mi pan opowie o pracy w Abu Simbel! – powiedział Foster, aby zakończyć ten niezręczny temat.

– Nie ma tu wiele do opowiadania – odrzekł Kaminski. – Odkąd świątynie zostały pocięte, a bloki są bezpieczne przed wodami Nilu, problem przestał istnieć. Wszystko idzie swoim torem zgodnie z planem. Wyprzedzamy nawet przewidywany termin.

– Wiem – odpowiedział Foster – Rosjanie plują jadem; próbowali sabotować waszą pracę, ale im się nie udało, choć mieli nawet jedną kukułkę albo i więcej w swoim gnieździe, cha, cha!

– Kukułkę?

– Ach, niech pan przede mną nie udaje! To nie ma sensu. Foster i tak wie wszystko. – Spojrzał na boki, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy; następnie pochylił się nad Kaminskim i szepnął: – W Asuanie człowiek nie może zrobić kroku, aby się nie natknąć na kogoś z KGB.

Kaminski przeraził się. Zaczął się zastanawiać, czy naprawdę ich spotkanie było przypadkowe, jak dotychczas sądził, i powiedział krótko: – Nie wiem, o czym pan mówi.

Foster wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu, ponieważ Kaminski nie umiał udawać, i odparł: – Niech pan posłucha, mister Kaminski, Egipt jest niewielkim państwem i właściwie także niewiele znaczącym, ale jego położenie strategiczne, a przede wszystkim Kanał Sueski, wyróżnia go spośród wszystkich innych państw kontynentu. Skutkiem tego jest walka Zachodu i Wschodu o prymat w tym kraju; zarzucają nas stosami prezentów. Dla Sowietów Egipt stał się tymczasem sprawą prestiżową, albowiem aż do upadku króla Faruka nasz kraj był zorientowany raczej na Zachód. Od czasu budowy zapory Rosjanie traktują Egipt jako część swojej hemisfery. W żadnym kraju poza Związkiem Radzieckim nie żyje tak wielu Rosjan, jak w Egipcie. I czują się tu dobrze, choć Egipcjanie wcale ich nie kochają, ponieważ odkąd Rosjanie tu mieszkają, kraj jest pełen szpicli, szpiegów i agentów. Kto wie, czy pan i ja również nie pracujemy dla KGB?

Kaminski zaprzeczył ręką, ale Foster nie dał mu dojść do słowa: – Nie potrzebuje się pan tłumaczyć, mister Kaminski, ja tego też nie czynię.

I oto Kaminski siedział teraz bezradny naprzeciwko Fostera; nie wiedział, co ma o nim sądzić, jak ma oceniać to spotkanie.

Ogarnęły go nawet wątpliwości, czy Balouet i Raja, którzy dzięki jego pomocy uciekli do Sudanu, rzeczywiście wyrzekli się współpracy z KGB i czy za ich ucieczką nie kryło się coś całkiem innego. Czy to był niezwykle przypadkowy fakt, że ci dwoje zjawili się w nocy w jego baraku? I że wejście do grobowca z mumią nie było zaspane, a barak stał dokładnie nad tym wejściem? Kto w tym maczał palce? Kaminski spojrzał z boku na Fosterę: co ten człowiek wiedział?

Najchętniej Kaminski powiedziałby: Niech pan wydobydzie mumię, niech pan z nią zrobi, co się panu podoba, ja nie chcę o niej więcej słyszeć; po chwili zaczął z innej beczki i zapytał od niechcienia: – Panie Foster, czy handluje pan także antykami?

Foster, dla którego dotychczasowa rozmowa była raczej bez znaczenia – w każdym razie jego zachowanie pozwalało tak sądzić – nagle się ożywił. Wyjął z ust nargile i powiedział, nie patrząc na pytającego: – Kupno czy sprzedaż?

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

– Czy chce pan coś kupić, czy sprzedać?

Kaminski poczerwieniał, poczuł się wepchnięty w ślepiącą uliczkę i zaczął się jąkać: – Właściwie... chciałem tylko wiedzieć, czy pan handluje także antykami.

Foster skinął głową ze zrozumieniem, sięgnął po swoją marynarkę, wyjął z niej wytarty czarny portfel, prawie tak gruby jak Koran, i zaczął przeglądać zawartość, która składała się z banknotów różnych walut, rachunków, notatek i wycinków z gazet. Zwilżał prawy palec wskazujący na wysuniętej do przodu dolnej wardze i mamrotał, z trudem odczytując treść.

– Tu! – wykrzyknął nagle; ze stosu papierów w portfelu wyjął złożoną zadrukowaną kartkę i wręczył swemu rozmówcy.

Kaminski rozłożył ją; była to strona z magazynu „Time” z ilustrowaną informacją o nowym zakupie posągu Ramzesa przez Metropolitan Museum w Nowym Jorku.

– Ufam panu – szepnął Foster do Kaminskiego – ufam panu, bo pan mnie ufa, rozumie pan. – I po niemal nabożnej przerwie wyciągnął ku niemu prawą pięść. – Pół miliona... dolarów!

Kaminski nie od razu zrozumiał; pojął wreszcie że Foster sobie przypisuje tę transakcję i że zarobił na niej pół miliona dolarów. Skinął głową z uznaniem i oddał Fosterowi wycinek z gazety.

– Oczywiście nielegalnie – powiedział Foster cicho. – Nie wiem, co pan o tym myśli, mister Kaminski, ale gdybym ja nie zrobił tego interesu, zrobiłby go ktoś inny. Poza tym Metropolitan Museum to nie jest najgorszy adres. Czy pan widział,

jak marnują się przedmioty w Muzeum Egipskim w Kairze? Wstyd i hańba!

Kaminskiego w mniejszym stopniu interesował moralny aspekt sprawy – nie jego sprawa – zastanawiała go natomiast otwartość, z jaką Foster opowiadał mu o wszystkim. Ale może on swoim zmysłem do interesów dawno już odkrył, że Kaminski nie jest typem, który go zadencjonuje. A poza tym ramię tego człowieka sięgało przypuszczalnie tak daleko, że i tak nikt w tym mieście by mu nie uwierzył.

– Ma pan do mnie wiele zaufania – stwierdził Kaminski. – A przecież prawie się nie znamy.

Foster uniósł ramiona. – Wie pan, są ludzie, którym od razu się ufa, choć tak naprawdę wcale ich się nie zna. Są też ludzie, z którymi od lat utrzymuje się przyjacielskie stosunki, a nie powierzyłoby im się żadnej tajemnicy. Pan należy, jak widać, do tych pierwszych.

Słowa te pochlebily Kaminskiemu, a Foster wypowiedział je z pewnym zamiarem. Wiedział, jak należy się obchodzić z takimi ludźmi jak Kaminski i był pewny, że od takich ludzi można wszystko wydobyć, jeśli się do nich umiejętnie podejrze. Dlatego czekał w milczeniu i obserwował tłok przed kawiarnią.

Nie musiał długo czekać, albowiem Kaminski zaczął nagle mówić, a jego słowa brzmiały niemal jak spowiedź: – Znalazłem mumię. Może to głupio zabrzmieć, ale prześladowuje mnie ona dzień i noc. Uciekłem od tej mumii aż tu, a teraz chciałbym się jej pozbyć.

Foster wcale nie był zaskoczony.

– Mumie to nic szczególnego – powiedział. – Jest ich tu tysiące. Nie interesują mnie.

– Ale tu chodzi o całkiem niezwykłą mumię, i leży ona niemal nie naruszona w swoim sarkofagu. Chodzi o Bent-Anat, córkę i małżonkę Ramzesa!

– Niech pan to powtórzy!

– Chodzi o córkę i małżonkę Ramzesa, budowniczego Abu Simbel.

– Pan sobie żartuje!

– Nie żartuję, mister Foster. Nigdy bym panu nie wspomniał o niej, gdyby to monstrum nie zburzyło najbardziej podniecającego romansu mojego życia. Teraz chcę się pozbyć owej mumii!

Foster poczuł się jak naelektryzowany. Wiercił się niespokojnie na krześle: – A gdzie znajduje się ów grób? Ile ludzi o nim wie? Czy ma pan dowody?

– Dowody? Archeolodzy zidentyfikowali pierścienie z imionami na sarkofagu, nie znając ich pochodzenia, jako pierścienie królowej. I tylko jedna osoba o tym wie, owa wspomniana przeze mnie kobieta, na której mi tak zależy. A co się tyczy

miejsca znaleziska – znajduje się ono w Abu Simbel.

– Na brodę Proroka! – Foster wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć. Patrzył na Kaminskiego z niedowierzaniem, następnie potrząsał głową i patrzył na swoją pustą filiżankę. Wreszcie powiedział cicho, aby nikt nie mógł usłyszeć: – Jeśli pańskie twierdzenie jest prawdziwe, mister Kaminski, zapłacę panu każdą cenę prawie każdą, poprawił się.

Zmysły Kaminskiego nagle zaczęły szaleć. Właśnie zastana wiał się, jak by tu najlepiej pozbyć się monstrum, i oto zjawia się ten Foster i oferuje mu majątek, tyle że można by rozpocząć nowe życie. – Ile? – zapytał Kaminski ochoczo.

– Najpierw muszę zobaczyć obiekt – odparł Charles D. Foster, w tej chwili człowiek interesu całą gębą – ale aby dać panu punkt zaczepienia – powiedzmy, pół miliona.

– Dolarów?

– Drogi przyjacielu, w naszym rzemiośle mówi się tylko o dolarach. Ważne jest, aby nikt nie dowiedział się o naszym interesie. Rozumie pan. Im mniej ludzi o tym wie, tym wyższa cena.

Zaczynało się ściemniać. Przed sklepami i na niewielkich przeładowanych wystawach zapalały się tysiące kolorowych lampek. Zapach jadła wydobywał się z małych lokalików i mieszał z ciemnym dymem sprzedawców kebabu, którzy swoje brytfanny z węglem ustawiali wzdłuż wąskich uliczek i długimi szczypcami przesuwali na ruszcie kulki mięsa, aby się równomiernie przypiekały. Każdy z nich wołał na cały głos, czego Kaminski wprawdzie nie rozumiał, ale nietrudno było zgadnąć, że tylko jego kulki mięsa są najlepsze na świecie. Kaminski poczuł głód.

Czy mogę pana zaprosić na kolację, mister Kaminski? – Foster zauważył jego wygłodniałe spojrzenie. – Znam doskonały lokal kilka kroków stąd, trochę na uboczu od tego zgiełku; prowadzą tam prawdziwą egipską kuchnię. Nazywa się „Alya”, a to nie bez powodu.

Foster rzucił na stół kilka banknotów i klasnął w dłonie. Z wnętrza lokalu wyszedł kelner, schował pieniądze, a gość udzielił mu paru krótkich poleceń. – Chodźmy – powiedział grubas do Kaminskiego i wstał.

Teraz Kaminski zobaczył, po co Foster wołał kelnera: krzyżąc, wiosłując rękami i tupiąc nogami kelner szedł przed nimi i torował im drogę przez tłum do wspomnianego lokalu. Kiedy tam przybyli, skłonił się przed obu mężczyznami w milczeniu i zawrócił.

– Zapewne jest pan ciekaw, co oznacza słowo „Alya” – powiedział Foster, kiedy wchodzili do lokalu przez wąski ostrołuk, który był zasłonięty sznurami koralików.

Między kolumnami stały małe, białe nakryte stoliki, które z powodu osobliwego oświetlenia połyskiwały jak brzeg Elefantyny, wyspy na Nilu. Tylko niewiele stolików było zajętych, i to wyłącznie przez mężczyzn, zdradzających przynależność do lepszego towarzystwa. Szef sali w czarnym garniturze i czerwonym fezie na głowie wskazał im stół, a kiedy zajęli miejsca na niewygodnych krzeselkach, Foster wyjaśnił: – „Alyą” nazywa się tłuszcz wytapiany z baranich ogonów. Żydzi przyrządzają potrawy na oliwie z oliwek, Koptowie na oleju sezamowym, prawdziwy Egipcjanin zaś używa alyi, tłuszczu z baranich ogonów. Dlatego stare egipskie przepisy kulinarne zaczynają się od słów: „W imię Allana Najwyższego weź ogon barani, wytop z niego tłuszcz...”

Kaminski przełknął. Wolałby zjeść na ulicy kilka pachnących, przyprawianych korzeniami kulek mięsnych, ale Foster uparł się, po uprzedniej rozmowie ze żwawym, ciemnoskórym kelnerem w długiej białej galabiji, żeby zamówić udziec barani, który podano z okropnie słodkim sosem; spożycie tej potrawy wymagało od Kaminskiego szczególnego samozaparcia, aby nie zwymiotować.

W końcu Foster zauważył nieszczęśliwą minę swego gościa i zapytał: – Chyba panu nie smakuje, mister Kaminski?

Ten nie chcąc być niegrzeczny, zapewnił, że potrawę da się zjeść, choć europejski żołądek nie przywykł do takiego słodkawego smaku.

– To tylko kwestia przyzwyczajenia – odparł Charles Foster, albowiem baraninę od najdawniejszych czasów podaje się na słodko. I opowiedział legendę z czasów mameluków. Według niej król Baran panował kiedyś nad olbrzymim narodem Mięsa, które zwykł był jadać tylko z solą i ostrymi przyprawami. Król Baran miał rywala: nazywał się on Miód. Ten jadał głównie owoce, warzywa, potrawy mleczne i słodyczne. Wywołało to zazdrość króla Barana; posłał więc Barani Ogon, którego nazywano Alyą, z misją do króla imieniem Miód, aby ten się poddał. Król odmówił, ale Alyi udało się przeciągnąć na swoją stronę najważniejsze osobistości z jego sztabu, takie jak Cukier i Syrop, i odtąd nawet udziec barani jest przyrządzany na słodko.

Kaminski słuchał jednym uchem. Jego myśli krążyły wokół problemu: jak niepostrzeżenie wydobyć mumię? Im dłużej rozmyślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że było to niemożliwe. Niezdecydowany patrzył na pokrojony udziec barani i bił się z myślami, czy ma wziąć następny kęs.

– Znajduje się ona na głębokości sześciu do ośmiu metrów – powiedział nagle i trwało dobrą chwilę, zanim Foster pojął sens jego słów. – Sprawę utrudnia fakt – ciągnął dalej Kaminski – że prowadzi tam korytarz grożący zawaleniem, a nadto jest jeszcze pionowy szyb, nie wiem nawet jak głęboki...

– Czy nie powiedział pan, że grób znajduje się niedaleko budowy w Abu Simbel? – przerwał Foster.

– Owszem, tak powiedziałem.

– A zatem ma pan do dyspozycji maszyny, dźwigi i koparki. Spotykałem się już ze znacznie trudniejszymi problemami, mister Kaminski. Niech się pan nie przejmuje!

– Ale ja się przejmuję! Jak bowiem to wszystko zorganizować, żeby nikt nie zauważył?

Foster uśmiechnął się ironicznie, co sprawiło, że jego twarz przybrała

niesympatyczny wyraz: – Ach, wie pan, drogi przyjacielu, istnieje arabskie przysłowie, które brzmi: Złoto zamyka usta nawet największym gadułom; a to znaczy, że za pomocą złota każdego można zmusić do milczenia. Przede wszystkim zaś egipskiego operatora dźwigu. Ale to już nie pański problem, proszę mi wierzyć.

Kaminski zaczął się zastanawiać. Co ten Foster wiedział o budowie w Abu Simbel? W jakie machinacje był wplątany?

Foster odsunął talerz na bok, wyjął portfel z marynarki i wyciągnął z niego wycinek z gazety, który przedtem pokazywał Kaminskiemu. – Powiedziałem panu jedynie pół prawdy – rzekł kaszląc z zakłopotaniem i postukał palcem w papier. – Posąg Ramzesa, o którym tu mowa, został znaleziony w Abu Simbel.

Odkryli go dwaj ludzie z waszego zespołu. Będzie pan zdumiony, jeśli wymienię ich nazwiska. Byli to archeolog Hassan Muchtari inżynier Albert Mösslang.

– Muchtar i Mösslang! – Kaminski zaczerpnął powietrza. – Ale...

Foster machnął ręką i wykrzywił usta, jakby chciał powiedzieć: Dziwi to pana, ale to prawda! Milczał jednak i tylko patrzył na wycinek z gazety leżący na stole.

Kaminski od początku śledził Muchtara z nieufnością. Nie umiał powiedzieć, dlaczego, ale ten człowiek od początku wydawał mu się niesympatyczny; dlatego schodził mu z drogi, kiedy tylko mógł. Ale że sprzedał on do Ameryki znalezisko archeologiczne ...

– A Mösslang? – Kaminski myślał głośno. – Ilekroć spotkam się z tym nazwiskiem, natrafiam na ścianę milczenia. Nikt nie był w stanie, albo nie chciał udzielić mi informacji o tym człowieku.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Foster. – Powiedziałem przecież, że złoto zamyka usta nawet największym gadułom. Pragnę panu powiedzieć prawdę, mister Kaminski, w końcu jesteśmy obaj prawie partnerami w interesie.

Kaminski odczuł niesmak przy tych słowach. Najchętniej wstałby teraz i powiedział: Niech pan zapomni o wszystkim, co mu powiedziałem, po czym by wyszedł. Ale uświadomił sobie, że temu partnerowi w interesie za dużo już zdradził. Teraz nie było odwrotu; jest zdany na Foster'a. Poza tym chodziło o takie pieniądze... wreszcie była Hella, która nie zazna spokoju, dopóki mumia będzie spoczywała pod barakiem.

– To była głupia historia – zaczął Foster. – Posąg Ramzesa musiał być nocą załadowany na frachtowiec. Pracowaliśmy po ciemku i wtedy stało się nieszczęście. Mösslang, który znajdował się na statku, został przygnieciony przez

granitowy posąg. Na śmierć. Udało mi się przedstawić całe zajście jako nieszczęśliwy wypadek. Zanieśliśmy martwego Mösslana na plac budowy. Cóż innego mogliśmy zrobić?

Kaminski nie wyrzekł słowa. Opróżnił do dna kieliszek białawej cieczy, który stał przed nim na stole, nie wiedząc nawet, co pił. Było obrzydliwie ostre i słodkawe, ale w tej chwili nic by mu nie smakowało, nawet szampan. Bezcelność, z jaką Foster załatwiał swoje ciemne interesy, wywołała na jego ciele gęsią skórę. I oczywiście – było dla niego jasne, że Foster wykorzysta go jedynie jako środek do celu. Przed tym człowiekiem musiał się mieć na baczności.

Pokusa, żeby rzucić wszystko i zrezygnować z interesu, była co najmniej tak wielka, jak myśl o ogromnych pieniądzach. Kaminski walczył ze sobą o podjęcie decyzji; wreszcie wytłumaczył się, że jest zmęczony i chce jeszcze raz spokojnie przemyśleć problem.

W nocy hotel „El-Salamek” był jeszcze bardziej głośniejszy niż za dnia. Senność, która panowała w nim przez cały dzień, użyczyła w nocy miejsca niezwykle ożywieniu. W hallu wykładanym kamieniem, który raczej zasługiwał na miano poczekalni, siedzieli w kucki spoceni mężczyźni i przesuwali w palcach żółte paciorki różańca. Od czasu do czasu przez zakurzone foyer przemykała zawołowana dziewczyna i znikła na kamiennych schodach prowadzących na górę – mężczyźni z zachwytem unosili wzrok jak na widok al-hadžar as aswad, Czarnego Kamienia w świątyni Kaaba w Mekce.

Nocny portier za drewnianą ladą, którą ozdabiał rzeźbiony mosiężny dzbanek wysadzany czerwonymi i niebieskimi kamieniami, skłonił się nisko przed europejskim gościem i wypowiedział ze śmiechem trzy spośród blisko dziesięciu znanych mu angielskich słów: – Good evening, mister! – Kaminski wbiegł na górę, biorąc po dwa kamienne stopnie na raz, i otworzył drzwi pokoju, który jak wszystkie pokoje tanich hoteli nie był zamknięty.

Choć pokój tonął w ciemnościach, Kaminski natychmiast spostrzegł, że ktoś tu jest oprócz niego.

Inżynier wyciągnął rękę do kontaktu i zapalił światło.

– Hella, ty tutaj? – wykrzyknął. Na żelaznym łóżku leżała całkowicie ubrana Hella Hornstein, ręce wsunęła pod głowę i patrzyła, mrużąc oczy, na światło gołej żarówki.

– Czy oczekiwałeś kogoś innego? – odpowiedziała Hella wyzywająco. – Jeśli ci to niemiłe, mogę sobie pójść.

– Nie, nie – odpowiedział Kaminski zakłopotany. – Oczywiście że nie spodziewałem się ciebie, i ciekaw jestem, jak mnie tu znalazłaś.

– Pomyślałam sobie, że na pewno uciekłeś do Asuanu. Kurosh to potwierdził. A więc także tu przyleciałam. I tak miałam coś do załatwienia w mieście. Ale myślałam, że zastanę cię w hotelu „Cataract”, a nie w tym burdelu.

– Co znaczy w burdelu – rzekł Kaminski zagniewany.

– Burdel znaczy burdel – odrzekła Hella nieprzyjemnym tonem. – A może myślałeś, że te zawołowane damy na korytarzu to goście hotelowi?

– Chciałem mieć spokój i nie spotkać nikogo, z kim musiałbym rozmawiać.

– I co? Udało ci się? – Jej głos brzmiał ironicznie, niemal pogardliwie. Nie należy zapominać, że ich stosunki od czasu owego dziwnego spotkania w jej mieszkaniu bardzo ochłodziły; również Hella zdawała się tak to odczuwać. Wciąż jeszcze nie patrzyła na niego, tylko gapiła się przed siebie, a Kaminski próbował się domyślić, czego ona tu właściwie szukała.

Hella przyjechała tu niewątpliwie po to, aby się z nim pogodzić. Nie potrafiła tylko ubrać swojego zamiaru w odpowiednie słowa, myślał Kaminski.

– Trochę wysiadły mi nerwy – wyjaśnił usprawiedliwiająco. – Być może dojrzałem już do urlopu. A wszystko zaczęło się od odkrycia mumii. Gdybym wiedział, że tak się sprawy potoczą, nigdy by mi nie przyszło do głowy, aby odłaniać dziurę w baraku. – Podszedł całkiem blisko do Helli i powiedział: – Ale teraz już wiem, kto był prawdziwym odkrywcą grobowca...

Hella usiadła i oparła się na łokciu. – Ach – powiedziała w oczekiwaniu.

– Było to dla mnie jasne, brakowało mi tylko dowodu.

– I kto to był?

– Mösslang.

Kiedy Kaminski wymienił to nazwisko, ciało Helli jakby prze szedł prąd. Opadła na łóżko i znów przyjęła postawę taką jak wówczas, kiedy Artur wszedł do pokoju.

– Mösslang kazał postawić swoje biurko dokładnie nad wejściem do grobowca, a mumia miała być jego wielkim osiągnięciem. Zanim jednak do tego doszło, zdarzył się wypadek.

– A skąd wiesz to wszystko?

– Poznałem człowieka, który miał kontakt z Mösslangiem...

– Fosterą?

– Znasz go?

Hella machnęła ręką.

Niełatwo mógł to wszystko zrozumieć. Kaminski patrzył na Helle; czekał na jej odpowiedź.

– Słyszałam o nim; znać to za wiele powiedziane – odparła Hella.

Kłamała. Oczywiście że kłamała. Kaminski nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Za to ją nienawidził, a przecież... nie dokończył jeszcze swojej myśli, i nagle dotarło do jego świadomości, że mimo wszystko kocha Helle, że w jakiś tajemniczy sposób pozostaje pod jej urokiem. Nie istniała żadna inna kobieta, którą mógłby kochać z taką żarliwością, przy której mógłby się tak zatracić w całkowitym oddaniu.

Być może, myślał, być może właśnie to tak mąciło jego umysł. Gorliwemu inżynierowi bliższe są na ogół cyfry po przecinku niż uczucia i czułości. Może namiętność była w stanie zmienić tożsamość człowieka, a nawet zaprowadzić go tak daleko, że widział rzeczy, które w istocie nie istniały. W każdym razie Kaminski czuł, że ta namiętność miała nad nim władzę, której nie mógł się przeciwstawić.

Właśnie ona spowodowała, że położył się obok Helli na łóżku, choć musiał liczyć się z tym, że go odepchnie albo że wyskoczy z łóżka i zniknie z pokoju; nie stało się jednak ani jedno, ani drugie. Hella zrobiła mu tylko trochę miejsca, skuliwszy nogi, i jednym ruchem odsunawszy się na bok, tak iż żelazne łóżko zazgrzytało jak stary zardzewiały rower.

Nie dotykając się, leżeli obok siebie i każde z nich patrzyło na mroczny sufit. Niczego nie wiedząc o swoich zamiarach.

Kaminski czuł, że to on powinien był teraz coś powiedzieć, jakieś wyjaśniające słowo, słowo usprawiedliwienia; ale wydawało się, że głos odmówił mu posłuszeństwa, jakby niewidzialne ręce chwyciły go za gardło i ścisnęły bezlitośnie... Z trudem chwycił powietrze.

Westchnął głęboko dwa, trzy razy, poczuł jednocześnie zjełczały zapach baraniego tłuszczu, jakim było przesiąknięte jego ubranie, jakby z oddali też poczuł zapach Helli. Oba doznania przypomniały mu coś, o czym teraz wołałby nie pamiętać. Artur najchętniej zatkałby sobie nos, ale przedstawiałby wówczas żalną figurę. Tego w żadnym razie nie chciał.

Czy nie moglibyśmy przerwać tego karania siebie nawzajem milczeniem, chciał powiedzieć; ale zawahał się, i podczas gdy tak leżał niezdecydowany, Hella uwolniła swoją rękę spod pleców i jak wijący się wąż szukała ostrożnie drogi do jego ciała, następnie przytuliła się do niego.

Arturowi zdawało się, że śni, kiedy nagle poczuł jej niespokojne palce pomiędzy swoimi nogami. Chciał krzyknąć, ale się nie odważył ze strachu, że przeszkodzi Helli. Spokojnie więc śledził jej lubieżne ruchy, nie mogąc jednak odpędzić myśli, które wciąż jeszcze go dręczyły.

To była Hella, którą znał, która z minuty na minutę pozwalała zapomnieć o swoim chłódzie, która zrzucała swoją powściągliwość jak kokon i w krótkim czasie przemieniała się z poczwarki w motyla.

Przez chwilę Kaminski miał ochotę przeciwstawić się bezwstydnym zabiegom Helli, ale oczywiście dobrze wiedział, że ona już po kilku minutach złamie jego opór i że nie miał szans, kiedy ona mu się oddawała. Penis w jej dłoni czynił z

niego bezwolny obiekt. Śmieszne było wyobrażać sobie, że można się przeciwstawiać tej kobiecie i jej zmysłowości. Na to Artur był za słaby, i chciał być słaby. Hella powinna mieć nad nim władzę. Czyż istniało bardziej podniecające uczucie?

– Kocham cię! – powiedział Kaminski, wciąż jeszcze wpatrując się tępo w sufit. Coś go popchnęło, aby jej to powiedzieć, mimo iż jeszcze przed paroma chwilami jej nienawdził. Ale nic nie zmienia się tak szybko jak miłość i nienawiść. – Kocham cię – powtórzył.

Hella zareagowała milczeniem na wyznania Artura. Odwróciła się na bok; leżała teraz na lewym ramieniu, podciągnęła prawe udo, przesunęła nim po biodrze Kaminskiego. On jęknął, wygiął plecy, aby jeszcze mocniej poczuć dotknięcie wewnętrznej strony jej uda, i znów opadł na skrzypiące łóżko.

Czynność ta powtarzała się wiele razy, z rosnącą intensywnością i podnieceniem, wreszcie Kaminski znalazł się w sytuacji, która mężczyźnie nieczęsto zdarza się w życiu i którą dlatego do końca życia będzie pamiętał: jego podniecenie osiągnęło taki stopień, że nie usłyszałby chyba nawet huku armaty, gdyby wystrzeliła obok niego.

Zanim mógł się odwrócić do Helli, ta zręcznym ruchem usiadła na nim okrakiem i królowała nad nim niczym dzika Amazonka. Jej spódnica podsunęła się do góry i odsłoniła uda i brzuch; Artur ujrzał, że pod nią była naga. Lewą ręką Hella wczepiła się w jego ubranie, prawą odpięła mu spodnie, ujęła jego sztywny członek i jednym szybkim ruchem wsunęła w siebie. Nastąpiło to z taką prędkością, że Kaminski ledwie mógł pojąć, co się stało.

– Ty... chciałeś... mnie... porzucić – syczała Hella i podkreślała każde słowo naciskiem bioder. – A teraz chcesz mnie sprzedać – dodała.

Kaminski nie rozumiał, co miała na myśli; ale kiedy spojrzał na jej twarz, zobaczył, że wcale nie patrzy na niego roznamiętniona kobieta. Promieniowała z niej raczej dzika złość, wzburzenie, jakiego Artur nie spotkał jeszcze u żadnej kobiety – a w każdym razie nie w takiej sytuacji – i które go właśnie dlatego szczególnie fascynowało. Jej oczy lśniły dzikością i stanowczością, o ile można to było poznać w słabym świetle lampy u sufitu. I kiedy podniecony zaczął manipulować przy guzikach u jej bluzki, Hella ścisnęła go za przegub dłoni i odsunęła na bok, ale nie dlatego, aby mu bronić dostępu do siebie, tylko dlatego, że wolała sama się rozebrać.

Naga i biała królowała teraz nad nim jak bogini; ruchy, jakie wykonywała nieregularnie i z gwałtownością zapaśnika, były pospolite i zwierzęce. Artur to

lubił.

– Czy odebrało ci mowę? – zapytała Hella, nie przerywając swojej czynności.

Kaminski przechylał głowę to na jedną, to na drugą stronę. Pragnął, aby robiła tak dalej. Dlatego odpowiedział pospiesznie: – Boję się, że postradam zmysły...

Po twarzy Helli przemknął uśmiech, uśmiech, który zdradzał raczej współczucie niż sympatię, i prowokująco zapytała: – Z mojego powodu?

To dziwne, choć Artur odczuwał przyjemność i głęboką rozkosz, jednocześnie czuł się przez Hellę ponizony. Miał wrażenie – i to nie po raz pierwszy – że ona się nim bawi, że sobie z niego żartuje, że go wykorzystuje, i do jego świadomości zaczęło docierać, że zatracą się w swojej namiętności do tej kobiety.

Czy miał jej wyznać, co przeżył? Czy miał się przyznać, jakie niezwykle majaki go prześladowały, że ona w chwilach największego uniesienia zamieniała się przed nim w ducha? Oczywiście nie uwierzyłaby mu, znów by go wyśmiała – a jeśli miał być szczery, nie mógłby jej nawet wziąć tego za złe.

– Ty jesteś czasem jakaś inna – powiedział Kaminski, ponieważ Hella wciąż jeszcze patrzyła na niego, nie ruszając się, jak gdyby oczekiwała odpowiedzi na swoje pytanie.

Uwaga ta wzmocniła tylko jej wściekłość, co groziło, że ich akt miłosny zamieni się w walkę – czego Kaminski nawet by nie żałował, albowiem seks oznacza przecież zawsze rodzaj walki – ale Hella zemściła się w perfidny sposób, albowiem wyrwała mu się i zamiast na biodrach usiadła mu na piersi.

– Co to znaczy inna? – zapytała, a jej spojrzenie z góry miało w sobie coś groźnego.

Kaminski nie rozumiał, co się stało, poczuł się tylko ośmieszony i próbował uwolnić się od niej; ale Hella miała w udach siłę nie do pokonania i trzymała go w szachu.

Artur wiedział, że może dać radę tej kobiecie jedynie słowami.

– Ta przeklęta mumia – wyjąkał – to ta przeklęta mumia ma na sumieniu rozpad naszego związku.

Hella zmarszczyła czoło, wyglądało na to, że słowa Artura były jej niemiłe, ale nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego, jakby oczekiwała wyjaśnienia.

Kaminski odwrócił głowę na bok. – Dlatego zamierzam sprzedać mumię Bent-Anat.

Hella zadrżała. Artur poczuł, jak gdyby oblała ją fala, i powoli osłabła siła, z jaką kobieta przyciskała jego piersi.

Jesteś na właściwej drodze, pomyślał Kaminski, tylko teraz nie popuścić. –

Foster daje mi pół miliona za mumię.

Hella przycisnęła dłonie do jego piersi i pochyliła się nad jego głową: – Powiedziałeś wszystko temu człowiekowi, temu Fosterowi? – Jej głos się załamał.

– Tak – odpowiedział Artur – wszystko, co chciał wiedzieć.

Hella nagle się zmieniła. Wyniosłość, z jaką przed chwilą go poniżała, nagle przeobraziła się w niepewność, której Artur nigdy by się nie spodziewał.

– Nie będziesz do końca życia prowadzić rozmów z Bent-Anat – powiedział Kaminski. – Wystarczy nam pieniędzy, aby zacząć nowe życie, gdziekolwiek, tylko nie tu.

Głos Helli brzmiał niemal błagalnie: – Czy jesteś w stanie zrozumieć, co dla mnie znaczy Bent-Anat?

– Co tu jest do rozumienia – odparł Kaminski – to przecież mumia zmarłej trzy tysiące lat temu. Nie rozumiem doprawdy, co cię w tym wszystkim tak fascynuje.

– Ty nienawidzisz Bent-Anat! – wykrzyknęła Hella nagle ze złością i uderzyła pięścią w pierś Artura.

– Bzdura! – odparł Artur. Jak mogę nienawidzić kobiety, której nie znam i która w dodatku zmarła przed tysiącami lat? Poza tym nieważne, co ja myślę o tej straszliwej mumii! Nie chcę jej więcej oglądać. Chcę, żeby zniknęła z mojego i z twojego życia. Im prędzej, tym lepiej.

– Ty nienawidzisz Bent-Anat i nienawidzisz mnie! – powtórzyła Hella i jednocześnie zaczęła się o niego ocierać.

Kaminski nie protestował; jej ruchy wprawiły go natychmiast znów w podniecenie, zamknął i oczy oddawał się rozkoszy.

Nie mógł widzieć, że Hella sięgnęła prawą ręką pod łóżko i zaczęła grzebać w torbie podróżnej; następnie wyciągnęła z niej coś lśniącego, z czym zdawała się umieć obchodzić nadzwyczaj zręcznie. Kaminski nie widział, jak uniosła rękę i ze ślepą wściekłością wycelowała w jego lewe udo, pchnęła i nacisnęła. Artur poczuł wprawdzie lekki ból jakby od ukłucia igłą, ale w chwilach takich jak ta każdy ból zamienia się w przyjemność.

Kaminski zauważył tylko, że Hella przerwała swoje lubieżne ruchy. Próbował głośno krzyknąć: dalej, dalej, dalej! Ale kiedy otworzył oczy, co sprawiło mu ogromny ból, ujrzał nad sobą Helle.

W prawej ręce trzymała strzykawkę. Trzymała ją jak trofeum. Jej postawa, jej wykrzywiony, wymuszony uśmiech miał w sobie coś z tryumfu.

Ale zanim jeszcze Kaminski poznał przyczynę tego uśmiechu, zanim stało się dla niego jasne, co Hella Hornstein zrobiła, poczuł w ciele ołowiany ciężar.

Próbował dotknąć Helli, ale jego ramiona zawiodły. Wykrzywiona twarz kobiety nad nim zaczęła się kołysać, zaczęła się rozplýwać, roztopiać jak śnieg na wiosnę. Kaminski chciał złapać powietrze, odetchnąć głęboko; nie udało się. Przez chwilę myślał, że się udusi; zanim doprowadził swą myśl do końca, stracił przytomność.

Następnego dnia około południa pracownik hotelu, który sprzątał pokój, znalazł Artura Kaminskiego ciężko oddychającego na łóżku. Był nie ubrany, a w pokoju paliło się jeszcze światło. Mężczyzna pomyślał, że europejski gość za dużo wypił i musi odespać upojenie alkoholowe, wyszedł więc i zamknął pokój.

Kaminski spał cały dzień i następną noc. Wczesnym rankiem dwaj policjanci w białych mundurach stanęli przy jego łóżku i zażądali, aby się natychmiast ubrał i poszedł z nimi.

Kaminski czuł się jak zbity pies. Starał się pozbierać myśli; przede wszystkim nie potrafił powiedzieć, jak długo leżał nieprzytomny. Z trudem przypominał sobie rozmowę z Fosterem i to, że obaj dogadali się w sprawie sprzedaży mumii. Spotkanie z Hellą pozostało mu w pamięci tylko we fragmentach; nie umiał nawet z całą pewnością powiedzieć, czy z nią spał i czy doszło między nimi do sprzeczki.

Na pytanie, czy jest aresztowany i na jakiej podstawie odstawiają go na policję, obaj strażnicy porządku odpowiedzieli wzruszeniem ramion, wobec czego Kaminski uznał za wskazane pójść za nimi i wyjaśnić sprawę.

Sprawa z Fosterem zaczęła mu się wydawać coraz mniej bezpieczna. O ile sobie przypominał, Egipcjanin zaoferował mu ogromną sumę, nie widząc przedmiotu handlu. Opowiedział mu rzeczy, których nawet Egipcjanin, mający zwykle serce na języku, nie powtarza; a przy tym prawie się nie znali.

Czyżby handlarz go wsypał? Czyżby uprawiał perfidną podwójną grę, aby trafić na ślad mumii?

Kaminski ubrał się i właśnie zamierzał zawiązać sznurowadła, kiedy wzrok jego padł na pustą szklaną fiolkę, która leżała pod łóżkiem. Wziął ją do ręki i przeczytał biały napis na ampułce: KUP EMD 0, 25 TMD 0, 1.

Co to mogło znaczyć?

Policjanci ponaglali, więc Kaminski wsadził pustą ampułkę do kieszeni. Hella! tłućko mu się po głowie. Co ona z nim zrobiła?

Kiedy przechodził obok lustra przy drzwiach do pokoju, prostokątnej skorupy bez ram, o pozdrapywanej warstwie srebra, przeraził go jego własny widok; twarz mu poczerwieniała, oczy spoglądały nieruchomo, każde jakby w inną stronę. Trudno mu było utrzymać równowagę.

Odjazd sprzed hotelu „El-Salamek” wozem terenowym, gdzie czekał trzeci stróż porządku podobny do Rosjanina, wzbudził dość duże poruszenie, Kaminski, usiadł obok policjanta na tylnym siedzeniu, oparł głowę na rozpostartych na kolanach rękach. Czuł się jak przestępca.

Zrobiło mu się niedobrze, kiedy samochód ruszył. Czuł ciężar w rękach i w nogach, jakby ołowiane odważniki ciągnęły go w dół. A przecież prawie nie pił.

Podczas gdy jeep trzęsąc się na zakurzonych ulicach jechał w kierunku północnym, Kaminskiemu po raz pierwszy przyszło na myśl, że Hella mogła mu wstrzyknąć środek nasenny. Wsunął rękę do kieszeni i dotknął ampułki. Jaki cel miała Hella w tym, aby go uspić?

Przed głównym wejściem do szpitala samochód się zatrzymał. Czekał tam na niego porządnie ubrany Egipcjanin; przedstawił się, nazywa się Hassan Nadzi i będzie prowadził sprawę.

– Jaka sprawę? – zapytał Kaminski, ale Egipcjanin nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i dał znak ręką, aby poszedł za nim. Obaj biali umundurowani policjanci kroczyli z tyłu.

Ich kroki słyhać było w długim korytarzu. Prowadził on w prawo na schody, po których weszli. Stamtąd równie długi korytarz biegł w przeciwnym kierunku.

Kaminski nie wiedział, co się z nim dzieje; wciąż czuł się podle, a niepewna sytuacja, w jakiej się znalazł, pogarszała samopoczucie. Zatrzymali się przed dwuskrzydłowymi drzwiami z białymi mlecznymi szybami. Nadzi zapukał. Otworzył mu ciemnoskóry lekarz w długim, białym gumowym fartuchu, na głowie miał okrągłą białą czapkę.

Bez słowa, Nadzi pchnął Kaminskiego przez drzwi. Obaj policjanci czekali na dworze. Lekarz szedł pierwszy, przeszedł przez pokój, gdzie na środku, pod wielkim okrągłym reflektorem stał ciężki marmurowy stół. Nietrudno zgadnąć, gdzie Kaminski się znalazł: w prosektorium. O Boże, co się stało?

Skrzypiące drzwi prowadziły do długiego pomieszczenia z nieskończenie dużą liczbą małych drzwi z lewej strony. Przed jednymi z tych drzwi lekarz się zatrzymał, otworzył je i wysunął nosze. Pod niegdyś białym prześcieradłem rysowały się kształty człowieka.

Osobliwy zapach panujący w tym pomieszczeniu i nieprzyjemna atmosfera, przede wszystkim zaś niepewność, co go czeka, sprawiły, że czoło Kaminskiego pokryło się potem. Artur dusił się i bał, że każdej chwili może zwymiotować. Odwrócił się, kiedy lekarz ściągnął z trupa prześcieradło.

– Co pan na to powie? – zapytał Nadzi zuchwale.

Kaminski rzekł: – Foster.

– Co pan na to powie? – powtórzył Nadzi swoje pytanie.

– To Charles D. Foster – odparł Kaminski ledwie dosłyszalnie. – Poznałem go wczoraj.

Nadzi podszedł bliżej do Kaminskiego. – Foster był już wczoraj martwy – stwierdził i spojrzał groźnie na Kaminskiego.

– Zmarł z powodu przedawkowania morfiny. – Nadzi uniósł w górę ramię zmarłego i pokazał liczne podeszłe krwią nakłucia.

Ampułka, pomyślał Kaminski. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pustą fiolkę.

– Co to jest? – zapytał Nadzi.

Kaminski trzymał ampułkę bez słowa przed policjantem.

– To ciekawe – powiedział Nadzi i wziął fiolkę z jego ręki. – A więc pan przyznaje, że Foster został zabity za pomocą zastrzyku.

– Pan chyba zwariował! – wykrzyknął Kaminski wzburzony. Dopiero teraz pojął, o co tu właściwie szło. – Ja sam omal nie stałem się ofiarą morderstwa. Ampułka leżała w hotelu pod moim łóżkiem. I mogę panu także powiedzieć, od kogo owa ampułka pochodzi.

– Ach – odparł Nadzi ironicznie. – Nie od wielkiego nieznanego?

– Niech pan posłucha. – Kaminski wpadł we wściekłość; pojął, że uwikłał się w skomplikowaną sytuację. – Niech pan posłucha, kiedy wczoraj po kolacji z Fosterem wróciłem do hotelu, znalazłem w moim pokoju lekarkę ze szpitala obozowego w Abu Simbel.

Nadzi zdziwił się.

– Muszę wyjaśnić – ciągnął Kaminski – że mam... – po prawił się – że miałem romans z doktor Hornstein, ale im dłużej ów romans trwał, tym większe były komplikacje. Podejrzewam, że to ona chciała mnie zabić.

– Zabić pana?

Kaminski uniósł w górę ramiona. Zauważył, że Nadzi nie wierzy ani jednemu jego słowu. A więc jak miał się bronić?

Nadzi dał doktorowi znak. Ten naciągnął prześcieradło na zwłoki Fostera i wsunął nosze do kabiny.

Wtedy Nadzi stanął przed Kaminskim i rzekł z powagą: – Mister Kaminski, aresztuję pana. To pan zamordował Charlesa Fostera.

Kaminski nie był zdolny zaprotestować. Z trudem chwycił powietrze i miał tylko jedno życzenie: wydostać się stąd!

Przy wyjściu ze szpitala czekali obaj policjanci. Ujęli Kaminskiego pod ręce i

zaprowadzili do samochodu. Kaminski nie rozumiał, co się wokół niego dzieje. Najwidoczniej Hella zwabiła go w pułapkę. Ale czyżby tak bardzo go nienawidziła, że zainscenizowała morderstwo? Dlaczego chciała na niego zwalić winę? Tonie miało przecież sensu!

W drodze do komisariatu Kaminski patrzył apatycznie w pustkę. Od czasu do czasu potrząsał głową, następnie śmiał się gorzko. Spotkanie z Hellą od początku miało w sobie coś nierealnego; i gdyby nie był w niej tak śmiertelnie zakochany, wstydziłby się sam przed sobą, że był jej tak uległy, jak tresowany pies swemu panu. Co za pożałowania godna sytuacja!

Na próżno szukał choć po części przekonującego wyjaśnienia swojej sytuacji, lecz im dłużej nad nią rozmyślał, tym bardziej zaczynał wątpić – szczególnie wobec wydarzeń ostatnich tygodni – czy panuje jeszcze nad swoimi zmysłami, czy też to fantazja albo pamięć spletały mu figla. A wszystko z powodu tej kobiety! Z pewnością wspomnienie o niej budziło w nim jeszcze teraz pożądanie, ale myśl, że miałby spać z morderczynią, wywoływała gęsią skórkę.

Kiedy samochód skręcił na zakurzony dziedziniec komisariatu policji w Asuanie i Kaminski ujrzał małe kwadratowe okna w tylnej ścianie budynku, przyszło mu na myśl, że w jego sytuacji istnieje tylko jedna możliwość, aby się stąd wydostać: musiał powiedzieć prawdę, musiał zdradzić swoją tajemnicę. Tylko to, myślał Kaminski, mogłoby go uwolnić od straszliwego podejrzenia; po co miałby zabijać mężczyznę, który obiecał mu majątek?

Przesłuchanie w niemal pustym pokoju na pierwszym piętrze trwało ponad dwie godziny. Oprócz Kaminskiego i Nadziego uczestniczyli w nim protokolant i tłumacz. Tłumaczył on słowa oskarżonego z angielskiego na arabski. Zajmowało to więcej czasu niż same odpowiedzi Kaminskiego; poza tym Kaminski miał wrażenie, że tłumacz daje własne komentarze do jego odpowiedzi.

Kaminski we własnym odczuciu nie wypadł zbyt wiarygodnie. Przede wszystkim jego wieloznaczne odpowiedzi oraz fakt, że wielu rzeczy nie mógł sobie przypomnieć, działały na jego niekorzyść.

Nadzi potraktował sprawę bardzo poważnie – w końcu w wypadku zamordowanego chodziło o wpływową osobistość i nie omieszkał podczas przesłuchania kilkakrotnie podkreślić, że w Egipcie za morderstwo grozi kara śmierci. Dotyczyła ona także cudzoziemców, którzy popełnili przestępstwo na terytorium Egiptu.

Kaminski podczas przesłuchania nie tylko zdradził kryjówkę mumii, ale wciągnął do sprawy także Helle, mówiąc o jej dziwnych związkach z mumią.

Wydawało się, że na Nadzim wypowiedź ta nie wywarła zbyt wielkiego wrażenia.

Po blisko godzinnej rozmowie i wielokrotnym usprawiedliwianiu się Kaminskiego z powodu luk w pamięci, Nadzi kazał wprowadzić mężczyznę, którego twarz Kaminski kiedyś już widział. Ale nie pamiętał kiedy i gdzie.

– Czy to ten mężczyzna? – zapytał Nadzi nieznajomego i wskazał głową na Artura.

Obcy skinął gwałtownie głową. – Tak, to z tym człowiekiem mister Foster przed dwoma dniami był w „Alyi”. – Dobrze pamięta, bo przecież ich obsługiwał. – Potem on – wskazał na Kaminskiego – i mister Foster opuścili razem lokal.

– A więc – powiedział Nadzi, zwracając się do Kaminskiego – jest pan ostatnią osobą, którą widziano razem z Fosterem. Co pan na to powie?

Kaminski patrzył w podłogę. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki bezradny. Ogarnęło go zmęczenie i z trudem utrzymywał się pionowo na krześle. Zaniechał obrony; w tej sytuacji prawda, w każdym razie taka prawda, jaka mu pozostała w pamięci, mogła być odebrana raczej jako farsa, niewiarygodna i przesadzona. Dlatego nie odpowiadał na pytania Nadziego i tylko kręcił głową.

Dalszy przebieg przesłuchania wprowadził Kaminskiego w obłąd. Pytania Nadziego były coraz bardziej natarczywe i używał on coraz częściej słowa morderstwo. Na końcu wywierał na Kaminskiego taki nacisk, że ten przyznawał się do spraw, o których nie miał pojęcia; pragnął tylko, aby to bezlitosne przesłuchanie wreszcie się skończyło.

– Ty tego nie zrobiłeś – powiedział sam do siebie – i kiedyś prawda wyjdzie na jaw.

Dopiero około północy Kaminski doszedł do siebie na dobre w celi więzienia śledczego, kiedy przeraził się, ujrawszy tuż nad głową obcą twarz w słabym świetle księżycy wdzierającym się przez zakratowane okno.

– Hej, mister – powiedział mężczyzna, prawie jeszcze chłopiec, i starał się patrzeć na niego przyjaźnie.

Kaminski nie zauważył, kiedy mężczyznę tu wprowadzono, tak bardzo był wyczerpany. Być może owego młodzieńca przywieziono dopiero wówczas, kiedy on już zapadł w głęboki sen. Obcy wydał mu się podejrzany i gwałtownym ruchem odsunął go na bok.

Jednakże ten gadał jak najęty. Kaminski zrozumiał tylko, że nazywa się Ali. Typowe ruch rąk, które Ali wielokrotnie powtarzał, Kaminski mógł zrozumieć w ten sposób, że Ali trafił tu za kradzież. W końcu jednak chłopak zmęczył się i zamilkł.

Kaminski, który poprzedniego dnia odczuwał zmęczenie, teraz był całkiem przytomny. Tętno miał bardzo szybkie, krew pulsowała mu w uszach, a głowa omal mu nie pękła – skutek zastrzyku, który wciąż jeszcze trawił jego organizm. Chwytał powietrze, ale jego płucom zdawał się nie służyć zaduch panujący w celi. Wyglądało, że się dusi. Wstał, rzucił się do okna i pociągnął za dźwignię, od której prowadził zardzewiały pręt do otworu w suficie, ale dźwignia była zardzewiała. Uchwycił się jej, gdyż bał się, że zemdleje.

Kiedy otworzył oczy, jego wzrok padł na cynowe wiadro z wodą, które stało w kącie obok miski klozetowej. Kaminski zataczając się podszedł do kąta, ujął wiadro obiema rękami i wylał sobie na głowę jego zawartość. Ale go obudził szum. Nie wiedział, co się dzieje, i zaczął głośno krzyczeć, aż Kaminski zatkał mu usta.

Stan Artura poprawił się po tej orzeźwiającej kąpieli. Uczucie lepkości zniknęło i próbował na nowo zasnąć; ale nic z tego nie wyszło, choć bardzo się starał.

Jego umysł był świeży. Myśli kłębiły mu się w głowie. Pośrodku tego kłębowiska stała Hella. Im dłużej Kaminski zastanawiał się nad wydarzeniami ostatnich dni, tym bardziej skłonny był twierdzić, że Hella wcale nie oddawała mu się z sympatii, nie mówiąc o miłości, tylko z wyrachowania. Nie zawahał się przypuszczać, że bliskość mumii była dla niej ważniejsza niż jego bliskość.

Najbardziej niepokoiło go jego własne zachowanie. Zaczynał bać się samego siebie, swojej słabości i nieobliczalności. Czyż nie przybył do Abu Simbel z mocnym postanowieniem, że tu, na pustyni, nie dotknie żadnej kobiety? Jaką władzę miała nad nim ta Hella, skoro zapomniał o tych wszystkich postanowieniach i poleciał za nią jak pies za suką?

Patrząc trzeźwo, Hella Hornstein i jego stosunek do niej stanowiły wyjątkową sprzeczność; było to szaleństwo spowodowane rozkoszą i pożądaniem, którego reguły gry zawsze określała tylko ona – nigdy on. Nigdy nie doszło między nimi do owej miłosnej intymności, która charakteryzuje szczerzy związek, do wzajemnych słów czułości i pieśczoć. Nie, oni kochali się zawsze niespodziewanie, raptownie i w niezwykłych okolicznościach i miejscach, na biurku w jego baraku, u niej na podłodze, w cieniu bloku skalnego albo gdziekolwiek na piasku. Najgwałtowniej poddawali się swoim namiętnościom po sprzeczce, a te ostatnio powtarzały się tak często jak burze piaskowe w sierpniu. I teraz to wydarzenie!

Dlaczego wybrała właśnie tę niezwykłą taktykę, jeśli istotnie miała zamiar się go pozbyć? A może Hella Hornstein wcale nie chciała go zabić? Może chciała tylko zyskać na czasie, aby przeprowadzić jakąś inną podstępą akcję? Nawałnica pytań. Kaminski daremnie szukał odpowiedzi.

Aby wreszcie zasnąć, odwrócił się na bok, podkurczył nogi, skrzyżował ramiona i przestraszył się sam siebie, ponieważ jego postawa przypominała postawę mumii. Gwałtownie, jakby go ktoś ukłuł, przyjął poprzednią pozycję.

Chyba zwariowałeś, powiedział Kaminski do siebie, nie panujesz już nad własnymi zmysłami. Usiadł. W pobliżu chrapał Ali, złodziej. A on, morderca?

Podobno – Kaminski czytał gdzieś o tym – istnieją ludzie, którzy w transie albo w obłądnie robią rzeczy, które są niezależne od ich woli i których potem nie mogą sobie przypomnieć. Czy był on zdolny do morderstwa? Nie uważał się za tak chwiejnego, aby ulegać woli innego człowieka. Nie, po prostu nie umiał sobie wyobrazić, że mógłby zabić Fostera w jakichkolwiek okolicznościach.

Policja uprościła sobie zadanie, oskarżając go tylko dlatego, że widziano go jako ostatniego z Fosterem. Nie umiał powiedzieć jak, ale był pewien, że wypłacze się z tej historii równie szybko, jak się w nią wplątał.

W większym stopniu zajmowała go Hella i jej podstępne zachowanie, dla którego nie znajdował wytłumaczenia. Jego uczucia do niej zmieniły się z minuty na minutę. Przede wszystkim ogarnęła go wściekłość, ponieważ to ona omal nie wysłała go na tamten świat.

Oczywiście powaga sytuacji musiała go nastroić refleksyjnie, oczywiście

musiał być do głębi zaniepokojony z powodu nieoczekiwanej śmierci Fostera. Kaminski był jednak realistą – w każdym razie takie sprawiał wrażenie; to wszystko, co przeżył w ciągu ostatnich dni i tygodni, było dalekie od rzeczywistości. Ta duszna, cuchnąca, mroczna cela więzienna z chrapiącym złodziejem naprzeciwko była rzeczywistością.

Zgodnie z prawem Kaminski powinien następnego dnia stanąć przed sądem. Tak powiedział Hassan Nadzi, ale następnego dnia nic się nie działo.

Kaminski odmówił przyjęcia pokarmu – szarego ryżu z brązowym sosem – i zażądał sprowadzenia Nadziego, przy czym swoje życzenie wyraził za pomocą gestów. Dozorca, któremu dwukrotnie przedstawił swoje żądanie, wrócił, nie załatwiwszy sprawy, i dał do zrozumienia, że komisarza nie ma w Asuanie.

Poza tym denerwował go złodziej Ali, który godzinami opowiadał o swoim życiu – te nieskończone długie opowieści mogły przedstawiać tylko jego życiorys. Ali mówił, choć Kaminski nie rozumiał ani słowa, i nawet kiedy sam niespokojnie jak zdziczałe zwierzę chodził wzdłuż i wszerz celi, kiedy wzywał Alego po niemiecku i po angielsku oraz za pomocą gestów wściekłości, aby przestał mówić, nie pohamowało to potoku słów chłopaka.

W rezultacie zdenerwowania Kaminski przespał całą noc aż do rana. Dozorca obudził go i pokazał na migi, że komisarz jest gotowy, aby go wysłuchać.

Teraz on nie chce widzieć komisarza, odpowiedział Kaminski zasnany. Życzy sobie być doprowadzony przed sędziego śledczego. Zorientował się jednak, że dozorca i tak go nie zrozumiał, więc postanowił pójść za nim.

Droga prowadziła z więzienia na policję, gdzie Nadzi czekał w swoim pokoju na pierwszym piętrze.

– Herbaty? – zapytał Nadzi nadzwyczaj uprzejmie i nie czekając na odpowiedź nalał parującej cieczy do starej szklanki do mycia zębów. Podczas gdy wsypywał brązowy cukier do własnej szklanki i mieszał długo i bardziej energicznie, niż to było potrzebne, chrząknął z zakłopotaniem, które na ogół zapowiadało przykrą wiadomość, i rzekł: – Mister Kaminski, jest pan wolny. Może pan odejść. Najlepiej od razu.

Kaminski spodziewał się wszystkiego, ale nie wezwania, aby natychmiast wyjść. Spadło ono na niego tak nieoczekiwanie, że szklanka z herbatą, którą właśnie podnosił do ust, wysliznęła mu się z ręki i rozbiła się na drobne kawałki. Jego dłoń nadal trwała w pozycji, jakby obejmowała szklankę. – Wolny? Dlaczego? – zapytał Kaminski, zanim jeszcze otrząsnął się z szoku.

Nadzi wstał od biurka, stanął za krzesłem, wykorzystując oparcie jako

mównicę, i zaczął wyjaśniać.

– Mister Kaminski, od początku miałem wątpliwości, czy w pańskiej osobie mam przed sobą mordercę Foster. Z pewnością zeznania świadków i ampułka w pańskiej kieszeni nie przyczyniały się do uwolnienia pana od zarzutów. Ale kiedy porównaliśmy obie ampułki, stwierdziliśmy, że jedna zawierała morfinę, pańska natomiast neurotoksynę w niewielkim stężeniu; a przede wszystkim obie ampułki są różnego pochodzenia. Ampułka Foster. A ampułka, którą pan znalazł, jest pochodzenia rosyjskiego. Przyznaję, że historia, którą mi pan opowiedział, brzmiała trochę nieprawdopodobnie, ale doświadczenie uczy, że wymyślone alibi zawsze brzmią logicznie i przejrzyste. Historia z mumią, którą pan odkrył i zamierzał sprzedać Fosterowi, wydawała mi się tak nieprawdopodobna, że zdecydowałem się ją sprawdzić. Poleciałem do Abu Simbel, spotkałem się tam z archeologiem Hassanem Muchtarem i jeszcze tego samego wieczora udaliśmy się na poszukiwanie wejścia do grobowca. Doszło przy tym do niespodziewanego spotkania. W baraku, który pan mi opisał, spotkaliśmy...

– Wiem – przerwał Kaminski, słuchający dotychczas w milczeniu sprawozdania Nadziego – w baraku spotkaliście doktor Hellę Hornstein.

– Ach, gdzie tam! – Nadzi puścił mimo uszu uwagę Kaminskiego. – Spotkaliśmy tam dawnego znajomego, Kamala Sedri. Sedri jest hersztem bandy szabrowników, która sprzedaje antyki za granicę. Już niejednokrotnie go aresztowałem, ale nigdy nie mogłem mu niczego dowieść. Sedri znalazł się w towarzystwie mężczyzny, którego pan zna. Był to kelner z restauracji „El-Salamek”, w której jadł pan z Fosterem kolację...

Kaminski opadł na krzesło, które Nadzi mu podsunął. Tego w istocie się nie spodziewał. Wcisnął pięści pomiędzy kolana i wyjąkał bezradnie: – A Hella Hornstein? Co z doktor Hornstein?

– Nie mam pojęcia – odparł Nadzi krótko i mrugnawszy okiem dodał: – O tę damę musi się pan sam zatroszczyć.

Jacques Balouet i Raja Kurianowa już dwadzieścia dni byli w drodze. Wbrew ich zamiarom Kurusz „the Eagle” nie poleciał z nimi do Chartumu, albowiem, jak zapewniał, byłoby to zbyt ryzykowne. Kurusz wylądował na zakurzonym pustynnym pasie startowym pod Wadi Halfa i polecił im mężczyznę imieniem Hamman; jest on od lat komendantem posterunku policji i za dolary o każdej porze gotów będzie im pomóc.

Wadi Halfa, położone nad Nilem, w ciągu dnia, kiedy słońce piecze bezlitośnie jest miastem duchów, gdzie rzuca się w oczy każdy, kto odważy się wyjść na ulicę, a szczególnie dwoje Europejczyków. Miejscowość ta nie wyróżnia się niczym szczególnym oprócz dworca. „Dworzec” to za dużo powiedziane, jest to bowiem tylko końcowa stacja linii kolejowej do Chartumu, z której dwa razy dziennie odjeżdża pociąg.

Taksówkarz, którego zapytali o Hammana, odpowiedział, że nie zna mężczyzny o takim imieniu, w każdym razie nie na policji; komendant posterunku policji w Wadi Halfa jest jego dalekim krewnym i nazywa się Mehallet. Wobec tego Raja i Jacques woleli udać się na dworzec i odjechać najbliższym pociągiem na południe.

Choć zamówili sobie pierwszą klasę (podróżni sudańscy mają do wyboru cztery klasy), podróż okazała się bardzo męcząca. Koła wagonów i tory kolejowe zdawały się mieć różne wymiary, i ledwie pociąg osiągnął prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, odnosiło się wrażenie, że wagony wyskoczą z szyn. W dodatku pociąg zatrzymywał się na każdej stacji, a często też poza przystankami, kiedy tylko pojawiła się gromada ludzi i zwierząt.

O ile można było dostrzec przez zasunięte żaluzje, do wagonów czwartej klasy wsiadali nie tylko ludzie, przewożono nimi także kozy, owce i cielęta. Postoje więc dodatkowo się przeciągały.

Po dwunastu godzinach jazdy Balouet i Raja dotarli wreszcie do miasta Abu Hamed, gdzie Nil zmienia swój dotychczasowy północny kierunek i, nagle się zastanawiając, zatacza pętlę długości wielu setek kilometrów z powrotem na południe, aż wreszcie Pustynia Libijska naprowadza go na właściwy tor.

Konduktor, który za banknot jednodolarowy zapomniał o wszelkich innych obowiązkach i troszczył się wyłącznie o europejskich pasażerów, poradził im, aby

godzinny postój wykorzystali na zjedzenie porządnej kolacji w restauracji dworcowej. Pociąg, jak zapewnił za pomocą wielu słów i gestów, nie odjedzie, dopóki ich miejsca nie będą zajęte.

Kiedy Jacques i Raja wrócili, w ich przedziale rozgościł się czarnoskóry Sudańczyk ubrany na biało, który, jak się wkrótce okazało, mówił trochę po francusku, co było wyjątkową rzadkością w byłym anglo-egipskim kondominium. Mężczyzna ten wyróżniał się nieoczekiwaną grzecznością, podał swoje imię nie do wymówienia, dodał jednak ze śmiechem, świadom tej trudności, że można go nazywać Abd al-Chaliq.

Abd al-Chaliq mówił szybko i na przemian w wielu językach, i nim minęły trzy stacje, Jacques i Raja znali cały życiorys Sudańczyka. Wiedzieli, że Abd al-Chaliq jest kapitanem frachtowca i zmierza do Port Sudan, skąd ma zabrać tysiąc ton fosfatu do Suez.

Około czwartej rano dotarli do miasta Berber. Tymczasem tak się zaprzyjaźnili, że Balouet odważył się zwierzyć Sudańczykowi, iż właśnie uciekają, a Raja nie ma paszportu, oraz poprosić, aby ich zabrał swoim statkiem do Suez.

Abd al-Chaliq wysłuchał go z zainteresowaniem, pomyślał chwilę, wreszcie powiedział, że nie radziłby pasażerom na gapę opuszczać statku w Suez, albowiem Suez ma najsurowszych urzędników świata; on zaś ma postój w połowie drogi w egipskim mieście Safage. Tam można łatwo i niepostrzeżenie zejść na ląd. Jeśli może im w ten sposób pomóc...

Balouet zaproponował kapitanowi dwieście dolarów za przejazd, które ten oburzony odrzucił; w końcu są przyjaciółmi, a od przyjaciół niczego nie bierze. Ale na usilne prośby Baloueta i dlatego, że w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu, Sudańczyk przyjął pieniądze i zapewnił, że będą zadowoleni.

W Atbara, dwie godziny na północ od Berberu, cała trójka przesiadła się do pociągu jadącego do Port Sudan. Kiedy tam przybyli, była noc. Przed dworcem, płaskim budynkiem o wysokich oknach, hałasowali handlarze. Tragarze oferowali swoje usługi, a taksówkarze popychali podróżnych do lśniących starych angielskich samochodów.

Abd al-Chaliq zaoferował swoim gościom kabinę z tyłu podpokładem, wprawdzie niezbyt komfortową, ale bezpieczną przed wszelką kontrolą władz. Jacquesowi i Rai było to tylko na rękę. Dopiero kiedy znajdą się na morzu, obiecał kapitan, dostaną inną, lepszą kabinę.

O spaniu tej nocy nie było co marzyć. Jedyne bulaj nie dał się otworzyć. Warkot maszyn, suchy, kwaśno pachnący kurz i temperatura około czterdziestu

stopni sprawiały, że godziny pod pokładem były męczarnią. Jacques i Raja, leżąc bez ubrania jedno nad drugim w piętrowych kojach, rozmawiali tylko o jednym: czy dobrze zrobili, zdając się na Abd al-Chaliq.

Oczywiście ryzykowali ufając temu całkiem obcemu człowiekowi. Cóż bowiem o nim wiedzieli? Znali jego historię, życie energicznego Sudańczyka, otwartego wobec obcych; ale wszyscy Arabowie lubią wiele opowiadać i najbardziej cierpią wówczas, kiedy muszą milczeć.

Rano około szóstej usłyszeli pukanie do drzwi kabiny. Balouet wygramolił się z koi położonej na górze i odsunął zasuwkę, która zastępowała klamkę. Marynarz w szarym kombinezonie przyniósł herbatę w matowym blaszanym dzbanku i przypieczony chleb z tosteru w emaliowanej miseczce. Był niezwykle uprzejmy i poprosił ich, aby przyszli na śniadanie na mostek kapitański.

Szukając możliwości umycia się, Balouet dotarł na koniec wąskiego korytarza: była to łazienka i toaleta w jednym pomieszczeniu, dwie miski klozetowe przy jednej ścianie, pośrodku średniej wysokości cynowa rynna z rurą kanalizacyjną, w której umieszczono kilkanaście kranów. Zardzewiałą podłogę zalała woda, ale dzięki drewnianemu pomostowi można było zrobić poranną toaletę nie mocząc sobie nóg.

Raja początkowo nie miała odwagi tam wejść; ale Balouet uświadomił jej, że na całym statku nie znajdzie innej możliwości umycia się. Wreszcie stanął na warcie przed toaletą, aby nikt Rai nie zaskoczył.

Herbata oraz chleb okazały się w równym stopniu niejadalne; ale, jak powiedział Balouet, nie płynęli luksusowym statkiem, a jeśli cało i zdrowo dotrą do Safage, zapomną o wszystkich niedogodnościach.

Na mostku Abd al-Chaliq powitał ich niezwykle wylewnie. Nad Morzem Czerwonym unosiło się bezchmurne jasnoblękitne niebo. Raja daremnie szukała horyzontu za wąskimi zarysami brzegów.

Do jutra, póki nie dotrą do szczytu Ras Banas, powiedział Abd al-Chaliq śmiejąc się, nie zobaczą lądu; zapytał, czy dobrze spali.

Raja woląca powiedzieć prawdę; nie, nie zmrużyła nawet oka, ale to prawdopodobnie ze zdenerwowania, Balouet jej przytaknął.

Abd al-Chaliq zapewnił w wylewnych słowach, nie spuszczać wzroku ze sternika, że następnej nocy będą spali jak na łonie Abrahama, albowiem od tej chwili daje im do dyspozycji kabinę gościnną tuż pod mostkiem. Przepraszał za złe warunki noclegowe, ale nie chciał ryzykować. Teraz nic już nie może się zdarzyć.

Kabinę gościnną kapitana stanowił zapuszczony, ale komfortowo urządzonej

salon z dwoma szerokimi, niezbyt czystymi łózkami po obu stronach. W ciągu dnia ze względu na ciasnotę były one podnoszone. Poza tym stał tam kwadratowy stół, dwa krzesła i szafa w ścianie z wąskimi drzwiami. Szafa w rogu po otwarciu za pomocą okrągłego mosiężnego pokrętła okazała się opuszczanym urządzeniem do mycia z półkolistą umywalką i mosiężnym kranem, przypominającym kran do piwa w knajpie – nie wykluczone, iż takie było jego pierwotne przeznaczenie.

W tej kabinie Jacques i Raja spędzali całe dni aż do Safage. Na pokład wychodzili rzadko. Obserwowali wówczas grę fal, które powstawały na dziobie statku – nazywał się on „Babanusa”, od miasta o tej samej nazwie leżącego na zachód od Chartumu.

Czwartego dnia ukazał się brzeg: wysokie zębate góry i rozciągnięta wyspa leżąca przed nimi. Abd al-Chaliq pożegnał serdecznie swoich pasażerów. Nie było żadnej kontroli, a robotnik za dniówkę z dwukołowym wózkiem, który ciągnął za pomocą liny przymocowanej na ramionach i dwóch ręcznych dyszli, zaofiarował się, że za funt egipski zawiezie ich do przystanku autobusowego, skąd trzy razy w tygodniu kursuje autobus do Keny. Najbliższy odchodzi pojutrze.

Po przekroczeniu granicy ziemi egipskiej Baloueta ogarnął nerwowy strach. Wiedząc, jak daleko sięgają macki KGB w tym kraju, zapytał tragarza, czy nie ma możliwości, aby wcześniej dotrzeć do Keny. Kena, położona nad Nilem stacja kolejowa na trasie z Luksoru do Kairu, znajdowała się w odległości 175 kilometrów i nie było stąd innego połączenia prócz pustynnej drogi o złej asfaltowej nawierzchni.

Trzeba znaleźć kierowcę ciężarówki – powiedział tragarz z udawaną dziecięcą prostodusznością – który jeździ na trasie do Keny; stworzył przy tym dłoń i spojrzał z uśmiechem na Baloueta.

Widok następnego, pokazanego z daleka banknotu, odświeżył jego pamięć i natychmiast przypomniało mu się nazwisko konwojenta, który jeszcze dziś gotów był pojechać do Keny. Z pewnością w jego szoferce znajdzie się miejsce dla dwojga pasażerów.

Kierowca, młody dwudziestoletni chłopak, zdawał się zachwycony, że może odbyć czterogodzinną drogę do Keny w towarzystwie; w każdym razie zdradzał znakomity humor, co miało widoczny wpływ na jego styl jazdy. Efekt był taki, że Balouet wkrótce oblewał się potem. Nagib, bo tak nazywał się kierowca, pędził jak szalony swoją ciężarówką po wąskich zakrętach górskiej trasy, święcie przekonany, że żaden pojazd nie pojawi się z przeciwka; i jak się cudem okazało, miał rację.

Dotarli do Keny pod wieczór, akurat przed odjazdem nocnego pociągu do Kairu. Balouet i Raja postanowili pojechać trzecią klasą. Skazali się przez to co prawda na swoistą torturę, ale niebezpieczeństwo natknięcia się na KGB było w trzeciej klasie mniejsze. Jeszcze w Sudanie przywdziali oboje arabskie szaty, jakie noszą włóczędzy z całego świata. Postarali się wyglądać prosto i skromnie. Nie musieli się więc obawiać, że już z daleka zostaną rozpoznani.

Siedzieli oto na twardej drewnianej ławce pośród handlarzy ptactwem, którzy wieźli na targ swoje klatki, pośród sprzedawców orzeszków z kramikami na piersiach, kobiet, wiozących do miasta utkane przez siebie bele materiału, i wypucowanych fellachów jadących do stolicy – wielu z nich po raz pierwszy w życiu.

W ogólnym zgiełku panującym w przedziale oboje prawienie rzucali się w oczy. Jacques ścisnął Raję za rękę i powiedział, że jeśli dotrą do Kairu, wszystko będzie dobrze. W milionowym mieście łatwo się skryć; nie ma obowiązku meldowania. Dlatego nikt nie umie powiedzieć, ilu mieszkańców liczy Kair. W Kairze z pewnością znajdą kogoś, kto im załatwi paszport.

Również Raja zaczęła wierzyć, że po tygodniowej odysei udało im się zatrzeć ślady. Beznadziejna apatia, w jakiej pogrążona była od chwili ucieczki z Asuanu, minęła. Nabrała na nowo odwagi i kiedy tak siedziała i wsłuchiwała się w monotony stukot kół, zaczęła rozmyślać, jak będą oboje żyli z Balouetem później, gdzieś we Francji, bez lęku przed prześladowcami.

Konduktor, który za stacją Nag Hammadi, gdzie kolej przecina Nil, sprawdzał bilety, zamierzał początkowo wyprosić oboje Europejczyków z przedziału trzeciej klasy. Był zdumiony i zakłopotany, ujrawszy ich bilety, i powiedział, że z pewnością omyłkowo wykupili tę klasę i za niewielki bakszysz mogą pojechać dalej wygodnie pierwszą klasą, w każdym razie do Asjut, gdzie zmieni go kolega. Ale mógłby się wstawić za nimi u kolegi. Balouet jednak, dziękując, odmówił i zapewnił, że oboje czują się naprawdę dobrze w tym przedziale; na co konduktor rozłożył się i potrząsając głową jeszcze z odległości dziesięciu metrów mierzył wzrokiem dziwnych pasażerów i zły mrucał coś pod wąsem. Następnie udał się do następnego wagonu.

Kiedy byli koło Beni Suef, gdzie dolina Nilu rozciąga się wśród urodzajnych pól, a zapora prosto jak świeca biegnie na północ, znów nastał dzień, żółty jak siarka i parny.

Wzgórza na wschodzie rzucały ciemny cień, a na odległej szosie, na lewo od zapory, budziło się życie. Klekocące ciężarówki toczyły się na północ do wielkiego

miasta, wyładowane warzywami, melonami i owocami, fellachowie prowadzili swoje wózki zaprzężone w osły do rynku albo wieźli do domu na osiołkach świeżo ściętą trzinę.

Kair poprzedzały brudne osiedla podmiejskie i labirynt odnóg Nilu. Długim, nie kończącym się węzłem linia kolejowa szukała swojej drogi do centrum miasta, aż wreszcie pociąg po godzinie pozornego błędzenia wzdłuż kanałów i niebezpiecznie bliskich szeregów domów przybył na końcową stację.

Nad halą dworcową unosiły się gęste opary dymu. Sprzedawcy uliczni piekli kolby kukurydzy na rozżarzonych węglach, inni wypiekali precle sezamowe, jeszcze inni malutkie pulpeciki mięsne, a wszyscy zachwalali krzykiem swoje produkty. W tym zgiełku gazeciarze roznosili świeżą prasę. Wyrostki oferowały swoje usługi jako tragarze, starsi mężczyźni natomiast proponowali swoje doświadczenie przewodników: – Onepound, mister.

Balouet i Raja wydostali się z tego groźnego zgiełku bocznym wyjściem, gdzie czekał na gości rząd staroświeckich taksówek z białymi błotnikami.

O taksówkarzach mówi się powszechnie, że wszystko wiedzą, że potrafią sprostać każdej sytuacji. Dotyczy to w szczególności taksówkarzy egipskich.

Podczas gdy Raja zafascynowana przyglądała się potężnemu posagowi Ramzesa, który górował nad placem Midan Bab al-Hadid i przed którym strzelały w górę fontanny, do Baloueta podszedł taksówkarz, który obserwował oboje podróżnych, i zapytał chropowatą mieszanką różnych języków, czy może im w czymś pomóc i czy – zapewne ich ubogi wygląd ośmielił go do takiego pytania – szukają może taniego hotelu albo chcą się dostać do Gizy, do piramid – za pięć funtów; ale na temat ceny można się z nim targować.

Balouet wiedział o surowym prawie meldunkowym w Egipcie; mimo to odważył się zwrócić do uprzejmego taksówkarza z pytaniem, czy zna hotel, w którym nie żądają paszportów.

Przyznanie się cudzoziemca, że nie posiada paszportu, czyniło go w najwyższym stopniu podejrzanym; taki człowiek stał niżej w hierarchii od poganiacza wielbłądów i osłów. Otrzymanie pokoju w przyzwoitym hotelu było niemożliwe bez paszportu, ponieważ władze policyjne odbierały paszporty wszystkim gościom z chwilą ich przybycia i zwykły je oddawać dopiero przed odjazdem.

Zaskoczony kierowca, pochylił głowę na bok i położył rozpostarte palce na piersi, jakby chciał powiedzieć: – Mister, jestem przyzwoitym kierowcą; nie chcę mieć nic wspólnego z nielegalnymi sprawami! To, że udzielił jednak całkiem innej odpowiedzi, wcale nie zdziwiło Baloueta, który znał mentalność Egipcjan, a przede wszystkim ich sztukę udawania. A kiedy wreszcie wyciągnął z kieszeni banknot

pięci dolarowy i pomachał nim taksówkarzowi przed nosem, niczym ważnym dokumentem, wówczas ten stwierdził sucho: – Pięć dolarów dla mnie i pięć dla mojej taksówki.

Balouet skinął głową: – Zgoda.

Wsiadając do taksówki Raja zwróciła uwagę na sprzedawcę gazet, który głośno zachwalał „Al-Akbar”. Z potoku słów Raja zrozumiała tylko dwa słowa: Abu Simbel. Kiedy spojrzała na stronę tytułową, odkryła fotografię świątyni i mumii.

– Co to ma znaczyć? – szepnął Balouet.

Był przestraszony. Wcisnął gazeciarszowi monetę do ręki i podsunął gazetę taksówkarzowi. O co chodzi w tym artykule?

Ten przewracał oczami, potrząsał głową i powiedział, że to nie do wiary, co się stało. Podczas robót budowlanych w Abu Simbel – czy wiedzą, gdzie to jest – pewien inżynier odkrył mumię królowej, trzymał to znalezisko w tajemnicy, żeby je sprzedać znanemu paskarzowi antyków w Asuanie. Konkurent paskarza jednak zwietrzył ten fakt i zażądał, aby się podzielili zyskiem. Handlarz nie przyjął propozycji i dlatego zazdrosny konkurent go zamordował. Jeszcze pan o tym nie słyszał? We wszystkich tutejszych kawiarniach o niczym innym się teraz nie mówi.

Nie, odpowiedział Balouet, nie mieli pojęcia.

Morderstwo – informował taksówkarz dalej – zostało zaplanowane z zimną krwią. Paskarz, znany w mieście spekulant, został zamordowany przez swego rywala za pomocą przedawkowanej morfiny.

A mumia królowej?

Ta została w ostatniej chwili wydobyta, na krótko przedtem, zanim przybierająca woda gruntowa zalała podziemny grobowiec.

Jacques i Raja popatrzyli na siebie, a Balouet szepnął taksówkarzowi: – Niech pan wreszcie jedzie.

Silnik chevroleta zawył i kierowca popędził przez pół placu Midan Bab al-Hadid, zanim skręcił na Szari al-Gumhurija w kierunku południowym.

Egipcycy taksówkarze, ci w Kairze w szczególności, cierpią na nie wyjaśnioną chorobę: jest ona przeciwieństwem lęku przestrzeni. Przed każdym światłem szukają bliskości drugiego, wciskają się w luki, drapią z lubością wóz sąsiada i dotykają zderzaka kierowcy stojącego przed nimi, jak gdyby chodziło o dowód miłości.

Tymczasem Hassan – wszyscy taksówkarze w Kairze noszą imię Hassan – opowiedział im historię swojego życia, z której Balouet zapamiętał tylko, że był on trzynastym dzieckiem spośród siedemnaściorga. Przy Ogrodzie Esbekija skręcił w

kierunku starego miasta i jechał Szari al-Azhar z szybkością zapierającą dech w piersiach; oczom pasażerów ukazał się meczet o tej samej nazwie; taksówka mknęła z głośnym klaksonem w kierunku południowym, a Hassan klął na cały głos innych kierowców.

Ostry łuk bramy z prawej strony wskazywał wejście na rynek. Choć ledwie można było tamtędy przejść, Hassan spychał ludzi na bok swoim pojazdem; nie przejął się wcale uderzeniem ręcznego wózka w prawy błotnik i zatrzymał się dopiero przed wejściem do sklepu z dywanami, przed którym leżały góry zwiniętych kobierców.

Hassan wysiadł i ruchem ręki wskazał pasażerom, by poczekali. Balouet miał złe przecucia, a Raja szukała niespokojnie jego ręki. Kilku wyrostków i dwie stare kobiety przyciskały nosy do szyb, a Balouet miał ochotę otworzyć drzwi i uciec stąd wraz z Rają.

Wystawiony na niezyczliwe spojrzenia gapiów patrzył prosto przed siebie i zastanawiał się, co Hassan może mieć wspólnego z handlarzem dywanów; ten jednak wrócił szybciej, niż się go spodziewano, i zażądał, aby poszli za nim.

Jacques i Raja wzięli skromny bagaż i udali się za Hassanem przez sklep z dywanami. Okazał się on jedynym wejściem na malowniczy dziedziniec z wielopiętrowymi arkadami i kwitnącymi roślinami na klombach. Trzy wąskie, wysokie okna tworzyły jedną całość. Od ocienionej strony były wyposażone w ozdobne kraty, od strony zaś nasłonecznionej miały pozamykane okiennice.

Nad górnym piętrem znajdowały się podparte czerwobrazowymi belkami bogato zdobione balkony z markizami chroniącymi przed słońcem. Położony w środku kipiącego miasta, dziedziniec ten stanowił oazę spokoju. Jacques i Raja nie mogli się napatrzeć na baśniową architekturę i ich spojrzenia wciąż wędrowały w górę.

– Chodźcie – upomniął Hassan swych pasażerów.

Pod łukiem dziedzińca znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi z mosiężnymi okuciami i ornamentami z czerwonego i niebieskiego szkła, ukazując pomieszczenie bez okien. Było ono oświetlone tylko kolorowym światłem, które padało przez drzwi, i ciężkim mosiężnym kandelabrem z żółtą kulą ze szkła u wysokiego sufitu.

Przy znajdującej się naprzeciw wejścia ścianie, zawieszonych obrazami, w prastarym zniszczonym fotelu z okrągłymi szerokimi poręczami siedział otyły mężczyzna z czarną brodą. Miał na sobie długą białą szatę i nie podnosząc się z miejsca, wyciągnął ku przybyszom ramiona, jakby witał starych przyjaciół. Jego

nalana twarz błyszczała, a małe okrągłe oczka iskrzyły się jak oczy dziecka.

Nad wyraz przyjacielski, jowialny, zapytał ich, skąd przybywają, jakiej są narodowości i czy mają przy sobie pieniądze. A kiedy się dowiedział, że są Francuzami, zaczął z nimi rozmawiać po francusku. Balouet był zdumiony.

Nazywa się Abd al-Aziz Suhajri, wyjaśnił dziwny mężczyzna, kładąc prawą rękę na piersi i zaznaczając ukłon. Jego zajęciem jest malarstwo, ale żaden człowiek nie wyżyje z farb, ponieważ Allah obsypał ziemię stosami farb; musi więc wynajmować swój dom obcym za pieniądze; postępuje wprawdzie wbrew przepisom, ale nie sprzeciwia się woli Allaha, który zakazuje lichwy, ale pozwala artystom przeżyć. Kiedy Abd al-Aziz Suhajri mówił, ręce miał schowane w rękawach szaty, jakby coś tam ukrywał, i chichotał cicho jak duch w butelce z baśni tysiąca i jednej nocy.

Hassan rozmawiał chwilę z malarzem w języku arabskim, którego Jacques i Raja nie rozumieli, ale zorientowali się, iż mowa o tym, że goście mają dość pieniędzy, choć na to nie wyglądają. W każdym razie, powiedział taksówkarz, wyciągając rękę, Suhajri bej za jego poręczeniem gotów jest ich przyjąć; co do ceny jakoś się dogadają.

Zgodnie z umową, Balouet odliczył kierowcy dziesięć dolarów, po czym ten, kłaniając się nisko, wyszedł.

Kiedy Abd al-Aziz ujrzał banknoty dolarowe, które Balouet wyjął z kieszeni, poderwał się – teraz widać było, że jest dość niski – zaklaskał w dłonie i przez boczne drzwi wszedł stary służący wysokiego wzrostu, który na energiczne skinienie głowy swego pana wysunął dwa ciemne, drewniane wyplatane krzesła i wskazał przybyszom miejsca. Następnie zniknął za drzwiami, wkrótce potem jednak wrócił i podał herbatę w małych filiżankach.

Tymczasem Suhajri bej ze wschodnią wylewnością, która odnosiła się do nędznego żywota utalentowanego artysty, człowieka niezwyklej gościnności i współczującego serca, wymienił cenę, za którą jest gotów przyjąć ich do siebie, na tak długo jak będą chcieli: sto dolarów tygodniowo. Zachichotał w tym momencie zakłopotany i uniósł w górę ramiona, tak że na jego tłustej szyi widać było tylko gruby podwójny podbródek.

Sto dolarów stanowiło wysoką cenę, ale Balouet wiedział, jak należy się obchodzić z takimi ludźmi jak Abd al-Aziz. Odstawił na bok filiżankę z herbatą, wziął bez słowa swoją torbę podróżną, ujął Raję za rękę i zamierzał odejść. Widząc to, Suhajri speszył się, wstał, rozpostarł ramiona i zagroził w ten sposób obojgu drogę: jeśli wymieniona suma jest dla nich za wysoka, niech zaproponują sami, ile

są gotowi zapłacić.

Połowę, powiedział Balouet krótko.

Wówczas grubas podniósł ręce i zaczął się uskarżać, że właśnie on, najbardziej utalentowany człowiek od czasów El Greco, jest skazany na to, aby swój odziedziczony dom wynajmować za parę nędznych dolarów; ale zaraz potem wyciągnął do Baloueta otwartą dłoń i powiedział uśmiechając się: – Jeśli o mnie chodzi, monsieur, może być pięćdziesiąt dolarów, ale płatne z góry.

Balouet wręczył grubasowi pięćdziesiąt dolarów i Suhajri schował złożone banknoty w swojej galabiji. Już po chwili Balouet złościł się sam na siebie, że nie zaproponował jeszcze mniej; był przekonany, że Abd al-Aziz zgodziłby się na jedną czwartą pierwotnej kwoty. Wypadek z łodzią, lot do Wadi Halfa i podróż statkiem z Port Sudanu do Safage zmniejszyła ich zasoby do zaledwie tysiąca dolarów, które będą musieli z pewnością zapłacić za fałszywe papiery. A za co kupią bilety lotnicze? Sprawa nie wyglądała dobrze.

Abd al-Aziz Suhajri zaprowadził swoich gości wąskim korytarzem bez okien na okrągłą klatkę schodową z niskimi szerokimi stopniami. Mały gruby mężczyzna pokonywał je z taką szybkością, że Jacques i Raja z trudem mogli za nim nadążyć.

Kiedy weszli na trzecie piętro, Suhajri westchnął głęboko i oświadczył, że wprawdzie nie zna nazwisk swoich gości i wcale go one nie interesują, ale jako cudzoziemcy, są niewątpliwie bardzo wytwornymi ludźmi – „na poziomie”, jak się wyraził.

Na końcu korytarza, który ze schodów prowadził w lewo do wąskiego wysokiego okna, Abd al-Aziz otworzył drzwi i wskazał przybyszom pokój. Łazienka, powiedział, znajduje się naprzeciwko. Następnie życzył obojgu błogosławieństwa Najwyższego, skłonił się i zniknął z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Raja rzuciła się Jacquesowi w ramiona. Po raz pierwszy od wielu tygodni ucieczki poczuła się bezpiecznie. Nikt, nawet Suhajri, nie wiedział, kim byli. I na pewno znajdą kogoś, kto im załatwi fałszywe papiery. Kair był przecież miastem nieograniczonych możliwości.

Zamknąwszy oczy, Raja przypominała sobie, jak była samotna, kiedy uciekała do Abu Simbel w nadziei, że ujdzie pościgowi KGB. Wydawało jej się zrzędzeniem losu, że spotkała na tym statku Baloueta, którego początkowo wcale nie lubiła. Ale bez niego nie pokonałaby tych wszystkich przeszkód.

Nie otwierając oczu, Raja wyczuła, że Balouet jej się przygląda. Uśmiechnęła się.

– O czym myślisz? – zapytał Balouet.

– Myślę o tym, jak się to wszystko zaczęło.

Jacques uśmiechnął się. – I do jakiego rezultatu prowadzą twoje rozważania?

Raja otworzyła oczy i spojrzała na Baloueta ostro: – Wiem, że bez ciebie nic bym nie zdziałała. Gdyby nie ty, już dawno by mnie złapali.

– Jeszcze nie wygraliśmy – powiedział Jacques i usiadł na starym, wyściełanym pluszem fotelu, który stał naprzeciwko łóżka. – I w dodatku nie mam pojęcia, do kogo powinienem się zwrócić, aby załatwić papiery na dalszą podróż. A z każdym tygodniem, który tu zmarnujemy, naszych pieniędzy będzie ubywało.

Raja usiadła obok Jacquesa na oparciu fotela i zaczęła go głaskać po głowie. – To ty dotychczas dodawałeś mi odwagi. Dlaczego nagle ogarnęło cię zwątpienie?

Nerwy Jacquesa były wyraźnie w złym stanie. Raja wiedziała, że nie był on szczególnie odważnym mężczyzną, ale z miłości do niej podjął trud ucieczki okrężną drogą przez Sudan. Sam mógłby znacznie łatwiej się przedostać; Jacques miał paszport, nawet jeśli nie wydawało się słuszne posługiwać się nim. Ale teraz, było to po nim widać, Jacques był u kresu wytrzymałości.

– Masz rację – powiedziała Raja – jeszcze nie wygraliśmy; w każdym razie odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo. Pozbyliśmy się typów z KGB.

Balouet ścisnął rękę Rai. Był zmęczony, również Raja nie miała sił, oczy same jej się zamykały. Spokój w tym starym domu działał usypiająco.

– Mam teraz tylko jedno życzenie – rzekła Raja – zimny prysznic.

Łazienka po drugiej stronie korytarza nie odpowiadała wprawdzie najnowszym standardom, ale jak na warunki kairskie była dość luksusowa; zamykała się i miała brodzik sięgający do kolan i wykładany kafelkami: spływała do niego ciepła woda z miedzianego prysznica.

Raja rozkoszowała się kroplami wody, choć pachniała ona siarką i chlorem czy też jakimś innym środkiem chemicznym. W każdym razie wystarczała, aby zmyć trzytygodniowy kurz, brud i pot. Kiedy Raja już wyszorowała się od stóp do głów, powtórzyła czynność po raz drugi i prawdopodobnie miała zamiar uczynić to po raz trzeci, gdyby nie skłoniło jej do pośpiechu głośnie pukanie do drzwi łazienki. W końcu był ranek i co najmniej pół tuzina gości dzieliło z nimi piętro.

– Chwileczkę! – zawołała Raja tak, żeby było słychać za drzwiami, i zaczęła się wycierać. Czowała się jak nowo narodzona. – Chwileczkę – powtórzyła po francusku. Odkąd uciekli z Asuanu, mówiła tylko po francusku. Następnie ubrała się i otworzyła drzwi.

Chciała powiedzieć dzień dobry mężczyźnie, który miał na sobie pasiasty

płaszcz kąpielowy, a na lewym ramieniu przewieszony ciemnoczerwony ręcznik; słowa uwięzły jej w gardle.

Mężczyzna ów, blisko sześćdziesięcioletni, miał siwe włosy i gęste czarne brwi.

Tym mężczyzną był pułkownik Smoliczew.

Smoliczew! Raja przez sekundę była jak sparaliżowana. Z jej ust wydobył się ostry, głośny okrzyk, który zabrzmiał przeraźliwie na korytarzu.

Smoliczew zdawał się nie mniej przerażony niż Raja Kurianowa, albowiem on również nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Kiedy jednak ona zaczęła krzyczeć, wziął ręcznik i przycisnął go Rai do ust.

– Niech pani posłucha, towarzyszeko – sapał cicho – wszystko pani wyjaśnię!

Raja zaciekle się broniła; wrywała się i waliła pięściami dookoła; tymczasem Balouet wybiegł z pokoju. Nie od razu poznał, z kim Raja się tak szarpie, widział tylko, że była ona w niebezpieczeństwie; podszedł więc z tyłu do nieznanego i ścisnął go z całej siły za gardło.

Balouet nie uwierzyłby, że był w stanie wykrzesać tyle sił; mężczyzna, raczej mocnej postury, zaczął nagle słabnąć, ramiona mu opadły, głowa przechyliła się do przodu, a ciało było oklapłe jak u marionetki, która ma pozrywane nitki.

– Smoliczew! – zawołała Raja bez tchu. – To Smoliczew!

Smoliczew? Balouet potrzebował dobrej chwili, nim dotarło do niego, że ten skurczony kłębek leżący przed nim na podłodze był mężczyzną, przed którym uciekali przez pół Afryki. Ale kiedy to pojął, schwycił go za kołnierz i zawlókł do pokoju.

Pułkownik jęczał cicho i z trudem próbował otworzyć oczy.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała Raja ze strachem.

Balouet zamknął drzwi od pokoju i rozejrzał się. Na drewnianej umywalce stał duży biały dzbanek porcelanowy. Balouet wylał wodę do stojącej obok miski i chwycił dzbanek obiema rękami.

– Zabiję go – powiedział spokojnie mocnym głosem. – Zabiję go.

Odkrycie mumii i przykre uwikłanie się dwóch Europejczyków w tę sprawę podzieliło ludzi w Abu Simbel na dwa obozy. Wprawdzie wszyscy mówili o wielkim skandalu, ale utworzyły się dwie partie, z których jedna, przeważnie Europejczycy, uważała, że trzeba najpierw przesłuchać Artura Kaminskiego i doktor Hellę Hornstein, zanim się ich potępi; w końcu oskarżenie Artura Kaminskiego i Helli Hornstein o morderstwo może okazać się pomyłką. Zwolennicy drugiej partii, przede wszystkim Egipcjanie i stojący na ich czele archeolog doktor Hassan Muchtar, żądali, aby inżyniera i lekarkę stąd wypędzić, ponieważ oboje z chciwości chcieli pozbawić ich kraj i ludzkość najważniejszego znaleziska z przeszłości. Ci stanowili większość.

Muchtar, który kierował akcją ratowania mumii – przy czym posługiwał się proponowaną przez Charlesa D. Fostera metodą pracy – całkiem bezprawnie kazał się uważać za odkrywcę. Żadna gazeta nie omieszkła wymienić jego nazwiska.

Kiedy Artur Kaminski po uwolnieniu z więzienia wrócił do Abu Simbel, pierwsze kroki skierował do profesora Carla Theodora Jacobiego, kierownika spółki „Joint Venture Abu Simbel”.

Pierwsze pytanie Jacobiego dotyczyło Helli Hornstein, po której zaginął wszelki ślad; Kaminski nie mógł udzielić żadnych informacji na temat miejsca jej pobytu. Wprost przeciwnie, miał nadzieję, że Hella wróciła do Abu Simbel – ale na próżno.

Choć profesor zachowywał się nadzwyczaj uprzejmie, Kaminski czuł wyraźnie rezerwę, z jaką go przyjął.

– Wplątał się pan w bardzo nieprzyjemną historię, panie Kaminski. Jak to się mogło stać?

Kaminski wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Jacobi, którego poprawność zawsze tak cenił, w duszy już dawno go potępił i tylko szukał odpowiednich słów, aby mu to oznajmić.

Kiedy Kaminski siedział naprzeciwko dyrektora budowy, w jego eleganckim biurze, i wzrok jego wędrował przez okno do olbrzymich betonowych półkul, stanowiących opancerzenie, na którym były umocowane pojedyncze bloki wielkiej świątyni, chciało mu się płakać i ogarnęła go niesamowita wściekłość – wściekłość

na siebie samego, że tak bezmyślnie wplątał się w tarapaty. Sam nie wiedział, jak ma się zachować, ale mimo tej niepewności czuł rozpaczliwą potrzebę, aby Jacobiemu wszystko wyjaśnić.

Ale czy taki człowiek jak Jacobi, wzór powagi i prawego charakteru, zrozumie go? Czy będzie w stanie pojąć, że za jego dziwnym, trudnym do wytłumaczenia zachowaniem stała kobieta, w której sidła zaplątał się bez reszty? Kobieta, która próbowała go zabić; kobieta, która wyzwalała w nim najsilniejsze uczucia, do jakich człowiek jest zdolny: miłość i nienawiść – miłość aż do ekstazy i nienawiść aż do unicestwienia?

Jacobi wyrwał Kaminskiego z rozmyślań, kiedy znów zaczął mówić: – Jak pan się czuje? Chyba ciężko było panu to wszystko znieść? Co by pan powiedział na urlop w Niemczech? Nie miał pan prawdziwego urlopu od wielu lat...

Kaminski zrozumiał. Dyrektor budowy chciał, aby on teraz zniknął mu z oczu, a następnie wysłał mu wymówienie. Z pewnością wszystko było już dawno postanowione i dalsze wyjaśnienia były bezcelowe. Wzrok Kaminskiego spoczął na szkicach planów, które były przypięte do ściany obok okna. Znał je na pamięć aż do najdrobniejszego szczegółu. W tych planach zawarte było jego serce; stały się one częścią jego życia. A teraz miał opuścić Abu Simbel?

Kiedy się tak zastanawiał, czy ma odrzucić propozycję Jacobiego, czy ją przyjąć, ktoś zapukał do drzwi: weszli Muchtar i doktor Heckmann.

Obaj podali mu bez słowa dłonie, co Kaminski odczuł raczej jako obowiązek niż gest uprzejmości. Usiedli obok Jacobiego po drugiej stronie biurka. Kaminski poczuł się jak przed sądem inkwizycji.

– Podczas pańskiej nieobecności dyskutowaliśmy na temat tego zdarzenia – wyjaśnił Jacobi dziwną sytuację.

– Ach – odrzekł Kaminski z zamiarem ironii; był zbyt wzburzony i stwierdził, że w tej sytuacji nie potrafi ironizować. Zapytał więc: – I do jakiego wniosku doszliście?

– Mister Kaminski – zabrał głos Hassan Muchtar – dla nikogo z nas nie jest przyjemne zajmowanie się tą sprawą, ale stało się, i wydarzenie to wywołało burzę. Gazety na całym świecie informowały o tym, a reporterzy zadawali kłopotliwe pytania, jak to w ogóle było możliwe, że odkrycie archeologiczne tej miary tak długo utrzymywano w tajemnicy...

– Panowie – Kaminski wszedł Egipcjaninowi w słowo – oczywiście odpowiedzieli, że nie mieli pojęcia, iż w zespole mogą się znajdować elementy kryminogenne; ale spotka je zasłużona kara. Tak albo podobnie odpowiedzieliście,

mister Muchtar? Czy mam rację?

Jacobi podniósł uspokajająco rękę: – Tylko proszę, moi pa nowie, żadnych niepotrzebnych spięć. Nasza sytuacja jest wystarczająco poważna. W końcu wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Muchtar spojrział oburzony w bok i mówił dalej: – Nie chodzi mi o stronę prawną tego przypadku. Pragnę tylko znaleźć jasną odpowiedź na pytanie, jak to możliwe, aby trzymać w tajemnicy przed przeszło tysiącem ludzi fakt odkrycia grobowca na budowie. Historia jest tak nieprawdopodobna, że już słysząc pierwsze głosy, które trąbią, iż my, archeolodzy, uknuliśmy spisek, aby sprzedać mumię królowej za granicę za bajońską sumę.

Doktor Heckmann przysłuchiwał się dotychczas rozmowie w milczeniu. Teraz zaczął ni stąd, ni zowąd: – Jest pan taki zamknięty w sobie, panie Kaminski. Czy to ma coś wspólnego z nieoczekiwanym końcem pańskiego związku z doktor Hornstein?

Podczas gdy Kaminski wystąpienie Muchtara śledził raczej obojętnie, uwaga Heckmanna bardzo go dotknęła. Najwidoczniej ten młodociany fircyk jeszcze nie przeboleał, że Hella dała mu kosza. I choć jego uwaga zraniła Kaminskiego, obudziła w nim jednak uczucie triumfu wobec rywala, któremu się nie udało, który wciąż jeszcze nie przetrwał swojej porażki.

Tak więc Kaminski spojrział na niego, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy, z szerokim, szyderczym uśmiechem i powiedział z udawaną obojętnością: – A kto panu powiedział, że nasz związek się skończył?

Muchtar popatrzył zdumiony, a Heckmann zacisnął usta. Nikt nie rzekł słowa.

Wreszcie Jacobi zakończył to przykre milczenie, zwracając się do Kaminskiego z pytaniem: – Czy pan wie, gdzie obecnie znajduje się doktor Hornstein?

– Spodziewałem się, że tu wróciła – odparł Kaminski.

Jacobi potrząsnął głową. – Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzymy ją w Abu Simbel...

– Co to ma znaczyć?

Heckmann, na którego twarzy malowała się wściekłość, odpowiedział za Jacobiego: – Właściwie wszyscy sądzimy, że Hella Hornstein tu nie wróci. A ma to niewiele wspólnego z panem, panie Kaminski, a raczej z jej stanem psychicznym.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

– A więc – Heckmann wiał się jak glista – nie chcę być niedyskretny, ale pani doktor Hornstein – chcę tu zaznaczyć, że nie ma to nic wspólnego z jej kwalifikacjami jako lekarki – pani Hornstein zdradzała ostatnio wyraźne symptomy

schizofrenii. Państwo być może tego nie zauważyli, ale ja obserwowałem ją dokładniej od czasu, gdy stały się widoczne pierwsze symptomy, i moje obserwacje potwierdziły podejrzenie.

Kaminski zerwał się, podszedł do Heckmanna, i gdyby nie stanął między nimi Muchtar, uderzyłby doktora w twarz. Na szczęście skończyło się na zamiarze, ale Heckmann osiągnął swój cel, gdyż zauważył, że trafił celnie w Kaminskiego. Był z tego dumny i mówił w dalszym ciągu: – Rozumiem pańskie wzburzenie; ja również nie zareagowałbym inaczej na pańskim miejscu. Ale musi się pan pogodzić z myślą, że doktor Hornstein cierpi na złośliwą katatonię i towarzyszącą jej paranoidalną schizofrenię.

– Czy może nam pan to bliżej wyjaśnić? – wmieszał się Jacobi.

– Oznacza to zaburzenia ruchowe, stany niepokoju i podniecenia, często związane z podniesioną temperaturą ciała, co powoduje majaki i złudzenia, które prowadzą aż do zmian osobowości.

Kaminski się przysłuchiwał: – I to wszystko zaobserwował pan u Helli Hornstein? Chciałbym tylko wiedzieć kiedy i w jakich okolicznościach!

Już sama myśl, że Heckmann szpiegował Hellę, wywołała u Kaminskiego gęsią skórę. Czegóż innego można się było spodziewać po takim typie jak Heckmann? Lekarz, który dobrowolnie zobowiązał się do służby w pustynnym szpitalu, nie mógł być normalnym człowiekiem.

Kaminski się przeraził – przeraził się sam siebie. Czyż on także nie zobowiązał się dobrowolnie do pracy na pustyni?

– Myślę, panie Kaminski, że pan mnie nie docenia – odparł Heckmann. – Być może także, iż pańska miłość pana oślepiła. Czasem bowiem byłem bliżej pana i Helli Hornstein, niż się panu mogło wydawać. Na przykład wtedy, kiedy Hella na składowisku bloków świątynnych odgrywała owo dziwne przedstawienie, kiedy się masturbowała przed wizerunkiem Ramzesa...

– Niech pan przestanie!

– ... siedziałem wówczas w szoferce dźwigu. Wszystko dokładnie widziałem. Czy uważa pan takie zachowanie za normalne?

– Wstrętny podglądacz! – Kaminski kipiał z wściekłości, przede wszystkim dlatego, że widział, iż Heckmann rozkoszuje się tą sytuacją. Heckmann długo czekał na tę chwilę, a nie ma nic bardziej bezlitosnego niż zemsta zawiedzionego wielbiciela. Była to zemsta mężczyzny, który, o ile Kaminski mógł ocenić, przez trzy lata żył bez kobiety – nie licząc Nagli, piersiastej kucharki z kantyny, która za pieniądze robiła to z każdym.

Tymczasem Kaminskiego bardziej złościł Heckmann niż sam temat ich dyskusji. I im dłużej Heckmann wyżywał się na nim i Helli, tym bardziej Kaminski był skłonny zbagatelizować próbę morderstwa Helli i przeanalizować w myśli swoje gorzkie doświadczenie – czy ich ostatnie spotkanie rzeczywiście miało miejsce, czy w istocie nie uległ złudzeniu, fatamorganie, która ma człowieka wizjami rzeczy, których naprawdę nie ma. Pięć lat pustyni i piasku, piasku między zębami i palcami, w ubraniu, w łóżku i w chlebie potrafi sprawić, że nawet najtwardszy człowiek zacznie powątpiewać we własny rozum. Schizofrenia to jeszcze bagatelka.

Zdawało się, że epitet Kaminskiego nie zrobił na doktorze Heckmannie żadnego wrażenia. – Powinien pan poważnie potraktować chorobę Helli – podjął swój wywód. – W zależności od objawów poszczególnych przypadków schizofrenię można leczyć, a nawet wyleczyć. Przede wszystkim oczywiście za pomocą środków psychotropowych, ale także za pomocą psychoterapii i terapii szokowej.

– Ale w tym celu – wtrącił Jacobi – musimy najpierw wiedzieć, gdzie się znajduje doktor Horstein. – I zwracając się do Kaminskiego, zapytał: – Czy naprawdę nie ma pan pojęcia?

– Nie – odpowiedział ten powściągliwie – najmniejszego.

To dziwne, ale jakby się wstydził tej odpowiedzi. Choć Hella dokonała zamachu na jego życie, czuł się winny, ponieważ nie umiał powiedzieć, gdzie ona teraz przebywa.

– Wracając do punktu wyjścia naszej rozmowy... – Jacobi chrząknął zakłopotany. – Uważam, że byłoby najlepiej, gdyby pan teraz wziął dłuższy urlop, w każdym razie na tak długo, aż cała sprawa przyschnie.

Profesor mówił cicho i jękając się, całkiem inaczej niż zazwyczaj; a to dlatego, że Jacobi, człowiek prostolinijny i szczery, z trudem mógł się przestawić. W rzeczywistości bowiem chciał powiedzieć coś całkiem innego: Panie Kaminski, wolałbym, żeby pan sam złożył wymówienie. Oszczędziłoby to panu i mnie wielu nieprzyjemności.

Kaminski czuł instynktownie, o co chodzi Jacobiemu, ale złościło go, że on sam nie miał na tyle odwagi, aby skonfrontować fakty w celu wyjaśnienia prawdy. Dlatego podniósł uspokajająco rękę i powiedział: – W porządku, profesorze, zrozumiałem. Nie chce pan mieć do czynienia ze współpracownikiem, którego pan już nie uważa za przydatnego. Odejdę dobrowolnie.

– Ja wcale tak nie myślałem – odparł Jacobi, ale na jego twarzy malowała się

ulga. – Uważam, że moglibyśmy jeszcze raz porozmawiać o tym spokojnie.

– Ale jeśli Kaminski już się zdecydował... – wtrącił doktor Heckmann. Jego niechęć posunęła się tak daleko, że wyraźnie dawał poznać po sobie, jak bardzo żałowałby cofnięcia tej decyzji. – Muszę przyznać, że to szlachetna decyzja.

Kaminski wstał. Jak gdyby chciał rozpocząć dłuższą prze mowę, złożył ręce jak kaznodzieja i powiedział, zwracając się do doktora Heckmanna: – Ach, wie pan, nie przywiązuję najmniejszej wagi do pańskich komplementów. – A do Jacobiego rzekł: – Nie zachowałem się zbyt inteligentnie. Dlaczego – nie ma sensu teraz o tym mówić. Zachowałem się nawet zdecydowanie głupio. Przykro mi z tego powodu. Jutro spakuję manatki. Proszę, niech pan przygotuje moje papiery!

Nie żegnając się i nie czekając na odpowiedź Jacobiego, Kaminski wyszedł z biura.

W drodze na kwaterę, którą odbywał pieszo, spojrzał jeszcze raz w dal, na pustynny krajobraz: wpychało się weń teraz wielopalczystymi łapami ogromne sztuczne jezioro. Piękny, fascynujący krajobraz. Stał się dla niego drugą ojczyzną, z którą trudno przychodziło mu się rozstawać. Ogarnęło go uczucie smutku.

Nie przeżyje wielkiego triumfu, ustawienia świątyni w nowym miejscu. Ale miał pewność: wszystko, co nastąpi teraz, to tylko czysta rutyna. To, co on, Artur Kaminski, uczynił, to była prawdziwa sztuka inżynierska!

Koło „Stajni” biegł Istvan Rogalla, zagradzając mu drogę.

Obaj nie lubili się specjalnie, ale kiedy Rogalla się dowiedział, że Kaminski dobrowolnie zrezygnował z pracy, podał mu spontanicznie rękę i powiedział coś, co myślał także Kaminski: właściwie szkoda, że w ciągu tych lat nie zbliżyli się do siebie, a teraz jest już za późno. Na wypadek, dodał archeolog, gdyby Kaminski potrzebował jego pomocy, może na niego liczyć.

Kiedy Kaminski wieczorem wszedł do kasyna, aby zjeść kolację, poczuł się jak trędowaty. Mężczyźni odwracali się od niego. Siedział sam przy stoliku, a gdy rozejrzał się dookoła, zobaczył, jak inni odwracają się albo pochylają głowy. Nawet Nagła, która każdemu była przychylna, ignorowała go tego wieczoru.

Wówczas to postanowił wyjść. W bufecie kupił sobie dwie butelki piwa. Wypił je jedną po drugiej jednym haustem. Tego wieczoru było mu to potrzebne.

W końcu nie miał nawet czasu, aby spakować swoje rzeczy.

W głowie mu wirowało i tak jak stał, rzucił się na łóżko i po chwili zasnął.

Kaminski należał do ludzi, którym rzadko coś się śniło. W każdym razie nigdy nie mógł sobie przypomnieć żadnego snu. Tej nocy było inaczej. Kiedy bowiem się obudził następnego ranka, przypomniał mu się następujący sen: Wstał we śnie.

Księżyc oblał pustynny krajobraz Abu Simbel srebrzystoszarym światłem, a on wielkimi susami pobiegł do owego miejsca, gdzie przedtem stały obie świątynie. Zalał je Nil o tak przejrzystej wodzie, że widać było dno. I tam na dnie Kaminski ujrzał Helle – a właściwie żywą Bent-Anat; a może były to one obie w jednej postaci? W każdym razie kobieta odziana w długą przezroczystą, obcisłą szatę, odsłaniała jedno ramię, zdawała się unosić, i choć robiła niewielkie kroki, posuwała się szybko naprzód. Ręce miała rozpostarte, jakby chciała coś pochwycić. Zatrzymała się przed schodami świątyni. Stała bez ruchu i zamieniła się nagle w kamienny posąg. Teraz Kaminski ujrzał także przyczynę jej zdrętwienia: przed nią w wejściu do świątyni stał olbrzym przepasany opaską na biodrach. Ręce miał skrzyżowane na gołym torsie, a jego głowę zdobiła artystycznie wykonana peruka, taka, jaką nosili w dawnych czasach faraonowie. Kaminski przestraszył się, kiedy ujrzał twarz króla: była to jego własna twarz. W końcu faraon kopnął zamarłą w bezruchu kobietę; posąg upadł i rozkruszył się na niezliczone części. Wtedy Kaminski obudził się.

Było późno. Chciał zdążyć na statek o dziewiątej, musiał się więc pośpieszyć. Na statku będzie miał dość czasu, aby się oddać rozmyślaniom nad tym dziwnym snem.

Cały swój dobytek pomieścił Kaminski w owych dwóch walizkach, z którymi przybył tu przed czterema laty. I kiedy zamykał ostatnią, nagle sobie uświadomił, jak nędzne było życie, które dotychczas wiódł.

Jeszcze zanim doprowadził myśl do końca, porzucił ją. Czy to był on, Artur Kaminski, który po ukończeniu studiów przysiągł sobie, że nigdy nie będzie zabiegał o coś, co powszechnie ludzie uważają za warte zabiegów? Który nienawidził codziennej szarości, włączając do niej zarówno czterdziestogodzinny tydzień pracy, jak i domek z ogródkiem albo urlop i prawo do emerytury? Zawsze pragnął uczynić coś wielkiego i to pragnienie przywiodło go do Abu Simbel.

Na pomieszczenie, które przez ostatnie cztery lata służyło mu za dom, Kaminski nie rzucił teraz nawet okiem. Miał w głowie tylko jedną myśl: uciec stąd możliwie jak najprędzej i nie spotkać nikogo!

Balbusz czekał przed domem w żółtym volkswagenie. Egipcjanin z trudem powstrzymywał łzy. Jemu trudniej było się żegnać niż Kaminskiemu. – Mister Kaminski dobry człowiek! – zapewniał, umieszczając obie walizki na tylnym siedzeniu.

Kaminski skinął głową przyjaźnie: – No już dobrze, Balbusz, już dobrze! – Wcisnął mu do ręki sto dolarów, które Balbusz najpierw chciał oddać, ale po

dłuższym wahaniu schował z podziękowaniem do kieszeni; następnie pocałował Kaminskiego w obie ręce i odjechał.

Podczas jazdy do przystani, która znajdowała się teraz dalej w głębi lądu, Kaminski patrzył nieruchomo na drogę. Nie chciał więcej oglądać tej miejscowości, nienawidził Abu Simbel.

Tego ranka na przystani było niewiele ludzi, toteż rzucał się w oczy szczególnie jeden człowiek, którego Kaminski się tu nie spodziewał: Hassan Muchtar.

Balbusz niósł bagaże na statek, a Kaminski szedł za nim. Odwrócił głowę, kiedy mijał Muchtara. Był on ostatnim, którego chciałby spotkać.

Ale Muchtar czekał na niego: – Mister Kaminski! – zawołał do niego – przyszedłem tu, aby się z panem pożegnać. – Na jego twarzy malował się zarozumiały uśmiech, którego Kaminski tak nie znosił.

– Do widzenia, doktorze Muchtar – powiedział Kaminski oschle i nie zatrzymując się, wszedł na pokład.

Muchtar zawołał za nim: – Jeśli mogę panu radzić, mister Kaminski: Niech pan nie szuka Helli Hornstein!

Ahmed Abd al-Kadir, od trzech lat dyrektor Muzeum Egipskiego w Kairze, nie lubił, jak mu przeszkadzano, kiedy rano przeglądał pocztę. Listy, zwykł był mówić, powołując się na pewnego islamskiego mędrca, są prawą ręką wiedzy. Dlatego jego sekretarz, Soliman, który urzędował w pokoju obok gabinetu dyrektora, zawsze zamykał drzwi, kiedy Abd al-Kadir zajęty był pocztą; wówczas nikt nie miał szans mu w tym przeszkodzić.

Pomieszczenie dykcji, znajdujące się na prawo od głównego wejścia na niskim parterze, sprawiało wrażenie zaniedbanego. W korytarzach stały przy ścianach szafy z książkami, foliały i pudełka z kartotekami; kurz, który je pokrywał, zdradzał, że niektórych z nich już pół wieku nie używano; zdeptane podłogi z daleka zapowiadały nadejście każdego gościa, ponieważ każdy krok wywoływał głośnie echo. Wobec chronicznego braku miejsca w muzeum dyrekcję przeniesiono do tej części budynku. Nawet w lecie było tu ciemno, a duszne, pełne kurzu powietrze zapierało dech ludziom podczas pracy.

Tylko Ahmed Abd al-Kadir czuł się tu całkiem dobrze, rzadko opuszczał swoje biuro, i tylko na krótko. Jeśli chodzi o status społeczny, jego dyrektorskie stanowisko było bardzo szanowane i porównywalne jedynie z funkcją rządową, co znaczyło, że Abd al-Kadir posiadał wyjątkowe kontakty; w każdym razie przewyższały one jego wiedzę egiptologiczną, którą z trudem i z niezbyt chlubnym finałem zdobył w Oksfordzie.

Kiedy sekretarz Soliman podczas porannego rytuału przeglądania poczty zapukał do jego drzwi, nie mógł oczekiwać, że otrzyma od Abd al-Kadira odpowiedź – fakt ten wywoływał zbyt dużą niechęć kierownika muzeum. Z drugiej strony Soliman musiał mieć nadzwyczaj ważną sprawę, aby przeszkodzić swojemu szefowi, bo inaczej nigdy by się nie zdobył na taką zuchwałość. Jednakże Ahmed al-Kadir nawet nie podniósł głowy znad biurka.

– Sir – tłumaczył się sekretarz – Sir, nadeszła przesyłka z Abu Simbel! – A kiedy dyrektor nie zareagował, zapytał: – Co mam z tym zrobić? – Następnie położył na biurku towarzyszący przesyłce list.

– Z Abu Simbel? – odpowiedział Abd al-Kadir pytaniem.

Soliman skinął głową, rozpostarł ramiona i powiedział: – Co najmniej dwa

metry długości!

Dyrektor wstał i polecił wnieść skrzynię tylnym wejściem, a stamtąd przenieść ją do Instytutu Archeologii; następnie wpadł do sekretariatu, podbiegł do telefonu i wykręcił numer; w słuchawce była cisza.

– Telefon zepsuty – tłumaczył się Soliman. Abd al-Kadir rzucił słuchawkę na widełki: – Można mówić o szczęściu, jeśli on w ogóle działa!

– Niemiecka robota! – zauważył sekretarz z uśmiechem.

Dyrektor odpowiedział gorzko: – Tak, ale sprzed 1934. Profesor al-Hadżdż musi przyjść do Instytutu. – Potem mruknął coś o głupich Rosjanach, których sprowadzono do tego kraju zamiast Niemców, i to miał być sukces. Kątem oka Abd al-Kadir spostrzegł w wysokim oknie sekretariatu twarz kobiety zaglądającą do środka. Dyrektor był teraz zbyt wzburzony, aby przypisywać zjawieniu się tej kobiety jakiegokolwiek znaczenie. Nie zauważył również, kiedy szedł do Instytutu Archeologii, że kobieta podążała za nim w bezpiecznej odległości.

Pomimo wysokiego stanowiska Ahmed Abd al-Kadir należał do coraz większej grupy opozycjonistów, którzy w „arabskim socjalizmie” Nasera widzieli raczej plagę dla kraju niż rozwiązanie gospodarczych i społecznych problemów Egiptu. O Rosjanach, którzy jako doradcy znajdowali się we wszystkich ośrodkach władzy w kraju, al-Kadir nie miał dobrego zdania. Chętniej widziałby otwarcie Egiptu na Zachód – chociażby dlatego, że wówczas działałyby telefony. W każdym razie wierzył, że tak by było.

Przed Instytutem parkowała ciężarówka z napisem „Joint Venture Abu Simbel”. Budynek znajdował się, jak wiele innych, w opłakanym stanie. Ze ścian opadał tynk. Pokruszone kolorowe elementy szklane w drzwiach wejściowych czekały od wielu lat na naprawę, a żelazne poręcze schodów trzymały się już tylko dzięki grubej warstwie rdzy. Czterech pracowników muzeum w brązowych kombinezonach, przypominających piżamy, wciągało na schody skrzynię zbitą z surowych desek.

Dyrektor upominał o ostrożność. Ale jego apel wywołał tylko skrywany uśmiech, albowiem ostrożność należała do ulubionych słów wszystkich archeologów, jeśli chodziło o obchodzenie się z przedmiotami, które były pod ich opieką. W tym wypadku ostrożność była istotnie szczególnie wskazana.

Długi korytarz na pierwszym piętrze, pomalowany białą olejną farbą, prowadził do dwuskrzydłowych drzwi z mleczną szybą, na których widniał napis: Laboratorium. Na środku pomieszczenia o powierzchni około pięćdziesięciu metrów kwadratowych stał długi stół z białym blatem, nad nim zwisała duża

okrągła lampa jak w sali operacyjnej. Przy ścianach wykładanych białymi kafelkami znajdował się rząd stanowisk pracy z palnikami Bunsena, butelkami i tajemniczymi przyrządami.

Kiedy wszedł profesor al-Hadźdz, niski mężczyzna o byczym karku i siwym wianuszku włosów, al-Kadir już zdjął za pomocą dłuta wieko skrzyni, która przybyła z Abu Simbel. Pracownik wydał cichy okrzyk i zaczął uciekać, kiedy ujrzał na dnie zasuszoną, okręconą brązowymi bandażami i szmatami mumię o potarganych półdługich włosach. Pozostali pracownicy stali odwróceny w kącie sali, jakby się bali, że zakonserwowane zwłoki mogą się w każdej chwili podnieść.

Al-Hadźdz, profesor anatomii patologicznej na uniwersytecie Ajn-asz-Szams w Kairze i jeden z czołowych znawców mumii, zdawał się bardziej podniecony niż wszyscy inni. Patrząc na szczątki mumii, ocierał sobie białą chusteczką pot z czoła. Oczy jego, osłonięte grubymi okularami z przyciemnionego szkła, wędrowały niespokojnie na wszystkie strony.

– Jest pan tego absolutnie pewien? – zapytał Abd al-Kadir, nie odwracając wzroku od mumii.

– Absolutnie pewien! – odpowiedział archeolog. – To jest Bent-Anat. Wiele znaków na to wskazuje.

– Córka bogini Anat – potwierdził archeolog – azjatyckiej bogini miłości i wojny.

– Azjatki? – al-Hadźdz spojrzał na dyrektora pytającym wzrokiem.

– Tak – odpowiedział Abd al-Kadir – Ramzes otaczał boginie azjatyckie Anat i Astarte szczególną czcią. Każdej z nich zbudował osobną świątynię. O Anat twierdził, że jest córką egipskiego boga Ptaha. Dlaczegoż nie miał nadać jednej ze swoich córek jej imienia?

– Jak to córek? Myślałem, że Bent-Anat była jego żoną?

– I jednym, i drugim, drogi kolego, jednym i drugim. Bent-Anat była jego córką i jego żoną!

Wtedy profesor zrobił wielkie oczy, jakby chciał powiedzieć: Na Allaha. Z tego Ramzesa musiało być niezłe ziółko. Ale milczał.

W szczęściu, Abd al-Kadir, profesor i czterech pracowników, wyjęli mumię Bent-Anat z drewnianej skrzyni i położyli ostrożnie na długim białym stole stojącym pośrodku laboratorium.

– To jakby cud! – zawołał profesor. Stał pełen szacunku przed mumią. W ciągu dwudziestu lat pracy zawodowej badał już wiele mumii – jego badania nad mumiami faraonów przyniosły mu światowe uznanie – a jednak na widok każdego

nowego znaleziska biło mu mocno serce. Tak było i tym razem.

– Światło! – rozkazał profesor pracownikowi, aby włączył okrągły reflektor u sufitu. Następnie skierował jasny strumień na głowę mumii, skrzyżował ręce na piersi i przyglądał się Bent-Anat, jakby zamierzał poprowadzić z nią dialog. Zmieniał wielokrotnie miejsce, przechylał głowę na bok i co chwila wyjmował chusteczkę z kieszeni, aby sobie otrzeć pot z karku.

Wreszcie al-Hadżdż zsunął grube okulary na czubek nosa i zaczął badać dobrze zachowane uzębienie mumii. Oglądał dokładnie każdy ząb. Kiedy się wyprostował, sapiąc wypuścił nosem powietrze, co było u niego oznaką najwyższego napięcia.

– No i jakie, jest pana pierwsze wrażenie? – zapytał Abd al-Kadir ostrożnie. Zdawał sobie sprawę z niestosowności swego pytania, ale był po prostu ciekaw.

Profesor cofnął się o dwa kroki i powiedział: – Czyż nie wygląda ona tak, jakby żyła? Niech pan się tylko przyjrzy.

Pracownikom muzeum trudno było to zrozumieć. Na Boga Najwyższego, co w tej zasuszonej, martwej, zbutwiełej mumii skłoniło profesora do takiej uwagi? Nikt z nich nie mógł pojąć, jak taki szanowany, wykształcony człowiek może się zajmować wyschniętym trupem.

– Była jeszcze młoda, kiedy zmarła – zaczął profesor po nieznośnie długiej przerwie spowodowanej oględzinami, której nawet Abd al-Kadir nie ważył się przerwać. – Nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat. Musiała być bardzo zadbana, o czym świadczą resztki szminki na brwiach. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem, to istotnie nie do wiary!

– Niewiarygodne jest...

– Co takiego? – przerwał profesor zaciekawiony.

– Niewiarygodne, że owo odkrycie także zawdzięczamy przypadkowi. To nie archeolodzy znaleźli Bent-Anat, tylko robotnicy budowlani. Woda na młyn dla tych, którzy uważają, że archeologia jest jedynie wiedzą przypadków.

– W ten sposób możemy podważyć każdą naukę, nawet najbardziej ścisłą ze wszystkich, czyli matematykę. Czy wierzy pan może w słynne twierdzenie Talesa, według którego każdy trójkąt wpisany w półokrąg jest trójkątem prostokątnym. Bzdura! Z nudów wsadził dwa kije w piasek, połączył je półkolem i stwierdził, że wszystkie kąty na tym łuku wynoszą dziewięćdziesiąt stopni. Czy to odkrycie jest mniej warte dlatego, że jest dziełem przypadku?

Abd al-Kadir wzruszył ramionami i przyglądał się długim, cienkim palcom mumii. Bent-Anat miała ręce skrzyżowane na piersi; taka postawa czyniła ją nieprzystępną. – Żaden człowiek – zaczął dyrektor zamyślony – nie wpadłby na

pomysł, aby szukać grobu żony wielkiego Ramzesa w Abu Simbel. Co innego w Dolinie Królowych w Deir el-Medina, ale tam?

– Faraon Ramzes musiał mieć niewątpliwie powody, żeby tam zesłać swą żonę i córkę.

– Z pewnością, ale jakie?

– Widzi pan – zawołał al-Hadżdż i zrobił krok w kierunku dyrektora – zbadanie tego będzie teraz zadaniem nauki! Na Allana, może też przypadek pomoże nam posunąć się dalej. Z małymi, tępyimi nożyczkami i pęsetą w ręku zwrócił się znów ku mumii. Krótkim, gwałtownym ruchem głowy zsunął grube okulary na mięsisty czubek nosa. Następnie ujął za pomocą pęsety jeden włos, odciął go i położył ostrożnie na małej okrągłej szklanej miseczce. Tak samo postąpił z małym kawałkiem bandaży mumii i resztką tkaniny na przedramieniu. Przykrycie miseczki zabezpieczył plastrem. – W przyszłym tygodniu – powiedział – będzie pan miał pierwsze wyniki badań.

Badania tego rodzaju należą do rutynowych czynności eksperta muzealnego. Dzięki próbkom skóry, włosów i tkaniny patolog potrafi określić wiek, pochodzenie, a nawet przebyte choroby zmumifikowanego człowieka. Al-Hadżdż zaproponował, aby po otrzymaniu pierwszych wyników prześwietlić mumię i dopiero potem zdecydować, czy kontynuować dalsze badania, a przede wszystkim, czy zdjęcie bandaży może prowadzić do ważnych rezultatów.

Po zakończeniu pracy mężczyźni ułożyli mumię ostrożnie ponownie w drewnianej trumnie i al-Kadir przykrył ją wiekiem. Następnie wszyscy opuścili laboratorium i wyszli po przesiąkniętych stęchlizną schodach z muzeum.

W parku przed budynkiem uderzył ich hałas uliczny Kairu i poczuli się, jakby przybyli właśnie z innego świata, przenieśli się do innych czasów.

Odesłano służbę muzealną i al-Kadir wraz z profesorem poszli razem kawałek zakurzoną drogą, każdy pogrążony we własnych myślach i każdy na swój sposób zaniepokojony.

– Wiem, o czym pan teraz myśli – zaczął al-Hadżdż – mnie również jest nieprzyjemnie. Robi to człowiek dziesięć, a może nawet dwadzieścia razy, a jednak czuje się zawsze podle. Zgadza się?

Ahmed al-Kadir przystanął: – Właśnie o tym samym myślałem. Za każdym razem czuję się w takiej sytuacji jak intruz, niemal jak przestępca.

– Ale czyż nie jest zadaniem nauki badać przeszłość ludzkości? – Profesor al-Hadżdż wyciągnął z kieszeni zapieczętowaną szklaną miseczkę: – Niech mi pan

wierzy, pod tym szkiełkiem kryje się więcej wiedzy niż w głowie filozofa!

Al-Kadir uniósł w górę ramiona. Trudno mu było podzielać w pełni pogląd patologa, ale uspokoiło go, że i jego dręczyły skrupuły. Szli jeszcze kawałek drogi razem aż do wysokiej żelaznej bramy u wejścia do parku. Tam pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę.

Tej nocy w Instytucie Archeologii doszło do dziwnego spotkania, które, kiedy zostało ujawnione następnego dnia, wywołało kiwanie głowami i pogardliwe uśmieszki. Mężczyznę bowiem, który tę historię opowiadał, powszechnie lubiano, ale jednocześnie uważano za trochę niespełna rozumu. Nazywał się Jusuf i był tak stary, że sam nie wiedział, ile ma lat. Posiadał dwie młode żony i siedmioro dzieci, które musiał utrzymać, tak że nie mógł marzyć o odpoczynku. Od dziesiątków lat sprawował funkcję nocnego stróża, a czynił to z największą powagą. W każdym razie od dziesiątków lat sporządzał raporty ze swojej samotnej nocnej pracy, choć nikt tego od niego nie wymagał. Nic nie uchodziło jego uwagi.

Jusuf człapał w ciemnościach przez nie kończące się korytarze instytutu, ubrany w długą białą galabiję, która zakrywała jego drewnianą nogę. W prawej ręce trzymał latarkę, lewą podpierał się laską, którą wyłudził od pewnego angielskiego pułkownika opuszczającego wraz z innymi Brytyjczykami strefę Kanału Sueskiego; wyglądał wówczas jak duch, a szmery, które powodował podczas tych obchodów kontrolnych, były tak niesamowite, że zmusiłyby każdego intruza do ucieczki.

W dodatku Jusuf miał przenikliwy głos muezina. Robił też z niego użytek, kiedy był sam. Przemawiał do ścian, drzwi i szaf, przede wszystkim jednak rozmawiał z sobą samym i opowiadał niezliczone historie. Wszystko to sprawiało, że stał się osobistością, którą cały personel instytutu traktował z największą powagą. W tym wypadku przypisywali oni domniemane zdarzenie jego fantazji, która brała się stąd, że stary wiedział o intrygującej mieszkance laboratorium.

Było to, informował Jusuf, krótko po północy; sprawdzałem właśnie pomieszczenia magazynów na górze, kiedy przestraszył go odgłos jakby tłuczonego szkła.

Najpierw, zanotował, panował spokój, ale po kilku minutach usłyszał szmer. Mężczyzna wdarł się do środka i używając latarki, śmiało przemknął po schodach do laboratorium, otworzył drzwi za pomocą jakiegoś narzędzia i następnie zniknął w pomieszczeniu, nie zamykając za sobą drzwi. Toteż kiedy stary zbliżył się do laboratorium, mógł dokładnie widzieć, co się tam działo.

Mężczyzna w powiewnym ubraniu zaczął manipulować, dość niezręcznie

zresztą, przy drewnianej skrzyni, w której znajdowała się mumia; odsunął na bok wieko i poświecił latarką. Odgłosy, jakie wydawał na widok mumii, brzmiały jak bóle porodowe położnicy, których stary był świadkiem siedem razy w swoim życiu i odczuwał je niemal na własnej skórze, tak że porównanie jest w pełni uzasadnione. W każdym razie Jusuf na podstawie owych jęków zorientował się, że ten dziwny intruz, na brodzie Proroka, nie był mężczyzną, tylko kobietą w męskim przebraniu.

Zdawało mu się, że kobieta rozmawiała z mumią, ale mówiła w języku, którego Jusuf nie rozumiał, w każdym razie nie był to angielski; kiedy kobieta zamierzała dotknąć mumii w drewnianej trumnie, stary, jak wynikało z jego notatki, przełożył laskę z lewej ręki do prawej i chciał postawić jej parę pytań: Że nie miała złych zamiarów, poznał po jej ostrożnych ruchach dłoni, kiedy kilkakrotnie dotykała mumii. Drżała jak staruszka, choć jej zręczne ruchy wskazywały na kobietę całkiem młodą.

Te obserwacje i pewność, że obca kobieta nie ma zamiaru wyrządzić żadnej szkody, powstrzymały go przed zastosowaniem wobec niej przemocy; w dodatku kobieta zaczęła zamykać skrzynię pokrywą. Chyba się przy tym skaleczyła, bo wydała cichy, ostry okrzyk jak prządka, która zraniła się wrzecionem; następnie owinęła rękę chusteczką do nosa, jaką noszą wytworni ludzie na wyspie Nilu, zwanej Gezira. On, Jusuf, ukrył się przy wejściu na przeciwległym końcu korytarza, aby zaobserwować, którędy kobieta teraz pójdzie. Włamywacze wybierają zawsze tę samą drogę, którą weszli. Istotnie nieznajoma wyszła z instytutu owymi bocznymi drzwiami prowadzącymi do parku, które zazwyczaj są zamknięte; kiedy Jusuf przyjrzał się drzwiom, rzuciło mu się w oczy, że matowe szkło jest potłuczone, a kobieta weszła do środka otwierając od zewnątrz zasuwkę.

Nikt nie chciał uwierzyć relacji biednego Jusufa, który w kwiecistych słowach zapisał ją w swojej księdze raportów. Kiedy Abd al-Kadir i al-Hadżdż usłyszeli tę historię, udali się na miejsce, a ponieważ nie stwierdzili żadnej zmiany w wyglądzie mumii, pochwalili strażnika, że zmusił włamywacza do ucieczki już sprzed drzwi. Ani al-Kadir, ani al-Hadżdż nie widzieli jednakże śladów krwi na kamiennej podłodze laboratorium.

Jusuf był dotknięty tak wielką pychą uczonych i postanowił od tej chwili nie pisać więcej żadnych raportów; powiedział sobie, że i tak rzuca tylko perły przed wieprze, skoro zapiski z jego nocnych obserwacji uważa się za wymysły.

Jednak już następnej nocy znów zdarzył się w instytucie wypadek, który zniweczył wszystkie jego postanowienia. Mniej więcej o tej samej porze jak

poprzednio Jusuf zwrócił uwagę na ciche uderzenia młotka, które dochodziły od strony wejścia, przez które wdarła się wówczas nieznajoma. Jusuf pobiegł do drzwi, ile miał sił, starając się nie robić hałasu, i zobaczył, że drewniana deska, która była prowizorycznie przybita na zniszczonej szybie, została od zewnątrz zerwana. Jusuf zgasił latarkę, przełożył laskę z lewej ręki do prawej i cofnął się o kilka kroków. Usłyszał jeszcze, jak drzwi się otworzyły i z powrotem zamknęły; następnie zapalił latarkę i zawołał donośnym głosem: – Stać, ani kroku dalej!

Nie miał wątpliwości, że to ta sama nieznajoma kobieta, która włamała się tu poprzedniej nocy, i przez ułamek sekundy zaświtała mu w głowie myśl, że pierwsze włamanie służyło jedynie do przygotowania większego przestępstwa. Należało więc zachować największą ostrożność. Ze zdumieniem przyjął jednak Jusuf fakt, że kobieta przed nim, w świetle latarki – miała na sobie takie samo męskie ubranie jak ostatniej nocy – była nie uzbrojona i drżała z podniecenia. Nie miała też zamiaru uciekać, co byłoby łatwe, tylko pokornie zrobiła krok w kierunku Jusufa.

– Ani kroku dalej! – powtórzył Jusuf.

Kobieta usłuchała i przystanęła.

– Czego pani tu szuka? Już wczoraj panią widziałem!

Nieznajoma nie wydawała się wcale zdziwiona. – To tylko z powodu mumii – odparła, usprawiedliwiając się.

– No i co? – zapytał Jusuf.

Kobieta potrząsnęła głową zmieszana. Zamierzała odejść.

– Stać! – wykrzyknął Jusuf swym potężnym głosem, jego dźwięk zrobił wrażenie, co dodało mu odwagi, i powtórzył pytanie: – Chcę wiedzieć, czego pani tu szuka?

Wówczas kobieta sięgnęła do kieszeni marynarki. Jusuf wpatrywał się w nią, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Był pewien, że za chwilę padnie strzał i że już koniec z nim. Dopiero po chwili pojął, co teraz nastąpiło: kobieta wyjęła z kieszeni banknot dolarowy – Jusuf był zbyt poruszony, aby rozpoznać jego wartość – wyciągnęła rękę w jego stronę, następnie wyjąkała: – Chciałabym zobaczyć jeszcze raz mumię.

Jusuf przyglądał się na zmianę twarzy nieznajomej i dolarowi. Wyraz twarzy kobiety zdradzał, że myślała poważnie. O ile mógł poznać, chodziło o dwadzieścia dolarów. Allan jest miłosierny! Zapłata za cały miesiąc!

Właściwie Jusuf chętnie by się dowiedział, co kobietę skłoniło do takiej hojności, ale podeszły wiek i życiowe doświadczenie umocniły go w przekonaniu,

że nie warto pytać o przyczyny ludzkiej wspaniałomyślności. Wspaniałomyślność ogranicza się u większości ludzi do chwil, i teraz właśnie chwila taka nadeszła.

Jusuf wziął pieniądze i powiedział: – Niech pani idzie, mistress.

Niewiele brakowało, a Jacques Balouet zabiłby porcelanowym dzbanem pułkownika Smoliczewa w domu malarza Abd al-Aziza Suhajriego. Jacques i Raja Kurianowa myśleli, że są ścigani przez tego człowieka KGB z Asuanu, a co to oznaczało, dla obojga było zupełnie jasne.

Ale zanim jeszcze Balouet zdążył uderzyć leżącego na podłodze pułkownika, temu udało się uwolnić; Smoliczew ani nie uciekł, ani nie próbował ich atakować, tylko bez tchu, głosem, który u człowieka tego pokroju był czymś nowym, zaczął ich błagać, aby go przez chwilę wysłuchali.

Następnie bez długiego owijania w bawełnę Smoliczew wyjaśnił, że z powodu ich ucieczki naraził się Moskwie, i aby uniknąć odwołania ze stanowiska i kary, poszedł ich śladem.

Raja Kurianowa, z natury bardziej podejrzliwa niż Balouet, nie chciała uwierzyć Smoliczewowi; miała zbyt gorzkie doświadczenia z ludźmi z KGB i zażądała od pułkownika dowodu na to, że mówi prawdę. Ale Smoliczew nie miał żadnego dowodu. Błagał tylko swoich byłych agentów, aby go nie zdradzili.

Porządny człowiek KGB potrafi wszystkiego dowieść. Jeśli więc ktoś nie może dowieść szczerości swej brzemiennej w skutki wypowiedzi, to, zdaniem Baloueta, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, iż człowiek ten mówi prawdę. W istocie Smoliczew bardzo się zmienił; Raja nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek spotkała się z przypadkiem takiej zmiany w człowieku w tak krótkim czasie. Trudno było sobie wyobrazić, że pułkownik tylko gra.

Jego posępne, wyniosłe oblicze i kłujące spojrzenia przymrużonych oczu zamieniły się w strach. Inaczej niż dawniej, Smoliczew miał opuszczony wzrok, jakby chciał się schować przed swym rozmówcą. Jego zazwyczaj szybkie, kanciaste ruchy stały się teraz łagodne i ostrożne, a kroki, skradające się i powolne, przypominały ruchy starca. Choć widzieli się ostatnio przed kilkoma miesiącami, pułkownik wyglądał, jakby się postarzał o kilka lat. Teraz ten siejący postrach brutalny człowiek KGB zebrał o litość.

Jednak ani Jacques Balouet, ani Raja Kurianowa nie odczuwali najmniejszego współczucia dla tego mężczyzny, a Jacques początkowo nosił się z myślą, żeby zemścić się podstępnie na Smoliczewie i go zadenuncjować. Pułkownik wspomniał

jednak o dobrych kontaktach z władzami egipskimi i przedstawił im widoki na uzyskanie koniecznych papierów. Poza tym miał dostęp do depozytu, który wynosił prawie sto tysięcy dolarów i o którym nikt nie wiedział.

Mimo nieufności do niego, mężczyzna ów wydawał się Jacquesowi i Rai pożyteczny. Jacquesa interesował przede wszystkim depozyt, albowiem za dolary można było w Kairze osiągnąć wszystko.

Smoliczew nie chciał powiedzieć, w którym banku w Kairze znajdują się pieniądze i jak do nich doszedł; ale kiedy Balouet zaczął powątpiewać w prawdziwość tego depozytu, którym Smoliczew rzekomo dysponował, wówczas wyciągnął on plik dolarów z wewnętrznej kieszeni marynarki i położył je przed Balouetem na stole, wspominając jednocześnie, że jeśli potrzebują więcej, niech mu powiedzą.

Ten, kto miał do czynienia z KGB, wiedział, że rosyjskie służby tajne fałszowały dolary. Zresztą niezbyt dobrze, za co nawet kilku agentów wyleciało z posady. Dlatego Raja przesunęła plik banknotów z powrotem do Smoliczewa z pytaniem, czy to nie jest trik, czy on nie chce ich zwabić fałszywymi dolarami.

Pułkownik odparł, że on sam posługuje się tymi pieniędzmi, a na pewno nie używałby fałszywych banknotów.

Oczywiście Smoliczew nie działał całkiem bezinteresownie. Nazajutrz po ich nieoczekiwanym spotkaniu wyznał Jacquesowi i Rai, że jego celem jest Paryż i może mogliby mu – ręką rękę myje – tam dalej pomóc, jeśli on w Kairze wykorzysta swoje stosunki i załatwi im niezbędne papiery.

Powoli w Jacquesa wstępowała coraz większa nadzieja, jaką pokładał w porozumieniu z pułkownikiem. Raja natomiast pozostawała sceptyczna i stwierdziła, że taka świnia jak Smoliczew z dnia na dzień nie przemieni się w gołąbka i że trzeba pułkownika poddać próbie. Ale jak to zrobić?

Jacques i Raja postanowili więc zachowywać się wobec Rosjanina ostrożnie. Na zewnątrz stwarzali pozory ufności. Ale zastanawiali się nad każdym słowem, jakie przy nim wypowiadali, i próbowali potajemnie na własną rękę starać się o papiery.

Przyszło im to o wiele łatwiej, niż się spodziewali; bo zaledwie w dwa dni po przybyciu do bezimiennego pensjonatu Abd al-Aziz Suhajri zapukał do ich drzwi i oznajmił, że mają gości. Hassan, taksówkarz, który ich tu przywiózł, chce z nimi mówić; czy ma go tu przysłać?

Hassan zaskoczył ich wiadomością, że znalazł człowieka – co tam człowieka, artystę – który potrafi tak podrobić każdy paszport świata, że fałszywka nie będzie

się różniła od oryginału. Na dwa paszporty potrzebuje on dwa tygodnie i tysiąc dolarów amerykańskich, a on, Ali, chce skromną prowizję, powiedzmy dwadzieścia procent, jedną trzecią natychmiast, dwie trzecie po dostarczeniu wymaganych papierów.

Balouet odrzucił propozycję; żądanie było zbyt wygórowane. Poza tym postawił warunek, że chce zobaczyć próbkę pracy „artysty”.

Zachowanie Francuza nie obraziło Hassana, wprost przeciwnie, ponieważ ludzie, którzy akceptują wymaganą cenę bez sprzeciwu i targowania się, uchodzą w Egipcie za fajtlapy, a nawet za nieuprzejmych.

Wobec tego Hassan wrócił nazajutrz z próbką i następującą ofertą: 800 dolarów dla „artysty”, 150 dolarów dla niego. Wreszcie umówiono się na 750 dolarów dla fałszerza i sto dla Hassana za pośrednictwo.

Wzorcowy paszport francuski na nazwisko Francois Brasse, urodzonego 7 października 1921 w Grenoble, zamieszkałego w Grenoble, rue de Nations nr 147, wyglądał tak zdumiewająco autentycznie, że Balouet miał poważne wątpliwości, czy nie chodzi tu o oryginał dokumentu.

Wreszcie Hassan zaprowadził Raję i Jacquesa do pobliskiej drogerii. Szklane pojemniki wypełnione wodą kolońską ozdabiały wystawę. Wąskie pomieszczenie sklepu było zastawione szklanymi gablotkami i półkami. W środku mogło się zmieścić zaledwie pięciu klientów.

Kiedy Hassan wszedł z obcymi, młody drogista podniósł do góry drewnianą klapę lady i zaprowadził Jacquesa i Raję do pokoju za sklepem. Stała tam w ciemności ozdobna kanapa. Artysta zapalił światło i oto pomieszczenie okazało się atelier fotograficznym. Na potężnym statywie spostrzegli kamerę. Dwa reflektory z wielkimi okrągłymi żarówkami i czarnymi tekturowymi ekranami, wyklejone staniolem, służyły za oświetlenie.

Podczas gdy drogista ustawił się, aby im zrobić konieczne do paszportu zdjęcie, czynność, która za każdym razem kończyła się pstryknięciem i błyskiem aluminiowego flesza, Balouet uświadomił sobie, że Smoliczew dotychczas nie zażądał od nich ani danych personalnych, ani zdjęć do paszportu.

Stwierdzenie tego faktu wywołało na nowo nieufność i oboje postanowili obserwować pułkownika.

Bezimienni mieszkańcy domu Suhajriego nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów. O ile Balouet zdołał się po tygodniu obecności zorientować, pokoje w malowniczym pensjonacie wynajmowało około dziesięciu osób, w tym dwie pary małżeńskie. Schodzono sobie nawzajem z drogi. Większość nie była nawet skłonna

do słów pozdrowienia, kiedy się ich spotykało na korytarzu.

Smoliczewa w ogóle nie spotykano, tak że Balouet nawet zapytał Abd al-Aziza Suhajriego, gdzie się podziewa ten pan z pokoju naprzeciwko, wyglądający na Rosjanina. Jak się okazało, malarz dokładnie orientował się w zwyczajach swoich gości i odpowiedział na natarczywe pytanie Jacquesa, że mister z trzeciego piętra ma osobliwe przyzwyczajenie, mianowicie pozostaje przez cały dzień w swoim pokoju, a dopiero wieczorem się ożywia. Regularnie o dziewiątej opuszcza dom i rzadko wraca przed północą. Ale Abd al-Aziza to nie obchodzi – dopóki gość płaci regularnie czynsz. Czyżby się z nim posprzecziali?

O nie, zapewnił Balouet, zainteresował się tym mężczyzną tylko dlatego, że sprawiał on tajemnicze wrażenie i że przypomina z wyglądu Rosjanina.

Abd al-Aziz Suhajri wykonał teatralny gest, który stosują wszyscy Egipcjanie, oznaczający, że nie wie, skierował jednocześnie oczy ku niebu i odwrócił dłonie na zewnątrz jak Prorok Mahomet w obliczu Allaha, Najwyższego. On nie interesuje się mieszkańcami swojego domu; w końcu wszyscy są dziećmi Boga, nawet Rosjanie, którzy temu gwałtownie zaprzeczają. Już wielokrotnie gościł Rosjan u siebie i nigdy nie miał powodu do narzekań.

W każdym razie Balouet dowiedział się w ten sposób, kiedy Smoliczew zwykł był opuszczać pokój. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że Suhajri wiedział więcej o Smoliczewie, niż się do tego przyznawał. I nie ulegało wątpliwości, że także on sam i Raja znajdują się pod obserwacją. A więc wskazana była ostrożność.

Tego dnia, który spędzili beztrosko jak turyści, oglądając osobliwości Kairu – meczet Hassana, gdzie, jak głosi tradycja, przechowywane są relikwie Proroka i głowa wnuka Mahometa, znajdował się niedaleko od ich miejsca pobytu, podobnie Błękitny Meczet na Szari Bab al-Wazir – Raja i Jacques nie wrócili, jak to mieli w zwyczaju, tuż po zapadnięciu zmroku od razu do pensjonatu; zatrzymali się w pobliżu sklepu z dywanami, skąd mogli obserwować wejście, które prowadziło także do domu Suhajriego.

Niebo nad wąskimi uliczkami świeciło jasnym turkusowym blaskiem, o ile nie było zasłonięte szarymi płachtami, które służyły jako ochrona przed bezlitosnym słońcem; natomiast na ulicach rozpościerał się mrok. Lampiony i latarnie zaczarowywały brudne miasto w baśniową kulisę teatralną, w której roilo się od statystów, biegających tam i z powrotem na pozór bez celu. W powietrzu unosiły się gryzące zapachy kuchenne; mieszały się one z wonią słodkich wypieków i cierpkim zapachem skóry i farbowanej wełny.

Krótko po dziewiątej Smoliczew wyszedł ze sklepu z dywanami. Pułkownika

ledwie można było poznać. Przyciął sobie – na ile dało się to stwierdzić z odległości – krzaczaste brwi, przez co nabrał młodzieńczego wyglądu; poza tym miał na sobie płócienne ubranie, jakie noszą turyści z Zachodu, i słomkowy kapelusz, który sprawiał, że wyglądał dostojnie.

Smoliczew szedł pewnym krokiem, nie rozglądając się; przeszedł wąską uliczkę prowadzącą do rynku i skręcił na prawo od Szari al-Kabir, gdzie mieli swoje sklepy kramarze i drobni handlarze. Na wystawach tych domów oferowano tekstylia, obuwie i skórzane ubrania.

Dzień targowy się skończył. O tej porze żaden Egipcjanin nie kupował odzieży; ale byłoby to wbrew honorowi kairskiego handlarza zamykać z tego powodu sklep. Każdy z nich stał z sąsiadami, klientami i personelem przed sklepami i oddawał się lenistwu, a przede wszystkim plotkom, zjawisku społecznemu, które było tu uprawiane głównie przez mężczyzn.

Gdy Smoliczew, ze skrzyżowanymi rękami na plecach, szedł równym krokiem w dół ulicy, Jacques i Raja podążali za nim w bezpiecznej odległości tak, aby go nie stracić z oczu, ale też aby nie być rozpoznanym. Od czasu do czasu pułkownik przystawał, oglądał wystawę, ale Balouet gotów był przysiąc, że widzi, iż wcale nie interesują go wyłożone tam towary, a raczej odbicie w szybach wystawowych.

Smoliczew szedł dalej, zmieniał dwu-, trzykrotnie stronę ulicy, wreszcie opuścił Szari al-Kabir, przeszedł przez wysoką bramę z prawej strony i skręcił w wąską uliczkę.

Rzyko, że zostaną zauważeni, było teraz dla Rai i Jacquesa o wiele większe niż na szerokiej ulicy handlowej. Z drugiej strony groziło im niebezpieczeństwo, że jeśli się za bardzo oddalą od Smoliczewa, stracą go z oczu.

Pułkownik przebył może ze sto metrów wąskiej uliczki, kiedy nagle jakby się zapadł pod ziemię. Jacques i Raja podeszli do miejsca, gdzie ostatni raz go widzieli. Po lewej stronie wznosiły się tu rachityczne wysokie domy mieszkalne, przeważnie dwu- albo trzypiętrowe. W Kairze budowanie tak wysokich domów było na porządku dziennym, choć często dochodziło do zawalenia się budynków. Po prawej stronie znajdowały się również domy mieszkalne, prócz jednego, który zbudowano jako kawiarnię.

Ze środka dochodziła głośna muzyka. Trzej mężczyźni zabawiali gości płaczącymi melodiami granymi na starych instrumentach dętych i strunowych; w każdym razie tak brzmiały one w uszach Europejczyków. Dwa stopnie prowadziły z ulicy w dół do małego przedsionka ze zdobionymi małymi stolikami i wyczyszczonymi do połysku miedzianymi dzbankami. Wnętrze zasłaniała

artystycznie rzeźbiona drewniana krata z pnączami, kwiatami i ornamentami. Do właściwego lokalu prowadziło wejście z prawej strony, zasłonięte sznurkami koralików.

Rozsądek nakazywał Jacquesowi nie wchodzić dalej, albowiem jeśli Smoliczew ich zobaczy, będzie wiedział, że go śledzili, i w przyszłości będzie na nich uważał. A więc zawrócili na ulicę, aby pod osłoną bramy domu, skąd mieli widok na lokal, naradzić się, co robić dalej.

Fakt, że pułkownik zablądził właśnie do tego lokalu położonego na uboczu, gdzie bywali tylko tubylcy, nie mógł być przypadkowy. Nawet wysadzony z siodła pułkownik KGB, zauważyła Raja Kurianowa, dysponuje wystarczającymi kontaktami, przede wszystkim, jak się wydaje, z egipskimi urzędami.

Balouet był skłonny po półgodzinie zamienić niewygodny punkt obserwacyjny w bramie domu, na przyjemne miejsce w jednej z licznych restauracji na Szari al-Kabir, ale Raja powstrzymała go. Z właściwą sobie nieufnością, w każdej sytuacji wolała poczekać, aż Smoliczew znów wyjdzie z kawiarni, i nie dała się od tego odwieść, mimo iż Jacques przekonywał ją, że może to potrwać niejedną godzinę. Nie, argumentowała Raja, człowiek KGB nie przesiaduje w publicznym lokalu, a już na pewno nie rosyjski pułkownik.

Minęła dobra godzina i Balouet był już mocno rozgniewany z powodu uporu Rai, kiedy w drzwiach kawiarni pojawił się Smoliczew. Swój wytworny kapelusznik niósł w prawej ręce i zdawał się być w dobrym humorze.

– Raja! – wymknęło się Balouetowi. Pokazał ręką w kierunku wejścia. Zaniemówił, a także Raja, która przywarła łokciami do bramy domu, patrzyła w milczeniu na kobietę, wychodzącą za pułkownikiem z kawiarni: była to Hella Hornstein.

Oszołomieni, niemal ogłuszeni, obserwowali, jak pułkownik pożegnał się z doktor Hornstein, całując ją w rękę. Balouet jako Francuz uznał to za oczywiste, natomiast Raja, Rosjanka, przyjęła zachowanie Smoliczewa jako nienaturalne, a nawet śmieszne.

Podczas gdy pułkownik udał się drogą, którą przybył, Hella Hornstein poszła w przeciwnym kierunku, i choć Jacques i Raja byli dalecy od tego, aby szukać wytłumaczenia tego niezwykłego spotkania, wystarczyło jedno spojrzenie, i nie podążyli za Smoliczewem, tylko za doktor Hornstein, oczywiście w bezpiecznej odległości.

Zdumiało ich, że lekarka z Abu Simbel tak świetnie się orientowała w rozkładzie uliczek kańskiego starego miasta. Przede wszystkim Europejka musiała

być bardzo odważna, aby o tak późnej porze chodzić samotnie po Kairze.

Na Szari al-Azhar, bardzo ruchliwej ulicy, która prowadzi do meczetu o tej samej nazwie, Hella podeszła do postoju taksówek i wsiadła do rozklekotanego auta. Jacques i Raja pojechali za nią drugą taksówką.

Jazda taksówką jest w Kairze zawsze przygodą, ale ścigać jedną taksówką drugą – to graniczy z samobójstwem i wymaga zręczności akrobaty. Banknot jednofuntowy w ręku Jacquesa pozwolił kierowcy zapomnieć o zasadach ruchu drogowego, a także o wszystkich innych użytkownikach dróg w Kairze – prócz jednego samochodu, który należało gonić.

Pierwsza taksówka jechała przez Midan al-Ataba obok okazałego budynku poczty i słynnej opery do Szari Imad ad-Din, która dochodziła do wytwornej ulicy Kairu, Szari Ramsis, skąd jest już niedaleko do dworca głównego.

Przed jedną z kamiennych bram Hella Hornstein wysiadła. Raja została w aucie, mając na oku czekającą taksówkę, Balouet zaś udał się za lekarką. Ta poszła na tyły bocznego budynku, gdzie na długich brudnych ścianach wisiały skrytki bagażowe.

Z jednej ze skrytek doktor Hornstein wyjęła torbę podróżną oraz czarną walizkę i z tym bagażem wróciła do taksówki.

Taksówka znów ruszyła, tym razem w kierunku zachodnim; wreszcie w pobliżu Mostu 26 Czerwca skręciła do hotelu „Omar Chajjan”, pałacu, który został zbudowany przed stu lary, i od początku przeżywał zmienne koleje losu. Usytuowany w parku, pomiędzy wysokimi palmami i fontannami, sprawiał wrażenie budowli z tysiąca i jednej nocy.

Z bezpiecznej odległości Raja i Jacques obserwowali, jak kierowca przeniósł bagaż Helli z auta do recepcji hotelu. Lekarka sprawiała wrażenie pewnej siebie; zapłaciła kierowcy i zniknęła w hallu.

Teraz Jacques i Raja wiedzieli wprawdzie, gdzie zatrzymała się doktor Hornstein, ale wciąż nie znali przyczyny jej spotkania ze Smoliczewem. Niespodziewane spotkanie obojga nasunęło wiele pytań. Raja pierwsza wyraziła podejrzenie, że doktor Hornstein również pracowała dla pułkownika.

Byłoby to całkowicie zgodne z metodami działania KGB: wyznaczało ono do tej samej sprawy wielu agentów, którzy nawzajem nic o sobie nie wiedzieli. Balouet mógł się więc obawiać, czy przypadkiem on, donosiciel i szpicel, podczas całego swego pobytu w Abu Simbel, nie był obserwowany i kontrolowany przez doktor Hornstein. Również pojawienie się w Abu Simbel pułkownika Smoliczewa, o którym nikt by nawet nie wiedział, gdyby Raja nie rozpoznała go na zdjęciu,

wymagało wyjaśnienia.

Jak się miało natomiast nocne spotkanie w kairskiej kawiarni do ich sytuacji? Czy Smoliczew okłamał Jacquesa i Raję? Czy jego domniemane wyrzucenie z KGB było podstępem, aby ich zwabić w zasadzkę?

– Boję się – powiedziała Raja, kiedy Balouet poprosił taksówkarza, aby ich zawiózł do pensjonatu Suhajriego.

Punktualnie o siódmej konduktor zapukał do przedziału sypialnego, którym podróżował Kaminski. – Mister, już siódma, życzył pan sobie, aby go obudzić!

– Dziękuję! – zawołał zaspany Kaminski z koi.

Około dziewiętnastej wsiadł w Asuanie do nocnego pociągu do Kairu i z nadzieją, że się wyśpi, wziął bilet pierwszej klasy. Przedział sypialny węgierskiego wagonu był ze wszech miar komfortowy. Wyściełana ławka, na noc podnoszona, służyła jako łóżko. Za wykładaną drewnem ścianą znajdowała się niewielka szafa na ubranie z przesuwanymi drzwiami; kąt na lewo, obok okna, które można było zasłonić roletą, zajmowało lustro, ono zaś za naciśnięciem guzika zamieniało się w umywalkę.

Turkot, kołysanie i podskakiwanie pociągu sprawiały, że nie przyzwyczajonemu Europejczykowi trudno było zasnąć; kiedy wreszcie zmęczony monotonnym stukotem kół przysnął, około północy obudził go zgrzyt hamulców. Kaminski wyjrzał przez okno i stwierdził, że pociąg przybył do Luksoru, a więc trzeba zmieniać lokomotywę.

– Gdzie jesteśmy? – zawołał Kaminski przez zamknięte drzwi przedziału, a konduktor odpowiedział: – Między Asjutem i Minią, mister. Życzy pan sobie na śniadanie kawę czy herbatę?

– Zjem w wagonie restauracyjnym – odpowiedział Kaminski. Nie wyobrażał sobie, aby w tym ciasnym przedziale podnieść do ust filiżankę tak, aby nie wylać jej zawartości.

Już sama toaleta poranna wymagała nie lada zdolności ekwilibrystycznych i umiejętności wyrzeczeń jogina; ze staroświeckiego nikłowanego kranu bowiem woda ledwie kapiała nierytmicznie. Kaminski łapał cenną kroplę w obie dłonie, ale za każdym razem, kiedy złapał już tyle, że wystarczyłoby do przemycia oczu, wyboiste tory sprawiały, że cały zapas się marnował. O goleniu w ogóle nie mogło być mowy, tak więc Kaminski w dość ponurym nastroju udał się na śniadanie do wagonu restauracyjnego.

W wagonie unosiły się kłęby dymu z powodu wątpliwych prób przyrządzania cienkich grzanek z białego chleba.

Kaminski usiadł przy biało nakrytym stoliku, zamówił herbatę i, z wiadomego

powodu, biały chleb, nie opiekany w tosterze, do tego żółtą marmoladę – innej nie było. Czuł, że obserwuje go młody mężczyzna o kędzierzawych włosach. Ale ponieważ w ostatnim czasie wszędzie czuł, że jest inwigilowany, porzucił tę myśl i zaczął smarować chleb wodnistym masłem i marmoladą.

– *Excuse me!* – Nagle stanął przed nim młody człowiek, który go już od jakiegoś czasu śledził. – Proszę mi wybaczyć – powtórzył po niemiecku – czy mogę się do pana przysiąść?

– Nie mogę panu w tym przeszkodzić – burknął Kaminski niechętnie.

– Nazywam się Mike Mahkorn, jestem dziennikarzem. Przyjechałem z Niemiec. – A Kiedy Kaminski nie reagował, mówił dalej: – Pan nazywa się Artur Kaminski, jest pan tym człowiekiem, który odkrył mumię królowej?

– Nie nazywam się Kaminski i w ogóle nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie...

– Mahkorn. Mike Mahkorn.

– Nie interesuje mnie zresztą, jak się pan nazywa. Chciałbym tylko w spokoju zjeść śniadanie, jeśli pan pozwoli.

Nieznajomy był jednak uparty. Wyjmując z kieszeni wycinek z gazety, powiedział niemal z wyrzutem: – Niech pan posłucha, panie Kaminski, przeleciałem 3000 kilometrów, tłukłem się tą przeklętą koleją całą noc, nie zmrużywszy oka, to wszystko po to tylko, aby z panem porozmawiać!

Mahkorn położył wycinek z niemieckiej gazety obok filiżanki Kaminskiego. Trzyszpaltowy artykuł nosił tytuł Skarb z Abu Simbel; była tam również fotografia z podpisem: Artur Kaminski, odkrywca czy oszust?

Kaminski przebiegł wzrokiem artykuł. Reporter nie spuszczał z niego oka. Wreszcie Kaminski podniósł głowę i zapytał pojednawczym tonem: – I co chciałby pan wiedzieć? Iii przecież jest wszystko napisane! – Przesunął artykuł obojętnie w stronę dziennikarza, ale w rzeczywistości był tak przestraszony, że najchętniej by się zerwał i uciekł. Ale co by to dało?

Mahkorn uśmiechnął się zarozumiale; był pewny siebie i wiedział, że Kaminski nie mógł się wykręcić. – Chcę po prostu wiedzieć wszystko, panie Kaminski; ani mniej, ani więcej. Na przykład, jaką rolę odegrała w całej sprawie doktor Hornstein.

– Niech pan wyłączy tę kobietę z gry! – Kaminski stawał się wściekły.

Młody człowiek nie dał się zastraszyć: – Czy to znaczy, że działał pan, by tak rzec, z sympatii do tej kobiety i dlatego, że jej życzeniem było zachować w tajemnicy odkrycie mumii? Dlaczego pan tak postąpił?

Kaminski jadł głośno chleb; następnie po raz kolejny zamieszał herbatę i wyglądając przez okno oraz patrząc na Nil, który rozciągał się przed nim jak na ekranie, odpowiedział obojętnie: – O ile wiem, przewieziono mumię do Kairu. Nie mam z tym więcej nic wspólnego. A zatem niech mnie pan zostawi w spokoju.

Kaminski nigdy jeszcze nie miał do czynienia z dziennikarzem; nie umiał postępować z takimi ludźmi, tak więc znalazł się z góry na straconej pozycji.

Reporter wyjął małe cygaro z czarno-złotego pudełka, zapalił je i wypuścił dym pionowo w powietrze. – Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza – powiedział, i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Niech pan posłucha, panie Kaminski, może pan oczywiście udawać, że pan niczego nie wie albo że jest pan niechętny, ale niech pan nie myśli, że to panu coś pomoże. Niech pan przede wszystkim nie myśli, że tym samym wyłączy się pan ze sprawy. Jeśli nie udzieli mi pan informacji, będę skazany na domysły, a domysły mogą być dla pana jeszcze bardziej nieprzyjemne niż prawda. Ja i tak napiszę mój artykuł – już chociażby po to, aby mi się zwróciły koszty. Powinien pan być tego świadomy, panie Kaminski.

Równie niezręczna, jak i bezczelna groźba dziennikarza odniosła skutek. Kaminski się zastanawiał; oczywiście nie wiedział, jakimi informacjami Mahkorn już dysponował, ale należało się obawiać, że ten człowiek może spowodować wiele nieszczęścia. Przede wszystkim interesowało Kaminskiego, czy dziennikarz wie, gdzie teraz przebywa Hella.

Nie mógł zapomnieć o Helli, zajmowała jego umysł coraz bardziej, im więcej czasu upływało od owej straszliwej nocy w hotelu w Asuanie. Z czasem coraz bardziej starał się zbagatelizować zdarzenie owej nocy.

Oczywiście Hella wcale nie chciała go zamordować. Być może chciała go tylko na krótki czas uśpić; być może chciała uczynić coś, o czym on nie powinien był wiedzieć. W Kaminskim znów odżyło owo dziwne uczucie więzi z Hellą Hornstein, które go tak fascynowało. Czuł ową niepowtarzalną więź z przeszłością, dla której nie mógł znaleźć wytłumaczenia.

Chwile takie jak ta w ciągu minionych dni powtarzały się coraz częściej, a jego reakcja była zawsze taka sama: Kaminski pragnął odnaleźć Hellę. Był pewien, że rozmowa wszystko by wyjaśniła i mumia przestałaby być kością niezgody między nimi.

Mike Mahkorn poznał, że jego rozmówca myślami był daleko stąd. Nie przeszkadzał mu, aby go nie rozżłościć, doświadczenie bowiem nauczyło go, że trudno jest zmienić decyzję człowieka, który raz powiedział „nie”.

Reakcja Kaminskiego była dla reportera całkiem nieoczekiwana: – Dlaczego

mnie pan o to pyta? Dlaczego nie zapyta pan doktor Hornstein?

Pytanie zostało zrećnie postawione, albowiem teraz Mahkorn musiał puścić farbę.

Dziennikarz odpowiedział: – Nie mam pojęcia, gdzie znajduje się doktor Hornstein. Jej ślad urwał się w Asuanie. Ta kobieta jakby się zapadła pod ziemię. A pan nie wie, gdzie ona może być?

Kaminski odsunął na bok nakrycie do śniadania. – Nie – odpowiedział mrukliwie. – Ale nawet gdybym wiedział, raczej nie powiedziałbym panu. Poza tym mój stosunek do Helli Hornstein jest moją prywatną sprawą.

Wcale tego nie chcąc, Kaminski wciągnął się już od dawna w interview. I zanim to dotarło do jego świadomości, między oboma mężczyznami potoczyła się rozmowa.

– Mógłbym panu pomóc – powiedział Mahkorn – oczywiście jeśli pan sobie życzy, w poszukiwaniu Helli Hornstein. Wie pan, my, ludzie prasy, mamy własne metody...

Kaminski nastawił uszu. Wiele słyszał o dziennikarzach, którzy potrafią wytropić ślad człowieka nawet w dalekich krajach. Adolf Eichmann, morderca Żydów, na długo przedtem, zanim go odnalazły tajne służby, został wytropiony przez dziennikarza. Być może ten wścibski typ rzeczywiście mógłby mu pomóc w odnalezieniu Helli.

On sam nawet by nie wiedział, jak się do tego zabrać. Czy miał szukać Helli w Asuanie, w Luksorze, a może w Kairze? Czy miał stanąć na ruchliwym placu i rozglądać się za nią? A może miał odwiedzać wszystkie hotele? Jeszcze się nad tym nie zastanawiał. Być może ten Mahkorn zjawił się przed nim jak na zawołanie.

– Niech pan posłucha – powiedział Kaminski i zaczął od ceremonialnego wstępu: – Zależy panu na mojej historii.

– Dlatego tu jestem.

– Mnie zależy tylko i wyłącznie na odnalezieniu Helli Hornstein. Pańska story w ogóle mnie nie interesuje. Ale jeśli jest ona ceną za to, że mi pan pomoże znaleźć Hellę Hornstein, gotów jestem z panem rozmawiać. Zakładając...

– Zakładając co?

– ... że napisze pan prawdę, a więc to, co panu powiem, bez żadnych spekulacji.

Mahkorn podał Kaminskiemu ręką przez stół: – Zgoda!

– Zgoda!

Oczywiście Kaminski nie miał zamiaru opowiadać Mahkornowi wszystkiego. Na pewno nie powie mu o swoim uzależnieniu od Helli. Ale że miał zamiar

sprzedać mumię – czemu nie. Myśl nie jest karalna, a wydarzenie zostało potwierdzone w dokumentach. Kaminskiemu nie pozostało nic innego, jak przyznać się publicznie.

– Czy bardzo pan kocha tę kobietę? – Mahkorn sprowadził Kaminskiego na ziemię.

– Tak, kocham tę kobietę – odpowiedział Kaminski poważnym tonem. – Wiele się wydarzyło. Muszę z nią porozmawiać.

– A jak pan sądzi, gdzie doktor Hornstein może teraz być? Mam na myśli, czy ma ona jakieś miejsce, gdzie by się mogła zatrzymać?

Kaminski wysunął dolną wargę do przodu i zmarszczył czoło. – Hella, doktor Hornstein, zachowuje się od pewnego czasu nieobliczalnie. Opowiada historie, które nie mają żadnego sensu. Czasem mam wrażenie, że postradała zmysły, ale...

– Ale co?

– To wykluczone. Rozumie pan, Hella Hornstein jest wykształconą, błyskotliwą niewiastą. Nie spotkałem w swoim życiu kobiety, u której piękność i mądrość byłyby tak bardzo ze sobą zespolone.

Mahkorn oparł się łokciami na stole i patrzył na poplamiony obrus. Entuzjastyczne słowa Kaminskiego najwidoczniej zrobiły na nim wrażenie. – To nie ma nic wspólnego z urodą – powiedział zamyślony. – Doświadczenie uczy, że właśnie mądrzy ludzie wykazują cechy schizoidalne. Są to wspaniali ludzie, koryfeusze w swojej dziedzinie, ale w życiu codziennym należy ich mierzyć szczególną miarą.

Schizofrenia. Myśl ta uderzyła Kaminskiego jak maczuga. On sam zajmował się już tym problemem. Ale nie w związku z Hellą. Kaminski myślał o własnym zachowaniu. I znów pojawiła się przed nim wykrzywiona twarz mumii, którą widział w gabinecie Helli, i mumia, która leżała na łóżku Helli. Być może to mu się tylko śniło, albo i nie. W każdym razie nie mógł zaprzeczyć, że wszystko to przeżył w jakiejś konkretnej formie. Czy nie powinien się obawiać, że sam ma urojenia?

Ludzie, którzy wątpią w swój rozum, powiedział sobie, nigdy nie są schizofrenikami, tylko tacy, którzy twierdzą, że są całkiem normalni. Kaminski czuł, jak jego umysł pracuje, jak jego pamięć scala odłamki myśli, aby znaleźć wytłumaczenie; jednak wszystkie te myśli przynosiły mu tylko udrękę, stał się rozdrażniony i zmęczony i nie posunął się ani o krok dalej w swoich rozważaniach.

Pociąg dojechał do Minii, brzydkiej przemysłowej stolicy prowincji. Do Kairu było jeszcze dobre trzy godziny; Kaminski i Mahkorn woleli prowadzić dalszą rozmowę w przedziale.

Kabina sypialna została tymczasem przez konduktora przemieniona w wygodny przedział i obaj siedzieli teraz obok siebie w kierunku jazdy na wyściełanej aksamitem ławce.

Kaminskiemu bardzo to odpowiadało; w ten sposób nie czuł się tak bardzo obserwowany przez dziennikarza jak poprzednio. Kontynuowali więc rozmowę, podczas której wyglądali przez okno. Soczysta zieleń pól i łąk nad Nilem i leniwie tocząca się za nimi rzeka działały uspokajająco.

Artur powoli zaczął nabierać zaufania do natrętnego reportera. Był nawet rad, że spotkał Mahkorna, bo dotychczas nie miał możliwości rozmowy z kimś neutralnym o swoich problemach z Hellą. Choć Mahkorn był młody – miał zaledwie dwadzieścia osiem lat – posiadał duże doświadczenie i dobrze znał ludzi, a jego umiejętność rozwijania myśli i naświetlania jej z różnych stron sprawiała, że Kaminski za jego pośrednictwem rewidował własne doznania.

Podczas gdy pociąg pędził – obaj mieli wrażenie, że jego prędkość rosła, w miarę jak przybliżali się do stolicy – Kaminski zaczął opowiadać, jak przypadkiem natknął się na wejście do grobu pod swoim barakiem i jak powierzył swoją tajemnicę nieprzystępnej doktor Helli Hornstein, niespodziewanie zyskując sobie tym jej przychylność. Opowiedział o jej namiętności i o dziwnym zachowaniu, o krwawych piętach, które pojawiły się na ich rękach podczas odsuwania wieka sarkofagu; następnie o zielonym skarabeuszu, którego wyjął mumii z ręki i którego Hella Hornstein od tej pory strzegła jak oka w głowie.

Mahkorn siedział, robił notatki i potrząsał od czasu do czasu z niedowierzaniem głową, kiedy opowieść Kaminskiego stawała się zbyt fantastyczna i nieprawdopodobna.

– Zdaję sobie sprawę – rzekł Kaminski – iż niejedno nie pozwala traktować mnie jak poważnego człowieka. Zapewne uważa pan moją historię za mocno przesadzoną.

– Ale skądże! – przerwał Mike Mahkorn. – Gdyby pan opowiadał zwyczajne historie, nie siedziałbym tu.

– A więc pan mi wierzy?

– Oczywiście. Życie składa się z szaleństw. Gazety i pisma ilustrowane żyją z tego. Niewiele jest spraw powszednich, które warto opisywać. Jednakże w pańskim wypadku powstaje problem wyjaśnienia pańskich przeżyć.

– Wyjaśnienia czego? Odkrycia mumii? To był przypadek, czysty przypadek!

– Nie o tym myślę. Chodzi mi raczej o wydarzenia późniejsze.

Kaminski pokręcił głową. – Że też wy, dziennikarze, zawsze chcecie wiedzieć,

co się kryje za każdą historią.

– Ma pan rację. Ale tu nie chodzi o naszą osobistą ciekawość, tylko o ciekawość naszych czytelników. Czytelnik chce wiedzieć, jakie są przyczyny tego lub innego wydarzenia. Poza tym to, co pan mi właśnie opowiedział, stanowi tylko połowę historii.

Kaminski był rad, że nie opowiedział Mahkornowi wszystkiego. Wyobrażał sobie jego reakcję, gdyby opowiedział, jak Hella w łóżku w jednej chwili zmieniała się w mumię Bent-Anat. Prawdopodobnie uznałby go za szaleńca.

Mahkorn próbował spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia. – Niech pan powie – rzekł obojętnie – co jest właściwie z tym zielonym skarabeuszem?

Kaminski uniósł w górę brwi. Dotychczas nie poświęcał temu niepozornemu przedmiotowi zbyt wiele uwagi. Raz tylko zdziwiło go, dlaczego Hella nosi tego chrząszcza stale przy sobie – ale nie znalazł na to odpowiedzi i więcej się nad sprawą nie zastanawiał. Nie przyszło mu do głowy, że chrząszcz mógłby mieć coś wspólnego z tajemniczym zjawiskiem. Mahkorn natomiast miał takie przeczucie; uważał, że symbolika skarabeusza sięga dalej ponad to, iż był przedmiotem wkładanym zmarłym do grobu.

– Nie wiem, o czym pan myśli – rzekł Kaminski. – Zielony chrząszcz jest tak mały jak gołębie jajko i mieści się w garści. Niewiele ich się zachowało. Służyły kiedyś jako symbole boga słońce i były wkładane zmarłym do grobów jako amulety. Przeważnie miały na odwrotnej stronie napisy.

– Czy skarabeusz, którego wyjął pan z ręki mumii królowej, miał także jakiś napis?

– Tak, oczywiście. Były na nim maleńkie hieroglify.

– Ale nie wie pan, jakie jest znaczenie tych znaków?

– Skąd mam to wiedzieć? Jestem inżynierem, nie egiptologiem; a nawet tym często z trudem przychodzi rozwikłanie owych napisów.

– A doktor Hornstein?

– To dziwna sprawa. Hella wykazywała niekiedy zdumiewającą znajomość historii starożytnego Egiptu. Czasem przyłapywałem ją na tym, jak deklamowała niezrozumiałe dawne teksty; to znaczy, przypuszczałem, że chodzi o teksty egipskie. A wówczas, kiedy odkryliśmy na naszych dłoniach wypalone imiona, Hella przeraziła się bardziej niż ja. Ja widziałem tylko czerwone znaki na rękach, Hella zaś sprawiała wrażenie, że zna ich sens, i robiła wszystko, abym ja się o tym nie dowiedział.

– Ale udało się panu dowiedzieć, jakie jest ich znaczenie?

– Tak. Na moim ręku wypalone było imię Ramzesa, na ręku Helli można było odczytać imię Bent-Anat.

– A co się stało ze skarabeuszem? Czy Hella Hornstein jeszcze go ma?

– Jestem o tym przekonany. Zawsze nosi go przy sobie.

Marikom wstał i stanął przy oknie. Zastanawiał się. Miał już do czynienia z najbardziej nieprawdopodobnymi historiami, obcował z fałszerzami, mordercami kobiet, szpiegami i rozwinął w sobie umiejętność nakłaniania do mówienia ludzi, którzy wcale nie mieli powodu, aby wszystko ujawniać opinii publicznej. Udało mu się to również z Kaminskim. Wiele wskazywało, że za tym zdarzeniem, o którym pisało już tyle gazet, kryje się bardziej skomplikowana historia. Z pewnością odkrycie mumii królowej było fascynujące; Mahkorn jednak zaczął się powoli coraz bardziej interesować związkiem między Arturem Kaminskim i Hellą Hornstein.

Dziennikarz wiedział, że nie wolno mu zdenerwować swego rozmówcy. Najlepiej, gdyby Kaminski wcale nie zauważył, że historia odkrycia archeologicznego interesuje go mniej niż ów nieszczęsny związek obojga. I oczywiście wiedział dobrze, że Kaminski nie wyznał mu wszystkiego. Ale też nie mógł tego oczekiwać od mężczyzny, którego znał zaledwie od dwóch godzin. Teraz chodziło przede wszystkim o to, aby pozyskać zaufanie inżyniera.

Kiedy Mahkorn zapalił cygaro, a smugę dymu rozpedził ręką, znów usiadł. Wypuścił dym, jak to miał w zwyczaju, przez nos, następnie zapytał, spoglądając przez okno: – Jak pan sądzi, jak zachowałaby się Hella Hornstein, gdyby pan ją znów spotkał?

– Trudno powiedzieć – odparł Kaminski. – Faktem jest, że uciekła.

– Dlaczego uciekła?

Kaminski nabrał powietrza. – Istnieje wiele przyczyn. Być może wstyd jej było, że nasze przedsięwzięcie się nie powiodło. Może też wierzy, iż popełniła perfidne morderstwo. Albo... – Kaminski urwał i po namyśle mówił dalej: – Krążyły pogłoski w Abu Simbel, że sowieckie tajne służby wetknęły swoich agentów na budowę. Dwoje z nich znam, pomogłem im nawet w ucieczce. Ale kto wie, czy ci dwoje byli jedynymi szpiegami Moskwy w Abu Simbel...

– Chyba nie myśli pan poważnie, że Hella Hornstein mogła pracować dla KGB? Jakie znaczenie miałyby dla niej wówczas mumia Bent-Anat? Czy takie przypuszczenie ma w ogóle sens?

Kaminski kiwał głową. – W domu Helli znalazłem pewnego dnia list napisany na maszynie, w języku rosyjskim, bez nadawcy. Hella się przeraziła, kiedy

zagadnąłem ją o ten list, i natychmiast spytała, czy znam rosyjski. Kiedy zaprzeczyłem, roześmiała się. Dziś powiedziałbym, że roześmiała się z ulgą, i schowała list do pudełka, wyjaśniając, że chodzi o dawną przyjaźń. Uczyła się w szkole rosyjskiego, ale z trudem jej przychodzi tłumaczenie listu. Wówczas wydało mi się to bez znaczenia.

– To ciekawe – stwierdził Mahkorn i strząsnął popiół cygara z marynarki. – Być może historia przybierze jeszcze całkiem inny obrót. Jeśli dobrze pana rozumiem, suponuje pan, że doktor Hornstein zaczął się palić grunt pod nogami i wołała zniknąć, kiedy zyskała niechcianą popularność. A to by wówczas znaczyło, panie Kaminski, że wyciągnęliśmy niedobre karty.

– Jak pan to rozumie?

– Często zajmowałem się tematami szpiegowskimi. Dotyczyły one zawsze konfrontacji Amerykanów i Rosjan. A więc wiem coś niecoś o obyczajach CIA i KGB. Są one zresztą w zdumiewający sposób podobne do siebie. Niech pan nie wierzy, że amerykańscy agenci są porządniejsi od rosyjskich. Wszyscy sprzedali swoją skórę i próbują, jeśli przyjdzie co do czego, ratować własną głowę od stryczka.

– Co pan miał na myśli mówiąc, że wyciągnęliśmy niedobre karty?

– Tajne służby najbardziej boją się wówczas, kiedy ich agent trafia na czołowe strony gazet w związku ze sprawą, która nie ma nic wspólnego z ich działalnością agenturalną. Albowiem znany agent jest złym agentem, a doświadczenie uczy, że agent, który stał się popularny, długo nie pożyje.

Kaminski popatrzył Mahkornowi w twarz. Ten zgasił w popielniczce pod oknem cygaro.

– Przykro mi, jeśli pana nastraszyłem. Ale to jest sytuacja, w jakiej znajduje się Hella Hornstein – zakładając, że sprawa wygląda tak, jak przypuszczamy. Niezależnie od tego, która wersja jest prawdziwa, niełatwo będzie odnaleźć tę kobietę; w każdym bowiem wypadku ma ona powody, aby zatrzeć za sobą ślady.

Od czasu, kiedy odkrycie mumii wyszło na jaw, upłynęły dwa tygodnie, i rozgłos, jaki nadano sprawie, oraz próba przeszmuglowania jej za granicę, były ogromne. Budziły się też wątpliwości, czy rzeczywiście chodziło tu o mumię Bent-Anat. Brytyjscy egiptolodzy – którzy od 150 lat cieszą się wielkim uznaniem w Egipcie – twierdzili, że jest niemożliwe, aby w tym miejscu pochowano królową. Niektórzy specjaliści wyobrażali sobie, iż Bent-Anat, druga żona, mogła być pochowana w odległości rzutu kamieniem od świątyni Nefretari, najukochańszej żony Ramzesa.

Żółta parna jesień była tego roku wyjątkowo nieprzyjemna. Nad Kairem panował ciężki upał. Podmuchy wiatru przynosiły tylko niewielkie ochłodzenie. Nawet za dnia szare chmury piasku pustynnego zaciemniały niebo. W takim dniu jak ten rosła liczba nieszczęśliwych wypadków na drogach; zwiększała się też wyraźnie liczba zgonów spowodowanych atakami serca.

Profesor al-Hadżdż, patolog o byczym karku i specjalista od mumii, również walczył z dokuczliwościami pogody. Powietrze nad górami na wschodzie zdawało się migotać, a paraliżująca, ciężka atmosfera sprawiała, że pot zalewał mu twarz. Mimo to al-Hadżdż przeżywał wielki dzień.

Od dwudziestu lat interesował się on szczególnie anatomią patologiczną, dziedziną wiedzy, która w przypadku większości naukowców wywołuje zarówno pobłażanie, jak i podziw; przede wszystkim zajmował się nauką o mumiach, trudną dziedziną wiedzy w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu, ale ważną dla badań nad dawnym Egipcie.

Tego ranka al-Hadżdż pojawił się w instytucie jako jeden z pierwszych. Miał na sobie dwurzędowy garnitur z jasnego płótna, który znakomicie maskował jego tuszę. W końcu na to wydarzenie zostali zaproszeni nie tylko naukowcy, lecz także dziennikarze z całego świata, i on sam czuł się w pewnym sensie jak Howard Carter, który przed 45 laty otwierał grobowiec Tutanchamona w obecności wielu ludzi.

W porozumieniu z członkami specjalnie w tym celu utworzonej komisji, do której należeli także egiptolog i archeolog dr Hassan Muchtar, Ahmed Abd al-Kadir z Muzeum Egipskiego i archeolog niemiecki Istvan Rogalla, zamierzano, w

celu usunięcia wszelkich wątpliwości, wziąć próbkę tkaniny, jaką była owinięta mumia, o ile to możliwe nie uszkadzając jej.

Spodziewano się przy tej okazji odnaleźć skarabeusza, na którego spodniej stronie mogło być wypisane imię mumii, albowiem brakowało jeszcze dowodu, że w przypadku mumii znalezionej w pokrytym napisami sarkofagu istotnie chodzi o Bent-Anat. W historii egiptologii wszak było wiele przykładów, kiedy to nawet faraonów znajdowano w grobowcach innych królów.

Mając poniekąd na względzie własną popularność, profesor al-Hadżdż zorganizował badanie w największej sali swojego instytutu. Wymagało to wprowadzić przeniesienia wielu instrumentów i przyrządów, ale za to na trybunach biegnących wokół sali znalazło miejsce ponad sto zainteresowanych osób.

Mumia leżała już na ruchomych noszach z metalowych rurek, przykryta dużym kawałkiem białego płótna, kiedy o godzinie dziesiątej zaproszeni goście zasiadali na opuszczanych krzesłach, umieszczonych amfiteatralnie. W cichym gwarze zebranych wyczuwało się napięcie, jak przed niezwykłą premierą teatralną. Fotografowie z gotowymi do zdjęć aparatami tłoczyli się w pierwszym rzędzie. Dwa zespoły filmowe uplasowały się po obu stronach sali. Wówczas to wszedł na salę profesor al-Hadżdż w towarzystwie Rogalla, Abd al-Kadira i doktora Muchtara.

Nawet al-Hadżdż, dla którego ten dzień oznaczał ukoronowanie jego zawodowej kariery, nie spodziewał się takiej reakcji zgromadzonych: zaczęli oni bowiem klaskać, jak gdyby to nie wykładowca wszedł na salę, tylko aktor na scenę, a gesty, którymi al-Hadżdż próbował protestować, sprawiały wrażenie, że przed publicznością stoi nieporadny mały człowiek o kanciastych ruchach, niczym nowicjusz przed pierwszymi ślubami.

Al-Hadżdż, Rogalla i al-Kadir zajęli miejsca za noszami, Muchtar zaś stanął przed zebranymi i w krótkich słowach poinformował o czasach, z których pochodzi mumia, i o koligacjach rodzinnych Ramzesa II. Muchtar nie wspomniał o okolicznościach, w jakich mumia została odnaleziona i trafiła do Kairu, ale dał wyraźnie do zrozumienia, że to on kierował pracami wykopaliskowymi.

Patolog w swoim wystąpieniu ograniczył się do ogólnych założeń, dotyczących badania mumii i do pierwszych wyników badań nad obiektem, jak nazwał mumię. Na podstawie analiz chromatograficznych – przy czym jedna z metod znanych od stu lat określała skład organiczny użytych do mumifikacji substancji – stwierdzono bezspornie, że żywice i tłuszcze pochodzą z czasów Nowego Państwa. Analizy porównawcze mumii Sethy'ego I i Ramzesa II przyniosły takie same rezultaty.

Drugie, jeszcze bardziej precyzyjne badanie fizyczne według metody radiowęglowej potwierdziło to, przy czym badano włos mumii pod względem intensywności promieniowania. Wszystkie organizmy, jak wyjaśnił profesor, przyjmują zawarty w promieniowaniu kosmicznym radioaktywny węgiel, który po śmierci istoty żywej bardzo wolno się rozpada i którego intensywność promieniowania można mierzyć. Tą metodą z dokładnością do 50 lat określono wiek mumii na 3220 lat. Śmierć kobiety mogła więc nastąpić około roku 1250 przed Chrystusem.

Wśród słuchaczy rozszedł się szmer uznania.

– Ale dowody! – zawołał jeden z dziennikarzy. – Nie ma żadnych dowodów, że chodzi tu o żonę Ramzesa! Teoretycznie może to być jakakolwiek mumia z czasów około 1250 roku.

– Ma pan całkowitą rację – Muchtar przyszedł profesorowi z pomocą – ale właśnie dlatego zwołaliśmy to spotkanie. Odsłoń teraz mumię, i mam wielką nadzieję, że otrzymamy jakiś dowód albo wskazówkę dotyczącą imienia królowej.

– Czy to prawda, że odkrywca, inżynier z Abu Simbel, za brał wszystkie przedmioty, jakie znalazł przy mumii? – Pytanie reportera angielskiego spowodowało śmiertelną ciszę.

Czterech mężczyzn stojących przy wciąż jeszcze przykrytej mumii, patrzyło na siebie bezradnie.

Wreszcie Rogalla zdecydował się odpowiedzieć: – Dokładne okoliczności odkrycia są wciąż jeszcze nieznanne. Jak państwo wiedzą, doszło przy tym do pewnych uchybień, które wymagają jeszcze dokładnego zbadania. Nie znaleźliśmy żadnych przedmiotów, które wskazywałyby na tożsamość mumii. Należy dopiero zbadać, czy owe niewątpliwie istniejące kiedyś przedmioty zostały zrabowane jeszcze w dawniejszych czasach, czy może teraz. A więc proszę o wyrozumiałość, ponieważ nic więcej nie mogę na ten temat powiedzieć.

Reporterzy robili w pośpiechu notatki, a jeden z nich zadał pytanie: – Panie profesorze, czy nie boi się pan, że podczas otwarcia mumii uaktywnią się jakieś trujące grzyby lub bakterie? Ostatnio wiele się czyta na temat klątw faraonów.

Al-Hadżdż poprawił swoje grube okulary i odpowiedział, zwracając się w kierunku pytającego: – Mówi pan o *aspergillus niger*, trującym grzybie odkrytym w grobach przez amerykańskich naukowców. Analiza bakteryjna przeprowadzona przez profesora an-Nawawiego z Instytutu Chemii nie wykazała żadnych śladów skażenia bakteryjnego. Wprost przeciwnie, al-Nawawi nazwał stan mumii absolutnie czystym.

Nie zważając na dalsze pytania, jakimi zarzucili go dziennikarze, profesor gestem przywołał ubranego na białą asystenta, który podał mu biały kitel, zapinany z tyłu na guziki, i gumowe rękawice. Następnie asystent przysunął wózek, przypominający ruchomy stolik do serwowania potraw. Leżały na nim wszystkie instrumenty wykorzystywane w anatomii patologicznej.

Następnie al-Hadżdż ściągnął płótno z mumii. Tłumiony okrzyk przeszedł przez rzędy obserwatorów. Zabłyśły flesze. I oto wszyscy ujrzeli mumię, owiniętą żółtobrązowymi bandażami, z rękami złożonymi na piersiach, z martwymi oczodołami skierowanymi nieruchomo w sufit.

Trwało dobrą chwilę, nim widzowie, a przede wszystkim fotografowie, uspokoili się i powróciła cisza. Dopiero wówczas profesor podszedł do stołu z instrumentami. Prawą ręką ujął skalpel, a lewą dużą pęsetę i podszedł z tyłu do mumii, tak że stał twarzą do audytorium.

Znów zabłyśły flesze, a profesor al-Hadżdż poprosił reporterów, żeby nie fotografowali w ciągu następnych minut. Wywołało to głośny pomruk niezadowolenia wśród dziennikarzy.

Z ramienia i piersi mumii zaczęto zdejmować bandaże. Stan tkaniny pozwalał wyciągnąć wniosek, że pochodzi ona z niezbyt odległych czasów. Skrzyżowane ręce leżały swobodnie, ale pod spodem bandaże zmieszały się z żywicą i oliwą i stworzyły rodzaj pancerza, jakby wyciętego z drewna.

Al-Hadżdż i egiptolodzy uznali, że należy odsłonić klatkę piersiową mumii. W tym miejscu spodziewali się bowiem znaleźć wskazówkę pomocną w jej identyfikacji. Aby podnieść do góry spoczywające na piersi skrzyżowane ręce mumii, profesor posłużył się długimi kleszczami z chromowanej stali.

Z pewnością doświadczonego specjalisty od sekcji zwłok al-Hadżdż wykonał mocne cięcie biegnące w dół od szyi. Materiał był bardzo mocny i profesor musiał wielokrotnie zaczynać na nowo, nim przeciął zaskorupiały pancerz. W audytorium panowała głucha cisza. Kilku obserwatorów – większość z nich nigdy jeszcze nie widziała sekcji zwłok – którzy znali ten proces tylko z opisów, odwróciło głowy. Dla nich ta czynność była zbyt naturalistyczna.

Pod podpartymi ramionami mumii, które utrudniały mu pracę, profesor wykonywał cięcia jedno po drugim, aż Hassan Muchtar, przyglądający się z bliska pracy al-Hadżdża, dał mu znak, aby przestał. Tylko niektórzy obserwatorzy zauważyli zmieszana twarz Muchtara. Teraz spostrzegł to także al-Kadir. Spojrzał pytająco na Rogallę, ale Rogalla wzruszył tylko bezradnie ramionami.

W zapale pracy al-Hadżdż nie zauważył owalnego złotego przedmiotu, który

wystawał spomiędzy warstw stwardniałych bandażu. Na znak Muchtara profesor przerwał, ale w przeciwieństwie do zdumionych twarzy innych naukowców al-Hadżdż zareagował radosnym podnieceniem; w odróżnieniu bowiem od egiptologów profesor nie zauważył w pierwszej chwili, że w przypadku owego złotego przedmiotu w żadnym razie nie mogło chodzić o obiekt antyczny.

Czubkami palców, przy akompaniamencie okrzyków zachwyty zebranych profesor wyciągnął złoty owal spomiędzy bandażu i wręczył go Muchtarowi. Muchtar położył przedmiot na rozpostartej dłoni, ale na jego twarzy malowała się raczej niechęć niż zachwyty. I kiedy znów rozbłysły nad nim flesze, uniósł w górę rękę, lecz jego słowa zginęły w ogólnym hałasie.

– Moi panowie – zawołał Muchtar do podnieconych widzów – państwo cieszą się przedwcześnie! – Przekazał przy tym owalny przedmiot Ahmedowi Abd al-Kadirowi. Ten obrócił go, potrząsnął wymownie głową i wręczył go Rogalli. Nie mogło ujść uwagi uważnych obserwatorów, że Rogalla musiał się bardzo hamować, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Również on potrząsnął głową.

– Moi panowie! – Muchtar próbował na nowo zyskać posłuch. Także al-Hadżdż pojął wreszcie, w czym rzecz, albowiem teraz na jego twarzy malowało się przerażenie. – W wypadku znalezionej rzeczy w żadnym razie nie chodzi o przedmiot z czasów Ramzesa. Ozdoba pochodzi z czasów współczesnych.

Ma ona nawet napis w języku niemieckim; ale na ten temat powie państwu więcej nasz kolega Rogalla.

Rogalla trzymał owalny medalion pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym i pokazywał go wokół zebranych. Znów syknęły kamery, eksplodowały flesze. – To współczesny wisiołek – powiedział Rogalla. – Ma on dedykację: „Na zawsze Twój. A. K. „, Zapadła martwa cisza. Muchtar, al-Kadir i al-Hadżdż patrzyli speszeni w podłogę. Tylko Rogalla sprawiał wrażenie ubawionego z powodu nieoczekiwanego znaleziska.

Reporter angielski, który już wcześniej zabierał głos, odezwał się jako pierwszy. Zwrócony do Muchtara, zapytał prowokująco: – A co mówi nauka na takie odkrycie?

Oczy wszystkich zwróciły się na doktora Hassana Muchtara. Wiedział on, że błędną odpowiedzią może się raz na zawsze skompromitować. Bał się, że siebie i mumię, z którą już od dawna wiązał swoje nazwisko, narazi na drwiny, i przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien przerwać akcji z uwagą, że wróci do sprawy podczas konferencji prasowej następnego dnia. Zaraz jednak zrozumiał, że to tylko pogorszy sytuację oraz wywoła skandali sprowokuje najbardziej szalone

spekulacje.

A więc podczas gdy al-Hadżdż kontynuował swoją pracę i warstwa po warstwie zdejmował bandażę, próbował wyjaśnić dziennikarzom, że od pochówku do odkopania mumii w Abu Simbel upłynęło trochę czasu. Nadto mumia stała się obiektem spekulantów i paskarzy. Nie ma pojęcia, co się w tymczasem działo z mumią. Nie może też nic powiedzieć na temat pochodzenia amuletu. Jednakże ma pewne podejrzenie.

Lepiej by było, gdyby Muchtar nie powiedział tego ostatniego zdania; teraz bowiem dziennikarze rzucili się na archeologów. Doszło do głośnej wymiany zdań, podczas której całkowicie uszło uwagi zebranych, że profesor al-Hadżdż znalazł kruchy skórkowy pasek, który najwidoczniej był okręcony wokół piersi zmumifikowanej postaci i miał napis: Bent-Anat.

W tym samym czasie w hotelu „Omar Chajjan” doszło do dziwnego incydentu, który dzień później skłonił nawet uznaną gazetę „Al Ahram” do zamieszczenia jednoszpaltowego komunikatu.

Elegancko ubrana dama jadła śniadanie na tarasie hotelowym. Była ona jedyną Europejką, która siedząc na zewnątrz dzielnie stawiała czoło nieznośnemu upałowi. Pozostali goście woleli duszny, ale nieco chłodniejszy pokój śniadaniowy z jaskrawymi, kolorowymi oknami, na prawo od głównego hallu.

Śniadanie w hotelu „Omar Chajjan” było, podobnie jak we wszystkich hotelach egipskich, czymś żalnym. Kelnerzy, ubrani w białe galabije, wydzielali każdemu gościowi po dwie zlepione porcje marmolady i po kawałku paczkowanego masła. Tylko herbata była w dowolnej ilości.

Samotnie podróżująca kobieta w hotelu kairskim wywoływała sensację. Kobieta zaś, która wyróżniała się atrakcyjnością i pewnością siebie, jeszcze bardziej rzucała się w oczy, a wśród gości hotelowych zgadywano, kim jest owa interesująca dama i czy warto zaprosić ją na obiad do jednej z pobliskich restauracji na wodzie.

Oprócz śniadania dama ta nie jadła żadnych innych posiłków w hotelu. Najczęściej widywano ją, jak po śniadaniu wychodziła z hotelu, a kiedy wracała późnym wieczorem, nikt nie zwracał na to uwagi, oprócz nocnego portiera.

Jej dumna postawa, która powstrzymywała mężczyzn przed nawiązaniem z nią kontaktu, nie miała nic wspólnego z pychą. Promieniowała z niej godność, która u kobiet w jej wieku bywa rzadkością. Trzeba było mieć sporo pewności siebie albo bezczelności, a najlepiej i jednego, i drugiego, aby powiedzieć tej kobiecie komplement albo ją zaczepić.

Mężczyzna, który tego ranka podczas śniadania zbliżył się do jej stolika, był Amerykaninem, miał około pięćdziesięciu lat i spełniał wyżej wymienione warunki. Przedstawił się, mówiąc, że nazywa się Ralph Nicolson i jest właścicielem fabryki bawełny w Chicago; zapytał też kobietę, czy zna Chicago i czy może usiąść przy jej stoliku; następnie powiedział, że wygląda ona zachwycająco. *Congratulations!*

Nie całkiem niechętnie, ale też bez zbytejnej uprzejmości kobieta odpowiedziała,

że nie zna Chicago, a jeżeli chodzi o jego pytania, to nie może mu zabronić usiąść; i tak zjadła już śniadanie i zamierza odejść.

Nicolson okazał zdenerwowanie, ponieważ piękna nieznajoma nie uznała za wskazane powiedzieć mu, jak się nazywa, ale postanowił pominąć milczeniem ten afront i zapytał uprzejmie, czy jest tu służbowo i czy chciałaby poznać osobliwości tego kraju.

Dama odpowiedziała wymijająco, że niemożliwością jest pominąć osobliwości tego kraju, nawet jeśli wykonuje się tu swój zawód. Zaproszenie do wspólnego zwiedzania odrzuciła uprzejmie, ale stanowczo; nie ma czasu.

Dopiła swoją herbatę i właśnie zamierzała pożegnać się z uprzejmym Amerykaninem, kiedy chwyciła się za pierś i wydała przeraźliwy okrzyk, jakby otrzymała cios w serce; następnie opadła bez życia na krzesło.

Nicolson zerwał się, próbował wyprostować zemdloną, ale kobieta przechyliła się do przodu i zdawało się, że upadnie na podłogę.

Tymczasem nadbiegli zaalarmowani krzykiem goście hotelowi i personel. Portier przyniósł miskę wody i spryskał twarz zemdlonej – nic nie pomogło. – To upał, to upał! – wykrzykiwał co chwila.

Po kilku minutach przyjechał na sygnale ambulans. Dwaj sanitariusze w białych kitlach ułożyli kobietę na noszach i przenieśli do karetki, która stała przy wjeździe do hotelu. Następnie samochód ruszył.

Droga do szpitala wynosiła zaledwie kilkaset metrów. Przy wjeździe na Most 26 Lipca utknęli jednak w korku. Mimo sygnału alarmowego nie było mowy o szybkim wydostaniu się. Drugi korek, spowodowany wypadkiem, zmusił ich przy Ogrodzie Andaluzyjskim do postoju. Trwało więc dwadzieścia minut, nim karetka dojechała do kliniki Ibn an-Nafisa.

Kiedy jeden z sanitariuszy otworzył drzwi karetki, pacjentka zniknęła. Nazwisko zaginionej brzmiało Petra Kramer. Tak podała „Al Ahram”.

Kaminski i Mahkorn zajechali do „Nile Hilton”, avenue Al-Kurnisz. Hotel był położony w centrum i rozpościerał się z niego nieopisanie piękny widok na Nil i kairskie stare miasto. Obaj mężczyźni nabrali do siebie zaufania. Kaminski czuł, że reporter wykazywał większe zainteresowanie tym przypadkiem niż tylko zawodowe. Mahkorn chciał odnaleźć Hellę Hornstein, i to odpowiadało Kaminskiemu.

Wspólnie spędzili pierwszy dzień. Rozmawiali, częściowo w długim hallu hotelowym, częściowo w lokalu „Kasr an-Nil” po drugiej stronie rzeki pod kwadratowymi plecionymi markizami; Mahkorn wypalił mnóstwo cygar, a Kaminski wlał w siebie pół tuzina szklanek lodowatego czerwonego herbacianego napoju. Mahkorn dowiadywał się od Kaminskiego coraz więcej o kulisach owej historii, przede wszystkim o jego dziwnym stosunku do Helli Hornstein; powoli nabierał przekonania, że Kaminski był niewolniczo posłuszny tej kobiecie. W każdym razie między nimi zdawała się istnieć jakaś osobliwa więź, która rozciągała się od nienawiści do miłości.

Kiedy dwaj mężczyźni poszukują w Kairze kobiety, można to porównać do szukania igły w stogu siana, i prawdopodobnie Kaminski, gdyby był zdany wyłącznie na siebie, bardzo szybko by zrezygnował; ale dla człowieka takiego jak Mahkorn było to wyzwanie. Jeśli Hella zatrzymała się w Kairze, zastanawiał się, musiała zamieszkać w jednym z hoteli, w których najczęściej zatrzymują się Europejczycy. Wprawdzie w Kairze jest parę setek hoteli i pensjonatów, ale ze względu na surowe rygory meldunkowe Europejczycy mają do dyspozycji tylko kilka. Reporter opowiedział więc portierowi w „Nile Hilton” wzruszającą historię o tym, jak poznał kobietę, ale nie zapytał o jej imię, i teraz pragnie ją znów zobaczyć. Przypuszcza, że zatrzymała się w którymś z kairskich hoteli.

Nieco później Mahkorn wrócił z kartką, na której były wypisane nazwy dwunastu hoteli z adresami: „Shepherd’s”, Szari al-Hami; „Continental Savoy”, Midan Opera; „Semiramis”, Szari al-Hami; „Kasr an-Nil”, Szari Kasr an-Nil; „Atlas”, Szari Bank al-Gumhurija; „Palmyra”, Szari 26 Lipca; „National”, Szari Talat Hab; „Cleopatra”, Szari al-Bustan; „Grand Hotel”, Szari 26 Lipca; „Ambassador”, Szari 26 Lipca; „Victoria”, Szarij al-Gumhurija; „Ismailian House”,

Midan at-Tahrir. Hotele turystyczne, położone poza miastem, były to „Mena House”, „Hellopolis House” i „Garden City House”; te ze względu na swe położenie wchodziły w grę jedynie w niewielkim stopniu.

Za dziesięć funtów egipskich Kaminski wynajął taksówkę i wyruszyli na poszukiwanie.

Staromodny „Shepherd’s” z brytyjskich czasów kolonialnych i nowoczesny hotel „Semiramis” z olbrzymimi reklamami świetlnymi w języku arabskim na dachu położone były nad Nilem obok przystani statków.

Jak przystało na sprytnego reportera, który z niejednego pieca jadł chleb, Mahkorn podsunął przez ladę portierowi w „Shepherd’s” banknot jednofuntowy i kartkę z nazwiskiem Helli Hornstein i zapytał, czy kobieta o takim nazwisku przebywa w hotelu. Pierwsza próba okazała się niewypałem. Również w „Semiramis” Mahkornowi i Kaminskiemu się nie powiodło; ale tu reporter odkrył w kiosku z gazetami, który znajdował się obok łoża portiera, zdjęcie na stronie tytułowej w gazecie „Al Ahram”. Fotografia ukazywała mumię Bent-Anat i cały rząd naukowców podczas badania. Jedna duża fotografia ukazywała medalion z napisem: „Zawsze Twój. A. K” 254

– To mój medalion! – wykrzyknął Kaminski wzburzony. – Podarowałem go Helli. Jak trafił na tytułową stronę gazety?

Marikom poprosił portiera, aby przetłumaczył artykuł; ale ten tylko się roześmiał i powiedział, że wszystkie gazety, także te w języku angielskim, piszą o tym wydarzeniu na tytułowych stronach. Kaminski wszedł do kiosku. „Daily Telegraph” donosił dużymi literami: The Secret of the Mummy of Bent-Anat. Także w tej gazecie reprodukowany był ów medalion („Whafs about this locket?”).

W artykule napisano, że podczas badań mumii z Abu Simbel odkryto resztki odzienia z napisem Bent-Anat. Tego spodziewali się eksperci. Ale całkiem nieoczekiwanie natknęli się na ozdobę z niemieckojęzyczną dedykacją „Wiecznie Twój. A. K. „ Medalion tkwił między bandażami, którymi była owinięta mumia, i należy przypuszczać, że Bent-Anat, córka i żona Ramzesa II, musiała być odkryta znacznie wcześniej, niż podaje się oficjalnie, i że ktoś obszedł się z nią bardzo niefachowo. Przypuszczalnie w ostatniej minucie udało się uchronić mumię przed nielegalnym wywiezieniem za granicę.

– To mój medalion! – powtórzył Kaminski i uderzył dłonią w gazetę.

Mahkorn próbował uspokoić Kaminskiego. Jego zachowanie zwróciło już uwagę gości hotelowych. Dlatego reporter wziął go na bok. – „A. K. „, znaczy zatem Artur Kaminski?

– Oczywiście, cóż by innego! – odparł Kaminski. – Nie umiem sobie wytłumaczyć, jak ten medalion mógł się znaleźć przy mumii.

W hallu hotelu „Semiramis” nie było odpowiednich warunków do snucia domysłów; ale kiedy Mahkorn uspokajał Kaminskiego jego myśli wybiegały dalej, i zastanawiał się, jaki cel Hella Hornstein – bo niewątpliwie ona się za tym kryła – zamierzała przez to osiągnąć. Czyżby chciała w ten niezwykły sposób upokorzyć Kaminskiego, ośmieszyć albo zniszczyć? Czyżby Kaminski przemilczał przed nim coś, co dało kobiecie powód do takiego czynu?

Ale Kaminski patrzył tylko bezradnie na Mahkorna i potrząsał głową. – Nie wiem – jękał – naprawdę nie wiem. Co ja takiego zrobiłem? Kochałem Helle i wierzyłem, że ona odwzajemnia moją miłość.

– Miłość czyni ślepym – odparł Malikom – wyświechtane powiedzenie, ale nie znam innego, które by zawierało tyle prawdy.

– Myśli pan, że byłem Helli całkowicie obojętny? Niech pan posłucha, kiedy przybyłem do Abu Simbel, postanowiłem trzymać się z daleka od kobiet. Miałem po temu powody. Ale potem spotkałem tę kobietę. Początkowo była nieosiągalna i zimna, ale kiedy się do siebie zbliżyliśmy, okazała tak wielką namiętność, jakiej dotąd nie spotkałem u żadnej innej kobiety. Czy sądzi pan, że sobie to wszystko wymyśliłem?

– Ale Hella Hornstein próbowała pana zabić!

– Tak też myślałem pod wpływem irytacji. Dziś patrzę na to inaczej. Musi być jakaś inna przyczyna, dla której Hella wstrzyknęła mi ten środek. I zapytam ją o tę przyczynę. Ja ją kocham, rozumie pan?

Oczywiście Mahkorn rozumiał. Nie ma nic trudniejszego niż przywrócenie zakochanego mężczyzny do rzeczywistości.

– Wie pan – powiedział Mahkorn zamyślony – za prostym słowem „miłość” kryje się nieskończenie wiele znaczeń. Istnieją insekty, których samice po spółkowaniu pożerają samców.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nic ponad to, że jest to także rodzaj miłości. Nie potrafimy jej pojąć, ale tak jest.

W każdym razie mieli teraz jakiś ślad Helli Hornstein. Nie wiedzieli wprawdzie, przy jakiej okazji Hella „zdeponowała” medalion u mumii, ale że to uczyniła, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Mahkorn zaproponował, aby udać się do Instytut Patologii, gdzie profesor al-Hadżdż odkrył ów niezwykły przedmiot, ale Kaminski się sprzeciwił. Z pewnością

istniała szansa odnalezienia w ten sposób śladu Helli, ale Artur obawiał się niemiłego spotkania dawnych znajomych z „Joint Venture Abu Simbel”. Po pierwsze, obawiał się, że mogą go zagadnąć o próbę sprzedaży mumii, a tym samym powstanie podejrzenie, że to on niewłaściwie obszedł się z mumią; z drugiej zaś strony wyczyn Helli dostarczył wystarczającego powodu, aby go ośmieszyć.

Wreszcie udało się Mahkornowi przekonać go, że musi się tam udać osobiście, jeśli chce odzyskać swój medalion.

Mumię zabrano tymczasem do Muzeum Egipskiego. Tam też zgłosili się Kaminski i Mahkorn następnego ranka tuż przed dziesiątą; chcieli się widzieć z dyrektorem.

Sekretarz Soliman próbował ich odprawić z kwitkiem, mówiąc, że Ahmed Abd al-Kadir ma teraz ważną naradę; z pewnością słyszeli o mumii.

O to właśnie chodzi, powiedział Mike Mahkorn, mają dla dyrektora bardzo ważną informację dotyczącą pochodzenia odnalezionego medalionu. Soliman poprosił ich, aby poczekał.

Przedsionek w suterenie muzeum nie wyglądał zachęcająco. Ciemne półki i zakurzone książki sprawiały raczej wrażenie, że chodzi tu o sekretariat dyrektora więzienia.

Kiedy al-Kadir ukazał się w przeciwległych drzwiach, zrobił ponurą minę. A gdy usłyszał, że Mahkorn jest dziennikarzem, przyjął wręcz niechętną postawę. Dopiero kiedy Kaminski oznajmił mu, że to on właśnie odkrył mumię i zaręcza, iż skrót „A. K” na medalionie oznacza „Artur Kaminski”, i że podarował tę ozdobę lekarce obozowej Helli Hornstein, a teraz chce ten medalion odzyskać, dyrektor okazał zainteresowanie i poprosił gości do swojego biura.

Przed ozdobnym biurkiem al-Kadira stali odwróceny tyłem do drzwi – ale Kaminski natychmiast ich poznał – doktor Hassan Muchtar i Istvan Rogalla, pochylony nad białym płótnem. Kaminski najchętniej by zawrócił i uciekł stąd, ale Mahkorn wepchnął go przez drzwi.

Muchtar był nie mniej zaskoczony niż Kaminski, a powitanie wypadło raczej chłodno. Tylko Rogalla uściśnął Kaminskiemu przyjaźnie rękę i zapytał, jak się czuje.

– Panowie się znają – rzekł Ahmed Abd al-Kadir z lekką ironią w głosie. – Mister Kaminski chce nam złożyć meldunek w sprawie medalionu. Proszę, mister Kaminski.

Kaminski nie bawił się w długie wstępy: – To, co mam do powiedzenia, jest

całkiem proste. Medalion pochodzi ode mnie. Litery „A. K. „ oznaczają „Artur Kaminski”, a podarowałem go przed dwoma laty doktor Helli Hornstein. W jaki sposób znalazł się przy mumii, nie potrafię powiedzieć.

Najpierw zapanowało lodowate milczenie. Nikt się nie odzywał. Potem Muchtar zerwał się, podszedł trzy kroki do okna i podniósł głowę. – Mogłem się tego domyślać! – W jego głosie brzmiało oburzenie. – Ta kobieta wszystkim mężczyznom w Abu Simbel zawróciła w głowie. Latali za nią jak psy za suką.

Wtedy Kaminski wpadł w złość: – Przede wszystkim niejaki Hassan Muchtar. Ale jego wysiłki nie przyniosły mu sukcesu!

Muchtar się odwrócił. Jego ciemne oczy błyszczały dziko, podszedł do Kaminskiego. Abd al-Kadir za pomocą kilku krótkich, gwałtownych słów wypowiedzianych po arabsku przywołał archeologa do porządku. Wreszcie Muchtar wrócił na swoje miejsce.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie znajduje się Hella Hornstein – powiedział Kaminski.

Muchtar rzucił Kaminskiemu wściekłe spojrzenie. Zamiast niego odpowiedział al-Kadir: – Nie mamy pojęcia, mister Kaminski. Myślałem, że pan nam to powie.

Spojrzenie Kaminskiego padło na biurko al-Kadira. Już wchodząc do pokoju zauważył rozpostarte na biurku białe płótno. Ale teraz spostrzegł ciemnozielonego skarabeusza, który leżał na tkaninie. Z daleka do złudzenia przypominał tego, którego Kaminski wyjął z ręki mumii.

– Co to jest? – zapytał Kaminski, zwracając się do Abdal-Kadira.

Ten rzucił Muchtarowi pytające spojrzenie, nie wiedząc, czy ma odpowiedzieć na pytanie inżyniera. Z jego gestu wywnioskował, że Muchtar nie widzi powodu, aby cokolwiek wyjaśniać.

– Pytam dlatego – zaczął Kaminski – bo znalazłem przy mumii takiego samego skarabeusza, wprawdzie jadowicie zielonej barwy.

Al-Kadir, Muchtar i Rogalla spojrzeli na Kaminskiego, jakby nie wierzyli własnym uszom.

– Pan... – wyjąkał al-Kadir i urwał.

A Muchtar, który jako pierwszy poczuł w sobie siłę i którego zdumienie z powodu nienawiści wobec Kaminskiego było jeszcze większe, wykrzyknął: – Dlaczego pan nam to mówi dopiero teraz? I komu pan sprzedał tego skarabeusza? Panie... Panie oszuście!

Kaminski, wściekły na Muchtara, zmusił się do uśmiechu, który oznaczał mniej więcej tyle: Nie jesteś w stanie mnie obrazić! Następnie odpowiedział: –

Dotychczas nie miałem okazji, aby wskazać na bliższe okoliczności mojego odkrycia; w każdym razie nikt mnie o to nie pytał. Również nie sprzedałem skarabeusza, tylko go podarowałem.

– Podarował pan? – al-Kadir, Muchtar i Rogalla wykrzyknęli te słowa jednogłośnie.

– Doktor Hornstein interesowała się szczególnie tym znaleziskiem. – I spoglądając na ciemnozielony przedmiot na biurku dodał: – Był on mniej więcej takiej samej wielkości i miał taki sam kształt. Ale panowie nie odpowiedzieli na moje pytanie. Gdzie został znaleziony ten skarabeusz?

– Właśnie przy mumii – odparł Ahmed al-Kadir. – W zamieszaniu wokół medalionu tego odkrycia jakby wcale nie zauważono. Al-Hadżdż znalazł skarabeusza pod ostatnią warstwą bandaży, dokładnie w tym miejscu, gdzie było serce Bent-Anat. Ten przedmiot sam w sobie nie stanowi rzadkości, również miejsce znalezienia jest zgodne z ówczesnymi zwyczajami. Niezwykła i według mojego rozeznania niepowtarzalna jest formuła na spodniej stronie chrząszcza.

Al-Kadir odwrócił skarabeusza i wskazał na wyryte tam hieroglify. – Czy pański skarabeusz wyglądał tak samo? Czy pan pamięta?

Kaminski nie musiał się długo zastanawiać. – Nie – odpowiedział – ten napis jest całkiem inny. Nie umiem wprawdzie czytać hieroglifów, ale jestem niemal pewien, że napis na moim skarabeuszu nie ma nic wspólnego z tym. Z całą pewnością.

Rogalla włączył się do rozmowy. – Tym bardziej powinniśmy się zainteresować tym egzemplarzem. Czy uważa pan, że doktor Hornstein jeszcze go posiada?

– To nie ulega wątpliwości! – zapewnił Kaminski. – Hella nosiła skarabeusza zawsze przy sobie. Uważała go za rodzaj talizmanu. Straciła wprost dla niego głowę. Ale kiedy ją pytałem, co szczególnego znajduje w tym przedmiocie i dlaczego jest on dla niej tak cenny, machała tylko ręką i milczała.

Al-Kadir usiadł za biurkiem, przyjrzał się ciemnemu skarabeuszowi i zapytał, nie patrząc na Kaminskiego: – Doktor Hornstein jest lekarką. Czy okazywała ona szczególne zainteresowanie archeologią?

Kaminski wzruszył ramionami. Istvan Rogalla zdecydował się na odpowiedź: – Zauważyłem, że doktor Hornstein interesowała się hieroglifami na blokach świątyni. Pamiętam, że zadawała mi często skomplikowane pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć. Zdumiewały mnie one, ale nie zaprzętałem sobie tym zbytnio głowy.

– Czasami – uzupełnił Artur Kaminski – słyszałem, jak wypowiadała ona zdania, których nie rozumiałem. Mówiła w języku, którego nie znałem. Ale jest to tylko jedna z wielu zagadek i tajemnic, które otaczają tę kobietę. I właśnie to czyni ją tak bardzo fascynującą.

Hassan Muchtar swą niechęć z powodu takiego przebiegu rozmowy wyraził w ten sposób, że wypuszczał przez nos powietrze w krótkich odstępach. Brzmiało to jak syk pary wydobywającej się z maszyny parowej. – Panowie próbują – burknął – przypisywać tej kobiecie większe znaczenie, niż na to w rzeczywistości zasługuje. Doktor Hornstein jest kobietą jak każda inna. Dajmy więc temu spokój.

– A jak brzmi napis na tym skarabeuszu? – Kaminski nie dał się zwieść. Ale ani al-Kadir, ani Muchtar nie kwapili się z odpowiedzią.

Rogalla, dla którego sytuacja wydawała się dość nieprzyjemna, chrząknął zakłopotany, zanim odpowiedział: – Wie pan, panie Kaminski, są sytuacje, które czynią naukowca dość bezradnym, ponieważ nie mieszczą się w obrębie jego dyscypliny. Jak mam to panu wytłumaczyć? Pan jako inżynier jest wolny od takich niespodzianek. Pan wie, że dwie liczby całkowite dodane zawsze dadzą liczbę całkowitą. Ale w archeologii wciąż jest się narażonym na niespodzianki. Ten skarabeusz jest niespodzianką, ponieważ ma napis, którego dotychczas nie można porównać z żadnym tekstem. A w takich sytuacjach archeolodzy są zawsze sceptyczni i żaden nie ma odwagi skomentować takiego niezwykłego znaleziska.

Mahkorn śledził dotychczas przebieg rozmowy z daleka. Zresztą umocniła go ona w przekonaniu, że Hella Hornstein wytwarza wokół siebie dziwne napięcie, które u różnych osób powoduje różne reakcje – u jednego ślepą namiętność, u drugiego zapiekłą nienawiść.

Ale teraz, pobudzony wyjaśnieniem Rogalli, Mike Mahkorn stał się niespokojny i wiercił się niecierpliwie na krześle. Wreszcie powiedział do Rogalli: – Wydaje mi się, że rozumiem, co pan ma na myśli. Ale pan nas zaciekał. Czy mógłby pan przetłumaczyć ten napis? Mam na myśli tylko przeczytanie, bez komentarza, abyśmy jako laicy mogli wyrobić sobie jakie takie pojęcie.

Rogalla szukał wzrokiem pomocy u Hassana Muchtara, ale ten odwrócił się bokiem, jakby chciał powiedzieć: Ja bym tego nie robił. Ale al-Kadir nie miał powodu, aby robić tajemnicę z napisu, który właśnie po raz trzeci przetłumaczono i po raz trzeci z takim samym rezultatem. Wyjął kartkę i zaczął czytać to, co w trójkę w czasie trzykrotnych prób wypracowali: – „Moje ciało jest oczyszczone saletrą i odświeżone kadzidłem – zostałam wykąpana w mleku – uwolniono mnie z wszelkiego zła, które przylgnęło do mej istoty – Tefnut, córka Ras, ma dla mnie

wszystko przygotowane na polach pokoju. Tak krocę do mrocznej doliny, aby znów powrócić za lat po trzykroć tysiąc i po dwakroć sto.”

Na Kaminskim słowa te zdawały się wywierać mniejsze wrażenie niż na Mahkornie. Być może istotnie nie zrozumiał ich znaczenia, a może odrzucił od siebie to, co właśnie usłyszał. Mahkorn natomiast wyglądał na poruszonego, kiedy pytał: – Czy starożytni Egipcjanie wierzyli w powtórne narodzenie?

Rogalla i al-Kadir odpowiedzieli jednocześnie: – Tak. – Nie. – Obaj się roześmieli, a Rogalla powiedział: – Teraz widzi pan, jak trudno jest odpowiedzieć na pańskie pytanie.

– Nie rozumiem.

– Jeśli pan – zaczął wyjaśniać Rogalla – pod pojęciem powtórnego narodzenia rozumie proces, który polega na tym, że człowiek umiera i wraz ze śmiercią przyjmuje inną formę istnienia, to w tym sensie Egipcjanie wierzyli w powtórne narodzenie. Ale jeśli pan rozumie pod tym pojęciem fakt, że król, który zmarł pięćset lat temu, dziś wiedzie swą egzystencję jako robotnik za dniówkę – albo na odwrót – to w takim sensie Egipcjanie nie wierzyli w powtórne narodziny.

– Jeśli pana dobrze rozumiem – odpowiedział Mahkorn – Egipcjanom było raczej obce pojęcie reinkarnacji w sensie, w jakim my je dziś rozumiemy.

– Przepych i kult, jakimi Egipcjanie otaczali swoich zmarłych, świadczy dobitnie o tym, że wcale nie uważali oni, iż wraz ze śmiercią wszystko się kończy. Wprost przeciwnie, byli przekonani, że człowiek wraz ze śmiercią rodzi się powtórnie i że po drugiej stronie świata prowadzi nową egzystencję. Jednakże owa egzystencja bywała w różnych czasach w starożytnym Egipcie różnie interpretowana. W czasach faraona Ramzesa żył nadal duch opiekuńczy Ka, idealny obraz człowieka, jednakże tylko w więzi z nienaruszonymi zwłokami. Był to powód, dla którego Egipcjanie balsamowali i mumifikowali swoich zmarłych. Istniały także inne formy życia, na przykład forma Ba, czyli duszy, która po śmierci wznosi się ku bogom.

– No dobrze. Ale żadna z tych teorii nie wskazuje, że zmarły otrzymuje drugie ziemskie życie, jak mówi napis na tym skarabeuszu.

– I właśnie to – skonstatował Istvan Rogalla – czyni nas tak bezradnymi. W tym tekście zmarła twierdzi, że urodzi się powtórnie za trzy razy tysiąc lat i dwa razy sto, a więc za 3200 lat.

– Uważa pan zatem, że tekst ten nie jest autentyczny? – Mahkorn nie ustępował.

Rogalla uśmiechnął się. – Chętnie bym odpowiedział na to pytanie. Ale nie

potrafię. Dotychczas wiemy jedynie, że ten niepozorny skarabeusz może podważyć dotychczasową wiedzę na temat religii dawnych Egipcjan. Być może teraz zrozumie pan nasz niepokój.

– Rozumiem – odpowiedział Mahkorn, choć w tym momencie wiedza interesowała go znacznie mniej niż związek między Bent-Anat i doktor Hellą Hornstein. Dlatego też dla archeologów jego pytanie było całkowitą niespodzianką: – Kiedy właściwie zmarła królowa Bent-Anat?

– Około roku 1250 przed Chrystusem, dokładnej daty nie znamy – odpowiedział Rogalla. – A dlaczego pan pyta?

Mahkorn wziął swój notes i wyliczył: – Trzy tysiące dwieście minus tysiąc dwieście pięćdziesiąt. To daje tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt. Kiedy urodziła się Hella Hornstein?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym – odpowiedział Kaminski.

Mahkorn zaczął liczyć od nowa. – Czy jest możliwe, że Bent-Anat zmarła już w roku 1260?

– Oczywiście – odpowiedział Rogalla. – Do czego pan zmierza?

Mahkorn pokazał Rogalli swój notes i powiedział: – To prosty rachunek: $1260+1940=3200$.

– Teraz rozumiem, co pan ma na myśli – odpowiedział Rogalla – to jest trzy razy tysiąc i dwa razy dwieście lat.

W poszukiwaniu wyjaśnienia dziwnego spotkania pułkownika Smoliczewa i Helli Hornstein Jacquesowi Balouetowi i Rai Kurianowej przyszedł z pomocą pewien mężczyzna, od którego w ich sytuacji jak najmniej mogli oczekiwać pomocy.

Abd al-Aziz Suhajri jak zwykle siedział w swoim obszarpanym fotelu w hallu i jak zwykle czytał Koran, przy czym w regularnych odstępach głąaskał czarną brodę. Kiedy Jacques i Raja około północy wrócili do pensjonatu, Suhajri wciąż jeszcze czytał; Balouet wyraził podziw dla pobożności malarza.

Ten jednak roześmiał się chytrze i skierował, jak to miał w zwyczaju, wzrok na sufit, mówiąc, że częste czytanie Koranu nie ma nic wspólnego z pobożnością, raczej z mądrością, a życzeniem Allaha jest, żeby wszyscy wierni byli ludźmi mądrymi, niewierzący zaś głupimi. Słowo „koran” nie oznacza niczego innego jak księgę, którą należy czytać, i on się tego trzyma.

Następnie zadał Balouetowi pytanie bez żadnego logicznego związku: – Czy udało wam się wyśledzić tego Rosjanina?

Jacques i Raja spojrzeli na siebie; mieli zdumione twarze.

– Myślałem – powiedział Balouet po dłuższej chwili – myślałem, że pan nic nie wie o swoich gościach?

Suhajri zachichotał cicho. – Nie znam nazwisk moich gości – odpowiedział – ale to przecież nie znaczy, że nie wiem, co się dzieje w moim domu. Nienawidzę Rosjan. Wszyscy Egipcjanie, oprócz naszych władz, nienawidzą Rosjan. Albowiem jest napisane w Koranie: „Ten, kto zamiast Allaha bierze szatana na obrońcę, ten niechybnie zginie. Szatan czyni im obietnice i pobudza ich żądania; ale to, co obiecuje szatan, to tylko ułuda. „ A szatan ów ma na imię komunizm! Co macie wspólnego z tym Rosjaninem?

Pytanie Suhajriego zabrzmiało jak groźba, i Balouet nie był pewien, jak ma zareagować. Co wiedział ten mały, gruby człowieczek, którego najwidoczniej nie doceniali, o Smoliczewie? A przede wszystkim co wiedział o nich?

– Co macie z nim wspólnego? – powtórzył Suhajri pytanie.

– Nic – skłamał Balouet – prócz tego, że obiecał nam załatwić papiery. Potrzebne nam paszporty, rozumie pan?

Słowa te obudziły niechęć malarza. Położył ręce na piersi i zapytał: – A dlaczego nie zwróćcie się do Abd al-Aziza Suhajriego? Dlaczego wiążecie się właśnie z Rosjaninem? – Jego cienki głos zaczął się zmieniać: – Z komunistą? Czy może wy też jesteście komunistami?

– Na miłość boską, nie – zapewnił Balouet. – Ten człowiek obiecał nam załatwić paszporty, ale nie wiemy, czy możemy mu ufać. Twierdzi, że ucieka przed rosyjskim wywiadem. Podobno sam pracował kiedyś w wywiadzie. Tak powiedział.

– Tak powiedział. – Suhajri wybuchnął głośnym śmiechem. Mały, gruby mężczyzna trząsł się od śmiechu na krześle, jakby miał za chwilę pęknąć. Naśmiawszy się, otarł czoło rękawem. Jednocześnie zaczerpnął powietrza i powiedział: – To kłamca, taki sam kłamca jak wszyscy komuniści.

Dla Baloueta i Rai jedno było pewne: jeśli chcą się przypodobać swemu gospodarzowi, wystarczy, że będą przeklinali komunizm i ludzi bezbożnych. Nie wiedzieli jednakże, jakimi informacjami dysponował Suhajri. Czy wiedział, kim byli?

Raja, która nie mogła znieść tej niepewności, zrobiła krok w kierunku tajemniczego malarza. – Monsieur Suhajri, zrobił pan aluzję, która nas głęboko zaniepokoiła. Czy mógłby pan wyrazić się jaśniej? Bardzo by nam pan w ten sposób pomógł.

Abd al-Aziz Suhajri długo mierzył wzrokiem Raję, potem odpowiedział: – Być może jestem lekkomyślny, wychodząc wam naprzeciw, przecież wcale was nie znam, ale – pogłaskał po raz kolejny swą czarną brodę – takiej pięknej kobiecie Abd al-Aziz nie może niczego odmówić. Co zatem chce pani wiedzieć?

Balouet stwierdził, że Raja lepiej umie sobie radzić z Azizem niż on, i przekazał jej pałeczkę.

– Co pan wie o tym Rosjaninie? – zapytała Raja.

Suhajri wykonał gest, jakby nie chciał niczego zdradzić, ale widząc pełną oczekiwaniami twarz Rai, zapytał: – Co chce pani wiedzieć?

– Wszystko! – przerwał Balouet.

A Raja dodała: – Przede wszystkim to jedno: Czy należy on do rosyjskich służb tajnych, czy też ucieka przed KGB?

– Ucieka? Śmiechu warte! Ten człowiek prawie codziennie spotyka się z rosyjskimi umundurowanymi. Sam jest pułkownikiem, nazywa się podobno Smoliczew; ale może to być fałszywe nazwisko. Smoliczew to gruba ryba w rosyjskim wywiadzie.

– On nam opowiadał, że Rosjanie go wyrzucili i że przebywa tu, bo się ukrywa przed KGB. Twierdzi jednakże, że wciąż jeszcze ma dobre kontakty i że jest w stanie załatwić nam paszporty.

– Być może – mruknął Suhajri niechętnie – myślę, że ma wystarczające kontakty, ale nie ma mowy o ukrywaniu się. Niemal każdego wieczoru, kiedy opuszcza dom, idzie dwie ulice dalej. Tam czeka na niego czarna rosyjska limuzyna i zawozi go na Midan as-Sajida Zajnab.

Na Midan as-Sajida Zajnab znajdowała się egipska kwatera główna rosyjskiego wywiadu. Smoliczew zwabił ich zatem w pułapkę.

– I co pan jeszcze wie? – zapytała Raja. – Chodzi mi o to, jak pan zdobył te informacje, monsieur Suhajri?

Suhajri rzekł jakby od niechcenia: – To całkiem proste. – Abd al-Aziz ma wielu przyjaciół, którzy uważają za szczęście, jeśli mogą mu wyświadczyć przysługę, a wszyscy przyjaciele mają czas, dużo czasu. Komunista od pierwszego dnia nie uczynił kroku, żeby nie poszedł za nim jeden z przyjaciół Abd al-Aziza. Od razu wiedziałem, że to Rosjanin i komunista; wyglądał jak szatan.

– To dlaczego nie wyrzuci go pan na ulicę, skoro pan tak nienawidzi komunistów?

– Powiem pani. – Suhajri pochylił się na krzesło w stronę Rai: – Smoliczew jest potężnym człowiekiem. On i jego ludzie dowiedzieli się, że nielegalnie wynajmują cudzoziemcom pokoje; od tej pory jestem zmuszony współpracować z nim. Muszę przyjmować ludzi, których oni mi przysyłają, i nie wolno mi zadawać żadnych pytań. Jedyne plus – Rosjanie dobrze płacą.

Raja była spocona, a jednocześnie miała dreszcze. Że też akurat musieli znaleźć lokum w kryjówce KGB. Balouet i Raja spojrzeli na siebie. To wszystko nie mogło być prawdą!

– Oczywiście myślałem – podjął Suhajri swoją wypowiedź – że przysłali was tu komuniści; ale to wydaje się pomyłką.

Balouet przysunął swoje krzesło bliżej Aziza. Mówił cicho, ponieważ się obawiał, że ktoś może podsłuchiwać ich nocną rozmowę. – Monsieur Suhajri, proszę, aby pan nam uwierzył. Uciekamy przed Rosjanami. Proszę, niech pan nie pyta dlaczego. Wszystko na to wskazuje, że Smoliczew zwabił nas w pułapkę. Powiedział, że sam ucieka przed KGB, i obiecał zaopatrzyć nas w nowe paszporty. Niczego nie podejrzewaliśmy!

– Allah ich skaże – zawołał Suhajri – tych przeklętych komunistów, te kleszcze w skórze wierzących ludzi!

– Gdzie teraz przebywa Smoliczew? – zapytał Balouet.

Suhajri wskazał ręką na górę: – Wrócił pół godziny temu. Spotkał się z pewną niemiecką lekarką. Była ona lekarką w Abu Simbel. Ale to tylko połowa prawdy. W rzeczywistości jest ona szpiegiem KGB. Nazywa się Hella Hornstein.

Balouet zerwał się, podszedł do Rai i wziął ją za rękę. Oboje patrzyli na siebie, ale żadne nie wymówiło ani słowa. Jak na przyspieszonym filmie przesuwały się przed ich oczami obrazy: nieudana ucieczka łodzią w kierunku Sudanu, uwięzienie w wiosce nubijskiej, ucieczka samolotem do Wadi Halfa, uprzejmy kapitan w pociągu do Chartumu – co z tego nie było przypadkiem, czym kierował Smoliczew i jego ludzie?

– Smoliczew – powiedziała cicho Raja Kurianowa – Smoliczew. – Skinęła głową. – Mogłam się tego domyślać. To nie takie proste wydostać się z macek KGB.

Balouet był nie mniej wstrząśnięty. – Jednego nie rozumiem – powiedział zrezygnowany. – Jeśli Smoliczew istotnie maczał palce w naszej ucieczce, to przecież byłoby mu o wiele łatwiej zlikwidować nas przy pomocy któregoś ze swoich podwładnych.

– To typowe dla KGB – odpowiedziała Raja. W oczach miała łzy wściekłości. – Smoliczew chce nas wykorzystać w sprawie, o której nawet nie mamy pojęcia. Przez jakiś czas obserwował nasze mozolne próby ucieczki z oddali, teraz zdaje się, że przyszła mu szczególna ochota, aby samemu przejąć główną rolę.

– A zatem nawet nasze spotkanie tu, w tym domu, przed kilkoma dniami było zaplanowane?

– Jestem o tym przekonana!

Balouet usiadł z powrotem na krześle. Był wstrząśnięty; opuściła go odwaga. – Nie mogę wprost uwierzyć – powtarzał, potrząsając głową, i takim samym tonem, w którym brzmiały rozczarowanie i rezygnacja, zapytał Aziza: – Skąd pan ma wiadomości na temat Helli Hornstein?

Mały, gruby mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie: – Przecież wam powiedziałem, że Abd al-Aziz Suhajri ma wielu przyjaciół. Przyjaciół tu, przyjaciół tam, niemal jak w KGB. Wiem jeszcze więcej o Helli Hornstein. To Niemka, jak wiecie. Zanim jeszcze wzniesiono mur berliński, jako studentka medycyny przybyła na Zachód ze wschodniego Berlina. Wplątał ją w to wszystko pewien mężczyzna, z którym była związana od szesnastego roku życia, żonaty mężczyzna, który mógłby być jej ojcem...

– Domyślam się – przerwała Raja – to był Smoliczew. Ten człowiek zdobywał

pierwsze szlify we wschodnim Berlinie!

Suhajri spojrział zdumiony: – Skąd pani to wie?

– Tak sobie pomyślałam – Raja próbowała ratować sytuację.

Suhajri mówił dalej: – Romans tych dwojga już dawno był skończony, kiedy Hella Hornstein, zostawszy tymczasem lekarką, przybyła do Egiptu; jednak dalej pracowała dla wywiadu. Ale potem musiało się zdarzyć coś, co doprowadziło do konfliktu między nimi. Mój przyjaciel Ismail, który podsłuchiwał ich rozmowę w kawiarni „Esbekija”, doniósł mi, że wymyślali sobie nawzajem i obrzucali zarzutami. Smoliczew nazwał kobietę flądram – jest to określenie, na które, na brodę Proroka, zasługuje każda komunistyczna kobieta – i groził jej, że każe ją zniszczyć, jeśli niezaprzestanie swoich eskapad. Rozeszli się w gniewie.

– Co miał na myśli Smoliczew, mówiąc „eskapady”? – zapytał Balouet.

Suhajri nie odpowiedział i Balouet siedział bezsilny, niezdolny pomyśleć, co powinien w tej sytuacji uczynić. Raja bała się pójść do swojego pokoju. Skąd mogła wiedzieć, jakie zamiary miał wobec niej Smoliczew?

– Nie powinienem był tego robić – zaczął lamentować Suhajri – powinienem zachować moją wiedzę dla siebie. Koran powiada, że Allah nie kocha tych, którzy swoją wiedzę wspierają zepsucie na tej ziemi. Niech mi wybaczy Allah Miłosierny. Jak mam wam pomóc?

Ani Jacques, ani Raja nie umieli w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie. Ogarnęła ich rozpacz, Balouet był gotów zrezygnować, poddać się, i nawet nie wstydził się tej myśli.

Raja patrzyła na niego z boku. Balouet czuł, że Raja wie, o czym on myśli. Kiedy bowiem przyjmował postawę rezygnacji, jego twarz nabierała określonego wyrazu. Ale dokąd mieli pójść w środku nocy?

Suhajri mógł się tylko domyślać, co się działo w ich wnętrzach, i powiedział: – Nie chcę się wtrącać, ale jeśli chcecie usłyszeć moją radę, to powiadam wam, abyście pochopnie nie opuszczali mojego domu. Smoliczew bowiem domyślił się, żeście go przejrżeli. On nigdy nie rezygnuje. Jutro zobaczymy, co dalej. Wszak wiecie: Abd al-Aziz Suhajri ma wielu przyjaciół.

Choć ta spontaniczna życzliwość malarza wydawała się Balouetowi nieco podejrzana, nie widział innego wyjścia. Skinął Rai głową, nie mówiąc ani słowa, i Raja zrozumiała, co on myśli.

Jeszcze nigdy ich pokój z dwiema gołymi żarówkami u sufitu nie wydawał im się tak zimny i nieprzytulny jak teraz. Kolorowe ściany wyglądały nagle jak mury więzienne, meble robiły wrażenie obcych i nędznych. W ubraniu rzucili się na

łóżko i objawszy się, próbowali zasnąć.

Ale Raja i Jacques tylko marzyli w półśnie; nasłuchiwali każdego obcego odgłosu i żadne z nich nie było zdolne zebrać myśli.

Wczesnym rankiem Raja przestraszyła się. Szmer, które dały się słyszeć na dworze i w domu Aziza, nie były odgłosami zdradzającymi początek dnia. Teraz także Jacques nasłuchiwał z otwartymi ustami. Było to dziwne: choć właśnie dowiedzieli się o beznadziejności swojego położenia, nie bali się. KGB bowiem pracuje zawsze po cichu.

Przez otwarte okno i z korytarza dochodziły skrzeczące odgłosy radia tranzystorowego. Rozległy się okrzyki, których nie rozumieli. Wskazywały one na wielkie poruszenie. W domu słyhać było pospieszne kroki. Co się stało?

Balouet zaczerpnął garścią wody z miski i pokropił sobie lepką twarz. Przejechał palcami po włosach i poprosił, aby Raja zamknęła za nim drzwi. Chce zobaczyć, co się dzieje.

Po krótkim czasie, który Raja spędziła stojąc nieruchomo za zamkniętym oknem, jakby nic do niej nie docierało, Jacques wrócił.

– Jest wojna – powiedział wytrącony z równowagi. – Izraelczycy napadli na Egipt, Syrię i Jordanię. Wszystkich cudzoziemców w Kairze obowiązuje areszt domowy. Smoliczew zniknął ze swymi manatkami.

Raja potrzebowała dłuższej chwili, nim pojęła, co to oznacza. Nie wiedziała, czy wobec nowej sytuacji mają się cieszyć, czy smucić. Także Balouet stał bezradny.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Raja i Jacques zaczęli nasłuchiwać. Pod drzwiami stał Abd al-Aziz Suhajri. Zawołał podnieconym głosem: – Allah Miłosierny wysłuchał mojej modlitwy. Rosjanin zniknął. Wyniósł się! – Następnie obrócił się, uniósłszy rękę nad głową i niczym tancerka zaczął kręcić piruety.

Od Aziza Jacques i Raja dowiedzieli się, jakie były kulisy wybuchu wojny. Prezydent Egiptu, Gamal Abd el-Naser, był od dłuższego czasu zmuszony przez bratnie państwa, Syrię i Jordanię, do zamknięcia Zatoki Akaba dla statków izraelskich. W ten sposób Izraelowi został odcięty dostęp do ropy z Bliskiego Wschodu, i było już tylko kwestią czasu, kiedy Izraelczycy odzyskają siłą tę drogę morską.

Dla Egipcjan wybuch wojny stał się powodem do radości. Na ulicach słyhać było radioodbiorniki i telewizory nastawione na maksymalną głośność, które informowały o sukcesach obrony przeciwlotniczej. Już pierwszego dnia zajęto część Galilei. Dokonano nalotów bombowych na Tel-Awiv. Ludzie, którzy

wierzyli meldunkom, tańczyli na ulicach.

Tylko Abd al-Aziz Suhajri, który informował Jacquesa i Raję o aktualnej sytuacji, już po trzech dniach wyraził swe wątpliwości co do prawdziwości owych doniesień. Słuchał brytyjskiego radia BBC, powiedział, zasłaniając usta ręką, i tam brzmiało wszystko całkiem inaczej: Izraelczycy zajęli cały półwysep Synaj. Południe Libanu i Syrii znajdowało się już pod okupacją izraelską, a wojska izraelskie stały już niedaleko Ammanu. Teraz należało się obawiać, że Izraelczycy przekroczą Kanał Sueski, a z Kairu do Suezu jest zaledwie 135 kilometrów. Niech Allah strzeże Egiptu.

Ale Allan odwrócił swoje oblicze od Egipcjan. Po sześciu dniach wszystko minęło, Egipcjanie zostali pobici, Synaj był usiany wrakami czołgów i wieloma tysiącami obuwia, które pozostawili uciekający żołnierze Nasera. Naser zapowiedział swoje ustąpienie. Cudzoziemcy mogli się znów swobodnie poruszać. A Jacques i Raja nabrali znów otuchy.

W dniach po haniebnej klęsce Egiptu życie w Kairze toczyło się chaotycznie, bardziej chaotycznie niż zazwyczaj, co wydaje się niewyobrażalne w mieście, w którym chaos panuje niepodzielnie. Obcy ludzie padali sobie na ulicach w ramiona, płakali i przeklinali niewiernych. Inni zaś skakali z mostów i wież, niezdolni pogodzić się z upadkiem. Na temat prezydenta Nasera opinie były podzielone. Jedni go przeklinali, inni widzieli w nim męczennika i uważali, że tylko on może ich uratować.

Nie zauważeni przez nikogo w ogólnym rozgardiaszu, Artur Kaminski i Mike Mahkorn znów trafili na ślad, który pozostawiła w Kairze Hella Hornstein. Mahkorn był przekonany, że szczególny stosunek Helli do mumii Bent-Anat oznaczał coś znacznie więcej niż tylko gonitwę za sensacją. Przeczynał, że pomiędzy Hellą i mumią istnieje tajemnicze napięcie, które musi się rozładować w jakiegokolwiek bądź formie, tego był pewien. Choć wciąż nad tym myślał, był cały czas tak daleko od rozwiązania problemu, jak na początku swoich dociekań.

Kaminski natomiast myślał mniej o okolicznościach, które doprowadziły Hellę do uprawiania kultu mumii. Uważał to raczej za jedną z wielu cech tej egzaltowanej kobiety. Chciał znów ujrzeć Helle, chciał wszystko wyjaśnić. Kochał Helle i tak łatwo się nie poddawał.

Podczas aresztu domowego, który odbywali w hotelu, pijąc i rozmawiając, Kaminski i Mahkorn bardzo się zżyli. Artur, starszy z nich, miał dla młodszego Mike'a wiele podziwu. Cenił chłodną powściągliwość, z jaką dziennikarz patrzył na sprawy. Artur nie wyobrażał sobie, aby tego mężczyznę można było kiedykolwiek wyprowadzić z równowagi. A jednak w niektórych sytuacjach ujawniała się jego wrażliwość, która Kaminskiego zdumiewała.

Choć Mahkorn nie widział Helli na oczy, dzięki zręcznym pytaniom stawianym Kaminskiemu poznał jej charakter. Mówił o niej jak stary przyjaciel. Podczas gdy Kaminski był bezradny wobec pytania, dlaczego Hella wetknęła mumii jego wisiorek, Mahkorn nie dopatrywał się w tym żadnego konkretnego znaczenia. Nie umiał wprawdzie powiedzieć, co ją do tego skłoniło, ale był przekonany, że miała jakiś konkretny cel i zależało jej, aby zostawić znak. Nie podzielał poglądu Artura, że Hella chciała sobie z niego zadrwić. To na pewno nie.

Polityczne niepokoje w Egipcie nie mogły Kaminskiego i Mahkorna odwieść od poszukiwań Helli Hornstein. Cztery dni po zakończeniu wojny, a więc 15 czerwca 1967 – zdążyli tymczasem zasięgnąć informacji w siedmiu hotelach dla cudzoziemców – weszli obaj do hallu hotelu „Omar Chajjan”. Kaminski miał ze sobą fotografię Helli stojącej przed wielką świątynią w Abu Simbel. Artur wykonał ją na początku ich znajomości. Kaminski i Mahkorn zauważyli bowiem, że portierzy hotelowi, zwłaszcza portierzy w Kairze, pamiętają raczej twarze niż nazwiska.

Mahkorn trzymał przed nosem portiera fotografię z właściwą sobie nonszalancją, która nie znosiła sprzeciwu, i zapytał, czy ta kobieta, Niemka, mieszka w tym hotelu.

Portier, jeden z owych młodych egipskich karierowiczów, nie odznaczających się dobrymi manierami, wyszczerzył beczelnie zęby. Kiedy długo i z lubością pochylał się nad zdjęciem, niewiele brakowało, aby Mahkorn schwycił go za brudny, srebrzyście lśniący krawat i mocno nim potrząsnął. Ominęło go to jednak, ponieważ pewien mężczyzna, wyglądający na Amerykanina w średnim wieku z powodu jaskrawego garnituru, położył swój klucz na ladzie, spojrzął przy tym niechętnie na fotografię i wycedził przez zęby trudno zrozumiałym slangiem: *Congratulations!*

Ani Mahkorn, ani Kaminski początkowo nie mieli zamiaru zareagować na uwagę Amerykanina, ale ten zwrócił się do Mahkorna i zapytał, czy to jego żona. Nie, odparł zapytany i aby uwolnić się od natarczywych pytań, wskazał na Kaminskiego.

– *Oh, congratulations* – powtórzył Amerykanin ku niezadowoleniu obu mężczyzn, którzy jednak nagle nastawili uszu, kiedy ów nieznajomy oznajmił, że podziwiał dziś tę damę przy śniadaniu na tarasie. – *Congratulations!*

Mike i Artur odeszli z Amerykaninem na bok. Pokazali mu jeszcze raz zdjęcie i Mahkorn zapytał: – Czy jest pan pewien, że to była ta kobieta?

Mężczyzna przyjrzał się krótko fotografii i odpowiedział: – *Hey, folks*, Ralph Nicolson ma oko, jeśli chodzi o kobiety, niestety tylko oko. A ta twarz należy do tych, które pozostają w pamięci. Czy to nie fantastyczna kobieta?

Nawet Mahkorn był tak zdumiony, że tylko skinął głową i powtórzył: – Tak, to fantastyczna kobieta.

Nicolson roześmiał się całą gębą: – To dziwne, ale wszystkie piękne kobiety na tym świecie są już zameżne. Dlaczego tak jest, pytam? I znów się roześmiał, tak że jego śmiech zabrzmiał w całym hallu.

Tymczasem Mahkorn i Kaminski znów się pozbiali. – Sir... – zaczął Mahkorn, ale nie zdołał dokończyć zdania.

– Nie Sir – przerwał mu Nicolson – nazywam się Ralph, a jak pan się nazywa?

– Mike – odparł Mahkorn.

– O, Amerykanin?

– Nie, Niemiec.

– To nic nie szkodzi.

Mike się uśmiechnął. – Kiedy to było? To znaczy, kiedy pan spotkał tę kobietę w hotelu?

– Dwa albo trzy dni przed wybuchem wojny. O Boże, jak to brzmi, dwa albo trzy dni przed wybuchem wojny! – Nicolson nagle się zastanowił. – Czy ona... ? – Wykonał ruch ręką, jakby chciał coś strząsnąć z rękawa garnituru. – Po tym spotkaniu więcej jej nie widziałem. Przykro mi.

Szef portierów obserwował ich i przysłuchiwał się jakiś czas rozmowie. Następnie podszedł i powiedział uprzejmie: – Niech mi panowie wybaczą, że się wtrącam. Czy chodzi tu o gościa naszego hotelu?

Mahkorn podniósł w górę fotografię, a stary portier skinął głową: – Dlaczego panowie interesują się tą damą?

– To narzeczona tego pana! – skłamał Mahkorn i pokazał na Kaminskiego. – Mieli się tu spotkać, ale zaszła jakaś pomyłka.

Portier skinął ze zrozumieniem głową: – Jak się nazywa ta dama?

– Doktor Helia Hornstein. Jest Niemką.

– Zgadza się – odparł portier – Jest Niemką. Ale jej nazwisko brzmi Kramer, Petra Kramer. Załatwiałem jej bilet na samolot do Niemiec.

– Kiedy to było?

– Trzeciego czerwca.

– A dokąd był ten bilet?

Portier pomyślał chwilę, następnie potrząsnął głową. – Do Frankfurtu, jeśli się nie mylę. Niech pan poczeka, przypomniało mi się, że samolot leciał przez Frankfurt do Monachium.

– I bilet był wystawiony na nazwisko Petry Kramer?

– Tak jak powiedziałem.

Mahkorn i Kamiński zdziwili się. Kamiński zmarszczył czoło, Mahkorn wcisnął portierowi do ręki banknot.

– Smoliczew musiał jej załatwić fałszywe papiery – stwierdził Mahkorn, kiedy Amerykanin pożegnał się lekkim uściskiem dłoni. – Jakie powiązania ma doktor

Helia Hornstein z Monachium?

– Tego nie wiem – odpowiedział Kamiński. – Helia pochodzi z Bochum. Nigdy nie wspominała o Monachium. – Zastanowił się chwilę. Wreszcie powiedział: – Muszę tam polecieć. Muszę odnaleźć Hellę.

Mike wyszczerzył zęby. – Bardzo mi to odpowiada. W Monachium czuję się jak w domu. Ale jednego musisz być świadom: Łatwiej jest odnaleźć Europejkę w Kairze niż Niemkę w Monachium. W Monachium roi się od Niemców.

Teraz Kamiński się roześmiał. Zrozumiał, co Mahkorn chciał przez to powiedzieć.

I podczas gdy tak stali obaj bezradni i zastanawiali się, gdzie mają szukać Helli Hornstein, portier zbliżył się do nich po raz drugi. Pokazał Mahkornowi listę i powiedział: – Może to panu pomoże. Dama, której szukacie, na dzień przed odjazdem telefonowała dwukrotnie do Monachium. Tu jest lista połączeń przez centralę z 2 czerwca. Niech pan spojrzy: pokój 217, gdzie mieszkała pani Kramer, i dwa razy Monachium 2198263.

– Czy ten numer coś ci mówi? – zapytał Mike i zapisał cyfry na kartce.

Artur potrząsnął głową: – Naprawdę nie mam pojęcia.

Od owego przykrego incydentu z medalionem profesor al-Hadżdż nie miał chwili spokoju. Wszystkie gazety, które o tym informowały, wietrzyły skandal; w każdym razie nie pozostawiały suchej nitki na metodzie jego badań naukowych. Dlatego al-Hadżdż był bardzo zainteresowany tym, aby na powrót stworzyć dobrą atmosferę wokół tego nieszczęsnego faktu.

Uprzedził Ahmeda Abd al-Kadira o swojej wizycie i zapowiedział, że ma dla niego sensacyjne nowości na temat mumii Bent-Anat. Al-Kadir odniósł się do zapowiedzi al-Hadżdża raczej sceptycznie, ale poprosił do swojego biura w Muzeum Egipskim Hassana Muchtara i Istvana Rogallę, którzy wciąż jeszcze przebywali w Kairze.

Profesor al-Hadżdż z pedanterią starszego człowieka wyciągnął ze swej czarnej torby zdjęcia rentgenowskie różnej wielkości, następnie podszedł z kliszami do okna. Al-Kadir, Muchtar i Rogalla podążyli za nim zaciekawieni.

– Zdjęcia te – zaczął profesor z wyrazem dumy – zostały wykonane według amerykańskiej technologii. Są znacznie bardziej kontrastowe niż zwykłe zdjęcia. I proszę popatrzeć, co na nich odkryłem!

Mężczyźni skupili się wokół al-Hadżdża. Negatyw, który profesor trzymał na pod światło, przedstawiał czaszkę mumii z profilu. Al-Hadżdż wziął ołówek i pokazał siatkę jasnych linii.

– I co to oznacza? – zapytał al-Kadir niecierpliwie.

Profesor opuścił zdjęcie i spojrzał triumfalnie na zebranych: – To, co państwo widzą na zdjęciu, to niewątpliwie pęknięcie podstawy czaszki, przypuszczalna przyczyna śmierci. Według tego zdjęcia śmierć mogła nastąpić wskutek uderzenia w tył głowy. Ale – al-Hadżdż wziął do ręki drugą kliszę – przeciwko temu przemawia drugie zdjęcie: pokazuje ono miednicę i widzimy na nim skomplikowane pęknięcie miednicy.

Al-Kadir, Muchtar i Rogalla cisnęli się podnieceni wokół profesora i jego zdjęć. Widzieli wyraźnie miejsce pęknięcia, które, rozgałęziając się wielokrotnie, przebiegało w poprzek miednicy.

– Samo pęknięcie – wyjaśniał al-Hadżdż – nie stałoby się bezpośrednio

przyczyną śmierci, ale spowodowałyby kalectwo królowej, a w konsekwencji wcześniej czy później zmarłaby ona w wielkich bólach.

– Ciekawe – stwierdził Rogalla – co mogło być przyczyną takiego urazu?

Profesor wziął następne zdjęcie i trzymał pod światło: – Tu mamy zdjęcie czaszki samobójcy, który wyskoczył z wieżowca w dzielnicy Bulak. Widzą panowie, że linia złamania kości przebiega niemal tak samo.

– I dlatego przypuszcza pan, że chodzi o samobójstwo? – zapytał Muchtar poruszony.

– W istocie pewne fakty przemawiają za tym – odparł al-Hadżdż. – Ale zasada anatomii brzmi: jeśli przyczyna śmierci wydaje się zbyt jasna, należy zacząć badania jeszcze raz od początku. Dotyczy to szczególnie mumii!

– A rezultat?

– Zdziwią się panowie. Obok dalszych pęknięć kości rąk i nóg, które potwierdzałyby poprzednią teorię, odkryłem jeszcze coś. – Profesor pokazał ołówkiem niewielki kwadratowy negatyw. – Są to kręgi szyjne – wyjaśnił – a ta kość w kształcie podkowy nazywa się *os hyoideum*. Znajduje się ona w przedniej części górnego odcinka szyi, między żuchwą a krtanią, i nosi także nazwę kości gnykowej. A teraz przyjrzyjcie się jeszcze raz uważnie tej podkowie. Zobaczycie wyraźnie, że pośrodku jest pęknięta.

– I co to oznacza?

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa Bent-Anat została uduszona. Złamano jej przy tym kość gnykową. Być może, aby zatuszować ten czyn, zepchnięto ją z dużej wysokości na ziemię.

Al-Kadir, Muchtar i Rogalla popatrzyli na siebie. Wypowiedź profesora była dla nich niespodzianką. Niewiele było wiadomo na temat małżonki Ramzesa Bent-Anat, a już w ogóle nic na temat jej śmierci. Odkrycie profesora naprowadziło ich być może na ślad dramatu historycznego. Teraz należało porównać te nowe wiadomości z innymi i ułożyć je w logiczną całość; będzie to zadanie, które zajmie całe lata, a jego rezultat może rozsławić imię odkrywcy.

Ale kto miał uchodzić za odkrywcę mumii Bent-Anat? Z którym z nich imię mumii będzie na zawsze związane, tak jak imię Tutanchamona pozostanie związane z Howardem Carterem?

W głębi serca każdy liczył na to: al-Hadżdż, ponieważ kieruje badaniami nad mumią; al-Kadir, ponieważ uchodzi za eksperta od mumii i przechowuje mumię w swoim muzeum; Muchtar jako naczelny archeolog w Abu Simbel; i Rogalla, który jako ekspert w sprawach dotyczących Ramzesa posiadał zapewne najlepsze

kwalifikacje do prowadzenia dalszych badań.

Pełne uznanie milczenie czterech mężczyzn dotyczyło w mniejszym stopniu dramatu, jaki rozegrał się przed ponad trzema tysiącami lat, niż nadziei na sławę, która w archeologii jest równie ważna jak w każdej innej dziedzinie nauki, a może nawet ważniejsza.

Najlepsze karty miał w ręku profesor al-Hadżdż. To on napisze potem na temat swojego odkrycia pracę, która będzie wielokrotnie cytowana, i przykre okoliczności odsłonięcia mumii pójdą na zawsze w zapomnienie. Spośród trzech pozostałych tylko ten miałby szansę podważyć sławę al-Hadżdża, kto w związku z Bent-Anat dokonałby odkrycia potwierdzającego w spektakularny sposób albo odrzucającego badania profesora.

Rogalla chodził niespokojnie po pokoju. Wszyscy widzieli, że w głowie jego kłębiły się niespokojne myśli.

– Jaki jest pana pierwszy komentarz? – zapytał al-Kadir, zwracając się do Rogalli.

– Nie wiem. Rezultat badań jest dla mnie zaskoczeniem podobnie jak dla pana. Jest, mówiąc ostrożnie, niezwykły, jeśli nie wyjątkowy. Ale jest to związane z położeniem grobowca, w którym znaleziono mumię. Powiem tak: gdybym nie widział na własne oczy, że Bent-Anat została odkopana w Abu Simbel, nie uwierzyłbym sprawozdaniu al-Hadżdża. A teraz mamy dwa rezultaty archeologiczne, które wykraczają poza wszelkie normy. Naszym zadaniem będzie obecnie wyciągnięcie wniosków z obu anomalii.

Muchtarowi nie podobała się wypowiedź Rogalli, przede wszystkim dlatego, że Niemiec rozważania profesora potraktował tak, jakby sam rościł sobie prawa do Bent-Anat. – To wszystko czcze gadanie – syknął wściekły – dwa niezwykle czynniki w nauce jeszcze długo nie będą stanowiły dowodu na słuszność teorii. Być może mamy tu nawet do czynienia z fałszerstwem.

Ta uwaga wprowadziła al-Hadżdża we wściekłość. Niski, silny mężczyzna zdjął okulary i otarł sobie pot z czoła. – Panie Muchtar! – zawołał donośnym głosem, który rozległ się echem w niskim pomieszczeniu. – Czy uważa pan, że dwadzieścia lat doświadczenia zawodowego to za mało, aby wyrażać słuszne przekonania? Napisałem dwa tuziny przełomowych prac na temat badań mumii w ogóle, a szczególnie mumii faraonów Nowego Państwa. Jeśli chodzi o pana, znane mi są jedynie złośliwe komentarze. Do badań wniósł pan raczej niewiele!

Kiedy Rogalla, który nie mógł się opanować, skwitował słowa al-Hadżdża gwałtownym skinieniem głowy i uwagą „bardzo słusznie”, Muchtar zaczął

wrzeszczeć. Ze ślełą wściekłością szarpnął profesora, nazwał go żądnym sławy neurotykiem, a Rogallę wstrętnym Niemcem i wybiegł, trzaskając drzwiami.

– Przykro mi – tłumaczył się Ahmed Abd al-Kadir, dyrektor muzeum – ale należy to przypisać jego zdenerwowaniu. – I zwracając się do Rogalli dodał: – My, Egipcjanie, łatwo tracimy panowanie nad sobą.

Jacques Balouet i Raja Kurianowa wiedzieli z własnego doświadczenia, że wywiad sowiecki pilnował wszystkich egipskich przejść granicznych, a więc i lotnisk, i nie ulegało wątpliwości, że ich nazwiska figurują na początku listy osób poszukiwanych przez KGB.

Wprawdzie pułkownik Smoliczew od zakończenia sześciodniowej wojny nie pokazał się w pensjonacie Aziza, ale nie dawało to w żadnym razie pewności, że stracił ich z oczu. Wiedzieli, że stary zdolny jest do największej podłości, i dlatego na wypadek dalszej inwigilacji Jacques i Raja wymyślili plan umknienia Rosjaninowi.

Aby ewentualnego szpiega wprowadzić w błąd, w ostatnich dniach często rozdzielali się, wędrując samotnie po uliczkach starego Kairu; chodzili bez celu wśród zgiełku ulicznego i wracali o różnych porach. Od niepozornego drogisty Balouet otrzymał wizę i paszport za 750 dolarów. Ironia historii: Balouet zapłacił tę sumę z pieniędzy, które dał im Smoliczew.

Paszporty były wystawione na nazwisko Jean i Simone Taine z Paryża i wyglądały jak prawdziwe. Tak więc Jacques i Raja z dnia na dzień wcielili się w nową osobowość. Pod nowymi nazwiskami zamieszkali w hotelu „Central”, nędznym schronisku na Szari al-Busta, które, jak im powiedział Suhajri, rzadko gościło Francuzów. Tam ich paszporty zostały wystawione na pierwszą próbę; jednakże ani w hotelu, ani u odpowiednich władz policyjnych miasta, które miały wgląd w dokumenty gości hotelowych, nie wzbudziły najmniejszych podejrzeń.

Balouet alias Taine zarezerwował bilety lotnicze do Rzymu; na dalszą trasę nie miał już pieniędzy, ale najważniejsze to znaleźć się poza tym krajem, dalej się zobaczy.

Samolot LH 683 do Frankfurtu z międzylądowaniem w Rzymie miał wystartować o godzinie dziesiątej trzydzieści. W obszernej hali odlotów panował wielki ruch, przerywany nieustannymi komunikatami nadawanymi przez megafon w językach arabskim, angielskim i francuskim, których nikt nie rozumiał.

Wielu cudzoziemców nie otrząsnęło się jeszcze z szoku po sześciodniowej wojnie. Niektórzy żyli w Egipcie już od wielu lat i opuszczali teraz kraj z wielkim bagażem. Walizy i skrzynie piętrzyły się w hali, a dla licznych tragarzy, którzy

dorywczo i bez zezwolenia wykonywali swoją pracę, był to intratny interes.

Jacques i Raja przeciskali się przez tłum w hali do znajdującej się z tyłu poczekalni, gdzie po odprawie usiedli na ławce ze stalowych rurek i plastyku. Balouet obserwował oświetlone cyfry nad czterema wyjściami na płytę lotniska.

Raja ujęła Baloueta za rękę. Żadne z nich nie mówiło ani słowa, ale oboje myśleli o tym samym: dopiero kiedy znajdą się w samolocie, uwierzą, że im się udało. Dopiero wtedy wszystko będzie dobrze i zaczną nowe życie.

Duszące powietrze i bezlitosne słońce, które wpadało przez wysokie okna pomieszczenia, sprawiało, że oboje oblewali się potem. Bali się, że jeszcze w ostatniej chwili coś może się nie powieść i cały wysiłek pójdzie na marne.

Wskazówki zegara na wysokiej białej ścianie wyglądały jak nieruchome. Są sytuacje, kiedy minuty ciągną się jak godziny. I nagle Balouet, jak gdyby na to czekał, jak gdyby to się musiało stać, usłyszał swoje nazwisko. Ktoś zawołał: – Przecież to Balouet!

Raja zareagowała natychmiast. Ścisnęła Jacquesa za rękę i powiedziała: – Udawaj, że nie słyszysz. Nie jesteś Balouetem, nazywasz się Taine!

Balouetowi krew uderzyła do głowy. Był to znajomy głos, a kiedy podniósł w górę głowę, zobaczył, czyj to głos. Przez chwilę pomyślał, żeby udąć głupiego i powiedzieć: przepraszam, ale to chyba pomyłka! Jednak zaraz sobie uświadomił, że się w ten sposób tylko ośmieszy i że to nie poprawi jego położenia; powiedział więc do mężczyzny, który stanął nagle przed nim w towarzystwie nieznanego: – Czy to pan, panie Kamiński?

Kamiński przedstawił Mahkorna i powiedział: – Jak widzę, udało się panu. Bardzo się z tego cieszę, naprawdę się cieszę!

Raja, która z tej uwagi wyczytała jedynie cynizm, wybuchnęła: – Niech pan nie udaje, my wszystko wiemy. Co zamierza pan z nami zrobić?

– Nie rozumiem – odparł Kamiński – co pani ma na myśli? Czy pani może...

Balouet wpadł mu w słowo: – Ach, wie pan, panie Kamiński, w ciągu ostatnich tygodni wiele przeżyliśmy. Zobaczyliśmy, jak przyjaciele stają się wrogami i na odwrót. Dlatego dziwiliśmy się, że pan nam pomógł uciec z Abu Simbel, ale nie myśleliśmy o tym zbyt długo. Nie przyszło nam nawet do głowy, że pan i doktor Hornstein mogli nas oszukać. A zatem, co zamierza pan z nami począć? Z pewnością gdzieś z tyłu stoją pańscy goryle.

Kamiński nie rozumiał, o czym Francuz mówi. Dlaczego on i Helia mieli ich oszukać? Patrzył niepewnie na Mahkorna, a ten zdawał się pytać: Coś ty przede mną przemilczał?

Wreszcie Kamiński zapytał, zwracając się do Baloueta: – Czy mógłby się pan wyrażać nieco jaśniej?

Raja zaśmiała się gorzko: – Proszę bardzo, jeśli pan chce usłyszeć: pan i doktor Hornstein pracujecie dla rosyjskiego wywiadu.

Mankom odepchnął Kaminskiego na bok i podszedł bliżej do Rai Kurianowej: – Czy może pani to powtórzyć?

– Kamiński i doktor Hornstein są szpiczlami KGB.

Mahkorn odwrócił się, wsadził ręce do kieszeni, wyprostował się i stanął dumnie przed Kaminskim. – Wydaje mi się, że jesteś mi winien wyjaśnienie.

Kamiński nie wiedział, co się z nim dzieje, i zrozpaczony szukał odpowiednich słów. – Niech pan posłucha – zwrócił się wreszcie do Baloueta – kiedy przyznaliście się wówczas w Abu Simbel, że pracowaliście dla KGB i teraz chcecie się z tego wypłatać, nie zastanawiałem się długo, było to dla mnie oczywiste, że muszę wam pomóc. Przecież to absurd wiązać mnie teraz z Rosjanami!

– Oczywiście że to absurd – odparł Balouet – ale jeszcze bardziej absurdalne jest to, że doktor Hornstein pracuje dla KGB.

– Helia Hornstein? To niemożliwe!

– Widzi pan! Panu nie możemy niczego dowieść. Choć wszystko przemawia przeciwko panu. Doktor Hornstein natomiast bez wątpienia jest na służbie sowieckiego wywiadu.

Kamiński zaśmiał się sztucznie: – Helia, skąd Helia!

– Tak, właśnie Helia! – wtrąciła wściekła Raja Kuria-nowa. – Na własne oczy widzieliśmy, jak spotkała się z pułkownikiem Smoliczewem. A Smoliczew ma wielu wrogów w Egipcie. Mogą potwierdzić to spotkanie!

– Kto to jest pułkownik Smoliczew? – zapytał Mahkorn zdumiony.

– Najważniejszy Rosjanin w Egipcie i największa świnią! – Raja płakała z wściekłości. – Ścigał nas przez Sudan, przez Morze Czerwone i pół Egiptu, a nam się zdawało, że jesteśmy bezpieczni. W rzeczywistości była to tylko żalosna inscenizacja. Smoliczew bawił się nami, jakbyśmy byli marionetkami, a doktor Hornstein pomagała mu w tym.

Podczas gdy Raja mówiła, rozglądała się trwożliwie na wszystkie strony, jakby się spodziewała, że lada moment Smoliczew albo jakiś inny mężczyzna podejdzie do niej i z szyderczym uśmiechem położy jej rękę na ramieniu. Ale nic takiego się nie stało.

Kamiński patrzył nieobecny wzrokiem. Wydawało się, że nie poradzi sobie z nieoczekiwaną sytuacją. – Możecie być pewni – wyjąkał – że nie mam nic

wspólnego z Rosjanami, zupełnie nic. A co się tyczy Helli Hornstein, nic nie wiedziałem i nie mogę w to uwierzyć. Jestem przekonany, że to wszystko okaże się pomyłką. Gdzie i kiedy widzieliście ostatni raz doktor Hornstein?

– Dwa albo trzy dni przed wybuchem wojny. A dlaczego pan pyta?

Mahkorn zrozumiał, że Kamiński nie może opanować zmieszania, i przejął sam rozmowę: – Poszukujemy Helli Hornstein. Wydarzyły się bardzo dziwne rzeczy.

– Jeśli Kamiński tego nie wie...

– On nie wie, ale gotów jest zrobić wszystko, aby odnaleźć tę kobietę. Być może jej zniknięcie ma coś wspólnego z tą historią z wywiadem. Jest to całkiem prawdopodobne. – Rzucił Kaminskiemu pogardliwe, a zarazem współczujące spojrzenie.

Dla Kaminskiego czas stanął w miejscu. Czuł tylko jeszcze większą pustkę i bezradność. Jacques i Raja wcale nie pozbyli się przeczucia, że za chwilę zażąda, aby niepostrzeżenie poszli za nim. Czyżby Kamiński naprawdę nie wiedział o działalności szpiegowskiej Helli Hornstein?

Raja bardziej skłaniała się do tej myśli niż Balouet. Wiedziała z własnego doświadczenia, że mury tajemnicy dzielą nawet rodziców i dzieci, męża i żonę. Dlaczego więc nie miałyby dzielić kochanków?

– Spotkanie Smoliczewa z Hellą Hornstein nastąpiło w kawiarni na starym mieście – zaczęła Raja. – O ile nam wiadomo, doszło przy tym do sprzeczki między nimi. Ostatnio mieszkała ona w hotelu „Omar Chajjan”.

Mahkorn skinął głową – To my też wiemy. Według naszych informacji Helia na dzień przed wybuchem wojny odleciała do Niemiec, przypuszczalnie do Monachium. To jest ostatni ślad.

W głowie Mahkorna wrzało jak w ulu. Zapalił cygaro i żuł je nerwowo. W pierwszej chwili uwierzył, że ujawnienie, iż Helia pracuje dla sowieckiego wywiadu, posunie ich o krok dalej w wyjaśnieniu wszystkich tajemniczych zdarzeń, jakie się wokół tej kobiety rozgrywały. Ale im dłużej nad tym rozmyślał, tym był dalej od celu. Z pewnością istniały tajne służby, które z różnych powodów były zainteresowane mumiami, ale sprawa z medalionem była wyjątkowo prowokująca i wcale nie pasowała do obrazu agentki. Czy Helia Hornstein była agentką, czy też nie, jej stosunek do mumii mógł wprawić w zmieszanie nawet KGB. Wprawdzie służby wywiadowcze na całym świecie niczego nie cenią bardziej niż zmieszania, albowiem jest ono pożywką dla ich pracy; ale jest także pożywką dla strony przeciwnej, z której czerpie ona własne korzyści.

Zapowiedź przez megafon była ledwie zrozumiała, ale napis nad Gate 3

pokazywał LH 683.

Balouet wziął małą teczkę, która stała przed nim na podłodze.

– Lecimy w tę samą stronę – powiedział Kamiński.

A Balouet odparł: – A więc niech panowie idą. Przejdziemy razem przez kontrolę paszportową. Chciałbym móc spojrzeć panu w oczy, kiedy nas zgarną. Bo trzeba panu wiedzieć, że mamy fałszywe papiery. Podróżujemy jako Jean i Simone Taine. Tak, teraz wie pan już wszystko.

Funkcjonariusze w mundurach, siedzący w opancerzonych szklanych kabinach, demonstrowali swoją ważność. Takiej dyktatorskiej postawy nauczyli ich Rosjanie. Od Rosjan przejęli także inny zwyczaj: za każdym umundurowanym funkcjonariuszem służby granicznej stał urzędnik ochrony w cywilu.

Balouet, który teraz nazywał się Taine, przybrał obojętny wyraz twarzy, kiedy wręczał urzędnikowi oba paszporty. Ciemnoskóry Egipcjanin o wąskich ustach i krótkich, czarnych kędzierzawych włosach zagłębiał się w każdy dokument, jakby czytał surę Koranu.

Rai serce podeszło do gardła, kiedy mężczyzna pochylił się nad jej fotografią i porównywał zdjęcie z osobą, która stała przed nim; następnie przyjrzał się wizie. Ochroniarz – często bywali nimi także agenci KGB – wziął do ręki paszport Rai i osobiście sprawdził wizę.

Trwało to nieskończenie długo, i Raja przyłapała się na tym, że myśli, jak zareaguje, kiedy urzędnik w okienku powie nagle: Proszę pójść ze mną! Zacznie wtedy przeraźliwie krzyczeć, płakać i walić dokoła pięściami – w każdym razie wszelkimi siłami będzie się broniła; albowiem to byłby już koniec.

Funkcjonariusz zaczął teraz gorliwie wertować swoją księgę osób ściganych; był to notatnik grubości dłoni o wyświechtanych kartkach; ale najwidoczniej nie radził sobie z alfabetem, i z uwagą „Français” wręczył im z powrotem paszporty.

Balouet stał jak skamieniały. Jak gdyby przyciągany niewidzialnym magnesem; stał bez ruchu przed okienkiem. Tak długo przeżywał rozmaite lęki, które dopadały każdego uciekiniera, że teraz nagle zbawcze uwolnienie unieruchomiło go; chciał iść, ale nie mógł.

Zachowanie Baloueta zaczęło budzić podejrzenie funkcjonariusza. Widział, że z Francuzem coś nie jest w porządku, i zapytał przez okrągłe okienko: – Monsieur? – Wykonał przy tym gwałtowny ruch ręką, jakby chciał odpędzić muchę. – Monsieur?

Mahkorn zorientował się w sytuacji; przecisnął się przed Kaminskim i dał Balouetowi kuksańca, który omal nie powalił go na ziemię. Przywołało to Baloueta

do przytomności, a kontroler i cywil potrząsali głowami nad gburowatym zachowaniem turystów.

Samolot nie miał kompletu pasażerów, ale Boeing 707 potrzebował niemal całej wieczności, aby się wznieść w górę. Jacques i Raja trzymali się kurczowo oparc swoich foteli. Nie mówili ani słowa; nie mieli nawet odwagi, aby się obejrzeć. Dopiero kiedy maszyna osiągnęła właściwą wysokość, a pod nimi żółtość i szarość delty Nilu ustąpiły miejsca turkusowi Morza Śródziemnego, wiedzieli, że się udało, i uszczęśliwieni padli sobie w ramiona.

– Wygraliśmy! Wygraliśmy – wykrzykiwała Raja i całowała Jacquesa, który musiał hamować jej nadmierną radość.

Pilot ogłosił przez mikrofon, że przelecieli właśnie nad zachodnim krańcem Krety, kiedy Mahkorn podszedł do nich z tyłu samolotu: – Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe mojego zachowania podczas kontroli.

Balouet ujął rękę Mahkorna: – Wprost przeciwnie, bardzo panu dziękuję. Zorientował się pan w sytuacji i szybko zareagował. Rzeczywiście myślałem wówczas, że to już koniec. Czegoś takiego nigdy w życiu nie doznałem. Nawet Raja nie zauważyła, co się ze mną działo. Czy jest pan psychologiem?

Mahkorn zaśmiał się. – Jestem dziennikarzem, tak jak pan. Jak pan wie, trzeba się wówczas znać na wielu zawodach. A mówiąc żartem, jako dziennikarze umiemy wszystko, tylko nic dobrze.

– W pana wypadku to nieprawda – powiedziała Raja i wyciągnęła dłoń do reportera. – Jak mamy panu dziękować!

Mankom machnął ręką. – Kamiński opowiedział mi, co państwo przeszli. – Potrząsnął głową. – Będę trzymał kciuki za waszą przyszłość. Oto moja wizytówka. Może będę mógł wam jeszcze kiedyś pomóc.

– O nie – bronił się Balouet – to my jesteśmy pańskimi dłużnikami. Jeśli pańskie drogi przywiodą pana kiedyś do Paryża, niech pan się zgłosi u Mauriaca z „Paris Match”. On będzie wiedział, gdzie aktualnie jesteśmy; to mój stary przyjaciel.

Mahkorn podziękował i powiedział: – Poza tym uważam, że wyrządziliście przykrość Kamińskiemu. Wygląda na to, że istotnie nie wiedział o działalności wywiadowczej Helli. Popatrzcie na niego! – Wskazał przy tym ręką na tył samolotu.

W przedostatnim rzędzie siedział Kamiński z kieliszkiem whisky w ręku i pił na umór.

Po powrocie do Niemiec stało się coś dziwnego. Kamiński przestał się nagle interesować całą historią. Mahkorn stracił go nawet na dłuższy czas z oczu. Sam także odłożył sprawę niemal ad acta, ale często o niej myślał.

Nagle któregoś dnia, Kamiński pojawił się w Monachium i obrzucił Mahkorna wyrzutami, że przestał się zajmować sprawą. O tym, gdzie sam się podziewał tak długo i co porabiał, Kamiński milczał, i to obudziło w Mahkornie nieufność.

Jednakże szybko się dogadali, że trzeba dalej szukać śladu Helli.

Pewnego dnia udali się do okazałego budynku z okresu rozkwitu Monachium za czasów Ludwika I, w którym mieściła się filia Bawarskiej Biblioteki Państwowej. Mahkorn, który znał tę instytucję tylko z zewnątrz, najchętniej by zawrócił, tak zimna i obca wydała mu się ta budowla. Ale Kamiński popychał go do tablicy informującej o różnych działach, spośród których najbardziej cenny i tajemniczy był dział papirusów.

Tylko wtajemniczeni – a jest ich niewielu – wiedzą, co się kryje za licznymi drzwiami i jakie tajemnicze skarby mieszczą się w owych metalowych szafach, które dla zwykłych śmiertelników pozostają zamknięte tak jak Arka Przymierza dla Izraelczyków.

Zapach, który rozchodził się w pomieszczeniach, był mieszaniną kadzidła i wosku do podłóg i wywoływał zawrót i ból głowy, kiedy się w nich dłużej przebywało.

Przy wejściu do czytelni działu za stołem z metalowych prętów i z blatem ze sztucznego tworzywa siedziała uprzejma dziewczyna o długich jasnych włosach; zażądała od Kaminskiego i Mahkorna dowodów osobistych i poprosiła o wpisanie się na wyłożoną listę.

Na pytanie o kierownika działu wskazała im jedne z bocznych drzwi z napisem: Dr Wurzbach. Pomieszczenie było aż po sufit wypełnione starymi książkami i wyłożone kafelkami, a pośrodku za stołem siedziała dama o surowym wyrazie twarzy, pół-długich włosach zaczesanych do tyłu i w czarnych męskich okularach; z udawaną uprzejmością zapytała, czego sobie życzą.

Mahkorn przedstawił siebie i Kaminskiego jako dziennikarzy, wyjął z kieszeni fotografię Helli, która już nieraz była mu pomocna, i zapytał, czy przypadkiem nie

było tu tej kobiety.

Owszem, odparła kierowniczką działu, przypomina sobie tę twarz. Ta kobieta spędziła tu dwa albo nawet trzy dni, co nie było niczym wyjątkowym, albowiem niektórzy naukowcy pracują tu całymi tygodniami. Nic więcej nie chciała na ten temat powiedzieć; była zajęta.

Mahkorn nie dał się jednak tak łatwo spławić, i Kamiński podziwiał elokwencję, z jaką udało mu się pozyskać zaufanie doktor Wurzbach, przy czym roztoczył przed surową kobietą wzruszającą historię o mężczyźnie – przy czym miał na myśli najwidoczniej Kaminskiego – od którego wskutek nieporozumienia uciekła narzeczona. Taka porcja tragizmu poruszyła serce nawet kobiety na stanowisku i doktor Wurzbach chętnie udzieliła informacji.

Jak można się było dowiedzieć z list i kartotek, Helia odwiedziła dział trzykrotnie, zapisała się pod swoim właściwym nazwiskiem i pracowała za każdym razem nad tym samym tekstem; był to papirus Schmalenbacha, zdobyty w ubiegłym stuleciu przez bogatego monachijskiego kupca. Papirus ten nosi odtąd jego imię. Spadkobiercy przekazali cenny zabytek państwu bawarskiemu i dlatego właśnie ów papirus jest przechowywany w tym miejscu.

Doktor Wurzbach, teraz uosobienie uprzejmości, zaofiarowała się, że pokaże Kaminskiemu i Mahkornowi ten papirus – najwidoczniej była z niego dumna. Ale Mahkorn podziękował, mówiąc, że nie wiedzieliby, co z nim począć. Zapytał jednak, czy pani doktor zna treść tego papirusu.

Nie, odparła kobieta, za dużo od niej wymagają, ale istnieje wiele opracowań i tłumaczeń, które chętnie im pokaże.

Doktor Wurzbach zniknęła i wkrótce wróciła z dwiema broszurkami w rękę. Jest to najlepsze opracowanie, jakie istnieje. Kamiński i Mahkorn znaleźli wolne miejsce w czytelni i zagłębili się w tekście, który zaczynał się słowami:

„O, Amonie-Re, wykonałem dla ciebie oko Horusa. Jego zbawienna moc dosięga cię. Moc oka Horusa jest tą, co działa na ciebie, Amonie-Re, który kochasz serce... „

Mahkorn zrobił wielkie oczy.

W tekście tym chodzi o fragmenty z egipskiej Księgi Umarłych, które pokazują, jak Egipcjanie wyobrażali sobie podróż dusz do podziemnego świata. Księga ta zawierała powtarzające się, nic nie mówiące słowa i nużące litanie, i Mahkorn już po kilku stronach przerwał lekturę.

– Chciałbym wiedzieć, czego Helia szukała w tym papirusie! – szepnął Kamiński Mahkornowi.

Ten potrząsnął głową: – Historia staje się coraz bardziej tajemnicza. Kierowniczka twierdzi, że doktor Hornstein czytała papiirus, a zatem nie to tłumaczenie, tylko oryginał. A to oznacza, że Helia potrafi odczytywać hieroglify. Gdzie się tego nauczyła?

Kamiński, który przebiegł wzrokiem tłumaczenie, odpowiedział: – Nie wiem, ale zawsze to podejrzewałem. Kiedy jednak pytałem Helle, milczała i sprowadzała rozmowę na inny temat – jakby się tego wstydziła albo miała coś do ukrycia.

Nagle Kamiński przerwał: – Mike! – zawołał podniecony i zaczął czytać: – „O, jak żałosna jest moja skarga! Ty, który przechadzałeś się ze mną po ogrodach i nad brzegami Nilu, moje nogi są spętane bandażami. Czy mnie poznajesz, Największy spośród Wielkich? Jestem twoją małżonką, twoją ukochaną córką Bent-Anat. Radość temu, kto spoczywa tu w pokoju, ty jednak przekląłeś mnie i roztrzaskałeś moje członki, tak że...”

– Że co? – zapytał Mahkorn niecierpliwie.

– Nic! – odparł Kamiński. – Tu tekst się urywa.

– Podeszła doktor Wurzbach.

– Proszę nam powiedzieć, pani doktor, co pani wie na temat pochodzenia tego papiirusu?

Kierowniczka odpowiedziała uprzejmie: – Właściwie prawie nic. Schmalenbach był kolekcjonerem antyków i przywiózł ten papiirus ze swej podróży do Egiptu, nie znając jego treści, która, nawiasem mówiąc, nie ma większego znaczenia dla egiptologii. Prawdopodobnie zdobył go w Abu Simbel. Jest to jeden z owych anonimowych papiirusów, które są rozsiane po wszystkich muzeach świata.

Kamiński i Mahkorn spojrzeli na siebie. Obaj pomyśleli o tym samym.

– Ta dama zachowywała się, moim zdaniem, nieco dziwnie – zauważyła nagle doktor Wurzbach – ale my tu mamy do czynienia z różnymi dziwakami. Naukowców nie należy mierzyć zwykłą miarą, panowie rozumieją...

Ale oni nie rozumieli, i Mike zapytał: – Co znaczy dziwnie?

– No tak, siadywała zawsze przy stole w najdalszym kącie i wydawała dziwne dźwięki, jakby czytała tekst papiirusu. A przecież każdy wie, że to jest niemożliwe, albowiem brzmienie słów staroegipskich jest dziś całkowicie nieznane. Znamy tylko spółgłoski, a to, co znajdowało się pomiędzy nimi, to znaczy A, E, i O, jest nieznane. Każde głośno przeczytane zdanie to czysta spekulacja. A następnie... – doktor Wurzbach zmarszczyła czoło – stale kładła obok siebie zielonego skarabeusza, kopię, jaką można kupić na każdym rogu egipskiej ulicy. Ale

chrząszcz leżał zawsze na grzbiecie.

– Na grzbiecie?

– Tak. Myślę, że ona porównywała hieroglify na spodniej stronie skarabeusza z tekstem papirusu. O co tu chodziło, nie umiem powiedzieć. Ale – kobieta spojrzała pytająco na Kaminskiego – może pan wie, czego pańska narzeczona szukała w papirusie?

– Ja? Nie, nie wiem tego. – Kamiński był zakłopotany. Mniej z powodu tego, że nie umiał odpowiedzieć na pytanie kierowniczkę, ale bardziej dlatego, że nazwała ona Hellę jego narzeczoną.

Z pewnością byli oboje jakby zaręczeni; w końcu spędzili razem szmat czasu. Kochali się, a przynajmniej dawali upust swym namiętnościom, i Helia nigdy nie protestowała, kiedy proponował jej, iż po zakończeniu pracy w Abu Simbel zaczną nowe życie, obojętne gdzie.

– No i co?

– Po swojej trzeciej wizycie Helia Hornstein nie pojawiła się więcej w dziale papirusów.

Kamiński i Mahkorn zostawili doktor Wurzbach numer telefonu. Dwukrotnie się dowiadywali – na próżno. Po Helli Hornstein zagał wszelki ślad. Tak więc Kamiński zaczął się powoli godzić z myślą, że Helia Hornstein zniknęła na zawsze z jego życia.

W tych dniach rezygnacji Mike Mahkorn był dla Kaminskiego jedyną podporą. Wydawało się, że nie ma on żadnych sojuszników ani przyjaciół. Jak sam kiedyś wspominał, wyjeżdżając do Egiptu, zrzekł się swego mieszkania w Zagłębiu Ruhry.

Kamiński miał znaczne oszczędności. Nie potrzebował się obawiać o przyszłość. Ale niepokój, który go zawiódł do Abu Simbel, nie opuszczał go. Wyznał swemu przyjacielowi Mahkornowi, że najskuteczniejszym środkiem, który by mu pozwolił zapomnieć o fatalnej sytuacji, byłaby praca albo nowe zadanie.

Na czas poszukiwania pracy, co dla pięćdziesięciolatka wcale nie było takie proste, znalazł schronienie u Mahkorna w jego mieszkaniu mieszczącym się w obszernym budynku, ze sztukaterią na suficie, lakierowanymi na biało drzwiami i widokiem na Kurfurstenplatz. Mahkorn zawsze miał współlokatorów; sam czuł się źle. Jednakże owi współlokatorzy byli z reguły płci żeńskiej. Niespokojny tryb życia i rzadka obecność Mahkorna w domu sprawiały, że większość „sublokatek” nie zagrzewała u niego długo miejsca.

Szybciej, niż się tego spodziewał, Kamiński zaakceptował swoją nową sytuację, życie bez Helli; w każdym razie tak mu się zdawało, kiedy przedsiębiorstwo budowlane o nazwie Eichbaum AG, które działało głównie w Turcji, zaproponowało mu od listopada pracę: cztery lata w Ankarze przy budowie nowoczesnego stadionu sportowego. Oczywiście Ankarą nie umywała się do Abu Simbel, ale Kamiński mógł być pewien, że tam nikt nie będzie się zajmował jego przeszłością.

Powinien był właściwie zauważyć, że Mahkorn nie wspominał ani słowem o sprawie, która ich kiedyś połączyła. Kamiński musiał wiedzieć, że Mike był typem człowieka, który nigdy nie rezygnuje, i jeśli wgryzł się w jakąś historię, drażył ją aż do upadłego.

Mahkorn umówił się pewnego razu na wywiad z profesorem Heinrichem Wendersem, ekspertem od problemów z pogranicza wiedzy i parapsychologii, który pracował na uniwersytecie we Fryburgu. Miał nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej na temat reinkarnacji; sądził bowiem, że tu leży przyczyna niezrozumiałego zachowania Helli Hornstein.

Instytut profesora Wendersa położony był wysoko ponad miastem, wśród lasów liściastych i winnic; z daleka bardziej przypominał willę wielkiego przemysłowca z przełomu stuleci niż placówkę naukową. Goście, którzy odwiedzali to miejsce, byli zdumieni, kiedy przez dwuskrzydłowe drzwi wchodzili do wytwornego budynku.

Wielkie pomieszczenia podzielono na mniejsze za pomocą ścianek, aby w ten sposób stworzyć miejsce dla jak największej liczby studentów i pracowników naukowych. Na korytarzach stały stare żaluzjowe szafy biurowe i szarozielonkawe blaszane skrzynki; ich wygląd nie budził wątpliwości, że pochodziły z czasów przedwojennych.

Pokój, w którym Wenders przyjął Mahkorna, lepsze czasy miał już dawno za sobą. Z trzech okien tworzących wykusze roztaczał się wspaniały widok na dolinę. Dostęp do okien był utrudniony, albowiem stały pod nimi stoły, na których zgromadzono stosy książek, dokumentów i akt. Pośrodku pokoju stał długi, jasny drewniany stół i krzesła, które, podobnie jak profesor, dawno już osiągnęły wiek emerytalny.

Wiek Wendersa można było odgadnąć z jego głęboko osadzonych oczu i powiek w kształcie orzecha włoskiego – przypominał nieco wyglądem papieża Piusa XII. Profesor próbował najwidoczniej zatuszować swój wiek, szesując jasnoblond włosy wzorem egzystencjalistów na czoło i paląc papierosy mentolowe tak jak jego studenci.

Wenders mówił cicho, wobec tego Mahkorn, mówiący zazwyczaj głośno i szybko, dostosował się do profesora, aby go nie drażnić; zauważył bowiem, że jego własny głos brzmiał groźnie w pustym gabinecie, w którym prawie nie było mebli. Nie wymieniając nazwiska, Mahkorn opisał Wendersowi przypadek Helli Hornstein ze wszystkimi szczegółami i zakończył pytaniem: – Panie profesorze, czy uważa pan za możliwe, że ta kobieta jest ofiarą reinkarnacji?

Wenders, który słuchał opowieści Mahkorna, wpatrując się nieruchomo w stół, nagle się ożywił. Spojrzał z wyrzutem na reportera i odrzekł cicho, jękając się: – Jak to ofiarą? Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. Co znaczy ofiarą? Fenomen reinkarnacji nie oznacza niczego złego ani strasznego, co przynosi ból. Reinkarnacja to fantastyczne zjawisko. Czy nie chciałby pan być w poprzednim wcieleniu Einsteinem, Schopenhauerem albo Goethem?

– Nie – odpowiedział Mahkorn z rozbijającą szczerością.

Wenders poczuł się dotknięty i znów skierował wzrok na drewniany blat stołu. Z zamkniętymi oczami przeżuwał coś, czego wcale nie miał w ustach. – Odpowiadając na pańskie pytanie – powiedział po chwili oburzony – owszem,

opisywane przez pana symptomy pozwalają sądzić, że chodzi tu o przypadek reinkarnacji. Ale aby dokonać ostatecznej oceny, musiałbym porozmawiać z osobą, o którą tu chodzi...

– Sam bym z nią chętnie porozmawiał – odparł Mahkorn ale zdaje się, że zależy jej na tym, aby się ukrywać przed przyjaciółmi i znajomymi, a więc wieść życie anonimowe.

Wenders był zachwycony – Typowe, całkiem typowe! – zawołał podniecony. – Jak się zdaje, mamy tu do czynienia z przypadkiem odosobnionej inkarnacji, to znaczy, że wspomniana osoba wskutek wstrząsającego przeżycia, na przykład wypadku albo doznanego szoku, identyfikuje się w pełni ze swoim dawnym życiem i przeżywa je tak, jakby to było dziś. Nie akceptuje ludzi ze swego obecnego otoczenia. Może dochodzić do tego, że nie poznaje nawet najlepszych przyjaciół. Na ogół wymaga to wielu seansów regresyjnych w hipnozie, aby testowaną osobę przenieść w taki stan. W tym wypadku regresja, a więc przeniesienie w inną rzeczywistość, dokonała się samoistnie. Być może poprzez autosugestię albo, jak powiedziałem, wskutek szczególnego przeżycia. Taki stan jest niebezpieczny. W każdym razie kobieta wymaga obserwacji psychiatrycznej.

Mahkorn nie spodziewał się tak jednoznacznego stanowiska profesora. Jego słowa go zaniepokoiły, i, co mu się rzadko zdarzało, poczuł się dotknięty.

– Wie pan – zaczął ostrożnie, ponieważ zauważył, jak łatwo było urazić profesora – wiele słyszałem na ten temat, ale jeśli mam być szczery, nie bardzo wierzyłem w to...

– Czy pan jest katolikiem? – przerwał profesor niemal groźnym tonem.

– Protestantem – odpowiedział Mahkorn. – A dlaczego pan pyta?

– Chrześcijanie i muzułmanie mają największe trudności z fenomenem reinkarnacji. Buddyści i hinduiści nie mają z tym w ogóle problemów. – Wenders ożywił się i choć jego głos pozostał cichy, brzmiał teraz bardziej energicznie. – Czy wie pan, młody przyjacielu, że fenomen reinkarnacji jest zgodny ze starochrześcijańską tradycją? Wiara w poprzednie życie duszy została zakazana przez Kościół dopiero na soborze w Konstantynopolu w 553 roku. A przecież w Nowym Testamencie u Mateusza ludzie uważali Jezusa za reinkarnację proroka Eliasza, który żył dziewięćset lat przed ich czasami! Albo weźmy ojców Kościoła! Prawie wszyscy zaliczali siebie do zwolenników nauki o reinkarnacji. Orygenes twierdził, że dusza nie może w naszym materialnym świecie żyć bez ciała, i jeśli ciało umiera, ona przenosi się do nowego. Istnieje zresztą dużo fenomenów, które znajdują proste wytłumaczenie przy założeniu reinkarnacji. Na przykład fenomen

cudownych dzieci. Jak to się dzieje, że czteroletnie dzieci potrafią rozwiązywać łamigłówki, grać na fortepianie albo w szachy? Wytłumaczenie jest takie, że przynoszą wiedzę i zdolności ze swego poprzedniego życia. Bobby Fisher grał w szachy jak mistrz, podczas gdy jego rówieśnicy bawili się jeszcze misiami. Fisher twierdzi o sobie, że jest reinkarnacją kubańskiego mistrza szachowego, Capablanki.

Mahkorn zastanowił się: – To by wyjaśniało, dlaczego osoba, o którą chodzi, potrafi czytać teksty, które nawet specjalistom sprawiają trudności. Tylko po co to robi?

Profesor Wenders spojrział przez okno na miasto, które leżało w dole pogrążone we mgle. – Musiałbym lepiej znać ten przypadek, aby dać wiążącą odpowiedź; ale najbardziej prawdopodobna jest następująca teoria: ta osoba poszukuje swojej przeszłości. Każdy człowiek pragnie wiedzieć, skąd pochodzi i dokąd zmierza. To źródło wszystkich religii. Ta osoba poszukuje swego dawnego życia, ponieważ nie może dłużej żyć tak jak dotychczas. Przypuszczam, że szuka jakiegoś całkiem konkretnego przeżycia, które byłoby kluczem do rozwiązania zagadki.

– I ma nadzieję znaleźć je w starych hieroglifach?

– Czemu nie. Nie znam się na starożytności; ale jestem pewien, że dawni Egipcjanie posiadali ogromną mądrość życiową. I wiele z tego dziś uległo zapomnieniu.

Ale to wciąż jeszcze nie była odpowiedź na pytanie, dlaczego Hella Hornstein szukała w starych tekstach informacji o wydarzeniu, które miało miejsce przed trzema tysiącami lat. Jeśli rzeczywiście była to Bent-Anat, to musiała przecież znać swoje dawne życie aż do najdrobniejszych szczegółów!

Wenders zdawał się czytać w jego myślach i próbował rozwiązać jego wątpliwości: – Musi pan wiedzieć, że reinkarnacja nie jest zamkniętym procesem. Polega ona na tym, że badany osobnik zanurza się w swej przeszłości niczym w głębokiej wodzie, i w zależności od swego stanu psychicznego zanurza się bardziej albo mniej w owym dawnym życiu. Wielu z nich – by nie powiedzieć większość – pozostaje tuż pod powierzchnią, a tylko nieliczni sięgają dna swojej przeszłości.

– A co ci ludzie widzą na dnie owej przeszłości?

Profesor uśmiechnął się, jakby bawiła go niewiedza pytającego. – Na dnie wód natrafiają oni na stawanie się i przemijanie, narodziny i śmierć.

– A w jaki sposób ludzie ci nabierają przeświadczenia, że są reinkarnacją jakiegoś innego człowieka?

– W różny sposób. Jeden zaczyna nagle mówić o sprawach, o których nigdy nie słyszał. Potrafi opisać budynki, w których nigdy nie był, zaczyna mówić językiem,

którego się nigdy nie uczył. Często ludzie ci czują, że w nie wyjaśniony sposób pociąga ich jakieś miejsce albo osoba. Dochodzi nawet do tego, że poszukują oni grobów zmarłych albo, jak w opisywanym przez pana przypadku, mumii.

– Ale dlaczego to robią?

– Na początku sami tego nie wiedzą. Czują tylko nieodparty przymus, porównywalny z *amour fou*, irracjonalnym, niewytłumaczalnym zadurzeniem się w drugiej osobie. Taki zakochany osobnik robi rzeczy, które dla postronnego obserwatora są nie do pojęcia, po to, aby tylko być jak najbliżej obiektu swej miłości. Można powiedzieć, że zakochanie i reinkarnacja to dwa takie same fenomeny. Od pierwszych dni ludzkości istniały osoby, które sprawowały i sprawują władzę nad innymi za pomocą sił nie do wyjaśnienia dla przyrodznawców.

– A więc pan wciąż jeszcze przypisuje mumii Bent-Anat władzę?

– Oczywiście.

Jasność i pewność siebie, z jaką profesor Wenders potraktował ten przypadek, miały w sobie coś przerażającego. W każdym razie Mahkorn cały czas podejrzewał, że profesor wie znacznie więcej, niż powiedział.

Mahkornowi przyszło na myśl, że dzięki swoim drażącym pytaniom mógłby może trafić w czułe miejsce profesora; dlatego rzekł dobitnie: – Istnieją krytycy pańskiej teorii, którzy twierdzą, że w reinkarnacji nie chodzi o nic innego jak o marzenia. Ekspedientka chciałaby być księżniczką, przynajmniej w swym poprzednim wcieleniu.

– Jest to przekonujący argument – odparł profesor Wenders – ale już dawno został odparty. Na uniwersytecie w Wirginii zbadano tysiące przypadków reinkarnacji. Rezultat zadziwi pana: tylko znikoma część ludzi twierdziła o sobie, że w poprzednim życiu była sławną osobistością. Dla większości ich dawniejsze życie stanowiło społeczną i materialną degradację.

– A zatem cytowany przeze mnie przypadek stanowi wyjątek od reguły. W końcu Bent-Anat była królową, a kobieta, o której tu mówię, jest nikomu nie znaną lekarką.

– Całkiem słusznie. A jeśli chodzi o lekarzy, są to – jak wskazują wyniki badań – ludzie nadzwyczaj inteligentni, częstokroć nawet utalentowani, którzy twierdzą, że już kiedyś żyli w postaci kogoś innego.

Choć Mahkorna fascynowały te ogólne teorie, próbował skierować rozmowę z powrotem na swój temat i zadał pytanie: – Panie profesorze, jakie wnioski wyciągnąłby pan z faktu, że ta osoba poszukuje w dokumentach wzmianek

dotyczących swego poprzedniego życia? Mówiąc inaczej: Czego należy się spodziewać, jeśli znajdzie ona kardynalną informację?

– To interesujący aspekt i możemy tylko spekulować na temat odpowiedzi; ale uważam, że nie powinniśmy rezygnować. I tu przede wszystkim narzuca się pytanie o powiązania osobiste, stosunek matka-dziecko, miłość i partnerstwo, narodziny i śmierć. Co wiemy na temat życia Bent-Anat?

– Bardzo mało, prawie nic. Niewiele więcej ponad to, że była ona córką Ramzesa II i że później pojął on ją za żonę.

Wenders zastanowił się: – Myślę, że tu tkwi klucz do wytłumaczenia owego niespokojnego poszukiwania odrodzonego „ja” na podstawie dowodów z przeszłości. Jestem pewien, że owa kobieta będzie podróżowała do wszystkich miejsc, gdzie przechowywane są dokumenty z czasów Bent-Anat. I wcześniej czy później pojawi się znów w grobowcu mumii.

– To niemożliwe – przerwał Mahkorn – grobowiec został zatopiony przez wody tamy asuańskiej.

– O Boże – powiedział cicho profesor – nasuwa mi się tu pewne straszliwe podejrzenie. Ale to podejrzenie nie ma podstaw naukowych. W każdym razie powinien pan odnaleźć jak najszybciej tę kobietę.

Choć Mahkorn starał się, jak mógł, nie przekonał profesora Wendersa, aby powiedział, co go tak zaniepokoiło. Wrócił więc do Monachium z postanowieniem, że dołoży wszelkich starań, aby odnaleźć Hellę Hornstein, nawet bez udziału Kaminskiego. Chciał bowiem wreszcie rozwikłać problem, w jaki się zaplątał. Jego znaczenie wykraczało bowiem w dużym stopniu poza wypadki, z jakimi spotykał się dotychczas w swoim zawodzie. Czuł, że sam stał się marginalną postacią w całej tej historii.

W Kaminskim dokonana się w owym czasie osobliwa przemiana. Mahkorn odnosił wrażenie, że badania dotyczące Helli Hornstein interesują go już tylko połowicznie; a nawet wolałby, aby zostawić całą tę sprawę w spokoju.

Kaminski zaczął w tym czasie nadmiernie pić. Było to dla Mahkorna czymś całkiem nowym. Kaminski wypijał takie ilości czerwonego i białego wina, że wieczorami zwał się na podłogę i trzeba go było ciągnąć do łóżka.

Kiedy Mahkorn wrócił od profesora Wendersa do domu, znów zastał Kaminskiego pijanego. Ale jak zwykle był przytomny.

Informacja Mike'a o tym, że rozmawiał z parapsychologiem na temat przypadku Helli Hornstein, podziałała na Kaminskiego otępienie. Jego twarz, na której malowało się radosne odurzenie winem, nagle stała się ponura; spojrzął na przyjaciela z wściekłością: – Przecież umówiliśmy się, że nie będziemy się więcej zajmować tą sprawą. Dlaczego drążysz nadal potajemnie w moim życiu?

– Arturze – zaczął Mahkorn ostrożnie, albowiem znał wybuchy wściekłości przyjaciela, kiedy ten był pijany – rozumiem twoją sytuację. Również dla mnie jest ona skomplikowana. Ale nie rozwiążemy naszego problemu chowając głowę w piasek. Jestem dziennikarzem, a to jest najbardziej podniecająca historia, na jaką kiedykolwiek natrafiłem. Poświęciłem jej już wiele wysiłku. Powiem wprost: Czy jedynym rezultatem mają być koszty?

Kaminski grzebał w kieszeni spodni, jakby szukał pieniędzy. – Dobrze, dobrze – powiedział z przesadną uprzejmością ile wydałeś na ten... przypadek? – Powiedział to obojętnym tonem. – Zwrócę ci wszystkie koszty, a potem zapomnij o sprawie. Zgoda?

Mahkorn czuł, że spokój, z jakim przyjaciel przemawiał do niego, był udawany.

Wyobrażał sobie, co się w nim w istocie działo. Próbował więc uspokoić Kaminskiego. – Wiesz dobrze, że wydaję nie swoje pieniądze, tylko mojego pisma, i ono oczekuje ode mnie wiadomości, rozumiesz? Poza tym mam wrażenie, że to wszystko jest ważniejsze, niż sądzisz. Arturze, to nie jest zdarzenie, które można odłożyć ad acta. Wiesz to lepiej ode mnie!

– Koniec! Dość tego! – Kaminski uderzył pięścią w stół. – Nie chcę więcej słyszeć o Helli Hornstein!

– Ależ to nie ma sensu! – Mahkorn zaczął krzyczeć. – Ty tylko tłumisz własne problemy. Być może nawet ci się to uda na kilka dni, na kilka tygodni; ale potem Abu Simbel znów cię dopadnie i wszystko zacznie się od nowa!

– Nie chcę więcej słyszeć tego nazwiska! – powtórzył Kaminski.

– Nie opowiadaj bzdur! Założę się, że gdyby Hella stanęła teraz w drzwiach, zerwałbyś się na równe nogi i wszystko poszłoby w zapomnienie.

Kaminski spojrzał w górę. Starał się ukryć swój stan zamroczenia. Mahkorn mu współczuł.

– Powinieneś się oswoić z myślą – zaczął Mahkorn ostrożnie – że w przypadku Helli mamy do czynienia z reinkarnacją. Hella jest – albo przynajmniej tak się czuje – reinkarnacją Bent-Anat. Takie historie jak ta zdarzają się dość często, choć rzadko bywają tak oczywiste.

– I to wszystko powiedział ci ten Wenders?

– Tak.

– Wspaniałe odkrycie. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Ale musisz się z tym uporać! Wenders wyjaśnił mi dokładnie, dlaczego Hella tak się zachowuje. Ona poszukuje swej dawnej egzystencji. Próbuje zdobyć informacje o tym, co się wówczas działo. Zielony skarabeusz stał się dla niej wskazówką, ale niczego nie wyjaśnił. I właśnie dlatego Hella pojawia się wszędzie tam, gdzie przechowuje się teksty z życia Bent-Anat. Ta kobieta dopiero wówczas znajdzie spokój, kiedy dowie się wszystkiego o swoim poprzednim życiu. Dopiero wówczas będzie na powrót tą, która tyle dla ciebie znaczy.

Kaminski rozwalił się na tapczanie i patrzył tępym wzrokiem na swoje buty, jakby to wszystko wcale go nie obchodziło. Jego zachowanie wprawiło Mahkorna we wściekłość. Upór Kaminskiego przypominał upór dziecka. Mahkorn najchętniej wzięłby go za kark i mocno potrząsnął; ale prawdopodobnie jeszcze pogorszyłby tylko sprawę.

Kiedy Mahkorn tak rozmyślał, Kaminski wstał, wyszedł do przedpokoju, wyjął z szafy dwie nędzne walizki z czarnej skóry i zaczął pakować manatki – nie było

tego wiele.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Mahkorn.

– Wynoszę się – odparł Kaminski, nie przerywając pracy. – Zawiodłeś moje zaufanie. Wynoszę się.

Wtedy Mahkorn nie mógł dłużej zapanować nad sobą i zawołał wściekły: – To idź precz, idź, dokąd chcesz, i nigdy więcej nie wracaj!

Kaminski przerwał pakowanie. Spojrzał na Mahkorna i odparł: – Tego możesz być pewny! – Włożył marynarkę, zamknął walizki i wyszedł. Mahkorn usłyszał zgrzyt klucza w zamku; potem nastąpiła nieprzyjemna cisza.

Dopiero na drugi dzień Mahkorn zauważył, jak bardzo przyzwyczał się do Artura, jakie znaczenie miało dla niego życie drugiego człowieka. Czy miał za nim pójść i prosić go, aby wrócił? To wydawało się Mahkornowi bezsensowne. Znał upór Kaminskiego. Ale nie miał też cienia wątpliwości, że Artur wróci.

Jednak się mylił. Kaminski nie wrócił ani nazajutrz, ani za dwa dni.

Cztery dni później zadzwonił telefon. Był to Balouet. Znalazł pracę w „Paris Match” jako archiwista – oczywiście nie była to wymarzona posada, ale przynajmniej dawała pieniądze, a tych oboje z Rają pilnie potrzebowali.

Przyczyna telefonu przeraziła Mahkorna, choć nie była to wcale straszna wiadomość. Balouet poinformował go, że spotkał Hellę Hornstein, i to w bardzo zagadkowych okolicznościach; te okoliczności właśnie skłoniły go, aby zatelefonować do Mahkorna. Gdzie podziewa się Kaminski?

Mahkorn postanowił przemilczeć swoją sprzeczkę z przyjacielem, aby niepotrzebnie nie komplikować sytuacji, i powiedział, że powtórzy Arturowi, iż Balouet telefonował.

Na to Balouet opowiedział – najwidoczniej bardzo mu zależało, aby zrobić Kaminskiemu przyjemność – że spotkał Hellę w pobliżu stacji metra Pont Neuf. Od razu ją poznał i zaczepił; Hella Hornstein jednak robiła wrażenie zmieszanej i zachowała się tak, jakby go nie znała. Zwymyślała go, wyprasząc sobie takie zaczepki.

Na wyrażoną wątpliwość Mahkorna, że być może istotnie się pomylił, w końcu Paryż odwiedzają setki tysięcy turystów, Balouet odpowiedział, że jest to absolutnie wykluczone, albowiem gdyby nawet spotkał kobietę choćby tylko podobną zewnętrze do Helli Hornstein, to niemożliwe, żeby ta drobna, delikatna osoba miała tak samo niski głos zgrubiały od papierosów i przy tym lekko pociągała lewą nogą jak Hella.

Dla niego jest całkiem jasne, że doktor Hornstein nie życzy sobie żadnych

kontaktów. Przypuszczalnie historia z KGB była dla niej bardzo przykra, i dlatego Balouet uszanował jej pragnienie anonimowości i przeprosił ją, mówiąc, że z pewnością się pomylił. Udał się na schody prowadzące do stacji metra Pont Neuf, wiedząc dobrze, że kobieta będzie obserwowana, czy za nią idzie. Następnie wyszedł na drugą stronę ulicy i patrzył, jak Hella się za nim rozgląda. A kiedy się upewniła, że nie jest śledzona, poszła dalej swoją drogą, Balouet zaś spoglądał z daleka, jak z rue de Tivoli weszła do Luwru.

Luwr, pomyślał Mahkorn, oczywiście, powinien był się domyślić! W Luwrze bowiem jest największy w Europie zbiór starożytności egipskich. Gdzież indziej, jeśli nie tam, można znaleźć informacje na temat królowej Bent-Anat?

Mahkorn nie zastanawiał się długo, sprawdził, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do stacji Paryż Le Bourget. Był pewien, że w Paryżu posunie się o krok dalej w rozwiązaniu problemu. Poza tym – jak wszyscy dziennikarze – kochał Paryż ponad miarę.

Hotel „Danton” na ulicy o tej samej nazwie znajdował się w Saint Germain. Miał ten plus, że mieścił się w możliwościach finansowych Mahkorna; poza tym można było stąd dotrzeć pieszo do większości miejsc w centrum albo dojechać metrem ze stacji St. Michel.

Mahkorn miał nadzieję, że w Paryżu spotka doktor Hornstein. Postanowił skonfrontować Hellę z teorią reinkarnacji profesora Wendersa. Nie da jej się odprawić ani wywieść w pole.

Zbyt dobrze zna swój zawód. Miał dość materiału w garści, aby zmusić ją do mówienia, i ten wywiad będzie ukoronowaniem jego misji dziennikarskiej. Pierwszego wieczoru Mahkorn spotkał się z Jacquesem Balouetem i Rają Kurianową w małej restauracji położonej o dwie ulice od hotelu. Podawano tam wyłącznie ryby, większość z nich nosiła nazwy, których Mahkorn nigdy jeszcze nie słyszał. Jacques i Raja, która zachowała swe fałszywe nazwisko, Simone Taine, sprawiali wrażenie szczęśliwych. Widać było po nich, że uwolnili się już od ciężaru służby w rosyjskim wywiadzie. Czuli się wolni i korzystali z tej wolności pełną piersią. Starali się jednak nie rzucać w oczy; w obojgu drzemała jeszcze nieufność, która im towarzyszyła przez te wszystkie lata.

Raja, albo lepiej Simone – również Jacques tak ją nazywał – zamierzała za dwa lub trzy miesiące, kiedy jej francuski nie będzie się już różnił od francuskiego prawdziwej paryżanki, poszukać sobie pracy.

Tego wieczoru Marikom musiał się przyznać Balouetowi, że poróżnił się z Kaminskim; ale nie wyrażał się źle o Arturze, wprost przeciwnie. Wyznał, że kontynuuje swoje poszukiwania nie tylko z przyczyn zawodowych; ma bowiem nadzieję, że pewnego dnia będzie mógł Kaminskiemu przedstawić dowody, dzięki którym pozbędzie się on złudzeń. Nie potrafi niestety powiedzieć, gdzie Kaminski obecnie przebywa.

Mahkorn poważnie traktował swoją przyjaźń z Kaminskim. A ponieważ Balouet wyraził podejrzenie, że Kaminski być może również pozostawał na usługach KGB i zwabił Raję i jego w pułapkę, Mahkorn pragnął udowodnić, że to nieprawda i że Kaminski podczas tych wszystkich lat w Abu Simbel myślał jedynie o swojej pracy i o Helli Hornstein.

W związku z poszukiwaniami Helli, Balouet zaproponował, że będą przez kilka dni kolejno pilnowali Luwru, ale był to pomysł bezsensowny, już choćby dlatego, że Luwr ma kilka wejść. Dlatego Mahkorn postanowił przyjąć inną taktykę.

Odszukał w Luwrze dział egipski i każdemu strażnikowi poszczególnych sal pokazywał zdjęcie Helli Hornstein, pytając, czy w ciągu ostatnich dni widzieli tę kobietę. Zrezygnował jednak po przeszło dwudziestu nieudanych próbach.

W końcu Mahkorn spotkał dyrektora działu egipskiego, Pierre'a Ledoux, i powiedział mu całą prawdę. Nie miał zamiaru kiedykolwiek fałszować albo przemilczać powodów poszukiwań. Profesor Ledoux, zwolennik nauk okultystycznych, okazał zainteresowanie.

– Reinkarnacja królowej Bent-Anat? – Ledoux wypowiedział to zdanie, w taki sposób, jakby delektował się każdym słowem. Zainteresowała go ta historia. – W jaki sposób mógłbym panu pomóc?

– Całkiem prosto – odpowiedział Mahkorn – czy w pańskim dziale znajduje się przedmiot albo dokument, który by miał jakiś związek z Bent-Anat albo informowałby o jej życiu?

Ledoux, bystry Francuz o oliwkowych włosach, podrapał się w głowę i zastanawiał się przez chwilę w bezruchu.

– Niech pan poczeka... Bent-Anat... – Przebiegł w myślach zbiory działu egipskiego, ale nie natknął się na wspomniane imię.

– Trzeba panu wiedzieć – tłumaczył się – że Bent-Anat nie była ważną historyczną osobistością. Nawet Nefretari, główna małżonka Ramzesa II, która występuje w wielu dokumentach, ma drugorzędne znaczenie dla historii Egiptu.

– Wiem – odpowiedział Mahkorn – ale w związku z tym, co powiedzieliśmy, Bent-Anat może zyskać największe znaczenie! Czy jest pan całkowicie pewien, że w muzeum nie ma żadnej wzmianki o tej kobiecie?

Ledoux skinął głową. – Jestem całkowicie pewien.

Sposób, w jaki profesor odpowiadał, wzbudził w Mahkornie nieufność. Hella Hornstein według tego wszystkiego, czego się o niej dowiedział, była kobietą wyrafinowaną. Czy nie należało przypuszczać, że zyskała ona przychyłość Ledoux i jego milczenie? W poszukiwaniach informacji na temat życia Bent-Anat nie uczyniła ona przecież dotychczas ani jednego fałszywego kroku.

Z drugiej strony wiadomo było, że między naukowcami istniała rywalizacja, która mogła stanowić przyczynę pełnej rezerwy postawy Ledoux. Mahkorn nie wierzył Ledoux, a przede wszystkim nie dał się zniechęcić jego wypowiedzią i wyraźnie dał to do zrozumienia swojemu rozmówcy, zadając pytanie pozornie bez

związku: – Niech pan powie, profesorze, ilu archeologów pracuje w Luwrze, mam na myśli ekspertów od egiptologii?

– Oprócz mnie jeszcze trzech – odpowiedział Ledoux – chętnie ich panu przedstawię.

Mahkorn podziękował. Jeśli bowiem profesor miał coś do ukrycia, z pewnością nie sprawiłoby mu większego trudu nakłonienie również swoich współpracowników do milczenia. A zatem Mahkorn podziękował profesorowi uprzejmie i opuścił jego biuro przez sekretariat.

Sekretarki zawsze w magiczny sposób pociągały reporterów gazet. Nie tyle ze względu na znaną powszechnie atrakcyjność, ile z uwagi na cenną wiedzę, jaką dysponowały. Chwytając się ostatniej nadziei, Mahkorn wyjął z kieszeni zdjęcie Helli i zapytał sekretarkę Ledoux, uśmiechając się przyjaźnie kobietę w czarnym kostiumie, czy spotkała tu kiedykolwiek kobietę z fotografii.

Test wypadł negatywnie. Sekretarka nie mogła sobie przypomnieć.

Mankom chciał właśnie opuścić sekretariat, kiedy profesor pełen ekscytacji otworzył drzwi. – Dobrze, że pan jeszcze jest. Właśnie przyszło mi coś do głowy...

Bez dalszych wyjaśnień Pierre Ledoux dał znak Mahkornowi, aby udał się za nim. Ledoux szedł podniecony szybkim krokiem przez nie kończące się sale Luwru. Mahkorn z trudem za nim nadążał. Wreszcie minąwszy dwie klatki schodowe dotarli do długiej sali z oszklonymi gablotami po obu stronach.

Ledoux nie powiedział ani słowa podczas tego długiego marszu przez Luwr, a Mahkorn nawet się nie domyślał, jak bardzo zajmowała go pewna sprawa. Profesor zatrzymał się przed jedną z gablot pomiędzy dwoma oknami. Wskazał na skrzyneczkę pośrodku, niewiele większą od pudełka na obuwie: – Myślę, że to mogłoby pana zainteresować.

Drewniany przedmiot koloru ochry był zamalowany wizerunkami bogów – były to pół-zwierzęta, pół-ludzie – i wąskimi liniami hieroglifów. – Jest to szkatułka na klejnoty z czasów Ramzesa Drugiego – wyjaśnił profesor – niezbyt cenna, ale ponieważ jest dobrze zachowana, stanowi pewną wartość. Przed wszystkim z uwagi na hieroglify. Nie wiadomo na pewno, do kogo należała ta szkatułka. Przypuszczam, że do jednej z licznych żon Ramzesa. Pańskie opowiadanie podsunęło mi pewien pomysł.

Mahkorn stał się niespokojny. Profesor skinął na pracownika pilnującego sali i wydał mu jakieś polecenie. Podczas nieobecności strażnika Ledoux nie powiedział ani słowa. Wpatrywał się w szkatułkę. Poruszał przy tym ledwie widocznie wargami, jakby coś szeptał. Mahkorn nie ważył się mu przeszkadzać.

Strażnik wrócił z małym kluczykiem w dłoni i otworzył gablotkę. Ledoux wskazał na wieczko szkatułki. Na wewnętrznej stronie widniały kunsztowne hieroglify. Ledoux utkwiał wzrok w tajemniczych znakach. Trwał w tej postawie kilka minut. Ani on, ani Mahkorn nie zwracali uwagi na ludzi, którzy z zainteresowaniem przyglądali się tej scenie.

– O! – powiedział profesor nagle i wskazał na jeden z pionowych napisów, następnie zaczął cytować, jękając się: „Ja, bezimienna, wezmę oko udżat i będę się cieszyć światłem. To ja jestem tą, która będzie okiem Horusa i ożywcze tchnienie oka Horusa oczyści moje ciało. Namaszczona okiem Horusa stanę się duchem światła i znów połączą się moje kości i członki, które Weser-maat-Re-Setepen-Re roztrzaskał mi z powodu mojej niewierności...” Mankom był zdumiony tym, co profesor wyczytał z tych tajemniczych symboli. Nigdy nie miał do czynienia z takimi rzeczami; był zafascynowany, choć treść tego tekstu nie miała dla niego żadnego sensu. – Jaki to ma związek ze mną?

Profesor powtórzył w skrócie to, co przed chwilą przeczytał. – Szkatułka – mówił dalej – ma mroczną historię. Prawdopodobnie przybyła do Paryża z Egiptu wraz z wojskami Napoleona. Przypuszcza się, że była w posiadaniu fellacha z okolic Abu Simbel. Ale żaden z badaczy – nie wyłączając mnie – nie przypisuje szczególnego znaczenia miejscu, z którego szkatułka pochodzi. Uważamy, że dostała się okrężnymi drogami z Doliny Królów do Abu Simbel. Pańska opowieść o odkryciu grobu Bent-Anatruca oczywiście na tę szkatułkę i jej pochodzenie całkiem inne światło.

– Czy sądzi pan, że szkatułka pochodzi z grobu Bent-Anat?

– Uważam, że to całkiem możliwe. „Ja, bezimienna” to królowa Bent-Anat. Oczywiście obecnie to tylko teoria. Ale wszelkie znaki wskazują, że tak jest.

Napięcie Mahkorna rosło. Nie rozumiał, jaką rolę w tej historii mogła odgrywać Hella Hornstein. Nie wychodziło mu też z głowy pytanie, dlaczego Bent-Anat pojawia się w tekście jako „bezimienna”.

Ledoux wyczuł wątpliwości Mahkorna. – Musi pan wiedzieć, że dla ludzi w starożytnym Egipcie nie było nic gorszego jak zostać pozbawionym imienia. To oznaczało wymazanie życia po wszystkie czasy. Z tego punktu widzenia bezimienność była najsurowszą karą.

– A na szkatułce nie ma imienia właścicielki?

– Nie. Tekst zawiera sto imion, brak tylko imienia osoby, o którą chodzi. Ona sama nazywa siebie „ja, bezimienna”.

– A kto decydował o odebraniu imienia?

– Jak to kto? Faraon!

– A więc w tym wypadku Ramzes? Ale przecież Ramzes był ojcem i mężem Bent-Anat!

– No właśnie.

– Nie rozumiem.

– Ramzes kochał swoją córkę Bent-Anat ponad wszystko na świecie, bardziej niż ulubioną żonę Nefretari, której zbudował małą świątynię w Abu Simbel; ale Ramzes doznał gorzkiego zawodu ze strony Bent-Anat.

– Niech mi pan pozwoli zgadnąć, profesorze. Bent-Anat kochała innego.

– Błędne przypuszczenie. Bent-Anat była szpiegiem w służbie Hetytów, śmiertelnych wrogów Ramzesa!

– O Boże! – Mahkorn otarł sobie twarz. Miał uczucie, jakby opadł welon, który mu dotychczas zasłaniał widok; z trudem udało mu się zebrać myśli: Hella Hornstein szpiegowała dla Sowietów, Hella Hornstein to była Bent-Anat!

– Czy pan się źle czuje? – zapytał profesor Ledoux.

Mahkorn wyglądał na wyczerpanego.

– Nie, nie – zapewnił reporter – to tylko zdenerwowanie, rozumie pan. Myślę, że powoli dziwne zachowanie Helli Hornstein nabiera sensu. Ona rzeczywiście przeżywa drugie życie królowej Bent-Anat.

– To złudzenie!

– Jak pan to rozumie?

– O, tu! – Profesor wskazał palcem na miejsce w tekście i zacytował: – „...stanę się duchem światła, a moje kości i członki znów się połączą”. To oznacza przecież...

– Pewien egipski specjalista – przerwał Mahkorn – stwierdził u mumii liczne pęknięcia kości, między innymi pęknięcie czaszki i miednicy.

– Według tego tekstu to Weser-maat-Re-Setepen-Re połamał kości.

– Kto to jest Weser-maat-Re...

– To sam Ramzes. Weser-maat-Re-Setepen-Re to imię koronacyjne Ramzesa.

– A więc uważa pan, że Ramzes II własnoręcznie zabił Bent-Anat?

– Ależ nie, faraon nigdy nie zabijał, faraon kazał zabijać.

– W jaki sposób?

Profesor Ledoux uniósł ramiona. – To bardzo dziwne. Wiemy wprawdzie, że w dawnym Egipcie istniała kara śmierci, ale nie wiemy nic bliższego na ten temat. Dlatego nie mogę panu odpowiedzieć, co oznacza to sformułowanie. Ale jeżeli chodzi o pański przypadek, jest on ze wszech miar interesujący dla mnie jako

egiptologa. Gdzie mogła się zatrzymać doktor Hornstein?

Mankom uniósł obie ręce. – Gdybym to wiedział! Przed paroma dniami widziano ją tu w Paryżu. – Wyjął fotografię z kieszeni i pokazał Ledoux.

Strażnik muzeum, który wciąż jeszcze stał przy nich i śledził uważnie dyskusję, skinął pospiesznie głową i pokazał palcem na fotografię. Owszem, widział tę kobietę. Ostatnio spędziła wiele czasu przed gablotą ze szkatułką. Rzuciła mu się w oczy, ponieważ – roześmiał się zakłopotany – ponieważ wyglądała wyjątkowo ładnie w tych swoich krótkich czarnych włosach. Wziął ją za Francuzkę. Za każdym razem, kiedy wpatrywała się w tajemniczą szkatułkę, sprawiała wrażenie, jakby była nieobecna.

– Kiedy to było? – Mahkorn chwycił strażnika za ramię.

Mężczyzna zastanowił się chwilę, policzył w milczeniu i odparł, że nie może powiedzieć dokładnie, ale ostatni raz widział tę kobietę przed trzema albo czterema dniami.

Mahkorn zaklął, ale ani Ledoux, ani strażnik nie zrozumieli jego przekleństwa.

Początkowo Mahkorn chciał jeszcze tego samego wieczoru wracać do Monachium, ale profesor Ledoux tymczasem zainteresował się głębiej problemem i obiecał do jutra dostarczyć dalsze informacje na temat Bent-Anat.

W Luwrze profesor na nic nie natrafił. Za to kiedy następnego dnia Mike Mahkorn zjawił się w jego biurze, poinformował go o nieoczekiwanym odkryciu.

Kaminski zamieszkał w pensjonacie na Schilleistrasse, w okolicy cieszącej się niezbyt dobrą sławą. Pensjonat nazywał się „Else”, tak jak właścicielka, rezolutna pulchna wdowa po pięćdziesiątce. Jej niezamężne córki były podobne do matki jak dwie krople wody, nawet pod względem tuszy. Prowadziły wspólnie dwudziestopokojowy dom i Kaminski już następnego dnia zorientował się, że niektóre pokoje były wynajmowane również na godziny – oczywiście płatne z góry i bez rachunku.

Samotny w pustym pokoju, który przypominał mu nędzny hotel w Asuanie – choć nie miał zamykanych okiennic i roztaczał się z niego widok na leżący naprzeciwko sklep z rowerami i maszynami do szycia – Kaminski znów nabral przekonania, że życie bez Helli nie ma dla niego sensu. Samotność doskwierała mu mocno i uświadomił sobie, jak bardzo mu brak Helli. Pragnął z nią porozmawiać, a kiedy spotykał jędrne córki właścicielki pensjonatu, odczuwał nieodparte pragnienie przespania się z Hellą – z całą dzikością i namiętnością, jakie zawsze cechowały ich kontakty.

W swej bezradności Kaminski udał się raz jeszcze do doktor Wurzbach z Biblioteki Państwowej. Ta surowa kobieta, już nie pierwszej młodości, chłoneła komplementy niczym promienie wiosennego słońca. Kaminski natychmiast to zauważył.

Zjawił się z bukietem fiołków, które kupił u sprzedawcy kwiatów przed uniwersytetem, i zaprosił ją na kolację do włoskiej restauracji na Theresienstrasse. Doktor Wurzbach z radością przyjęła zaproszenie.

Doktor Wurzbach – nosiła imię Leila, całkowicie do niej nie pasujące – piła lambrusco, które rozwiązywało jej język i uwalniało od zahamowań. Także Kaminski nie odmawiał sobie alkoholu i opróżnił tego wieczoru litrową butelkę frascati, która stała na każdym stoliku.

Kaminskiemu udało się obudzić w Leili współczucie, kiedy opisał jej szczegółowo poszukiwania Helli Hornstein, która w tym mieście zniknęła z jego pola widzenia. Leila była zafascynowana. Historia królowej egipskiej Bent-Anat i możliwość jej nowego wcielenia tak ją przejęły, że obiecała zbadać możliwości znalezienia dalszych dokumentów i informacji.

Kaminski miał niewielką nadzieję. Przede wszystkim uważał, że zanim doktor Leila Wurzbach coś znajdzie, upłyną tygodnie. Tym bardziej więc zaskoczył go jej telefon do pensjonatu już następnego dnia. Leila Wurzbach poinformowała go, że w Niemczech istnieje jeszcze jeden dokument, w którym przypuszczalnie wymienione jest imię Bent-Anat. Chodzi o pamiątkowy kamień z kwarcytu, na którym Hori, oficer Ramzesa II, wylicza najważniejsze wydarzenia ze swego życia, między innymi śmierć „bezymiennej” w 42 roku życia jego króla.

Na temat tożsamości „bezymiennej”, powiedziała Leila, istnieją tylko spekulacje, a według jednej z nich była to córka i małżonka Ramzesa II, Bent-Anat. Wskazują na to pewne okoliczności jej śmierci, które są zapisane na kamieniu. Doktor Stosch, egiptolog berliński, wie więcej na ten temat.

Okoliczności śmierci? Wiadomość ta zelektryzowała Kaminskiego. Czyżby Hella szukała własnego końca?

Nie zastanawiał się długo i zarezerwował sobie bilet na samolot do Berlina.

Nad lotniskiem Tempelhof rozściierała się mgła, kiedy lądował tam biało-niebieski Boeing PANAM. Był zimny, nieprzyjemny dzień późnego lata. Budapesterstrasse i Kurfürstendamm były zamknięte dla ruchu, ponieważ znów demonstrowali tam studenci, i taksówkarz, który wiozł Kaminskiego do hotelu na Kantstrasse, przeklinał wściekle ten próżniaczy motłoch – jak się wyraził.

Kaminski przyjmował wszystko, co się wokół niego działo, jak przez zasłonę. Miał przed oczami tylko jeden cel: musiał odnaleźć Hellę i dowiedzieć się prawdy na temat jej tajemniczych poszukiwań. Choć bronił się przed zaakceptowaniem szalonej tezy Mahkorna, w głębi duszy pogodził się z myślą, że Hella była ową Bent-Anat.

Nie wiedział, kiedy i w jakich okolicznościach spotka Hellę, ale czuł jej bliskość. Jeszcze tego samego dnia udał się do Muzeum Egipskiego na Charlottenburger Schlossstrasse, gdzie miał nadzieję znaleźć doktora Stoscha, archeologa, który zajmował się stelą Horięgo. Ale Stosch był nieobecny, i Artur pozostał z nadzieją na następny dzień.

Kaminski wszedł po schodach muzeum do mrocznej sali, aby zobaczyć ów kwarcytowy kamień. Jedynie środek sali był skąpo oświetlony. W szklanej skrzyni, którą otaczali zachwyceni ludzie, Kaminski rozpoznał popiersie Nefretete. Jakże była piękna.

Kaminski przyłączył się do widzów i poddał się nieprzemijającej piękności królowej. Makijaż na twarzy liczącej trzy tysiące lat, a wyglądający jak współczesny, wprowadził go w lekkie podniecenie. Ciemno pomalowane migdałowe

oczy i pełne zmysłowe usta sprawiały wrażenie, że twarz żyje. Czyż ta wąska broda i wystające kości policzkowe nie przypominały do złudzenia Helli Hornstein? A ten proporcjonalny, prosty, wąski nos czy nie był charakterystyczną cechą Helli?

Kaminski zapomniał o tłoczących się wokół niego ludziach; był pod urokiem twarzy królowej, tej kwintesencji kobiecości. Aby móc podziwiać profil królowej, długą szyję i kształtną czaszkę pod niebieskim nakryciem głowy, Kaminski przeszedł na drugą stronę gabloty. Wzrok jego padł przez lśniące szkło na twarz kobiety stojącej po przeciwnej stronie. Znał tę twarz, nieme usta z nikłym uśmiechem, proporcjonalny nos i ciemne oczy w kształcie migdałów. Jego fantazja płatała mu w ostatnich czasach niejednego figla, dlatego wołał nie brać poważnie tego, co wyłoniło się przed nim niby fatamorgana. Bronił się, być może dlatego, iż pragnął, aby ów złudny obraz był rzeczywistością.

Twarz naprzeciwko była nieruchoma, ale zwrócona w jego stronę, i nie ulegało wątpliwości, że również on został zauważony. Przez kilka sekund obie pary oczu mierzyły się jak w pojedynku, kto jest silniejszy, kto dłużej wytrzyma spojrzenie przeciwnika; następnie, jak na komendę, oboje precyzyjnie się przez tłum ludzi, którzy otaczali szklaną skrzynię, i Kaminski pierwszy przemówił.

– Czy to ty? – zapytał, kiedy stanęli naprzeciw siebie z dala od tłumu, i z wahaniem, jakby wciąż jeszcze nie dowierzał, dodał: – Hella?

– Tak, to ja – odparła Hella. – Skąd się tu wzięłaś?

Kaminski ujął ją za rękę. Chciał odpowiedzieć, ale w tej samej chwili jakaś niezrozumiała drętwota ścisnęła jego struny głosowe i nie mógł wydobyć słowa. Wszędzie cię szukałem – chciał powiedzieć – narażałem się na ogromne trudy, aby cię odnaleźć; ale milczał.

Ludzie zebrani wokół Nefretete rzucali obojgu wymowne spojrzenia, wobec tego Hella szepnęła Kaminskiemu: – Nie możemy tu zostać. Chodźmy stąd!

Kaminski skinął głową.

Kiedy wyszli głównym wejściem na ulicę, padał silny deszcz. Auta, które pędziły Spandauer Damm, pozostawiały za sobą fontanny wody. Od strony zachodniej zbliżał się piętrowy autobus linii 54 i zatrzymał się tuż przy nich.

– Chodź! – zawołała Hella i wciągnęła Artura do autobusu. – Tu jest przynajmniej sucho.

Ani Artur, ani Hella nie wiedzieli, dokąd autobus jedzie, ale w tej chwili było im to obojętne. Hella popchnęła Artura po wąskich schodach na górne piętro. Byli tam sami.

Siedzieli w milczeniu obok siebie, wzrok skierowali na ulicę. Artur szukał

zakłopotany dłoni Helli. Drgnęła, kiedy jej dotknął, ale potem się poddała. Kaminski potrząsnął głową. Nie mógł pojąć, co się zdarzyło w ciągu ostatnich minut. Szukał wprawdzie Helli, ale teraz to niezwykle spotkanie spadło na niego tak nagle. Tysiące myśli kłębiły mu się w głowie. Od czego zacząć?

– Nic nie mów! – powiedziała Hella pośród głośniego warkotu autobusu. Zdawało się, że i tym razem odgadła myśli Kaminskiego.

Artur uśmiechnął się zakłopotany. Był rad, że Hella uwolniła go od konieczności mówienia. Emanowało z niej tak wiele ciepła, że Kaminskiego ogarnęło uczucie znane mu z ostatnich miesięcy, choć mocno się przeciw niemu bronił.

– Kiedy cię ostatnim razem dotykałem... – wykrztusił Kaminski.

– Pst! – przerwała mu Hella. – Nic nie mów!

– ... było to w Asuanie, w nędznym hotelu, w którym nie otwierały się okiennice.

– Pamiętam – Hella ścisnęła mocno jego rękę. – Ale to już minęło.

– Minęło? – Kaminski nie rozumiał. Teraz spojrzął w twarz Helli: – Musisz mi wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło. Chciałaś mnie zabić!

– Nie chciałam cię zabić – powiedziała, odwrócona od niego. Śledziła ruch na mokrej od deszczu ulicy. – Czy sądzisz, że nie wiedziałabym, jak to skutecznie zrobić? Chciałam cię tylko wyłączyć na dwa dni, aby znaleźć nową kryjówkę dla mumii. Rozumiesz?

Choć Artur nie rozumiał, co Hella wówczas knuła, nie miał odwagi zapytać.

– Czy nie moglibyśmy zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło? – zaczęła Hella na nowo.

Jak mógł o tym zapomnieć? Przecież Abu Simbel odmieniło całkiem jego życie. Skinął głową, ale był nieobecny duchem; wydawało mu się, że jest tresowanym psem, który wykonuje wszystko, czego się od niego zażąda. Ogarnęła go wściekłość, złość na siebie samego i na własną słabość; z trudem panował nad sobą, aby nie wykrzyzczyć Helli, co o tym myśli, i niech sobie nie wyobraża, że wystarczy, aby się pojawiła, a on natychmiast jest gotów jej się podporządkować. Ale wtedy stało się coś nieoczekiwanego, co zniweczyło wszystkie jego postanowienia.

Hella odwróciła się i usiadła na nim okrakiem. Kaminski zakłopotany rozglądał się na wszystkie strony, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi. Kiedy stwierdził, że nikogo nie ma, poddał się Helli i pozwolił jej działać. Ona ujęła go pod brodę prawą ręką i zbliżyła jego twarz do swojej, jej lewa ręka natomiast manipulowała

przy jego spodniach. Hella poruszała się na nim niczym amazonka na siodle swego konia. Artur pożądliwie dotykał jej drobnych jędrnych piersi. Hella wydała krótki okrzyk i odrzuciła głowę do tyłu.

O Boże, co za kobieta, pomyślał Kaminski. Potem już tylko czuł, że jest bliski omdlenia i całkowicie bezwolny; czuł, jak wdarł się w nią i jak ona na nim tańczy, i pragnął tylko jednego: aby ten taniec nigdy się nie skończył.

Ale taniec skończył się niespodziewanie. – Otto-Suhr-Allee! Zasycały drzwi autobusu i hałaśliwa grupa długowłosych wyrostków przywróciła Kaminskiego do rzeczywistości. Młodzi wpadli na górne piętro autobusu. Hella zdążyła jeszcze oderwać się od Artura i poprawić ubranie.

Śmieli się, kiedy nagle siedzieli obok siebie i na pozór obojętnie wyglądali przez okno. A Kaminski wiedział, że nigdy nie uwolni się od tej kobiety.

Umówili się na wieczór w małej włoskiej restauracji na Kantstrasse. Ledwie zajęli miejsce, podszedł do nich sprzedawca róż, jeden z wielu, którzy wypełniają nocne życie Berlina. Ku radości chłopca Kaminski kupił cały bukiet i wręczył go Helli. Pragnął w ten sposób okazać kochance swoją miłość.

Hella zarumieniła się, czego Kaminski nigdy jeszcze u niej nie widział. Jej policzki zabarwiły się purpurowo jak dojrzałe jabłka. Artur stwierdził, że upłynęły już miesiące od czasu, kiedy był tak szczęśliwy – z Hellą.

Pierwsze spotkanie po tak długim czasie przebiegło spokojnie, ponieważ oboje omijali jeden temat. Kaminski żywił nadzieję, że wszystko będzie jeszcze dobrze. Wydawało mu się, że w ciągu minionych miesięcy oboje oddalili się od siebie, zmienili się, stali się innymi ludźmi; ale Hella na nowo porwała go swoją namiętnością. Od pierwszej chwili ich niespodziewanego spotkania wszystkie złe myśli gdzieś się ulotniły. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze wczoraj sądził, iż ta kobieta chciała go zabić.

Obojgu dobrze zrobiło kilka dni odprężenia i spokoju. Mogli na powrót odnaleźć siebie, mogli uwolnić się od chaosu, w jaki wplątało ich życie. Czyż istniało coś wspanialszego niż pojednanie i wymarzony przełom w uczuciach?

Pili frascati, jedli saltimbokkę na małych patyczkach i odgrzebywali przeżycia lat spędzonych wspólnie w Abu Simbel.

– Czy pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? – zapytała Hella ze śmiechem. – Byłeś wówczas ranny w głowę i uparłeś się, żeby ci zaszyć ranę na siedząco. Powinnam była wówczas się zorientować, co z ciebie za ziółko.

Kaminski roześmiał się. – Ale to przecież nie było nic takiego.

– Wyglądałeś jak półtora nieszczęścia. We dwoje musieliśmy cię zaciągnąć na

stołek.

Artur zamrugał. – To miało związek z moim zamiarem. Chciałem się oprzeć na twojej piersi.

– I zamiar ten gorliwie zrealizowałeś.

– Kiedy Heckmann zorientował się, co nas łączy, wpadł we wściekłość. Należał do ludzi, którzy nie potrafią przegrywać. Uważał się za wielkiego, ale wystarczyło ostrzej spojrzeć na niego, a stawał się karłem.

Hella zachowywała się tak, jakby między nimi nie zaszły żadne komplikacje. Artur miał wrażenie, że w dodatku starała się to udowodnić. A może długoletnia samotność i monotonna pustynna okolica doprowadziły ją do tego szaleństwa? Chciał jej to wytłumaczyć, ale przypomniał sobie ich umowę, że chwilowo nie będą poruszali tego tematu, więc zrezygnował.

Kaminski opowiadał o nowej pracy w Turcji, na którą miał widoki; ale, wyznał, to jeszcze nic pewnego. A jakie ona ma plany?

Hella nie odpowiedziała. Zamiast tego zapytała ni stąd, ni zowąd: – Czy chciałbyś kiedyś wrócić do Abu Simbel? – Wyciągnęła w tym momencie z torebki zielonego skarabeusza i położyła go na stole.

Kaminski siedział jak skamieniały. Patrzył na Hellę, jakby wyjawiała mu coś strasznego. Czuł, jak wali mu serce, i nie wiedział dlaczego. Kiedy wyciągnął rękę po skarabeusza, Hella go uprzedziła i schowała chrząszcza z powrotem do torebki.

– Chodzi mi o to – dodała Hella – czy nie chciałbyś zobaczyć, jak udało się dzieło. W końcu uczestniczyłeś w znacznym stopniu w tym przedsięwzięciu.

Oczywiście Kaminski był ciekaw. Oczywiście chciał zobaczyć, co powstało z jego pracy. Gazety były pełne pochwał pod adresem mistrzowskiego osiągnięcia technicznego.

Hella podała mu rękę przez stół i rzekła z błyszczącymi oczami: – Chętnie bym ci towarzyszyła do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

Ona ma rację, pomyślał Artur. Być może da się odwrócić bieg czasu; być może mogliby zacząć wszystko na nowo w miejscu ich pierwszego spotkania; być może dzięki temu udałoby się wyzwolić Hellę z obłądzenia; być może znów by ją odzyskał. Mogliby znów planować wspólną przyszłość.

Oczywiście były plotki, był skandal i hańba, ale Kaminski kochał tę kobietę, co więcej, utożsamiał się z nią w pełni. A więc jej hańba była także jego hańbą. I miał tylko jedno życzenie, aby jej życie stało się jego życiem.

Kiedy Artur trzymał Hellę za rękę, poczuł znów związek z jej przeszłością. I to ciepłe uczucie wywołało reakcję, której wcale nie chciał. Ścisnął jej rękę i

powiedział: – To wspaniały pomysł, Hella. Powróćmy raz jeszcze do Abu Simbel, tam, gdzie wszystko się zaczęło.

W Paryżu Mike Mahkorn dowiedział się, że w Muzeum Egipskim w Berlinie-Charlottenburgu znajduje się kolejna informacja dotycząca „bezimiennej”. Profesor Ledoux wymienił nazwisko doktora Stoscha. Po nawiązaniu kontaktu telefonicznego z doktorem Stoschem Mahkorn natychmiast udał się do Berlina. Znał dobrze Artura Kaminskiego i miał uczucie, że wbrew temu, co twierdził, nadal interesował się on Hellą Hornstein.

– Czy zgłosił się do pana niejaki Kaminski? – brzmiało jego pierwsze pytanie.

– Nic o tym nie wiem. – Doktor Stosch, siwy starszy pan w nienagannym dwurzędowym garniturze, był uprzejmy, ale powściągliwy. – Ale byłem przez wiele dni w podróży; być może w tym czasie o mnie pytał. A kto to taki?

Wtedy Mahkorn opowiedział mu całą historię. Nie uszło jego uwagi, że doktor Stosch słuchał opowieści z uśmiechem wyższości.

– W jaki sposób mógłbym panu pomóc? – zapytał doktor Stosch, kiedy Mahkorn skończył.

– Całkiem prosto – odparł Mike – chodzi mi o to, aby poznać dokładnie tekst na kamieniu kwarcowym Hori albo przynajmniej jego treść!

Doktor Stosch potrząsnął głową. – Mimo największej życzliwości dla pańskich poszukiwań, panie Mahkorn, jest to niemożliwe. Proszę mnie zrozumieć; w wypadku kamienia Hori chodzi o dokument historyczny wielkiej wagi, którego naukowe opracowanie jeszcze trwa. Nie może się pan spodziewać, że świat naukowy pozna tłumaczenie tekstu z pisma ilustrowanego. Taka publikacja musi być zastrzeżona dla naszych fachowych biuletynów. – Wyjął cienki zeszyt i przesunął go po biurku w stronę gościa: „Zeitschrift für Ägyptische Sprache und Altertumskunde”.

– Rozumiem – odpowiedział Mahkorn, ale w jego głosie nie było ani śladu rezygnacji. Wprost przeciwnie, ten człowiek wiedział, jak sobie radzić z upartymi naukowcami. Zaczął więc ostrożnie: – Oczywiście rozumiem pańskie stanowisko. Każdy specjalista zachowałby się tak samo. Ale chciałbym panu zwrócić uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze, nie jestem absolutnie zainteresowany tym, aby publikować tekst Hori w dosłownym brzmieniu; interesuje mnie tylko jego treść. Z drugiej zaś strony pozwalam sobie zauważyć, że opublikowanie pańskiego

nazwiska i informacji o pańskiej pracy w wysokonakładowym piśmie może panu przynieść tylko korzyść. Wiele jest przykładów badaczy – mówił Mahkorn – którzy stali się sławni na całym świecie dzięki publikacjom prasowym. Niech pan to sobie przemyśli, panie doktorze!

Doktor Stosch długo się zastanawiał. Ten człowiek ma rację. Już nieraz marzyło mu się szersze rozpowszechnienie wyników jego badań, większe uznanie, a nawet większa popularność. Nazwiska Stoscha nikt nie znał – oprócz kilku kolegów po fachu.

– Co chciałby pan wiedzieć? – zapytał szorstko.

– Interesuje mnie, co Hori pisze na temat „bezimiennej”. Wszystko, rozumie pan?

– I wymieni pan moje nazwisko w swoim sprawozdaniu?

– Oczywiście. Wymaga tego uczciwość dziennikarska. Tak samo jak wymienię nazwisko profesora Ledoux.

Myśl, że będzie wymieniony obok Ledoux z Luwru, zdawała się pochlebiać Stoschowi. Wstał, podszedł do szafy żaluzjowej i zdjął z półki dokumenty.

– Musi pan wiedzieć – powiedział tonem usprawiedliwienia – że to, co panu teraz pokażę, nie było jeszcze publikowane. Treść napisu na kamieniu jest dotychczas znana jedynie w najogólniejszych zarysach. Brak jeszcze naukowego komentarza. Ten jest zastrzeżony dla mnie.

Ostatnie słowa Stosch wypowiedział wolno, niemal nabożnie. Następnie wyciągnął cztery kartki spośród dokumentów i położył je obok siebie na biurku. Lewa strona każdej kartki była zapisana hieroglifami, a po prawej znajdowały się niezrozumiałe spółgłoski połączone kreskami; za nimi w nawiasach podano niemiecki przekład.

– Hori był oficerem gwardii Ramzesa II – zaczął Stosch. – Istniało wiele takich pamiątkowych stel jak ta. Każdy mężczyzna wyższego stanu stawiał taką stelę, aby zachować dla potomności swoje imię. I zapisywał na nim ważne wydarzenia ze swego życia. W tym wypadku był to udział w wyprawie wojennej przeciwko Hetytom.

– A co pisze Hori na temat „bezimiennej”? – dopytywał się Mahkorn niecierpliwie.

– Powoli – upomniał doktor Stosch podnieconego reportera – najpierw muszę panu pokrótce wyjaśnić moją teorię do tyczącą „bezimiennej”; uważam bowiem, że chodzi tu o królową Bent-Anat. Korespondowałem z profesorem Ledoux, i on przyłącza się do mojej interpretacji...

– Tak, Ledoux wszystko mi wytłumaczył – przerwał Mahkorn badaczowi; bał się, że ten zagłębi się w dłuższym wykładzie. – A więc zakładamy, że „bezimienna” to Bent-Anat.

Stosch spojrział niechętnie. Nie podobał mu się sposób wypytywania dziennikarza. Potem mówił dalej, wzięwszy do ręki trzecią kartkę: – Miejsce, które powinno pana zainteresować, znajduje się tutaj. – Zaczął czytać: – „W 42 roku panowania wielkiego Weser-maat-Re, Potężnego Byka, Ukochanego Amona, królewska małżonka, która nosi koronę Hathor, utraciła swoje imię. Była to kara za niewierność; Weser-maat-Re-Setepen-Re poczuł bowiem od niej zapach Atuma na szczycie swojej południowej świątyni... „, Mahkorn spojrział pytająco na doktora Stoscha: – Co to znaczy?

Stosch zmarszczył twarz. Uśmiechnął się strapiony i odparł: – Starożytni Egipcjanie zwykli byli wyrażać się kwieciste; mieli w zwyczaju opisywanie faktów za pomocą skomplikowanych zwrotów. Dlatego trudno jest odczytywać takie teksty. Ledoux twierdzi, że Bent-Anat była szpiegiem Hetytów. To potwierdzałoby sformułowanie „niewierność”.

– A co znaczy, że Weser-maat-Re, a więc Ramzes, poczuł od niej zapach Atuma?

– To łatwo wytłumaczyć. Atum jest personifikacją boga stworzenia w prastarych czasach Chaosu. Jego oddech to bóg powietrza Szu, który razem z Tefnut, swoją siostrą i małżonką, stał się siłą sprawczą wszelkiego istnienia – mówiąc językiem współczesnym, Atum jest więc tlenem.

To znaczy, że Ramzes za karę odebrał Bent-Anat tlen – pozbawił ją powietrza do oddychania. A więc ją udusił, doktorze! Ramzes zabił Bent-Anat! – Mahkorn patrzył na Stoscha i czekał poruszony na jego odpowiedź.

– Taki mógłby być logiczny wniosek – odparł Stosch. – Ja także ująłem to w ten sposób.

– A „południowa świątynia” to...

– Abu Simbel.

– Ramzes zabił Bent-Anat – powtórzył Mahkorn cicho. – W Abu Simbel. – Próbował połączyć te informacje z życiem Helli Hornstein. Czy to była owa tajemnica, której wyjaśnienia tak poszukiwała Hella? A jeśli ją знаła, jakie miała ona dla niej skutki?

– Proszę powiedzieć, doktorze – zaczął Mahkorn zamyślony – jakie znaczenie symboliczne ma skarabeusz? Pytam dla tego, że kobieta, o którą tu chodzi, nosi stale przy sobie skarabeusza znalezionego w grobie mumii. Czy to coś znaczy?

Stosch zrobił ruch ręką, zdradzający zakłopotanie, jakby chciał powiedzieć: – Cóż ja mogę wiedzieć na temat motywów postępowania tej kobiety? Ale po chwili powiedział: – Skarabeusz to nic innego jak nasz żuk gnojnik. Starożytni Egipcjanie przypisywali mu duże znaczenie. Jako hieroglif oznacza „początek”. Egipcjanie wierzyli bowiem, że ten żuk powstał przez samozapłodnienie. Nie wiedzieli, że skarabeusz swoje jajka otacza dla ochrony kulą z gnoju; widzieli tylko, że z kuli nagle wypełzają larwy. Dlatego czcili oni tego żuka jako istotę powstałą z ziemi. Następnie utożsamiali skarabeusza z bogiem stworzenia Atumem, później zaś nawet z bogiem-słońcem Re, dawcą życia. Skarabeusze dawano zmarłym jako amulety i symbole nowego życia.

Mahkorn zrozumiał. Pojął, że wszystko, co dotychczas uczyniła Hella Hornstein, było zgodne z surowym wzorem, że żadne z jej posunięć nie było przypadkowe i że ona wszelkimi sposobami chciała stawić czoło swojemu drugiemu życiu. Czyżby to znaczyło również, że znała swój koniec?

Na szczęście, powiedział sobie Mahkorn, Hella Hornsteini Artur Kaminski byli daleko od Abu Simbel.

Dnia 18 września 1968 Deutsche-Press-Agentur opublikowała następującą informację:

Hamburg/Kair (dpa). Śmiałe przedsięwzięcie budowlane stulecia zostało zakończone. Wczorajszej niedzieli władze egipskie uroczystym aktem przekazały publiczności liczącą 3200 lat świątynię skalną Abu Simbel. W czasie czteroletniej pracy architekci, technicy i organizatorzy przepięłowali świątynię na ponad tysiąc oddzielnych bloków, przetransportowali je, a następnie zmontowali powtórnie o 180 metrów dalej i 65 metrów wyżej. Ta akcja ratunkowa była konieczna, ponieważ jezioro, które powstało w wyniku budowy zapory w Asuanie, zalałoby świątynię, gdyby pozostała na dawnym miejscu. Realizacja przedsięwzięcia odbywała się pod kierunkiem firmy budowlanej z Essen. W zespole uczestniczyły firmy: szwedzka, włoska i egipska. Nadzór nad całością sprawowały UNESCO i rząd egipski. Na apel UNESCO z dnia 8 marca 1960 o pomoc finansową w celu ratowania świątyni w Abu Simbel odpowiedziało ponad 50 krajów. Dotychczasowe koszty wynoszą 26 milionów dolarów USA. Republikę Federalną Niemiec podczas uroczystości otwarcia reprezentował minister rozwoju i pomocy, Hans-Jurgen Wischnewski.

Trzy dni później Artur Kaminski i Hella Hornstein przybyli samolotem do Abu Simbel. Zakurzony pustynny pas startowy, który dawniej od Kurusza „the Eagle” wymagał nie lada umiejętności lotniczych, był teraz rozbudowanym betonowym pasem, prostą jak świeca kreską na pustyni, już z daleka ukazującą pilotom drogę. Zamiast jednosilnikowych maszyn latały tu odrzutowce na sto osób.

Od jeziora nadciągał chamsin, i w celu ochrony przed piaskiem turbiny samolotu zaraz po wylądowaniu zamknięto aluminiowymi pokrywami wielkości koła samochodu.

Barak Kurusza ustąpił miejsca murowanej hali przylotów, w której dudnił megafon; szosą zaś między lotniskiem i świątyniami kursowały dwa rozklekotane autobusy. Powierzchnia wody jeziora podwoiła się w porównaniu z okresem, kiedy Kaminski rozpoczynał tu pracę.

W autobusie panował upał nie do zniesienia. Ubranie kleiło się do siedzeń ze sztucznego tworzywa, a stary silnik pojazdu wydzielał spaliny i zapach jak zdezelowana lokomotywa.

– Popatrz tylko – powiedziała Hella, wyglądając przez okno – z obozu robotników nie pozostał ani jeden dom!

Artur się roześmiał: – Ale nasze domy i kasyno jeszcze stoją.

– Szpital został nawet świeżo pomalowany. Ciekawe, czy Heckmann jeszcze tam pracuje? – Hella szturchnęła Kaminskiego w bok.

Turyści pchali się, wysiadając z autobusu, i hałasowali podnieceni, kiedy szli pieszo ostatni odcinek do świątyń.

– Chciałabym być teraz sama – powiedziała Hella – sama z tobą, Arturze.

Kaminski ujął ją za rękę i zawrócił.

– Dokąd idziemy? – zapytała Hella śmiejąc się.

Artur nie odpowiedział, ale Hella udała się za nim. Wchodzili bez słowa na wzniesienie, za którym stały ukryte świątynie. Można było stąd podziwiać całą okolicę.

– O tu! – powiedział Kaminski, kiedy dotarli na szczyt, i przeciął palcem powietrze. – Pamiętasz? Już ledwie można poznać plac składowy. Tam na piasku po raz pierwszy kochaliśmy się pod gołym niebem. Panował wówczas taki sam

upał jak dziś.

– Oczywiście, że pamiętam – odparła Hella i spojrzała w dół, jakby się wstydziła. – Tu prawie każdy kamień przywołuje jakieś wspomnienie.

– Przyjemne wspomnienie?

– Hmm. – Odpowiedź Helli nie zabrzmiała przekonująco.

– Masz rację – powiedział Artur – wolałbym, aby wiele rzeczy w owym czasie wcale się nie zdarzyło. – Odwrócił się i spojrzał na drugą stronę jeziora, którego brzeg zlewał się z żółtą mgłą nieba.

– A jakie to rzeczy? – zapytała Hella, uwiesiwszy się na ramieniu Artura. Wiatr przybierał na sile. Kiedy rozmawiali, piasek zgrzytał im między zębami. – Pytałam cię o coś! – nalegała Hella. – Co wolałbyś, aby się nie zdarzyło?

Artur nie chciał odpowiedzieć. Hella spojrzała na niego. Puściła jego ramię i stanęła naprzeciw w wyzywającej pozie. Wtedy Kaminski odpowiedział, jękając się: – Odkrycie mumii.

Wyraz twarzy Helli zmienił się z sekundy na sekundę. Kobiecość jej rysów ustąpiła miejsca cierpkiej męskości. Z pociągającego dotąd spojrzenia emanowała złość i wściekłość.

– Wiem – powiedział Kaminski łagodnie – mieliśmy o tym nie mówić, ale skoro mnie do tego zmuszasz...

– Musimy o tym mówić – odpowiedziała Hella – gdzieżby indziej, jeśli nie tu?

Chamsin napędzał chmury piasku i Kaminski zaproponował, aby wrócić do autobusu.

– Zostań! – zawołała Hella. Jej głos przybrał znów ową barwę, która przyprawiała Kaminskiego o strach. – Dlaczego nie jesteś gotów zaakceptować prawdy?

– Prawdy? A jaka jest prawda?

– Prawda jest taka, że ja nie jestem tą, którą widzisz przed sobą.

– Wiem o tym – odpowiedział Kaminski niechętnie.

– Nic nie wiesz! – zawołała Hella ze złością – zupełnie nic nie wiesz. A nawet gdybyś wiedział i tak byś mnie nie zrozumiał.

Teraz także Kaminski mówił rozdrażniony: – A więc dobrze, nic nie wiem, nic nie rozumiem; wobec tego wytłumacz mi, o co tu chodzi.

Hella wyciągnęła zielonego skarabeusza. – Popatrz – powiedziała, trzymając go przed Arturem na dłoni jak żywego robaka – czy pamiętasz, gdzie go znalazłeś?

– Jasne. Co za głupie pytanie. Wyjąłem go mumii z ręki.

– Słusznie. A jak sądzisz, dlaczego mumia trzymała w ręce tego skarabeusza?

– Miało to z pewnością znaczenie symboliczne.

– Oczywiście! – zawołała Hella.

– A jakie znaczenie?

– Bent-Anat trzymała w ręku swój los; jest on zapisany na tym kamieniu. A kamień znajduje się teraz w moim ręku, a więc los Bent-Anat jest także moim losem.

Kaminski chciał krzyczeć; chciał się w ten sposób uwolnić z kłopotliwego położenia. Chwytał powietrze, ale coś ścisnęło go za gardło. Czyżby wszystko miało się zacząć od początku? – pomyślał.

W bezradnej wściekłości rzucił Helli w twarz słowa: – Czy swoim szaleństwem nie wyrządziłaś już wystarczająco wiele szkód? Czy chcesz zniszczyć nas oboje?

– Szaleństwo, szaleństwo! – zawołała Hella, a jej oczy zrobiły się przy tym wielkie z wściekłości. – Wszystko, czego nie rozumiesz, nazywasz szaleństwem. Myślę, że nigdy nie pojmiesz, iż ja jestem Bent-Anat.

Kaminski podszedł do Helli, schwycił ją obiema rękami i potrząsnął, jakby chciał w ten sposób odpędzić od niej ponure myśli.

– Nie jesteś Bent-Anat – krzyczał, a głos jego brzmiał teraz zupełnie obco – ty tylko żyjesz w obłądnym przekonaniu, że nią jesteś.

Hella zaśmiała się bezczelnie i wyciągnęła groźnie do Artura dłoń z zielonym skarabeuszem. – Udowodnię ci to!

Kaminski próbował wyrwać jej skarabeusza z ręki. Hella jednak broniła się z nieprawdopodobną mocą. Drobną, delikatną osobką miała w sobie taką siłę, jakiej Artur się u niej nigdy nie spodziewał. Musiał zdobyć tego wstrętnego zielonego chrząszcza. Pragnął go wrzucić jak najdalej do jeziora leżącego pod nimi. Może w ten sposób przywiedzie Hellę do rozsądku. Ale Hella nie oddała mu skarabeusza.

Niczym szczęki koparki dłonie Kaminskiego zacisnęły się wokół gardła Helli. Uścisk był mocny, ale Hella zdawała się go nie odczuwać. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: ścisnij, ty słabeuszu, i tak nie jesteś w stanie mnie zabić!

Wiatr, który przerodził się w wichurę oraz bezlitosny upał odebrały Kaminskiemu wszystkie siły. Ale być może to słowa Helli spowodowały przygnębienie Artura. Nie był zdolny sprawić jej bólu.

A jednocześnie bardzo tego pragnął. Chciał Helli dokuczyć, chciał aby cierpiała, ponieważ nienawidził jej jak wroga.

Czekał, że będzie jęczała, krzyczała, że będzie próbowała uwolnić się z jego ucisku. Ale nic takiego nie nastąpiło. Hella stała spokojnie i czekała, co z nią

pocznie dalej.

Nagle zaczęły jej drżeć powieki. Wydało jej się, że poczuła ból. W Kaminskiego wstąpiły nowe siły. Zwarł mocno dłonie, aż zabolaty go kciuki, którymi uciskał krtań.

Powoli, poruszając się tanecznym krokiem jak tresowany koń, Hella cofała się, ale cały czas pozostawała niema, patrzyła tylko Kaminskiemu wyzywająco w oczy.

Dlaczego się nie broniła? Dlaczego nie zmobilizowała sił, których jeszcze przed chwilą miała tak wiele? Dlaczego nie próbowała uwolnić się z ucisku?

Choć Kaminski był bliski zamordowania Helli Hornstein – był tego świadom i chciał tego – nagle ogarnęło go przerażenie. Bał się, że Hella mogłaby nagle przejść do ataku i powalić go na ziemię. Stać ją było na to, Kaminski był tego pewien.

W obronie własnej zmobilizował więc resztki sił i nagle spostrzegł, że podstępna moc, która malowała się jeszcze przed chwilą na twarzy Helli, zniknęła. Kaminskiemu zdawało się, że widzi na niej teraz strach. Nie była to już piękna twarz. Oczy Helli wyszły z orbit. Poziome zmarszczki porały jej czoło. Policzki sprawiały wrażenie zapadniętych i popękanych jak wyschnięta kałuża. Hella, cofając się, zaczęła się chwiać.

Przez krótką chwilę Kaminski rozkoszował się swoją siłą, władzą, jaką nad nią posiadał. Twarz mu się wykrzywiła; piasek zgrzytał w zębach. Nagle Hella się zatoczyła. Aby samemu nie upaść na ziemię, rozluźnił ucisk.

Bent-Anat uderzyła plecami o występ skalny, jej ciało poszybowało w powietrzu jak trafiony ptak. Z góry widać było nakrycie głowy Ramzesa, o które uderzyło jej ciało. Morderca widział jeszcze, jak Bent-Anat spadła na kolana faraona, a następnie po wykonaniu kolejnego salta znalazła się u wejścia do świątyni.

A faraon górował nad Abu Simbel, smagany wiatrem z otchłani czasu. Dumnie skrzyżował ręce na piersi i spoglądał w dół na swoje dzieło. Była to jego godzina, godzina zemsty, na którą tak długo czekał, chwila spełnienia. Podniósł głowę ku niebu i wybuchnął szyderczym śmiechem. Chamsin przywiał ku niemu chmurę gorącego piasku i otulił go nią jak falującym płaszczem. Chamsin dał dzień i noc.

Nazajutrz u stóp drugiego posągu znaleziono zwłoki.

Dwa dni później gazety całego świata doniosły o tajemniczym samobójstwie w Abu Simbel. Była lekarka obozowa „Joint Venture” rzuciła się ze świątyni Ramzesa. Według wypowiedzi osób pracujących przy budowie, lekarka w przeszłości zdradzała oznaki schizofrenii. Zwolniono ją przed czterema miesiącami, kiedy próbowała sprzedać za granicę mumię Bent-Anat, którą odkryła wspólnie ze swoim niemieckim towarzyszem życia.

Obok zwłok lekarki znaleziono zielonego skarabeusza, który należał do skarbów pośmiertnych królowej. Był na nim wyryty napis. Ahmed Abd al-Kadir z Muzeum Egipskiego w Kairze odczytał hieroglify. Napis brzmiał: „Ja, Ramzes, Weser-maat-Re, zrzuciłem cię z wierzchołka południowej świątyni. I ile razy jeszcze będziesz żyła, dosięgnie cię taki sam los...”

Kiedy Mike Mahkorn dowiedział się o nieszczęściu, próbował odszukać Artura Kaminskiego. Ale Kaminski znikł. Nie podjął pracy w Turcji. Także w Egipcie nie było po nim śladu.

Wówczas Mahkorn przypomniał sobie Baloueta. Kaminski dał Balouetowi adres na wypadek, gdyby ten potrzebował jego pomocy podczas ucieczki. Ani Balouet, ani Mahkorn nie mogli sobie wyobrazić, kto albo co kryło się pod adresem „Essen, Katharinenstrasse 55”.

Balouet uparł się, aby razem z Mahkornem udać się pod wskazany adres.

Dom położony w południowej części miasta, w dzielnicy willowej, był otoczony wysokimi płaczącymi wierzbami. Na drzwiach widniała tabliczka „Kaminski”. Kiedy Balouet i Mahkorn zadzwonili, otworzyła im młoda, chyba dwudziestoletnia dziewczyna.

Mahkorn przedstawił się jako przyjaciel Artura Kaminskiego i zapytał, czy mógłby się z nim zobaczyć.

Nie, odpowiedziała dziewczyna, jej ojciec zniknął ponad cztery lata temu. I zapytała, czy wiedzą o nim coś bliższego.

Wówczas Mahkorn zaczął opowiadać, a córka Kaminskiego poprosiła ich do środka.

Opustoszały dom nie zdradzał śladów dobrobytu. Okna, tapety i meble wymagały renowacji. Na parterze znajdował się mroczny salon. Na ciemnym kredensie stał włączony telewizor.

– Mamo – powiedziała dziewczyna, kiedy weszli do pokoju – przyszli przyjaciele ojca.

Przed telewizorem w fotelu obitym tkaniną w niebieskie kwiaty siedziała kobieta z upiętymi wysoko ciemnymi włosami. Jej uśmiech sprawiał niepokojące wrażenie.

– Muszę panom wyjaśnić, że moja matka postradała zmysły. Niewiele jest chwil, kiedy zdradza przebłycki świadomości.

Mahkorn spojrzał przejęty i powiedział: – Bardzo mi przykro. Czy to był wypadek?

Dziewczyna skinęła głową. Walczyła ze łzami. – Ojciec nie mówił panom o

tym?

– Nie – odpowiedział Mahkorn. – To bardzo dziwne. Ale on nigdy nie opowiadał o żonie ani o córce.

– Rodzice się rozwiedli – rzekła dziewczyna – tak było lepiej. Ojciec troszczy się o nasz byt.

– Naprawdę?

– Nie dobrowolnie, ale to robi.

Kobieta przed telewizorem odwróciła się. – Niech panowie podejdą, możemy oglądać razem.

Dziewczyna zmieniła ton i zawołała rozkazującym głosem: – Mamo, panowie nie chcą oglądać telewizji. Oni przyszli od Artura.

– Od Artura? – odparła kobieta – A kto to jest Artur?

– Widzą panowie – rzekła córka Kaminskiego, zwracając się do przybyłych – znów nie kontaktuje.

– To straszne – zauważył Mike Mahkorn. – Jak to się stało?

Dziewczyna zaśmiała się gorzko: – W obłądnie. Nie wiem, jak dalece panowie znają ojca. On dostał obłądu. Za każdym razem, kiedy czuł, że kobieta nad nim dominuje, popadał w obłąd. Ale panowie z pewnością sami to zauważyli.

Mahkorn zrobił zdumioną minę. – Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział Artura w takim stanie – skłamał.

– Wobec tego pan go nie zna – powiedziała dziewczyna.

– Być może – przyznał Mahkorn – a co pani ma na myśli, mówiąc, że popadał w obłąd?

Córka Kaminskiego chciała odpowiedzieć; ale powstrzymała się i wezwała gości, aby udali się za nią.

Kiedy wchodzili na piętro schodami pomalowanymi na brązowo, dziewczyna opowiadała: – Gdyby o mnie chodziło, wyrzuciłabym cały ten kram jeszcze dziś. Ale matka podczas jednej z niewielu chwil świadomości prosiła, aby zostawić tu wszystko, tak jak jest. Nie wiem, dlaczego jej tak na tym zależy.

Na górze za schodami dziewczyna otworzyła drzwi. Mahkorn i Balouet weszli.

Zaciemniony pokój był od podłogi aż po sufit wypełniony stosami fotografii, dokumentów, ubrań i różnych eksponatów z czasów starożytnego Egiptu; było to coś w rodzaju muzeum albo wysypiska głów, posągów i reliefów przedstawiających Ramzesa II. Gdziekolwiek się spojrzało, zewsząd patrzył na człowieka Ramzes.

Mahkorn słuchał jakby z oddali wyjaśnień córki Kaminskiego: – Mój ojciec żył

w obłądnym przekonaniu, że jest Ramzesem. Kiedy jakaś kobieta dawała mu odczuć swoją przewagę, zmieniała się jego osobowość. Podczas jednego z takich napadów próbował zepchnąć matkę z wieży katedry kolońskiej. O mały włos byłoby mu się udało. Matka broniła się rozpaczliwie. Straciła wtedy rozum.

Kiedy Marikom i Balouet opuścili dom, szli jakiś czas w milczeniu obok siebie.

– Mike – powiedział Balouet w końcu – nie zazdroszczę panu. Nie chciałbym pisać tej historii.